

David  
**MORRELL**

**Łowca**

LOWY BEETSSELLER AUTORA **BRACTWA RÓŻY**





**David**  
**MORRELL**

**Łowca**

Z angielskiego przełożył  
ANDRZEJ SZULC

WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału:  
SCAVENGER

Copyright © David Morrell 2007 All  
rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wy-  
dawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Szulc 2007

Redakcja: Barbara Bogusz  
Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski  
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-536-1

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)  
[www.empik.com](http://www.empik.com)  
[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS  
ANDRZEJ KURYŁOWICZ  
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I  
Skład: Laguna  
Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

## PODZIĘKOWANIA

Pisarze nie pracują w próżni. „Łowca” nie powstałby bez pomocy wielu ludzi. Składam podziękowania następującym osobom:

Jane Dystel, Miriam Goderich, Michaelowi Bourretowi i fantastycznym ludziom z Dystel Goderich Literary Management.

Rogeroi Cooperowi, Chrisowi Nakamura, Peterowi Costanzo i innym pracownikom Vanguard Press oraz Perseus Books Group.

Nanci Kalanta z [horrorworld.org](http://horrorworld.org).

Ericowi Grayowi i Mike'owi Volpe z Jet Aviation na lotnisku Teterboro.

A także Sarie Morrell. To ostatnie nazwisko nieprzypadkowo brzmi tak samo jak moje. To moja córka. Jest poza tym moim przyjacielem i jedną z najlepszych specjalistek od promocji książek, jakie znam.

Mam pomniki z brązu, lapis-lazuli, alabastru i białego wapienia, a także inskrypcje w wypalanej glinie... i złożyłem je w fundamentach dla przyszłych pokoleń.

Esarhaddon  
król Asyrii, VII w. p.n.e.

Kilka dni temu ktoś poprosił mnie, żebym napisał list do kapsuły czasu, którą otworzą w Los Angeles za sto lat... Wydawało się to łatwym zadaniem. Sugerowano, żebym napisał coś o aktualnych sprawach i problemach. I kiedy rozmyślałem o tym, jadąc wzdłuż wybrzeża, patrząc na błękitny Pacyfik po jednej stronie i góry Santa Ynez po drugiej, nie mogłem nie zadać sobie pytania, czy za sto lat będzie tu tak samo pięknie jak w ten letni dzień. A potem, gdy próbowałem pisać... Zastanówcie się nad tym zadaniem. Macie napisać do ludzi, którzy będą żyli za sto lat i wiedzieli o nas wszystko. My nie wiemy o nich nic. Nie wiemy, w jakim świecie będą żyli.

Ronald Reagan  
(z przemówienia wygłoszonego na krajowej konwencji republikanów w 1976 roku jto nieotrzymaniu partyjnej nominacji w wyborach prezydenckich)

**POZIOM PIERWSZY**

**KRYPTA  
CYWILIZACJI**

# 1

Zwracając się do niej, już nie używał imienia swojej zmarłej żony, mimo że była do niej podobna aż do bólu. Czasami, kiedy po obudzeniu się widział ją przy swym szpitalnym łóżku, myślał, że ma halucynacje.

— Jak mam na imię? — pytała.

— Amanda — odpowiadał ostrożnie.

— Doskonale — chwalił go lekarz, uważnie mu się przyglądając. Nigdy nie zdradził, jakiej jest specjalności, ale Balenger podejrzewał, że to psychiatra. — Chyba już można wypisać pana do domu.



## 2

Taksówka wjechała do Park Slope w Brooklynie. Balenger wyglądał przez okno, żeby nie patrzeć na długie blond włosy i jasnoniebieskie oczy Amandy, które tak bardzo przypominały mu Diane. Zobaczył duży kamienny łuk z umieszczonym na górze posągiem skrzydlatej kobiety w rozwianych szatach.

— Grand Army Plaza — wyjaśniła Amanda. — Pomnik upamiętniający koniec wojny secesyjnej.

Nawet jej głos przypominał mu Diane.

— Te drzewa przed nami to Prospect Park — dodała.

Taksówka zatrzymała się w wąskiej uliczce, przy jednej z trzypiętrowych kamienic z brunatnego piaskowca. Amanda zapłaciła, a Balenger zmobilizował siły i wysiadł. Chłodny październikowy wiatr przeszył go do szpiku kości. Bolały go nogi, zebra i otarte przez linę dłonie.

— Moje mieszkanie jest na trzecim piętrze. — Amanda wskazała ręką balkon. — Tam, gdzie widać kamienną balustradę.

— Mówiłaś, że pracujesz w księgarni na Manhattanie. To zamożna dzielnica. Nie sądziłem, że stać cię... — Odpowiedź przyszła mu do głowy sama. — Pomaga ci ojciec?

— Nigdy nie stracił nadziei. Po moim zaginięciu płacił czynsz przez wszystkie miesiące.

Wchodząc po ośmiu kamiennych schodkach, Balenger miał wrażenie, że jest ich osiemdziesiąt. Uginały się pod nim nogi. Chociaż wielkie drewniane drzwi pomalowano niedawno na brązowo, sprawiały wrażenie zabytkowych. Amanda włożyła klucz do zamka.

— Zaczekaj — powiedział.

— Musisz złapać oddech?

Właściwie miała rację, ale nie dlatego się zatrzymał.

— Jesteś pewna, że to dobry pomysł? — zapytał.

— Masz jakieś inne miejsce, gdzie mógłbyś zamieszkać, kogośkolwiek innego, kto mógłby się tobą zaopiekować?

W obu wypadkach odpowiedź brzmiała „nie”. Przez cały ubiegły rok, gdy poszukiwał zaginionej żony, mieszkał w takich motelach i stać go było najwyżej na jeden posiłek dziennie, na ogół sandwicza w barze szybkiej obsługi. Jego oszczędności stopniały do zera. Nie miał nikogo i niczego.

— Prawie mnie nie znasz — powiedział.

— Ryzykowałeś dla mnie życie — odparła Amanda. — Gdyby nie ty, już bym nie żyła. Co jeszcze muszę wiedzieć?

Żadne z nich nie wspomniało, że przez jakiś czas Balenger uważał, iż kobieta, którą ratował, to jego żona.

— Dajmy sobie kilka dni — powiedziała, otwierając drzwi.

### 3

Mieszkanie składało się z sypialni, salonu i kuchni. Wysoki sufit wykończono sztukaterią, podłoga była z twardego drewna. Chociaż wnętrza lśniły i były w znakomitym stanie, Balenger nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wszystko tu jest bardzo stare.

— Kiedy byliśmy w szpitalu, ojciec zaopatrzył lodówkę i spiżarnię — powiedziała. — Chcesz coś przekąsić?

Balenger opadł na skórzaną sofę. Zanim zdążył odpowiedzieć, górę wzięło zmęczenie.

Gdy się obudził, na dworze było ciemno. Leżał okryty kocem. Amanda pomogła mu pójść do łazienki i wrócić na sofę.

— Podgrzeję zupę — stwierdziła.

Potem zmieniła mu bandażę i opatrunki.

— Kiedy spałeś, wyszłam i kupiłam ci pizzamę — powiedziała.

Pomagając mu ją włożyć, przyjrzała się z troską jego obrażeniom.

## 4

Obudził go jakiś koszmar, wspomnienie strzałów i krzyków. Wystraszony zobaczył wbiegającą do sypialni Amandę.

— Jestem przy tobie — powiedziała uspokajającym tonem. W bladym świetle stojącej w rogu lampy była jeszcze bardziej podobna do Diane. Zastanawiał się, czy duch Diane nie połączył się po prostu z jej duchem.

Usiadła przy nim na sofie, wzięła go za rękę i trzymała, aż przestało mu walić serce.

— Jestem przy tobie — powtarzała.

Zapadł z powrotem w niespokojny sen.

Krzyk dochodzący z sypialni obudził go ponownie. Z wysiłkiem dźwignął się z sofy i pokuśtykał do drzwi. Amanda rzucała się na łóżku, jakby walczyła z własnymi demonami. Pogładził ją po włosach, próbując dać do zrozumienia, że nie grozi jej ciemność i przemoc, nie grozi nic, czego doświadczyła w hotelu Paragon. Klang! W zakamarkach jego pamięci metalowa blacha wciąż uderzała o ścianę opuszczonego budynku. Klang! Żałosny, rytmiczny głos fatum.

Zasnęli obok siebie, obejmując się ramionami. Następnej nocy było tak samo. I następnej. Zawsze paliło się światło. Nie zamykali drzwi sypialni. W zamkniętych pomieszczeniach chodziły im po plecach ciarki. Dwa tygodnie później zostali kochankami.

## 5

Balenger chodził na coraz dłuższe spacerunki. Któregoś grudniowego szarego dnia, gdy wracał po południu z Grand Army Plaza, przed jego kamienicą wysiedli z samochodu dwaj mężczyźni. Ubrani byli w ciemne palta, mieli elegancko przystrzyżone włosy i poważne twarze. Jeden był wyższy od drugiego. W zimnym powietrzu ich oddechy zmieniały się w białe obłoczki.

— Frank Balenger? — zapytał wyższy mężczyzna.

Balenger niechętnie kiwnął głową.

Sięgnęli do wewnętrznych kieszeni i wyciągnęli legitymacje: Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych. Po wejściu do mieszkania wyższy agent wręczył Balengerowi długopis i jakiś dokument.

— Niech pan to podpisze.

— Nie pogniewacie się chyba, jeśli najpierw przeczytam.

— To oświadczenie, że zrzeka się pan praw do dowodów rzeczowych przekazanych policji w Asbury Park.

— Do podwójnego orła — dodał drugi mężczyzna.

Balenger zrozumiał.

— Ustawa o rezerwach złota z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego nie pozwala używać złotych monet w charakterze środka płatniczego. Obywatele mogą je posiada-

wyłącznie jako numizmaty. Ale nie może pan posiadać czegoś, co pan ukradł.

— Nie ukradłem tej monety. Jej właściciel umarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Moneta była w tym choler-  
nym hotelu. Do chwili gdy schowałem ją do kieszeni, nie była  
niczyją własnością.

— To jedyna moneta, która ocalała z pożaru. Przyjrzał się pan  
jej dokładnie?

— Byłem trochę zajęty, starałem się utrzymać przy życiu.

— Jest na niej wyryta data tysiąc dziewięćset trzydzieści trzy.  
Zanim rząd zabronił używania złota jako środka płatniczego, w  
mennicy zdążyli już wybić monety na tamten rok. Wszystkie zostały  
zniszczone. Oprócz tych, które skradziono.

— Była wśród nich ta, którą schował pan do kieszeni — wyja-  
śnił wyższy agent. — To oznacza, że jest własnością rządu Sta-  
nów Zjednoczonych. Monety te są tak rzadkie, że kiedy ostatnio  
wpadła nam w ręce jedna z nich, sprzedano ją na aukcji u Sot-  
heby'ego.

— Za prawie osiem milionów dolarów — dodał drugi.

Suma była tak olbrzymia, że Balengerowi zabrakło na  
chwilę tchu.

— Z powodu formalności prawnych daliśmy osobie, od której  
ją dostaliśmy, pewną część tych pieniędzy — kontynuował drugi  
agent. — Jesteśmy gotowi zawrzeć z panem podobną umowę.  
Nazwijmy to znaleźnym. Kwota będzie wystarczająco pokaźna, by  
sprawą zainteresowały się media i skłoniły innych kolekcjonerów  
do przekazania nam bez zbędnych pytań takich nielegalnie naby-  
tych monet.

— O jakiego rządu sumie mówimy? — zapytał po krótkim wa-  
haniu Balenger.

— Zakładając, że moneta sprzeda się za podobną kwotę co po-  
przednia? Dostanie pan dwa miliony dolarów.

Balengerowi opadła szczeka.

## 6

Wspaniała majowa sobota. Po długim joggingu wokół Prospect Parku Balenger i Amanda otworzyli frontowe drzwi domu i sięgnęli po pocztę, którą listonosz wsunął w otwór.

— Coś ciekawego? — zapytała Amanda, kiedy wspinali się po schodach prowadzących do ich mieszkania.

— Kolejni specje finansowi chcą doradzić mi, co zrobić z pieniędzmi, które dostałem za monetę. Kolejne instytucje charytatywne proszą o datki. Kolejne rachunki.

— Możemy je teraz przynajmniej zapłacić.

— To dziwne — mruknął nagle Balenger.

— Co się stało?

— Spójrz na to.

Balenger zatrzymał się przed drzwiami mieszkania i podał jej kopertę. Amanda zmarszczyła czoło.

— Jest stara i krucha. Nawet pachnie stęchlizną — dodała, wachając przesyłkę.

— Nic dziwnego. Popatrz na znaczek.

Amanda przyjrzała się mu.

— Dwa centy? To niemożliwe.

— Sprawdź stempel pocztowy.

Stempel był wyblakły, ale do odcyfrowania.  
— Trzydziesty pierwszy grudnia?  
— Czytaj dalej.  
— Tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku? — Amanda pokręciła głową. — To jakiś żart?  
— Może trik reklamowy — mruknął Balenger.  
Weszli do mieszkania i zamknęli za sobą drzwi. Amanda rozdarła kopertę i wyjęła złożony arkusik.  
— Jest tak samo kruchy jak koperta. I tak samo pachnie stęchlizną — zauważyła.  
Stojący obok niej Balenger zobaczył, że list jest napisany odręcznie, grubymi pociągnięciami pióra. Atrament podobnie jak stempel wyblakł ze starości.

Pan Frank Balenger

Drogi Panie,

Proszę wybaczyć, że zabieram Panu czas. Znam Pańską fascynację przeszłością, toteż pozwoliłem sobie użyć starego znaczka, by zwrócić uwagę. Zapraszam Pana oraz panią Evert na godzinę trzynastą w pierwszą sobotę czerwca do Manhattańskiego Klubu Historycznego (adres poniżej). Po skromnym poczęstunku będę miał wykład na temat wiadomości dla przyszłości, które otwieramy w dniu dzisiejszym, aby zrozumieć przeszłość. Mam oczywiście na myśli owe zawieszony między przyszłością i przeszłością fascynujące przedmioty znane pod nazwą: „kapsuły czasu „.

Z poważaniem

Adrian Murdock

— Kapsuły czasu? — mruknęła Amanda. — Co to jest, u licha?

— W pierwszą sobotę czerwca? — Balenger zająrzył do



kuchni i zerknął na kalendarz przymocowany magnesami do lodówki. — To następny weekend. Manhattański Klub Historyczny?

— Masz rację. To musi być jakaś reklamowa sztuczka. — Amanda zbadała kruchy arkusik papieru. — Wygląda autentycznie. Powinien, skoro pochodzi z klubu historycznego. Prawdopodobnie szukają nowych członków. Ale skąd wzięli nasze nazwiska i adres?

— Zeszłej jesieni, kiedy to wszystko się wydarzyło, w gazetach napisali, że mieszkasz w Park Slope — powiedział Balenger. — Napomknięto również, że robiłem wszystko, by cofnąć się w przeszłość.

— Klub czekał bardzo długo, żeby się z nami skontaktować.

Balenger chwilę się nad tym zastanawiał.

— Kiedy w zeszłym miesiącu sprzedano monetę, znowu zrobiło się o tym głośno. Media wróciły do tego, co wydarzyło się w hotelu Paragon. Może facet uważa, że obsesja, którą mam na punkcie przeszłości, skłoni mnie do zasilenia jego klubu hojną darowizną.

— Jasne. Podobnie jak ci doradcy finansowi, którzy chętnie pobraliby od ciebie prowizję — powiedziała Amanda.

— Kapsuły czasu...

— Zachowujesz się tak, jakbyś rzeczywiście chciał tam pójść.

— Kiedy byłem dzieckiem... — Balenger przerwał na chwilę i cofnął się pamięcią w przeszłość. — Mój ojciec uczył historii w szkole średniej. To było w Buffalo. Jego szkoła wyburzała stary budynek, żeby zbudować na jego miejscu nowy. Krążyły plotki o kapsule czasu, którą jedna z dawnych klas maturalnych umieściła w fundamentach, kiedy budynek był nowy. Gdy robotnicy pracujący przy rozbiórce szli do domu, ja wraz z grupką dzieci szukałem kapsuły w rumowisku. Oczywiście, nie mieliśmy pojęcia, jak może

wyglądać coś takiego. Trwało to cały tydzień, ale w końcu zobaczyłem w odkopanym rogu budynku wielki kamienny blok. Na przymocowanej do niego tablicy widniał napis: **MATURZYŚCI ROCZNIK 1942. PAMIĘĆ O NAS NIGDY NIE ZAGINIE. U PROGU NASZEJ PRZYSZŁOŚCI.** W ciągu tych wszystkich lat tablica zarosła brudem. Zasłoniły ją zarosła. Ludzie zapomnieli. Amanda dała znak, żeby mówić dalej.

— W kamiennym bloku był otwór — kontynuował Balenger. — W środku zobaczyłem metalowe pudełko. Pobiegłem do domu i powiedziałem o tym ojcu. Z początku był wściekły, że bawiłem się na terenie prac rozbiórkowych i mogłem sobie zrobić krzywdę. Ale kiedy dowiedział się, co znalazłem, kazał mi się tam zaprowadzić. Nazajutrz rano poprosił robotników, żeby rozbili blok. Na litość boską, nie zniszczcie tego, co jest w środku, powtarzał. Robotnicy byli tak samo zaintrygowani jak on. Wielu nauczycieli i uczniów dowiedziało się o sprawie i też tam przyszło. Robotnik użył młotka i dłuta i w końcu wyciągnął metalowe pudełko wielkości książki telefonicznej. Zamek był zardzewiały. Ludzie chcieli go wyłamać, ale ojciec powiedział, że powinniśmy to zrobić podczas specjalnej uroczystości. Dyrektor stwierdził, że można by zasilić szkolny fundusz, sprzedając bilety na otwarcie kapsuły. Za uzyskane w ten sposób pieniądze szkoła kupiłaby książki do biblioteki. Wszyscy uznali to za świetny pomysł. Dyrektor zawiadomił prasę, radio i telewizję, żeby nagłośnić sprawę. Zapowiedziano wielką fetę w niedzielę po południu. Na sali ustawiono kamery telewizyjne, a tysiąc osób zapłaciło po dolarze, żeby obejrzeć otwarcie kapsuły.

— Co w niej było? — zapytała Amanda.

— Nikt się tego nigdy nie dowiedział.

— Jak to?

— Dyrektor zamknął pudełko w szafce w swoim gabinecie.

Wieczorem przed wielkim otwarciem ktoś włamał się do gabinetu i ukraść je. Możesz sobie wyobrazić, jacy wszyscy byli wściekli i zawiedzeni. Zawsze mnie ciekawiło, co zdaniem tych maturzystów z tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku warto było pokazać przyszłym pokoleniom. — Kapsuły czasu — mruknęła Amanda.

# 7

Manhattański Klub Historyczny miał swoją siedzibę na południe od Gramercy Parku, przy Wschodniej Dziewiętnastej w za-  
bytkowej dzielnicy. W sobotę ruch na ulicach był niewielki.  
Niebo zachmurzyło się i ludzie chodzili w lekkich kurtkach. Ba-  
lenger i Amanda zatrzymali się przy ceglany szeregowym  
domu i spojrzeli na podniszczoną mosiężną tablicę, na której  
widniała data „1854”. Nad wielkimi drzwiami była zamocowana  
kolejna tablica z napisem MANHATTAŃSKI KLUB  
HISTORYCZNY.

Po kilku schodkach weszli do środka i znaleźli się w mrocznym  
holu, który wyglądał, jakby niewiele się w nim zmieniło od półto-  
ra stulecia. Na ustawionej na sztaludze planszy widniała fotogra-  
fia dystygowanego chudego pana z siwą czupryną, wąsikami i  
zmarszczkami na czole oraz w kącie oka. Ubrany był według  
dawnej mody, a w rękach trzymał metalowy cylinder.

MANHATTAŃSKI KLUB HISTORYCZNY  
ZAPRASZA NA WYKŁAD  
ADRIANA MURDOCKA  
PROFESORA HISTORII  
UNIWERSYTETU OGLETHORPE'A W ATLANCIE

„DOŚĆ CZASU I ŚWIATA:  
PSYCHOLOGIA KAPSUŁ CZASU”  
2 CZERWCA, GODZ. 13

Balenger usłyszał głosy dochodzące z głębi korytarza.

Z sali po prawej stronie wyszła korpulentna, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta w prostym granatowym kostiumie. Gdy zauważyła Balengera i Amandę, podeszła do nich z uśmiechem.

— Cieszę się, że znaleźli państwo dla nas czas — powiedziała.

— Zaproszenie było tak pomysłowe, że nie mogliśmy się oprzeć — odparł Balenger.

Na twarzy kobiety pojawił się rumieniec, bardziej widoczny, ponieważ nie była umalowana. Czarne włosy miała zebrane w kok.

— Niestety, to był mój pomysł. Nasze wykłady nie przyciągają dostatecznej liczby słuchaczy, pomyślałam więc, że powinniśmy je trochę udramatyzować. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że przygotowanie zaproszeń zajmie komitetowi tyle czasu. Jestem Karen Bailey — dodała kobieta, wyciągając do nich rękę.

— Frank Balenger.

— Amanda Evert.

— Oczywiście. To wy jesteście tą parą, która znalazła monetę. W artykule na temat aukcji napomknięto, że interesujecie się historią. Pomyślałam, że wykład powinien was zaciekawić.

— Nie szukacie przypadkiem funduszy na dalszą działalność? — zapytała Amanda.

— No cóż... — Kobieta ponownie sprawiała wrażenie zakłopotanej. — Cieszymy się z każdej wpłaconej sumy, która pozwala pokryć koszty podróży naszych wykładowców. Nie muszą się jednak państwo czuć zobowiązani.

— Dlaczego nie? Chętnie wspomozemy klub — powiedział Balenger, uśmiechając się do Amandy.

— W zaproszeniu wspominaliśmy o poczęstunku. Chodźcie. Mamy herbatę, kawę i kanapki.

Balenger i Amanda ruszyli za Karen korytarzem ozdobionym sepiowymi fotografiami Gramercy Parku. Z umieszczonych niżej podpisów wynikało, że zostały zrobione w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Na wyblakłych obrazkach widać było furgony zaprzężone w konie, mężczyzn w kapeluszach, surdutach, krawatach i kamizelkach oraz kobiety ubrane w suknie, które sięgały sznurowanych trzewików.

Stary dywan tłumił kroki. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Karen skręciła w prawo i wprowadziła ich do długiej sali, w której stały w rzędach składane krzesła, w głębi widać było mównicę. Tu również wisały na ścianach sepiowe fotografie.

Balenger zerknął na ekran i projektor podłączony do stojącego na mównicy laptopa. W rogu sali kilka osób popijało kawę i herbatę ze styropianowych kubków, pogryzając kanapki z sałatką z tuńczyka.

— Pozwólcie, że przedstawię wam profesora Murdocka — powiedziała Karen i poprowadziła ich do siwowłosego mężczyzny, który rozmawiał z parą trzydziestolatków, trzymając w ręku kanapkę. Miał na nosie okulary i wydawał się jeszcze chudszy niż na fotografii. Był w garniturze, ale młodzi ludzie mieli na sobie dzinsy, podobnie jak Balenger i Amanda.

— ...nie używano tego terminu aż do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego. Wcześniej nazywano je skrzyniami, szkatułami, a nawet trumnami. A potem oczywiście mieliśmy do czynienia ze słynną...

Profesor przerwał w pół zdania, żeby pozdrowić zbliżających się Balengera i Amandę.

- Panie profesorze, chciałabym panu przedstawić...
- Karen ponownie się zaczerwieniła. Najwyraźniej zapomniała ich nazwiska.
- Frank Balenger.
- Amanda Evert.
- Oboje uścisnęli dłoń profesora.
- Mówiłem właśnie o Krypcie Cywilizacji.
- O czym? — zapytał Balenger, przekonany, że się przestęszął.
- Kawy czy herbaty?
- Kawy — odpowiedzieli jednocześnie Balenger i Amanda.
- Tak nazywa się chyba najstynniejsza kapsuła czasu. Oczywiście nie mogę być w tej kwestii bezstronny, ponieważ znajduje się ona na Uniwersytecie Oglethorpe'a, gdzie wykładam.
- Nazywa się „Krypta Cywilizacji”? — zdziwił się Balenger.
- Interesująca nazwa, nieprawdaż? To właśnie z powodu krypty w Oglethorpe mieści się siedziba Międzynarodowego Towarzystwa Kapsuł Czasu.
- Istnieje Międzynarodowe Towarzystwo Kapsuł Czasu? — zapytała równie zdumiona Amanda.
- Śmietanki? Cukru? Słodzika? — odezwała się Karen, która stała przy stole niedaleko wejścia i nalewała im kawy do styropianowych kubków.
- Trochę śmietanki — odparł Balenger.
- Trochę słodzika — dodała Amanda.
- Do sali weszli kolejni goście.
- Przepraszam — powiedział Murdock. — Muszę sprawdzić, czy wszystko jest gotowe do prezentacji.
- Profesor podszedł do mównicy, a Balenger i Amanda zaczęli popijać kawę, którą dała im Karen.
- Kanapki dostarczyła firma cateringowa. Częstujcie się,

proszę — powiedziała Karen, po czym podeszła do okien i zaczęła zasuwając zasłony.

Balenger przyjrzał się kanapkom. Chleb miał odciętą skórkę. Niechętnie wziął jedną, ugryzł i pokręcił zaskoczony głową.

— Nie przepadam za sałatką z tuńczyka — powiedział do Amandy — ale ta jest całkiem niezła.

— To dzięki sałacie.

— Sałacie?

— Jest chrupka. Majonez wygląda na domowy. Chleb jest świeży — rzekła Amanda, biorąc kolejną kanapkę.

Balenger poszedł w jej ślady.

— Mam nadzieję, że facet powie coś o tej Krypcie Cywilizacji.



## 8

Profesor stanął w półmroku na mównicy i wcisnął klawisz laptopa. Na ekranie pojawiło się zdjęcie przedstawiające długą, lśniącą tubę, która przypominała Balengerowi torpedę. Otaczała ją grupka poważnie wyglądających mężczyzn w białych fartuchach.

— Mimo że sama tradycja sięga starożytności, widzimy tu pierwszy obiekt, który nazwano kapsułą czasu — oznajmił profesor Murdock. — Skonstruowano go na Targi Światowe w Nowym Jorku w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Sponsorem była firma Westinghouse, produkująca wysokiej klasy sprzęt gospodarstwa domowego. Kapsuła miała zostać ponownie otwarta dopiero po pięciu tysiącach lat, co sugerowało, że produkty Westinghouse'a są naprawdę długotrwałe. Dlaczego akurat pięć tysięcy? Uznano, że pisana historia ma również pięć tysięcy lat i w związku z tym Targi Światowe odbywają się w połowie drogi między przeszłością i przyszłością. „Chcemy wierzyć — głosili projektanci kapsuły — że światowe problemy zostaną rozwiązane, że ludzkość przezwycięży swoje ograniczenia i że czeka ją wspaniała przyszłość”. Oczywiście okropności drugiej wojny światowej wkrótce skłoniły ich do zmiany zdania.

Profesor wcisnął klawisz na komputerze i na ekranie poja-

wiła się kolejna fotografia. Przedstawiała budynek o futurystycznym kształcie, gdzie prawdopodobnie odbywały się Targi Światowe w 1939 roku. Na transparencie z tyłu widniał napis: ŚWIAT JUTRA. Ludzie stali w kolejce, żeby spojrzeć przez peryskop. Balengera uderzyło to, że chociaż wizytę na targach powinno się traktować jako rozrywkę, większość mężczyzn była ubrana w garnitury, krawaty i eleganckie kapelusze.

— Kapsułę wykonano z wyjątkowo twardego, odpornego na wilgoć stopu miedzi—kontynuował profesor Murdock. — Po włożeniu do niej przedmiotów, które miały obejrzeć przyszłe pokolenia, spuszczone ją do szybu w dniu jesiennego zrównania dnia i nocy, w niemal religijnej atmosferze, przy akompaniamencie chińskich gongów. Szyb był zaopatrzony w peryskop, przez który goście mogli zobaczyć opuszczaną pięćdziesiąt stóp niżej kapsułę. Po zakończeniu targów szyb został zapieczętowany i nakryty betonowym blokiem. „Niechaj kapsuła czasu spoczywa w spokoju”, oświadczył prezes Westinghouse. Ponieważ więcej kapsuł czasu zostało zagubionych niż kiedykolwiek odnalezionych, firma Westinghouse wydała „Księgę rekordów Kapsuły Czasu”. Tysiące wydrukowanych na bezkwasowym papierze egzemplarzy wysłano do bibliotek i klasztorów na całym świecie, w tym do Tybetu. Wśród innych kluczowych informacji zapisano tam współrzędne geograficzne punktu, w którym złożona została kapsuła, jak się okazało, całkiem roztropnie, ponieważ obecnie trudno odszukać blok betonu na Flushing Meadows, gdzie odbywały się targi.

Na ekranie pokazała się kolejna fotografia przedstawiająca różne przedmioty.

— Co zawierała kapsuła czasu? — zapytał profesor Murdock. — Jakie drogie przedmioty zdaniem projektantów miały przekonać ludzi za pięć tysięcy lat, że rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty był taki wyjątkowy? Budzik. Otwieracz do puszek. Wieczne pióro. Pilnik do paznokci. Szczoteczka do zębów. Kubek z Myszka Miki.

Ktoś na widowni się roześmiał.

— Kontakt elektryczny — podjął profesor. — Nagranie „Stars and Stripes Forever”. Mikrofilmy „Historii Rockefeller Center”, „Małej sierotki Annie”, „Dicka Tracy'ego”, „Reguły gry w karty Hoyle'a”, „Saturday Evening Post”, słownika oraz „Przeminęło z wiatrem”. Były tam i inne przedmioty, lecz już te przykłady uświadamiają, jak trudno ustalić, co jest ważne dla danej społeczności. Czy w przyszłości będą istniały otwieracze do puszek? Budziki i pilniki do paznokci? Być może najmniej zrozumiałe dla przyszłych pokoleń będą rzeczy, które my uważamy za oczywiste. Nawiązując do tytułu, który przed chwilą wymieniłem, pragnę zauważyć, że wszystkie kultury w końcu giną, przemijają z wiatrem. Na Targach Światowych w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym z dumą przedstawiano przyszłym pokoleniom, jak wyglądał świat, a w każdym razie Ameryka w tym historycznym momencie. Skrupulatność, z jaką przygotowano kapsułę, świadczy jednak o pewnej desperacji, zupełnie jakby projektanci podświadomie bali się, że zostaną zapomniani.

Profesor Murdock ponownie wcisnął klawisz laptopa i na ekranie ukazała się fotografia budynku przypominającego rozległy zamek.

— To uniwersytet Oglethorpe'a, gdzie wykładam — powiedział. — Kilka lat wcześniej, w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym zrodził się tutaj pomysł kapsuły Westinghouse'a. Ówczesny rektor uniwersytetu, Thornwell Jacobs, spuścił wodę z krytego basenu i wypełnił go tysiącami przedmiotów, w tym sześciuset czterdziestoma tysiącami mikrofilmów gromadzących światową wiedzę. Tu także dobór obiektów może się wydać niezwykły: szczotka do mycia, szminka, obieracz do grejpfrutów, packa na muchy, dziecinne klocki, pełna butelka budweisera, folia aluminiowa, płyty Artiego Shawa oraz film z Kaczorem Donaldem. Przedsięwzięcie było tak ambitne, że sfinalizowano je dopiero w roku tysiąc dzie-

więćset czterdziestym, rok po Targach Światowych, wskutek czego palmę pierwszeństwa przyznano kapsule Westinghouse'a, mimo że jej projektanci wykorzystali cudzy pomysł.

— Jacobs nazwał swój projekt Kryptą Cywilizacji — ciągnął profesor. — Jak widać, kojarzyła mu się ona z pogrzebem. Określił, że ma zostać otwarta dopiero w roku osiem tysięcy sto trzynastym. Dlaczego akurat wtedy? Jacobs dowodził, że pierwszą historyczną datą jest rok cztery tysiące dwieście czterdziesty pierwszy przed naszą erą. Wtedy właśnie Egipcjanie wynaleźli kalendarz. Od tej daty do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego, kiedy Jacobs zaczął gromadzić przedmioty do krypty, upłynęło sześć tysięcy sto siedemdziesiąt siedem lat. Dodał je do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego i w ten sposób wyznaczył datę, kiedy krypta ma zostać otwarta: w połowie drogi między przeszłością i przyszłością. Rozumował podobnie jak twórcy kapsuły Westinghouse'a. Jacobs zadbał, by ci, którzy w dalekiej przyszłości otworzą kryptę, znaleźli tam podręcznik języka angielskiego. On również uznał, że trzeba włożyć do niej egzemplarz „Przeminęło z wiatrem”. Można się zastanawiać, czy czyniąc to, uświadamiał sobie ironiczny wydźwięk tytułu.

Na ekranie ukazały się duże lśniące metalowe drzwi w stylu art deco. Podobne do samochodowych dekli ozdoby przypominały Balengerowi coś, co oglądał na filmie science fiction.

— Tytuł powieści miał w sobie coś proroczego. W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym student uniwersytetu Oglethorpe'a, Paul Hudson, postanowił zbadać zamknięte dla osób postronnych podziemne pomieszczenia pod Auditorium Hearsta. Przemierzając z latarką ciemne korytarze, zobaczył nagle lśniącą metalową płaszczyznę. Przyjrząwszy się jej bliżej, odkrył drzwi do krypty, o której społeczność akademicka kompletnie zapomniała. Paul Hudson został później dyrektorem administracyjnym uniwersytetu i prezesem Międzynarodowego Towarzystwa Kapsuł Czasu. Dzięki niemu

podziemia Audytorium Hearsta i krypta nie są już zamknięte. Każdy może je obejrzeć. Tuż obok mieści się księgarnia uniwersytecka.

Balenger usłyszał za sobą jakiś hałas. Obejrzał się i w półmroku zobaczył kobietę i mężczyznę opuszczających salę. Przy drzwiach szepnęli coś Karen Bailey. Mężczyzna wskazał na zegarek. Karen pokiwała ze zrozumieniem głową.

Uwagę Balengera przyciągnęła nowa ilustracja na ekranie. Zobaczył maszerujących krokiem defiladowym nazistów, a potem całą serię zdjęć przedstawiających ruiny zbombardowanych budynków, czołgi ze swastykami, stosy ciał w obozach śmierci i atomowy grzyb po eksplozji bomby.

— Niewykluczone, że kiedy w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym w umyśle Jacobsa zrodził się pomysł Krypty Cywilizacji, spustoszenia wywołane przez Wielki Kryzys kazały mu zwątpić w przyszłość cywilizacji. Być może, w przeciwieństwie do twórców kapsuły Westinghouse'a, nie chciał się helścić przed przyszłymi pokoleniami,

lecz raczej ocalić coś, co jego zdaniem mogło ulec zniszczeniu. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym, kiedy krypta została zapieczętowana, a niemieckie armie podbijały Europę, powszechnym uczuciem był pesymizm. „Świat uwziął się, by zniszczyć cywilizację, lecz tu, w tym miejscu, staramy się ją dla was przechować”, napisał Jacobs w przesłaniu umieszczonym w krypcie.

Balenger ponownie usłyszał za sobą jakiś ruch. Odwróciwszy się, zobaczył, że salę opuszcza kolejna para. Gestami wyrażali, jak bardzo jest im przykro, i ściskali rękę Karen.

Na ekranie ukazała się następna ilustracja: grupa mężczyzn w garniturach stała przed będącym w budowie gmachem. Jeden z nich trzymał w rękach metalowe pudło.

— Podobne obawy wyrażono w tym samym tysiąc dziewięćset czterdziestym roku — wyjaśnił profesor Murdock — kiedy prezes firmy produkującej sprzęt medyczny w St. Louis

w Missouri kazał złożyć kapsułę czasu w fundamencie ich nowej siedziby. Umieścił w niej katalog produktów firmy. Zakładał, że kapsułę otworzy się po stu latach albo później, jednak w naszej kulturze jednorazowego użytku budynek zburzono już w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Oprócz wymienionej prozaicznej zawartości w kapsule odnaleziono następujące emocjonalne przesłanie:

Łatwiej byłoby pisać ten list, gdybyśmy widzieli przed sobą bezpieczną przyszłość. Jednak gdy kreślę te słowa, w miejscu, które tyle dla nas znaczy, toczy się walka na śmierć i życie. Nie można wykluczyć, że zanim ten list spocznie w fundamencie budynku, Anglia upadnie. Czy was, którzy będziecie go czytać za sto lub dwieście lat, zainteresuje rok tysiąc dziewięćset czterdziesty i jego drobne problemy? Czy Anglia będzie jeszcze w ogóle istnieć? Czy wojny odejdą w przeszłość dzięki postępowi w nauce, który uczyni je jeszcze straszniejszymi niż obecnie?

Następne zdjęcie przedstawiało zardzewiałe metalowe pudło, w którym widać było zbutwiały papier i przegniłe przedmioty.

— Ta kapsuła czasu przetrwała, lecz większość nie ma tyle szczęścia — powiedział profesor Murdock. — Pojemniki nie okazują się dostatecznie wodoodporne bądź też umieszczone w nich przedmioty zawierają substancje organiczne, które gniją. Co więcej, ludzka słabość niweczy nieraz najlepsze chęci. Pewne ambitne miasto w Kalifornii zdeponowało łącznie siedemnaście kapsuł i dziwnym trafem o wszystkich wszelki śluch zaginął. W pewnej miejscowości w Pensylwanii wybrano komitet, który miał sporządzić i zakopać kapsułę czasu. Później członkowie komitetu jeden po drugim poumierali i żaden nie zadbał o to, by zostawić wiadomość, gdzie umieścili

kapsułę. W szkole średniej w Wirginii sześciu maturzystów skonstruowało kapsułę czasu, którą zakopano gdzieś na terenie szkoły. Działo się to w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Obecnie budynek szkoły zburzono i nikt z tych sześciu uczniów nie pamięta, co włożyli do kapsuły i gdzie ją zakopali. Tak jakby całe wydarzenie w ogóle nie miało miejsca. We wszystkich tych miejscowościach trwa teraz coś, co można określić mianem zabawy w szukanego. Balenger zmarszczył czoło, gdy zobaczył, że dwie kolejne osoby wychodzą z sali.

— Z tysięcy kapsuł czasu, które zagięły — podjął profesor Murdock — najusilniej poszukuje się sześciu. Dzisiaj jednak omówimy tylko pięć. Pierwszą jest Kapsuła Pociągu Dwóchsetlecia.

Głos profesora wydawał się cichnąć. Balenger pochylił się do przodu, żeby lepiej słyszeć.

— W Dzień Niepodległości w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym...

Balenger zobaczył, że Amanda podnosi dłoń do ust.

— ...kapsułę, w której było dwadzieścia dwa miliony podpisów, przewieziono do Valley Forge w Pensylwanii w kawałkadzie pojazdów nazwanej „pociągiem dwóchsetlecia”. Prezydent Ford miał wziąć udział w uroczystości upamiętniającej amerykańską wojnę o niepodległość...

Na sali zrobiło się jeszcze ciemniej.

— Ale przed rozpoczęciem uroczystości ktoś skradł kapsułę z niestrzeżonej przez nikogo furgonetki.

Balenger zobaczył, że Amanda tłumii kolejne ziewnięcie.

— Druga najbardziej poszukiwana kapsuła czasu znajduje się na terenie Massachusetts Institute of Technology. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym inżynierowie MIT włożyli różne obiekty do pojemnika i umieścili go pod magnesem wielkiego cyklotronu, który budowali. Cyklotron został...

## 9

Klang.

Balenger miał wrażenie, że pęka mu głowa. Ostry, uporczywy dźwięk pochodził chyba z rozbitego dzwonu.

Klang.

Wybijany przez dzwon rytm pokrywał się z rytmem bolesnego łupania w głowie.

Klang.

Balenger odwrócił się na plecy i spróbował otworzyć oczy. Otaczała go ciemność, zimny wiatr przyprawiał o dreszcze. Ze zdziwieniem rozpoznał odgłos łamiących się fal. Wiatr niósł zapach spalonego drewna i popiołu.

Zabłyśło jakieś światło. Jęcząc, podniósł rękę, by osłonić oczy. Bolało go przedramię.

— Nie wolno ci tu przebywać, chłopie — powiedział ktoś stanowczo. — Wstawaj.

— Ouch... — jęknął Balenger.

— Słyszalesz, co mówię? Ruszaj się.

— Gdzie ja...

Miał spuchnięte gardło. Z trudem wydobył z siebie te dwa słowa.

— Nie będę dwa razy powtarzał. Ruszaj się!

— Gdzie ja jestem?



Balenger zerknął w stronę światła. Czuł pod sobą piasek.

— Na litość boską, uchlałeś się tak bardzo, że nie wiesz, gdzie jesteś? — Doszedł go drugi ostry głos. — W Asbury Park, chłopie. W tym samym miejscu, w którym urwał ci się film.

Klang.

Balenger dźwignął się na nogi. Zataczając się, odwrócił oczy od światła mocnej latarki, która oświetlała ruiny jakiegoś budynku. Odór spalonego drewna był coraz silniejszy.

— Asbury Park?

Klang.

Rozjaśniło mu się w głowie w wystarczającym stopniu, by rozpoznać prześladowający go w koszmarach odgłos: brzęk blachy uderzającej o ścianę opuszczonego budynku. Ogarnął go lodowaty lęk.

Klang.

— Miasto zagospodarowuje ten teren. Dla takich jak ty nie ma tu już miejsca.

— Nie... — jęknął Balenger. — Czy to jest...? — Drżącą ręką wskazał wielką kupę gruzu. — Nie mówcie mi, że to...

— Klang.

— Hotel Paragon — wyjaśnił głos. — A raczej to, co z niego zostało. Kiedy popełniono tu te wszystkie morderstwa i hotel spłonął, powiedzieliśmy „dosyć!”. Przywrócimy tę plażę do życia. Więc wynoś się, zanim wsadzimy cię za kratki.

Balenger zadrżał z przejęcia.

— Hotel Paragon?

— Zaczekaj chwilę, Eddie, ten facet kogoś mi przypomina. Hej, czy nie nazywałeś się...

— Balenger. Frank Balenger. Tak, to on. Jezu, człowieku, co ty tutaj robisz? To chyba ostatnie miejsce, w którym chciałbyś się znowu znaleźć.

— Amanda — wyszeptał Balenger.

— Nie słyszę cię dobrze.

— Amanda — powtórzył ochrypłym głosem Balenger.  
— Kto to jest Amanda? Ktoś z tobą był?  
— Zaczekaj, Eddie. Chyba pamiętam... Amanda. Kiedy zeszłej jesieni spłonął hotel... Jak ona się nazywała? Evert? Amanda Evert. To o niej mówisz, Frank? O kobiecie, którą uratowałeś?

Klang.

— Amanda! — krzyknął Balenger. Miał wrażenie, że zaraz pękną mu struny głosowe. Zataczając się, ruszył w stronę ruin.

— Porozmawiaj z nami, Frank. Co ty tu, do diabła, robisz?

—

## 10

— Manhattański Klub Historyczny? — zapytał Jeff Cochran, marszcząc brwi. Potężnie zbudowany, piegowaty rudzielec był szefem policji w Asbury Park. Balenger pracował u niego dwa lata wcześniej, zanim odszedł ze służby, żeby szukać zaginionej żony. — Kapsuły czasu?

— To ostatnia rzecz, jaką pamiętam — Balenger pomasaował kark, starając się przezwyciężyć silny ból głowy. Miał szerokie bary, krótko ostrzyżone rudawozłote włosy i twarz naznaczoną cierpieniem. — Posłuchaj, musicie dalej przeszukiwać rejon plaży — powiedział, nachylając się do swojego byłego szefa. — Amanda może tam nadal...

— Sprawdzają po raz drugi cały teren. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. Kiedy poszedłeś do tego klubu?

— Dziś jest sobota? — zapytał Balenger.

Światło pod sufitem dotkliwie go raziło, potęgując zmęczenie.

— Już nie. Minęła północ.

— Sobota była... — Balenger próbował się skoncentrować i przypomnieć sobie właściwą datę. — Drugiego czerwca?

— Zgadza się. Człowieku, ten narkotyk, który ci dali, porządnie namieszał ci w głowie. To musiało być coś w rodzaju tabletki gwałtu, która w dodatku powoduje amnezję.

— Podali ją w kawie i w sandwiczach. — Balenger pokręcił głową, żeby złagodzić ból. — Ale przecież wszyscy tam pili i jedli... Ta kobieta... Jak ona się nazywała? Zaraz, zaraz. Karen. Tak się przedstawiła. Karen Bailey. Osobiście nałala nam kawy i przyniosła kubki. Wtedy to zrobiła.

— Powiedziałaś, że zasunęła zasłony i zgasiła światło.

— Tak. — Balengerowi zrobiło się nagle niedobrze. — Żeby profesor... Murdock... Tak się nazywał. Żeby profesor Murdock mógł wygłosić wykład i wyświetlić slajdy na ekranie. Po jakimś czasie ludzie zaczęli wychodzić. Na sali zrobiło się ciemniej.

— Dlaczego ciągle pocierasz lewe przedramię? — zapytał Cochran.

— Swędzi mnie. — Balenger zdjął sportową marynarkę i podwinął rękaw. Ręka w łokciu była spuchnięta i zaczerwieniona. Miał ślad po nakłuciu.

— Wygląda na to, że ktoś dał ci zastrzyk — powiedział Cochran. — Kolejny narkotyk, żebyś się nie ocknął, kiedy przewozili cię do Asbury Park.

Balenger przeszkukał drżącymi rękoma kieszenie.

— Mam przy sobie portfel. Mam zegarek. To nie był rozbój.

— Masz komórkę?

— Nie zabrałem jej. Amanda jest właściwie jedyną osobą, do której dzwonię. Ponieważ pojechała tam ze mną, nie widziałem potrzeby, żeby...

Cochran pchnął w jego stronę stojący na biurku telefon.

— Czy ona ma swoją komórkę?

Balenger wystukał numer i ściskając w spoconej dłoni słuchawkę, przytknął ją do ucha.

— Abonent czasowo niedostępny — oświadczył po trzech sygnałach głos automatu.

Nagranie było dość głośne, by usłyszał je Cochran.

— Zadzwoń do domu — poradził Balengerowi. — Może czeka tam na ciebie i martwi się, gdzie jesteś.

— Po co ktoś miałby nam podawać narkotyki, po czym wywieźć mnie do Asbury Park i zabrać Amandę do naszego mieszkania? To nie miałoby sensu.

— Na razie nic z tego, co się stało, nie ma sensu. Zadzwoń do domu — powtórzył Cochran.

Balenger wystukał kolejny numer. Słuchawka ślizgała się w jego spoconej dłoni.

— Halo — odezwała się Amanda po czterech dzwoneczkach. Dzięki Bogu, pomyślał. A potem nagle upadł na duchu, uświadomiwszy sobie, że to nagrany komunikat.

— Po usłyszeniu sygnału zostaw wiadomość — poprosił głos Amandy.

Balenger zmobilizował wszystkie siły, żeby się odezwać.

— Nie wiem, co się stało — powiedział. — Jeżeli odśłuchasz tę wiadomość, zadzwoń na policję w Asbury Park. Poproś szefa Cochran — dodał i podyktował numer telefonu.

— W takim razie... musimy sprawdzić, co ma do powiedzenia nowojorska policja — stwierdził Cochran, dając znak, żeby przesunął telefon z powrotem w jego stronę.

—

# 11

Kiedy Cochran skręcił we Wschodnią Dziewiętnastą, Balenger miał wrażenie, że żelazna obręcz zaciska się na jego głowie. Nierozproszone przez spaliny poranne światło było tak ostre, że rozboleły go oczy. Zerknąwszy na zegarek, zobaczył, że jest jedenaście po ósmej. Niedzielny ranek.

— Środkowy dom przy następnej przecznicy — poinformował Cochran.

Przed budynkiem zobaczył trzydziestoletniego wysokiego Latynosa w sportowej marynarce i krawacie. Obok niego stała niezwykle szczupła kobieta w eleganckim kostiumie. Miała platynowe włosy i ostry makijaż utrudniający dokładne określenie jej wieku.

Cochranowi udało się zaparkować przy końcu przecznicy. Balenger popędził z powrotem w stronę budynku.

— Szef Cochran? — zapytał Latynos.

— To ja — odparł Cochran, doganiając Balengera.

— Detektyw Ortega. — Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. — A to jest Joan Dandridge.

— Frank Balenger. Wczoraj nie było tego ogłoszenia. — Coraz bardziej zaniepokojony Balenger wskazał drzwi, na których wisiała tabliczka NA SPRZEDAŻ. Pod spodem był

napis AGENCJA NIERUCHOMOŚCI KNICKERBOCKER i numer telefonu.

— To moja firma — wyjaśniła Joan, po czym rzuciła na chodnik peta i przydeptała go.

Balenger wbił wzrok w puste miejsce nad drzwiami.

— Tam na górze była mosiężna tablica — oznajmił.

— Co takiego?

— Nad drzwiami. Z napisem MANHATTAŃSKI KLUB HISTORYCZNY.

Joan weszła po schodkach, wyjęła z torebki okulary i przyrzęła się cegłom nad wejściem.

— Mój Boże, widzę dziury tam, gdzie przymocowano tablicę. Obiecał, że nie zniszczy budynku.

— Kto obiecał? — zapytał Cochran.

— Właściciel kupił ten dom w celach spekulacyjnych i za dużo za niego chce — poskarżyła się agentka. — Powtarzam mu, że boom się skończył i cena jest za wysoka. Więc kiedy dostałam telefon od kogoś, kto chciał wynająć dom na jeden dzień, przekonałam właściciela, żeby się zgodził. Wynegocjowałam bardzo korzystną opłatę.

Balenger był kompletnie zbity z tropu.

— Wynajęła pani budynek?

— Na przyjęcie. Facet powiedział, że mieszkał tutaj jako dziecko do czasu, gdy rodzice sprzedali dom w latach osiemdziesiątych. Przejeżdżał tędy przypadkiem, zobaczył, że można go kupić, i postanowił urządzić przyjęcie urodzinowe dla ojca, który zawsze żałował sprzedaży domu. „Po co wynajmować nieruchomość na jeden dzień?”, powiedziałam mu żartem. „Niech pan przekona ojca, żeby ją odkupił”. Facet tylko się roześmiał. „Nostalgia nie jest warta czterech milionów”, odparł.

— Jak wyglądał? — zapytał szybko Balenger. — Chudy? Z siwymi włosami i wąsami?

— W ogóle go nie widziałam.

— W ogóle go pani...?

— Załatwiliśmy wszystko przez telefon. Umowę przesłałam e-mailem. Facet był wypłacalny. Dostałam kaucję i prowizję od opłaty za wynajem. To było dla mnie najważniejsze. Sprawdziłam, kto był właścicielem nieruchomości w latach osiemdziesiątych. Człowiek, który podpisał umowę, nazywa się Philip Evans. To samo nazwisko. Jeżeli o mnie chodzi, wszystko odbyło się zgodnie z przepisami. — Kobieta wyciągnęła z torebki klucz i ponownie przyjrzała się dziurom nad drzwiami. — Mój Boże, to zabytkowa kamienica. Kaucja może nie wystarczyć na pokrycie kosztów naprawy. Ciekawe, co jeszcze zniszczyli?

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Balenger, Cochran i detektyw Ortega ruszyli za nią. Hol wejściowy był pusty.

— Stała tutaj sztaluga — powiedział Balenger. — Oparta była o nią plansza z fotografią profesora.

Ruszyli korytarzem. Ze ścian zostały zdjęte wszystkie stare zdjęcia Gramercy Parku. Balenger wskazał drzwi po prawej stronie.

— Wykład odbył się tutaj.

Joan wprowadziła ich do długiej wąskiej sali. Składane krzesła znikły, podobnie jak fotografie, zasłony, mównica, ekran i stół, na którym była kawa, herbata i kanapki.

Joan pociągnęła nosem.

— Czuję zapach ryby.

— Sałatka z tuńczyka.

Balengerowi znowu zrobiło się niedobrze. Ale nawet zapach ryby nie tłumił odoru starzyzny. Detektyw Ortega otworzył drzwi do pokoiku na zapleczu.

— Nic tu nie ma.

— Nie zniszczyli przynajmniej niczego w środku — ucieszyła się Joan.

Balenger wsłuchiwał się przez chwilę w panującą w budynku ciszę.



— Amanda! — zawołał.

Usłyszał tylko echo. Nikt nie odpowiedział.

Pocierając obolałe skronie, wyszedł z powrotem na korytarz. Zerknął w górę schodów. Pokrywający je ciemny chodnik ginał w mroku.

— Amanda!

Nadal żadnej odpowiedzi.

Wspiął się na górę po skrzypiących stopniach.

— Idę z tobą — powiedział Cochran.

— Czy może pani zaczekać na dworze, pani Dandridge? — zapytał Ortega.

— Na dworze? Po co miałabym... — Na twarzy agentki zdziwienie ustąpiło nagle miejsca zrozumieniu. — Racja. Muszę wykonać kilka telefonów.

Kiedy otworzyła frontowe drzwi, do środka wpadło trochę słonecznego światła. Po chwili mężczyźni ponownie znaleźli się w półmroku.

— Lepiej będzie, jeśli ja pójde pierwszy, panie Balenger — powiedział Ortega, kiedy dogonił go na schodach.

— Wiem, jak się zachować. Byłem kiedyś policjantem.

— Jest pan uzbrojony?

— Nie.

— A pan Cochran?

— Jestem tutaj nieoficjalnie. Zostawiłem broń w samochodzie.

— W takim razie pójde przodem.

U szczytu schodów Ortega zajrzał do pogrążonego w mroku pokoju i ruszył dalej korytarzem, natomiast Balenger wszedł do środka. Na dywanie widać było wgniecenia w miejscach, gdzie stały krzesła, łóżko i toaleta. Drzwi szafy były otwarte, na drążku wisiały wieszaki. W drugim pokoju były dwa puste kartony do przeprowadzek. Na następnym piętrze znaleźli wyłącznie kolejne wieszaki i skrawek folii bąbelkowej.

Ortega otworzył ostatnie drzwi.

— Strych.

Przez chwilę mężczyźni stali bez ruchu, a potem wspięli się po wąskich schodkach, które skrzypiały jeszcze głośniejsze niż te na niższych piętrach. Balenger szedł za Ortegą, a za sobą słyszał kroki Cochran, w nosie kręciło od kurzu.

Przez brudne okna wpadało do środka przyćmione światło. Pochyły sufit był tak niski, że Balenger musiał pochylić głowę. Przyjrzał się nierównej sosnowej podłodze i rozdartej macie do ćwiczeń.

— Dawno temu były tu chyba pomieszczenia dla służby — stwierdził.

— Przypomina to jaskinię — powiedział Ortega. — Dzieci musiały tu mieć świetną zabawę.

— Co to jest? — zapytał Cochran, wskazując ręką róg strychu.

— Chyba pudełka na płyty CD — odparł Balenger.

Ortegą wyjął z kieszeni marynarki lateksowe rękawiczki, włożył je i podniósł pudełka z podłogi.

— To nie płyty. To gry komputerowe. Nigdy nie słyszałem o pierwszej, ale druga to „Grand Theft Auto”. Grają w nią moje dzieciaki. Kazałem im przestać. Trudno, żeby dzieci gliniarza bawiły się grą, w której kradnie się samochody i bije prostytutki. Ale jestem pewien, że robią to za moimi plecami. — Ortegą otworzył pudełka. — Nic dziwnego, że je zostawili. Brakuje płyt.

Balenger potarł lewe przedramię, które wciąż dotkliwie go bolało. Luźne uwagi Ortegi wcale nie pomogły mu się odprężyć.

— Nie skończyliśmy jeszcze szukać — mruknął.

— Wiem — odparł Ortega. — Zawsze jest jakaś piwnica.

—

## 12

Kiedy Balenger schodził na dół, ścisnęło go w piersi tak mocno, że nie mógł zaczerpnąć tchu. Ze wszystkich stron otaczała go wilgoć. Piwnica była jednym długim, słabo oświetlonym pomieszczeniem z ceglаныmi ścianami. Pod sufitem biegly pokryte pajęczyną rury. Betonowa podłoga była popękana, piec pokryty kurzem. Termę zżerała rdza.

— Cztery miliony dolarów za tę rudere? — mruknął Cochran. — Powinno się ją wyburzyć.

Żadne komentarze nie zmieniały jednak faktu, że nigdzie nie było śladu po Amandzie.

— Kiedy ostatnio dzwonił pan do domu? — zapytał Ortega.

— Pan Cochran najpierw mnie tam zawiózł. Wziąłem to. — Balenger wyjął zdjęcie z kieszeni marynarki. Zabrał je z pudełka na buty, które Amanda trzymała w szafie. Na fotografii bawiła się z irlandzkim seterem swego ojca w ogródku rodziców w Connecticut.

Ortega przyjrzał się zdjęciu.

— Ile ma wzrostu? — zapytał.

— Pięć stóp i sześć cali. Waży sto dwadzieścia pięć funtów...

Balengerowi głos uwiązł w gardle. Kiedy ją uratował, była

straszliwie wychudzona. Długo zachęcał ją do jedzenia, chcąc, by wróciła do normalnej wagi.

Ortega pokiwał głową.

— Jakiego koloru ma oczy? Trudno poznać na tym zdjęciu.

— Jasnoniebieskie. Przejrzyste.

— Włosy? Można powiedzieć, że są koloru słomy?

Balenger pokiwał głową, spoglądając czule na rozjaśnioną uśmiechem twarz i starając się trzymać na wodzy emocje. Włosy do ramion. Śliczny podbródek i zaokrąglone kości policzkowe. Pamiętał, że po zaginięciu żony odbył tak samo bolesną rozmowę z detektywem.

— Muszę panu coś powiedzieć — zwrócił się do Ortegi.

— Tak?

— Już raz to przeżyłem.

— Nie rozumiem.

— Moja żona również zginęła.

Mimo przyćmionego światła widać było, że Ortega zmarszczył czoło.

— Była podobna do Amandy. — Wilgotne powietrze sprawiło, że Balengera przeszedł zimny dreszcz. — Cochran opowiedział panu przez telefon o hotelu Paragon.

Ortega pokiwał z powagą głową.

— Odnalazłem w tym hotelu żonę. Martwą. — Wspominając tę chwilę, Balenger poczuł, jak drętwieją mu stopy i dłonie. Przyspieszony oddech sprawił, że zakręciło mu się w głowie. — Znalazłem tam również Amandę.

Ortega przyjrzał mu się jeszcze uważniej.

— Fizyczne podobieństwo nie jest przypadkowe — kontynuował Balenger, nie potrafiąc zapanować nad potokiem słów, który coraz szybciej płynął z jego ust. — Wiemy, kto porwał moją żonę. Ten sam człowiek porwał rok temu Amandę. Miał obsesję na punkcie blondynek z niebieskimi oczyma. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałbym, że to jego sprawka. Ale widziałem, jak Amanda zatłukła go na

śmierć deską. Kiedy deska się złamała, wbiła mu ostry koniec w serce. Facet nadal odwiedza mnie w koszmarach. Lecz nie mógł tego zrobić — dodał Balenger, spoglądając na Cochraną z rozpaczą w oczach.

— Może się teraz najwyżej komuś przyśnić — zapewnił go policjant. — Widziałem jego zwłoki na plaży. Widziałem je w kostnicy. Rozmawiałem z człowiekiem, który patrzył, jak je kremowano.

— Więc co za sukinyś chce, żebym przeżył to jeszcze raz?

—

**POZIOM DRUGI**  
**WITAJCIE**  
**W „ŁOWCY**

# 1

— Przed rozpoczęciem uroczystości ktoś skradł kapsułę z niestrzeżonej przez nikogo furgonetki... — brzęczał czyjś głos.

Amanda miała wrażenie, że wypływa z głębi morza.

— Druga najbardziej poszukiwana kapsuła czasu znajduje się na terenie Massachusetts Institute of Technology.

Amanda wynurzyła się na powierzchnię.

— W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym inżynierowie MIT włożyli różne objekty do pojemnika i umieścili go pod magnesem wielkiego cyklotronu, który budowali. Cyklotron został w końcu wyłączony, lecz o kapsule czasu zapomniano na ponad pięćdziesiąt lat.

Otworzyła oczy.

— Równie dobrze można było o niej zapomnieć na zawsze. Poza zburzeniem budynku nie ma żadnego sposobu...

Amanda odkryła, że leży na łóżku.

— ...żeby wydobyć kapsułę spod ważącej osiemnaście ton osłony.

Była półprzytomna i zbierało się jej na wymioty. Łupało ją w skroniach, ale w zupełnie innym rytmie niż ten, który wyznaczało przyspieszone bicie serca.

— Trzecia była Kapsuła MASH.

Amanda usiadła na łóżku. Gdzie jest Frank? Tłumiąc jęk, omiotła wzrokiem pokój. Belkowany sufit, kamienny kominek, ściany z bali, drewniana podłoga. Wpadające przez okno słońce raziło ją w oczy. W oddali widziała przysypane śniegiem wysokie góry. Bała się, że postradała zmysły.

— W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim aktorzy grający w popularnym serialu telewizyjnym MASH umieścili w kapsule czasu kostiumy, rekwizyty oraz inne przedmioty związane z serialem i zakopali ją w sekrecie na terenie studia Twentieth Century Fox...

Męski głos dochodził zewsząd.

— Studio zmieniło się jednak w ostatnich latach tak gwałtownie, że teraz nikt nie potrafi zlokalizować kapsuły. Najprawdopodobniej leży ona pod hotelem zbudowanym na działce, która niegdyś należała do wytwórni.

Amanda wstała z łóżka. Zdała sobie sprawę, że głos dobiega z głośników ukrytych w suficie i ścianach.

— Czwarta kapsuła to Kamień Węgielny George'a Washingtona. Podczas masońskiej ceremonii w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim George Washington nadzorował umieszczenie kapsuły czasu w fundamentach oryginalnego budynku Kapitolu.

Amanda przyjrzała się swojemu ubraniu. Miała na sobie te same co wcześniej dżinsy, białą bluzkę i szary blezer. Starła się zebrać myśli. W końcu uznała, że przez jakiś czas musiała być nieprzytomna. Ponieważ nie potrzebowała skorzystać z toalety, podany narkotyk musiał być podobny do tabletki gwałtu i umożliwiał wykonywanie poleceń. Ktoś musiał ją zanieść do łazienki, ściągnął majtki i kazał jej się załatwić.

— Kapitol tak bardzo się rozrósł od tamtego czasu, że nigdy nie odnaleziono pierwszego kamienia węgielnego i schowanej w nim kapsuły czasu.

Dygotały jej ręce i nogi. Czuła chłód w żołądku. Była podobnie rozbita jak przed rokiem, gdy po odzyskaniu przy-



tomności uświadomiła sobie, że przebywa w hotelu Paragon. Znowu, pomyślała. Mój Boże, to dzieje się znowu.

— Piąta jest Kapsuła Gramophon Company. W roku tysiąc dziewięćset siódmym w hrabstwie Middlesex w Anglii firma Gramophon umieściła w fundamentach nowej fabryki kapsułę czasu z nagranyymi płytami.

Głos był dźwięczny, lecz Amanda nie potrafiła go połączyć z żadną twarzą. Słowa wydawały się jej jednocześnie znajome i obce. Mimo mętliku w głowie domyśliła się, że słucha dalszego ciągu wykładu, który profesor Murdock wygłosił w Manhattańskim Klubie Historycznym. Ale głos nie należał do profesora.

— Nagrano między innymi kilka ówczesnych gwiazd operowych. Sześćdziesiąt lat później budynek zburzono, wydobyto kapsułę i wyjęto z niej nagrania. Zanim jednak zostały publicznie odtworzone, ktoś je ukradł i głosy dawnych gwiazd zostały bezpowrotnie utracone.

Amanda starała się wolniej oddychać. Gdzie jesteś, Frank? — pomyślała. Ruszyła w stronę drzwi i jęknęła cicho, gdy głos odezwał się ponownie.

— Z tysięcy kapsuł czasu, które zaginęły...  
Amanda miała ochotę głośno wrzasnąć.

— ...najusilniej poszukuje się sześciu. Dzisiaj jednak omówimy tylko pięć.

Nagle zdała sobie sprawę, że głos jest odtwarzany z taśmy. Kiedy była nieprzytomna, musieli puszczać w kółko to samo. Dlatego treść wykładu wydawała się jej znana, choć nie pamiętała, by go słuchała.

— Pierwszą jest Kapsuła Pociągu Dwóchsetlecia...  
Trafiłam do piekła, pomyślała.

Podbiegła do drzwi i nacisnęła klamkę. Bała się, że nie zdoła ich otworzyć.

— W Dzień Niepodległości w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym...

Klamka ustąpiła. Z walącym sercem otworzyła drzwi.

— ...kapsułę, w której było dwadzieścia dwa miliony podpisów, przewieziono do Valley Forge w Pensylwanii.

Ściany korytarza były zbudowane z bali. Zerkając w prawo i w lewo, Amanda zobaczyła inne drzwi i obrazki przedstawiające kowbojów.

— Prezydent Ford miał wziąć udział w uroczystości...  
Amanda wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

Nadal słyszała stłumione nagranie.

— ...upamiętniającej amerykańską wojnę o niepodległość...  
Podłogę pokrywał chodnik. Po prawej stronie korytarz kończył się ślełą ścianą. Starając się nie robić hałasu, ruszyła w lewo. Zza mijanych przez nią drzwi dobiegał niewyraźny głos.

— Ale przed rozpoczęciem uroczystości ktoś skradł kapsułę z niestrzeżonej przez nikogo furgonetki.

## 2

Schody. Zapach świeżego drewna i lakieru wskazywał, że budynek jest nowy. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła duży hol i drzwi wejściowe z oknami po obu stronach.

Zbiegła szybko po stopniach. Tu także na ścianach wisały obrazki przedstawiające kowbojów.

Złapała za klamkę.

Potężny ładunek elektryczności odrzucił ją do tyłu. Zrobiło się jej ciemno przed oczyma. Ocknęła się po uderzeniu głową o podłogę. Jęcząc z bólu, z trudem otworzyła oczy i próbowała coś zobaczyć.

— Jezu — odezwał się ktoś.

Odwróciła się w stronę głosu i ujrzała zbiegającego po schodach mężczyznę. W połowie dwudziestki. Krótkie ciemne włosy. Wymizerowana twarz. Kilkudniowy zarost na policzkach.

— Jesteś ranna? — zapytał, pomagając jej wstać.

— Obolała — odparła oszołomiona, chwiejąc się na nogach.

— Gdzie my jesteśmy?

— Nie mam pojęcia. — Amanda złapała oddech. W dłoni nadal odczuwała bolesne mrowienie. — Ale nie radzę dotykać tej klamki.

— Głos w moim pokoju... Ostatnią rzeczą, którą pamiętam... — Mężczyzna omiół przerażonym wzrokiem otaczające ich wnętrze. Próbował się skoncentrować. — Siedziałem w barze w St. Louis.

— Ja byłem na wykładzie na Manhattanie — powiedziała zdezorientowana Amanda. — Na temat kapsuła czasu.

— Kapsuła czasu? O tym samym było nagranie w moim pokoju. Co tu się, do diabła, dzieje?

— Wolę sobie tego nie wyobrażać.

— Musi być stąd jakieś wyjście.

Za łukowatym przejściem z prawej strony była jadalnia. Przy długim rustykalnym stole stały krzesła. Przez okna wpadały promienie słońca. Amanda zobaczyła przez nie zaśniewane góry. Poczowała, że oblewa ją pot. Zerknęła w stronę następnego przejścia i dostrzegła tam piecyk na drewno, lodówkę, kolejne okna oraz drzwi.

Mężczyzna podszedł szybkim krokiem do kuchennego wyjścia.

— Nie dotykaj klamki — ostrzegła Amanda. Podbiegła do zlewu, nabrała trochę wody w dłoń i chlusnęła na klamkę.

Z metalu poszły iskry.

— Musimy zakładać, że wszystkie drzwi są pod napięciem — stwierdziła, próbując opanować panikę.

Mężczyzna złapał krzesło.

— W takim razie wybiję okno.

Od strony jadalni padł na nich cień. Amanda odwróciła się przestraszona.

### 3

Wpatrywała się w nich jakaś kobieta. Mniej więcej trzydziestoletnia, nieco wyższa od Amandy, ubrana w ciemnożółte spodnie i brązową bluzkę, na szyi miała kosztowny naszyjnik, a na ręku zegarek, bransoletkę i kilka pierścionków. Sylwetka wskazywała, że ma obsesję na punkcie diety; kasztanowate włosy podpięła za uszami. Na jej twarzy, którą można było określić mianem atrakcyjnej, lecz nie pięknej, malowało się przerażenie.

— Co to za miejsce? — zapytała kategorycznym tonem.

Amanda bezradnie rozłożyła ręce.

— Nie wiemy.

— Jak tutaj trafiłam? Powiedzcie, kim jesteście.

— Ray Morgan.

— Amanda Evert.

— Kto nas uśpił? Byłam na koktajlu. Na wystawie łodzi w Newport Beach. I nagle znalazłam się w tym łóżku na górze. — Kobieta potrząsnęła głową. — Słyszałam to nagranie. Kapsuły czasu? To się nie trzyma... Kto to, do diabła, mógł zrobić?

— Nie będę czekał, żeby się tego dowiedzieć — oznajmił Ray.

Ręce nadal trzymał na oparciu krzesła. Nagle zamachnął się i cisnął nim w okno.

Amanda zasłoniła twarz przed okruchami szkła, ale zamiast brzęku tłuczonej szyby usłyszała trzask pękającego drewna. Raz. Drugi. Trzeci. Trzask był coraz głośniejszy. Ray sapnął ciężko. Kiedy walenie ucichło, Amanda opuściła ramiona i zobaczyła, że krzesło ma złamaną nogę. Szyba była nieknięta.

— To hartowane szkło. — Ray podszedł bliżej i zbadał szybę. — Prawie tak samo grube jak owiewka kabiny.

— Owiewka kabiny? — Porównanie zdziwiło Amandę.

— Latałem w Iraku.

Wzmianka o Iraku wywołała u niej nowy spazm lęku. Tym razem nie myślała o sobie, choć robiło się jej niedobrze ze strachu. Przypomniła sobie, co przeżył Frank w Iraku. Frank. Była pewna, że jemu też podano narkotyki. W przeciwnym razie nie straciłby przytomności i nie pozwolił, żeby coś jej się stało. Gdzie on był? Dlaczego ich rozdzielono?

— Nie powiedziałaś, jak się nazywałeś — zwrócił się Ray do nowo przybyłej.

— Bethany Lane. — Kobieta zerknęła na swoją bransoletkę i zegarek. — Nie wiem, o co tutaj chodzi, ale raczej nie chcę nas ograbić.

— Wcale mnie to nie pociesza — stwierdził Ray.

W przejściu za kobietą pojawiły się dwie kolejne postaci. Amanda zastygła w bezruchu.

— Spokojnie — oznajmił mężczyzna, podnosząc dłonie, żeby pokazać, że nie ma złych zamiarów. — Słyszałem, co mówiliście. Nie wiemy więcej od was.

— I jesteście tak samo przerażeni — dodała towarzysząca mu kobieta.

Mężczyzna był czarnoskóry. Miał dwadzieścia kilka lat, ciemne włosy i szczupłą, lecz silną budowę ciała. Kobieta była w podobnym wieku, ale miała białą skórę i krótkie brązowe włosy. Choć szczupła, sprawiała wrażenie silnej. Oboje byli atrakcyjni i najwyraźniej wysportowani. Nosili spodnie

khaki z licznymi dodatkowymi kieszeniami. Typowe turystyczne ubranie.

— Derrick Montgomery — przedstawił się mężczyzna.

— Viv Montgomery — powiedziała kobieta. Miała na palcu obrączkę. — Ostatnie, co pamiętam, to herbata, którą przed pójściem spać piliśmy przed naszym namiotem.

— W Oregonie — dodał Derrick. — Ale to nie jest Oregon. Wygląda mi bardziej na Colorado, Utah albo Wyoming.

— Cofnijcie się. — Ray złapał kolejne krzesło, ruszył do holu wejściowego i walnął nim w okno po lewej stronie drzwi.

Zrobił to kilka razy, sapiąc z wysiłku. Szyba wibrowała od uderzeń. Noga odłamała się od krzesła i upadła na podłogę.

— Sukinsyn — mruknął Ray.

Derrick wyciągnął rękę, by nacisnąć klamkę.

— Uważaj! — ostrzegła go Amanda. — Jest pod na pięciem.

Derrick cofnął dłoń.

— Trzeba znaleźć korki, żeby wyłączyć prąd — powiedziała Bethany.

— Podoba mi się twój tok myślenia — stwierdził Ray i ruszył z powrotem do kuchni.

— Nie powinniśmy się rozdzielać — rzekła Amanda. Pobiegli w ślad za Rayem i zobaczyli, że wpatruje się w klapę w podłodze.

Amanda ponownie podeszła do zlewu, połała wodą palce i strząsnęła kilka kropli na uchwyt klapy. Z metalu strzeliły iskry.

— Mam pomysł — powiedziała Viv do Amandy. — Sprawdź uchwyty drzwiczek pod zlewem.

Amanda spryskała je wodą, nie bardzo wiedząc, w jakim celu.

— Nie ma iskiek!

Viv otworzyła drzwiczki i zajrzała pod zlew. Odsunęła na bok szczotkę z długą rączką, butelkę z płynem do zmywania

naczyń oraz paczkę druciaków i wyjęła parę długich żółtych rękawic, jakich używa się przy zmywaniu.

Amanda zdała sobie sprawę, że rękawice są z gumy.

Viv włożyła je, minęła kłapę i od razu podeszła do kuchennych drzwi. Zawahała się, lecz po chwili raz i drugi dotknęła klamki ręką w gumowej rękawicy. Nic się nie wydarzyło.

— Wychodzimy stąd — powiedziała, ale kiedy próbowała nacisnąć klamkę, ta w ogóle się nie poruszyła.

— Nie ma dziurki od klucza — stwierdziła Bethany. — Drzwi muszą mieć elektroniczny zamek.

— A więc wracamy do kłapy w podłodze i skrzynki z korbami — podsumował Ray.

Viv uniosła kłapę dłonią w rękawicy i wszyscy zajrzeli w głąb mrocznego włazu.

— Nie ma kontaktu — powiedziała Amanda, po czym odwróciła się do szafki obok zlewozmywaka i skropiła wodą uchwyty szuflad. Nie było iskier, więc otworzyła je.

W jednej z nich był młotek, śrubokręt, klucz francuski i latarka.

Derrick oświetlił latarką właz. Zobaczyli krótką drewnianą drabinkę i gliniane klepisko.

— Za płytko, żeby to uznać za piwnicę — stwierdził Ray.

— Trzeba tam chodzić na czworakach — dodała Bethany. — Są jacyś ochotnicy?

Nikt się nie odezwał.

— Ja mogę zejść, do diabła. — Ray przykucnął. — Zrobię wszystko, żeby się stąd wydostać. Dajcie mi latarkę.

— Zaczekaj — ostrzegła go Amanda.

— O co chodzi?

Amanda ukucnęła obok niego i przyjrzała się uważnie drabince.

— Przyświeć tutaj.

W snopie światła ukazał się przewód podłączony do szczebla. Drabinka była obita blachą.



— Zmiana planu — oznajmiła Viv. — Wracamy do drzwi. W gumowych rękawiczkach mogę użyć młotka i śrubokrętu, żeby zdemontować zawiasy.

— Znakomicie — powiedział ktoś, lecz nie było to żadne z nich.

— Kto...? — mruknął Derrick, zadzierając głowę.

— Naprawdę jestem pod wrażeniem — dodał głos dobiegający z sufitu.

—

## 4

Amandzie szybciej zabiło serce.

— Jezu — jęknął Ray.

Wszyscy cofnęli się pod ścianę i wbili wzrok w sufit.

— Nie spodziewałem się, że tak szybko zademonstrujecie swoje talenty.

Głos należał do mężczyzny, był głęboki i dźwięczny niczym u telewizyjnego prezentera. Amanda słyszała go już wcześniej. Ten sam głos wygłaszał nagrany na taśmie tekst wykładu.

— W suficie jest zamontowany głośnik — powiedziała Bethany.

— Ale skąd wiedział, co teraz... — Ray omiótł spojrzeniem pokój i zmrużył oczy. — Kamery. Są małe, ale kiedy się wie, jak wyglądają...

Amanda wyteńczyła wzrok i zobaczyła malutkie urządzenia w każdym rogu, tuż pod sufitem. Przeszła do jadalni i spojrzała w górę.

— Tu też są kamery. Cały dom musi być nimi naszpikowany — oznajmiła.

— Witajcie w „Łowcy” — oznajmił z namaszczaniem głos.

— W „Łowcy”? — zdziwił się Derrick. — Co to ma znaczyć?

— Proszę, przejdźcie do jadalni i rozsiądźcie się wygodnie. Zaraz wszystko wyjaśnię.

— Mam to gdzieś — warknęła Viv.

Wciąż miała na rękach gumowe rękawice. Wyjęła młotek i śrubokręt z szuflady, wbiła ostrze śrubokręta pod sworzeń zawiasu kuchennych drzwi i walnęła młotkiem w rączkę. Sworzeń odskoczył.

— Proszę, przejdźcie do jadalni — powtórzył głos. Viv odbiła drugi sworzeń i zabrała się do trzeciego.

— To nic wam nie da. Macie tylko czterdzieści godzin — powiedział głos. — Nie trać czasu, Vivian.

— Mam na imię Viv. Nikt nie mówi do mnie „Vivian”! Nienawidzę tego!

— Odsuń się od drzwi.

— Lepiej go posłuchajmy — mruknęła Amanda.

— Ona ma rację, Vivian — stwierdził głos.

— Przestań do mnie mówić „Vivian”!

— Posłuchaj go. Mam złe przeczucia — powiedziała Amanda.

— Jeżeli odłupiesz trzeci sworzeń i spróbujesz wyważyć drzwi... — podjął głos.

— No? Co się stanie, jeśli to zrobię? — zapytała Viv.

— Budynek wyleci w powietrze.

— Nie wierzę ci.

Głos nie odpowiedział.

— Kłamiesz! — krzyknęła Viv.

Cisza trwała nadal.

— Właściwie dlaczego nie mielibyśmy wejść do jadalni? — mruknął Ray.

Viv z wściekłością wpatrywała się w sufit. Derrick podszedł i dotknął jej ramienia. Jej wzrok złagodniał tylko trochę.

— Nie zaszkodzi wysłuchać tego, co chce nam powiedzieć — stwierdził. — Jeżeli uznamy, że nie mamy innego wyboru, spróbujemy wyważyć drzwi później.

— Och, zaręczam wam, że będziecie mieli wybór — odezwał się głos, przerywając milczenie.

—

## 5

Ostrożnie weszli do jadalni i usiedli przy długim stole. Nerwowo popatrywali na siebie i na sufit. Ray wyjął z kieszeni zapalniczkę Zippo, po czym zaczął otwierać i zamykać jej chromowane wieczko.

— Czy ktoś ma papierosa? — zapytał.

Amanda i pozostali pokręcili głowami.

— Liczyłem na zbyt wiele — mruknął.

— Pozwólcie, że opowiem wam o Raymondzie Morganie — oznajmił głos.

Ray przestał się bawić zapalniczką.

— Były porucznik. Pilot korpusu piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych.

Pozostali przyjrżeli się Rayowi z ciekawością.

— Raymond jest bohaterem.

— Nie — zaprzeczył Ray.

— Jego historia była szeroko relacjonowana przez media — kontynuował głos. — Odbywał rekonesansowy lot, kiedy w jego samolot trafiła odpalona z ręcznej wyrzutni rakietą. Działo się to w odległym górzystym rejonie Iraku, opanowanym przez rebeliantów.

Wzmianka o Iraku ponownie przypomniała Amandzie, ile

wycierpiał tam Frank. Co się z nim działo? Modliła się, żeby żył.

— Rakieta trafiła w samolot o zmierzchu. W zapadającym zmroku Raymond katapultował się z płonącego samolotu i otworzył spadochron. To miało swoje dobre i złe strony. Zmierzch utrudniał rebeliantom celowanie, ale nie pozwolił również Raymondowi przyjrzeć się dobrze, gdzie ląduje. Jak się okazało, spadł na kamieniste zbocze i zsuwając się po nim, poważnie się potłukł, a także skrzył lewą kostkę. Mimo dotkliwego bólu zaczął uciekać z miejsca, w którym widzieli go rebelianci. Kuśtykał przez całą noc, starając się robić jak najmniej hałasu. Tuż przed świtem położył się wśród skał i przykrył kamieniami. Przez cały dzień nie ruszał się z miejsca, nie bacząc na słońce, które przypiekało okoliczne skały. Po docierających do niego odgłosach zorientował się, że rebelianci zbliżyli się na odległość pięćdziesięciu stóp. Dopóki na niego polowali, Raymond nie ośmielił się włączyć elektronicznego urządzenia namierzającego, które wysłałoby sygnał do szukających go helikopterów. To nie tylko zwabiłoby helikoptery w pułapkę, lecz również doprowadziło rebeliantów, którzy mieli własne odbiorniki, do samego Raymonda. Tak zaczęła się zabawa w chowanego, w trakcie której biegał każdej nocy po górach i krył się pod kamieniami w ciągu dnia. Oszczędzał jak najdłużej swoje racje żywnościowe. Potem jadł robaki. Po opróżnieniu manierki pił wodę z nielicznych sadzawek, które udało mu się znaleźć. Dostał od niej gorączki, ale się nie poddawał. Dzięki determinacji, pomysłowości, dyscyplinie i samodzielności przetrwał dziesięć dni i w końcu zdołał zmylić szukających go rebeliantów. Amerykańskie źródła wywiadowcze ustaliły później, że Irakijczycy doszli do wniosku, iż zginął, ponieważ nikt nie zdołałby przetrwać tak długo. Dopiero po dotarciu w rejon, gdzie mógł bezpiecznie wezwać helikopter, uruchomił swój nadajnik. Stracił trzydzieści funtów i otrzymał

Srebrną Gwiazdę. To było trzy lata temu. Raymond jest teraz pilotem w regionalnej służbie lotniczej w Missouri.

Ray zerknął z zakłopotaniem na zapalniczkę i zatrzasnął wieczko.

— Żaden ze mnie bohater. Moi kumple zostali zestrzeleni i zginęli. To byli bohaterzy.

## 6

— Bethany Lane — powiedział głos.  
Bethany się skrzywiła.

— Twoja przygoda również była szeroko relacjonowana przez media. Wraz ze swoim byłym mężem Bethany sprzedaje luksusowe łodzie. Jej firma mieści się w Newport Beach, gdzie ma wielu klientów wśród znajomych. Rok temu po prośbieniu ją, by wzięła udział w rejsie na Bali. Były mąż zachęcał ją, żeby wykorzystwała zaległy urlop. Czwartego dnia rejsu rozpuł się tak silny sztorm, że łódź przewróciła się do góry dnem. Ocalały tylko Bethany i dwunastoletnia dziewczynka. Unosząc się na wodzie w nadmuchiwanym kamizelkach ratunkowych, trzymały się burty gumowego pontonu do chwili, gdy morze uspokoiło się na tyle, że mogły wpełznąć do środka. Poza kamizelkami miały na sobie przeciwdeszczowe ubrania. Bethany wyłowila z wody szczątki łodzi i zrobiła z nich prowizoryczną osłonę przed słońcem. Nie miała pojęcia, gdzie się znajdują, wiedziała jednak, że na zachodzie przeważają otwarte wody, natomiast żeglując na wschód, powinny dopłynąć do wybrzeża Stanów albo Meksyku. Problem polegał na tym, żeby tam dotrzeć. Bethany zrobiła ze swojej peleryny żagiel, a z kolejnych szczątków łodzi prowizoryczny ster. Przy przeciwnym wietrze wiosło-



wała. Powiedz swoim nowym znajomym, jak dzieliłaś jedzenie. Bethany zaczerwieniła się ze wstydu.

— Nie bądź taka skromna — powiedział głos. — Pora, żeby wszyscy się lepiej poznali. Opowiedz im o racjach żywnościowych.

— No cóż...

— Powiedz im — powtórzył z naciskiem głos. — Zrób to.

— Nigdy nie lubiłam się objadać.

— To mało powiedziane. Jesteś anorektyczką.

Bethany z trudem kryła irytację.

— Żadnych sekretów — zaznaczył głos.

— No dobrze — warknęła. — Jestem anorektyczką. I co z tego? W dzieciństwie byłam gruba. Ludzie śmiali się ze mnie, a matka stale mi dokuczała z powodu mojej wagi. Robi mi się niedobrze na widok jedzenia. Nie ma co się przejmować, powiedziałam sobie w tym cholernym pontonie. I tak normalnie prawie nic nie jem. Podzieliłam całą żywność na dzienne porcje i większość dawałam tej dziewczynce. Jadłam tylko wtedy, kiedy bardzo kręciło mi się w głowie.

— A teraz opowiedz im o wodzie.

Bethany wbiła wzrok we własne dłonie.

— Nie bądź taka skromna.

Bethany nadal milczała.

— No dobrze — oznajmił głos. — Ja będę czynił honory domu. Kiedy wyczerpały się skromne zapasy wody, w oczy zajrzało im coś o wiele gorszego niż głód. Człowiek może przeżyć trzy tygodnie bez jedzenia, ale tylko trzy dni bez wody. Bethany i dziewczynka miały oczywiście wokół siebie mnóstwo wody, lecz zawarta w niej sól w końcu by je zabiła. Mogły mieć tylko nadzieję, że zacznie padać deszcz, chociaż gdyby był zbyt ulewny, groziło im zatopienie. Nie musiały się jednak o to martwić. Nie spadła ani jedna kropla. Bez przerwy świeciło słońce. Bethany spuściła powietrze z kamizelki ratun-

kowej i zawiązała ją na głowie, żeby chronić się przed promieniami. Dziewczynka leżała pod rozpiętym żaglem. W końcu Bethany nie miała już sił wiosłować. Mogły polegać tylko na marnym żaglu. Po dwóch tygodniach dryfowania dostrzeżono je z pokładu kontenerowca płynącego do Los Angeles. Jak udało ci się tak długo przetrwać, Bethany? Jak rozwiązałaś problem wody?

— Wiesz o mnie chyba wszystko. Dlaczego sam im nie powiesz?

— Na pewno woleliby usłyszeć o tym od ciebie. Bethany przestała wpatrywać się w dłonie i zerknęła na grupę.

— Z peleryny dziewczynki zrobiłam coś w rodzaju miękkiego wiadra — powiedziała z wysiłkiem, jakby przeżywała wszystko od nowa. — Nalałam do niego morskiej wody. Potem przykryłam wiadro kamizelką ratunkową dziewczynki, z której spuściłam wcześniej powietrze. Szczelnie je owinęłam. Przytrzymałam brzegi rękoma. Boże, jak to bolało. Po całym dniu ręce mi się trzęsły i bałam się, że nie wytrzymam.

— Dlaczego szczelność była taka ważna?

— Nie chcę o tym mówić.

— Bo przyprawia cię to o koszmary? Ale wyrzucenie tego z siebie może pomóc. Potraktuj to jako terapię — powiedział głos.

— Za kogo ty się, do diabła, uważasz?

— Za kogoś, kto może was wypuścić z tego budynku. Dlaczego szczelność była taka ważna?

Bethany mruknęła coś.

— Powiedz tak, żeby cię usłyszeli, Bethany. Widzisz chyba, że są zaciekawieni.

— Parowanie.

— Tak?

Bethany westchnęła głośno.

— Ogrzewając pelerynę i kamizelkę, słońce sprawiało, że morska woda zaczynała parować. Para zbierała się na wewnętrznej stronie kamizelki. Czekałam bardzo długo. W końcu unosiłam kamizelkę. Pod spodem było na ogół dziesięć kropli wody. Musiałam ją delikatnie obrócić, żeby nie spłynęły. Rzecz w tym, że skroplona para nie ma w sobie soli. Dziewczynka i ja zlizywałyśmy na zmianę krople. Nadal czuję na języku szorstki materiał kamizelki. Nadal czuję tę gorzycz.

— Kto nauczył cię uzyskiwać w ten sposób słodką wodę?

— Nikt.

— Doszłaś do tego sama?

Bethany nie odpowiedziała.

— I robiłaś to dzień po dniu.

—

# 7

— Derrick i Vivian Montgomery. Przepraszam. Chciałem powiedzieć Viv. O nich też było głośno w mediach. Fakt, że on jest czarny, a ona biała, dodał smaczku całej historii.

Derrick wyraźnie się zjeżył.

— Należą do najlepszych wspinaczy na świecie. Tak się składa, że właśnie dzięki temu poznali się przed trzema laty podczas ekspedycji w Himalajach. Dziwne, że stało się to tak późno, ponieważ oboje urodzili się i dorastali w stanie Washington. Od dzieciństwa wspinali się w tych samych górach; nauczyli ich tego rodzice, którzy również byli zapalonymi wspinaczami. Słynni alpiniści mogą dużo zarobić, reklamując sprzęt, ucząc w szkołach przetrwania i pomagając organizować wyprawy bogatym poszukiwaczom przygód. Derrick i Viv byli świetnie znani w alpinistycznym świecie, jeszcze zanim dzięki zeszłorocznym wydarzeniom zyskali światową sławę, ale to z pewnością przyczyniło się do wzrostu ich dochodów.

— Może byś tak poszedł do wszystkich diabłów — mruknął Derrick.

— Przykład niesubordynacji nader typowy dla tego środowiska. Znakomicie. Byłbym rozczarowany, gdybyście okazali się zbyt pokorni. A odpowiadając na twoje pytanie, nie mogę pójść do wszystkich diabłów. Już jestem w piekle.

W jadalni zapadła cisza.

— Derricka i Viv wynajęto, żeby poprowadzili wyprawę na szczyt Mount Everestu — kontynuował głos. — Firma, która ją organizowała, pobrała sześćdziesiąt tysięcy dolarów od każdego uczestnika. Cena była konkurencyjna w stosunku do propozycji innych firm; obejmowała oczywiście spore wydatki, zwłaszcza na tragarzy, którzy muszą dźwigać dużą ilość zaopatrzenia. Uczestników było ośmiu. W trakcie tej wyprawy z pewnością dostali to, za co zapłacili. Dwa tygodnie zajmuje samo dotarcie do obozu bazowego. Pokonywanie drogi do kolejnych obozów jest coraz wolniejsze. Wysokość, wiatr, zimno. Everest ma ponad osiem tysięcy osiemset metrów. Kiedy dotarli na wysokość siedmiu tysięcy sześciuset, z ośmiu uczestników zostało tylko dwóch. Pozostali dali za wygraną i wrócili do bazy. Derrick i Viv towarzyszyli oczywiście pozostałym dwóm. Na tym polegała ich praca. Na wysokości siedmiu tysięcy dziewięciuset metrów rozpętała się burza... a potem zeszła lawina, która porwała amatorów. Derrickowi i Viv udało się ich odnaleźć i odkopać, ale obrażenia wspinaczy były zbyt poważne, by mogli zejść o własnych siłach. Krótkofalówki stracili w lawinie, więc nie można było wezwać pomocy z niższych obozów. Ranni potrzebowali lekarza. Heroiczne zmagania Derricka i Viv trwały dwanaście godzin. Każde z nich zajmowało się jednym rannym: spuszczała ich na linie, schodzili do nich po skalnej ścianie, ciągnęli po lodowej grani i ponownie spuszczała na linie. W pewnym momencie na tej przytępiącej zmąty wysokości Derrick znalazł w sobie dość sił, by dźwigać jednego z rannych trzydzieści stóp, które musiały mu się dłużyć niczym kilka mil. Kiedy dotarli do obozu, Derrick został z rannymi w namiocie, a Viv zeszła po pomoc. Rozpętała się druga burza, lecz Viv zdołała doprowadzić ratowników do namiotu. W tym czasie Derrick robił wszystko, by utrzymać rannych przy życiu. To godne podziwu osiągnięcie, lecz mimo to Derrick i Vivian czują się nieswojo, gdy je opisują.

Viv łypnęła gniewnie do kamery, zaciskając wargi na dźwięk znieawidzonego imienia.

— Ani oni, ani Bethany, ani Ray nie są dumni z tego, czego dokonali. Czy to nie ciekawe, że bagatelizują czyny, które innym wydają się niezwykle? Kiedy to się działo, w tym, co robili, nie widzieli nic bohaterskiego. Po prostu rozpaczliwie próbowali ocalić życie. Strach jest brzydkim uczuciem. Nikt nie chce go pamiętać.

## 8

— Amanda Evert.

W trakcie kolejnych relacji Amandzie coraz mocniej biło serce. Przez cały czas obawiała się, że głos wymieni jej nazwisko. Za każdym razem, kiedy był wywoływany ktoś inny, odczuwała ulgę, lecz potem, gdy głos kończył opowieść i zapadała cisza, jej obawy z powrotem rosły.

— Nie — szepnęła.

— Twoja historia jest jedyną, której jeszcze nie opowiedziałem.

— Proszę, nie mów o tym.

— Jak inaczej mam wyjaśnić, o co mi chodzi?

— Nie mów o hotelu Paragon — poprosiła.

Głos jednak zignorował jej prośbę i opowiedział, jak wysiadła z pociągu, którym wracała do domu z księgarni, gdzie pracowała do późna w nocy. Zasłoniła dłońmi uszy, lecz mimo to słyszała dalszy ciąg opowieści: o tym, jak porywacz użył nasyconej eterem chusteczki, żeby ją obezwładnić, i jak ocknęła się w łóżku w hotelu Paragon. Wspomnienie przeżytych okropności przyprawiło ją o łzy. Czuła ich słony smak, gdy głos opowiadał o pięciu miesiącach udręki, o grupce intruzów, którzy odnaleźli ją tamtej strasznej nocy i narazili

się na gniew porywacza; gdy mówił o Franku Balengerze, jej wybawcy, który tyle wycierpiał, żeby ją ocalić.

Gdzie jesteś, Frank? — pomyślała. Powoli narastał w niej gniew.

— Bohaterstwo Balengera musi budzić zdumienie — wyjaśnił głos. — Trudno sobie wyobrazić, że ktoś może tak długo podejmować nadludzkie wysiłki, przezwyciężyć tyle przeszkód i przetrwać... a właściwie nie tylko przetrwać, lecz ocalić życie drugiej osobie. Czy dostrzeżliście już powtarzający się motyw? Determinacja i pomysłowość, dyscyplina i samodzielność. Oto cechy, które posiadacie. Dlatego was tu sprowadziłem.

— Frank — wyszeptła Amanda, odejmując dłonie od uszu. Piekły ją zażawione oczy. — Frank — powtórzyła głośniejszym i gwałtownie wstała, przewracając za sobą krzesło. — Co mu zrobiłeś, sukinsynu? To Frank był bohaterem! Ja nie zrobiłam, dałam się tylko uratować!

— Pomniejszasz swoje zasługi. Zrobiłaś tamtej nocy o wiele więcej, niż jesteś gotowa przyznać.

— Mam to gdzieś! Gdzie jest Frank? Dlaczego go tu nie ma? To jego historię można porównać z innymi!

— Zamieniłabyś się z nim miejscami? — zapytał głos. — Chciałabyś, żeby był tu zamiast ciebie?

— Nie ma mowy! Ocalił mi życie! Jestem dumna, że mogę zająć jego miejsce. Ale to Frank jest prawdziwym bohaterem! Widzę tylko jedno wytłumaczenie, dlaczego go tu nie ma. Zabiłeś go, ty sukinsynu!

Jedyną odpowiedzią był szmer oddechu.

— Przyznaj się! — wrzasnęła Amanda.

— Nie wliczam tej rozmowy do waszych czterdziestu godzin. Ale odliczanie wkrótce się rozpocznie. Radzę, byś nad sobą panowała, w przeciwnym razie okażesz się nieprzydatna.

Ray zamknął wieczko zapalniczki.



— Czterdzieści godzin? — mruknął. — Już o tym wspominał.

— Niech każdy z was sięgnie pod stół.

— Po co? — zapytała nieufnie Bethany, ale w końcu wszyscy posłuchali głosu.

Amanda zrobiła to ostatnia. Targały nią tak silne emocje, że prawie nie myślała, co robi. Wymacała jakiś przewód przymocowany do blatu klipsami. Wyciągnęła go.

— Słuchawki? — zapytała Viv.

Wszystkie zestawy były identyczne. Zaokrąglony metalowy pałąk miał po obu stronach niewielkie słuchawki. Do lewej podłączony był krótki prosty pręt.

— To mikrofon — wyjaśnił głos. — Muszę się z wami jakoś komunikować, kiedy wyjdziecie na zewnątrz.

— Wypuścisz nas? — zapytała z nadzieją Viv.

— Wypuszczę. Baterie w tych zestawach są silne. Wystarczą na czterdzieści godzin.

— Czterdzieści godzin? Dlaczego ciągle mówisz o...

— Pod stołem jest coś jeszcze.

Zaintrygowany Derrick ukląkł i zjrzał pod stół. Od spodniej części blatu oderwał coś z metalicznym zgrzytem i pokazał pozostałym.

Amanda była przekonana, że to telefon komórkowy. Dopiero gdy zerknął na nią Derrick, zdała sobie sprawę, że powiedziała to na głos.

— Nie. To odbiornik systemu nawigacji satelitarnej — wyjaśnił, marszcząc brwi. — Używamy ich podczas wypraw wysokogórskich.

— I w żeglarstwie — dodała Bethany.

— A także podczas lotu — powiedział Ray. — Ale odbiorniki GPS w odrzutowcach są znacznie bardziej skomplikowane.

— Mają je również niektóre nowe samochody — stwierdziła Viv. — Ale po co nam...

— Każdy z was będzie miał do dyspozycji to urządzenie — powiedział głos.

Amanda patrzyła, jak pozostali sięgają pod stół. Podenerwowana zrobiła to samo. Urządzenie, które wymacała i odpięła, było srebrzystoszare, z wyświetlaczem podobnym jak w komórce, ale bez klawiszy z przodu. Kilka przycisków znajdowało się po obu bokach. Pod tym względem przypominało jej krótkofalówkę. Na górze był obraz globu i napis ETREX. Amanda zastanawiała się, czy to nazwa konkretnego modelu. Na dole zobaczyła kolejne słowo, GARMIN, które było, jak się domyślała, nazwą producenta.

Viv spostrzegła jej konsternację.

— Nigdy wcześniej nie posługiwałaś się GPS-em? — zapytała.

— Nie.

— Odbiornik jest wyposażony w mapy, wysokościomierz i elektroniczny kompas — wyjaśniła Viv. — Kiedy go włączasz, określa swoją pozycję względem kilku geostacjonarnych satelitów. Wtedy wprowadzasz współrzędne geograficzne, aby wyznaczyć kurs lub odnaleźć określone miejsce. Hej! — krzyknęła, zerkając na sufit. — Do czego będą nam potrzebne te zabawki?

Głos zignorował jej pytanie.

— Idźcie do swoich pokoi. W każdej szafie jest ubranie na zmianę. Za dziesięć minut macie się stawić przy frontowych drzwiach.

— I co wtedy?

— Wtedy zacnie się czterdzieści godzin.

—

## 9

— Oto, co udało mi się na razie ustalić — powiedział detektyw Ortega.

Starając się trzymać nerwy na wodzy, Balenger siedział sztywno wyprostowany w biurze osób zaginionych komendy głównej nowojorskiej policji. Z korytarza dochodziły odgłosy rozmów i telefonów.

— Najpierw zadzwoniłem do Uniwersytetu Oglethorpe'a w Atlancie — oznajmił Ortega. — Nigdy nie słyszeli o profesorze Adrianie Murdocku. Nikt taki nie pracuje na wydziale historii i w ogóle na żadnym wydziale. Opisałem mężczyznę, z którym pan rozmawiał: chudy, siwe włosy i wąsy, okulary. Rysopis pasował do wielu profesorów. Zgodzili się przesłać e-mailem fotografie wykładowców, żeby pan je przejrzał.

— Na pewno nie zobaczę na nich faceta, którego widziałem — powiedział Balenger.

Ortega wzruszył ramionami.

— Wie pan, jak to wygląda. Trzeba zadawać pytania, zdobywać informacje. Skontaktowałem się też z urzędem miasta. Do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego nieruchomość przy Dziewiętnastej Ulicy rzeczywiście należała do kogoś o nazwisku Victor Evans. Od firmy telekomunikacyjnej dostałem numery wszystkich mężczyzn o tym nazwisku mieszka-

jących w rejonie Nowego Jorku. Jednym z nich okazał się być właściciel budynku. Nie zna jednak Philipa Evansa i nigdy nie miał syna.

Balenger wbił wzrok w trzymany w rękę tekturowy kubek z letnią kawą.

— Wczoraj po południu mój partner i ja rozmawialiśmy z ludźmi, którzy mieszkają na Dziewiętnastej Ulicy. Mówią, że w sobotę rano podjechała tam ciężarówka i wyładowano z niej stoły i krzesła. Późnym popołudniem ciężarówka pojawiła się ponownie i wywiozła wszystko z powrotem.

— Wtedy właśnie zabrano z budynku mnie i Amandę — mruknął Balenger.

— Prawdopodobnie. Jeżeli użyto tabletki gwałtu, nikt nie musiał was wynosić. Byliście częściowo przytomni i mogliście chodzić. Najwyżej chwialiście się trochę na nogach. Ale ciężarówka zasłaniała widok z drugiej strony ulicy, a stoły i krzesła odwracały uwagę każdego, kto z sąsiednich domów obserwował załadunek. Pan i pańska przyjaciółka mogliście wyglądać jak zwyczajna para, której pomagają wsiąść do samochodu.

— Chyba raczej do furgonetki. Do jakiegoś pojazdu bez okien. — Balenger poczuł, że ma zimne ręce. — Zaangażowanych w to było wiele osób. Między innymi kobieta, która przedstawiła się jako Karen Bailey.

— Korpulentna. Koło czterdziestki. Bez makijażu. Brązowe włosy upięte w kok. Prosty granatowy kostium — zacytował ze swojego notesu Ortega.

Balenger pokiwał głową.

— No i ludzie, którzy przyszli na wykład.

— Wspomniał pan, że kilka osób wyszło w trakcie prezentacji.

— Tak. — Balenger próbował przypomnieć sobie szczegóły. — Dużo ludzi — podkreślił. — Za dużo, żeby utrzymać to w tajemnicy. Może słuchacze nie wiedzieli, co się naprawdę

dzieje. Może zapłacono im, żeby zostali na krótko. Tragarze. Można im było powiedzieć, że mężczyzna i kobieta źle się poczuli i trzeba ich odprowadzić do furgonetki. Możliwe, że tylko profesor i Karen Bailey znali prawdę.

— Tragarze — powtórzył Ortega, wskazując listę na biurku. — Ja i mój partner kontaktujemy się z wszystkimi nowojorskimi firmami, które wypożyczają stoły i krzesła na przyjęcia i inne okazje. Znajdziemy w końcu firmę, która dostarczyła meble pod ten adres. Może dadzą nam rysopis osoby, która ich wynajęła.

— Mogę się założyć, że zamówiono usługę przez telefon i zapłacono przelewem — mruknął Balenger.

Ortega popatrzył na niego z zainteresowaniem.

— Jestem pewien, że konto bankowe zostało założone wyłącznie po to, żeby zapłacić agencji nieruchomości, firmie wynajmującej meble i być może ludziom, którzy przyszli na wykład — kontynuował Balenger. — Z tego konta nikt już więcej nie skorzysta, a osoba, która je założyła, z pewnością podała fałszywe nazwisko, adres i numer ubezpieczenia społecznego.

— Wie pan co? — powiedział Ortega. — To dla mnie coś nowego.

— Nie rozumiem.

— Nigdy jeszcze nie zajmowałem się zaginięciem osoby, której przyjaciel pracował wcześniej w policji. Czuję się jak magik próbujący współpracować z innym magikiem. Zna pan procedury. Wie pan, co się dzieje za kulisami. Kiedy rozmawiałem z pracownikami Uniwersytetu Oglethorpe'a, urzędu miasta i mieszkańcami domów przy Dziewiętnastej Ulicy, dowiedziałem się, że ktoś inny zadawał im wcześniej te same pytania. Czy to nie był przypadkiem pan?

— Nie mogę po prostu siedzieć na tyłku i czekać.

— Mam nadzieję, że nie sugerował pan tym ludziom, iż nadal pracuje w policji?

— Nie zrobiłem nic sprzecznego z prawem.

— W takim razie najlepiej będzie, jeżeli posiedzi pan trochę na tyłku. Jest pan w to zbyt emocjonalnie zaangażowany, żeby chodzić i wypytywać ludzi. Niech pan nie próbuje mnie wyręczać.

— Chodzi o to — powiedział Balenger — że zdaję sobie sprawę, jakie to dla pana trudne. Pan i pański partner macie mnóstwo spraw, a dzień ma tylko określoną liczbę godzin. A skoro mowa o magikach, i pan, i ja wiemy, że magia nie istnieje.

— No dobrze, więc niech pan mi powie, co mam robić. Będąc na moim miejscu, gdzie poszukałby pan ludzi, którzy pojawili się na wykładzie i wcześniej wyszli?

— Odgrywali swoje role z taką pewnością siebie, że chyba w ten właśnie sposób zarabiają na życie. Wydaje mi się, że są aktorami — powiedział Balenger.

—

## 10

— To ten sukinsyn — stwierdził Balenger, wskazując fotografię w szklanej gablocie. — Tyle że bez wąsów i ma ciemniejsze włosy.

Razem z Ortegą stał przed teatrem Bleecker Street w Greenwich Village. Przez całą poprzednią godzinę obdzwaniiali różne agencje aktorskie oraz teatry i pytali, czy nie wynajęto kogoś na sobotnią imprezę przy Dziewiętnastej Ulicy.

Zostawiwszy za sobą uliczny gwar, weszli do małego obokurnego holu i rozejrzeli się dookoła. Za plecami mieli kasę. Po lewej stronie Balenger zobaczył szatnię, po prawej bufet. Na poplamionym, wytartym dywanie przykrytym folią stało rusztowanie, puszki z farbą, wiadra i pędzle. W powietrzu czuć było niewyraźny zapach terpentyny.

— Rzeczywiście przydałby się tu remont — mruknął Ortega, zerkając na mokrą plamę na suficie.

— Nienawidzę starych budynków — stwierdził Balenger. Zza podwójnych wahadłowych drzwi na wprost nich dobiegały stłumione głosy.

Ortega otworzył je i wszedł do środka. Po chwili wrócił i dał Balengerowi znak, żeby mu towarzyszył. Drzwi zamknęły się za nimi. Stali w przejściu, które prowadziło między rzędami krzeseł w stronę oświetlonej sceny na dole. Kurtyna była

odsłonięta. Dwie pary (jedna w średnim wieku, druga młoda) czytały swoje kwestie z maszynopisu. Przed sceną stał wysoki chudy mężczyzna i pokazywał pałeczką, gdzie mają stanąć.

— Już są — powiedziała młoda kobieta, zerkając na widownię.

Jej głos odbił się głośnym echem. Wysoki chudy mężczyzna odwrócił się do Balengera i Ortegi.

— Proszę, niech panowie zejść do nas — powiedział. Schodząc na dół i słysząc wyraźnie własne kroki, Balenger starał się ukryć wzburzenie. Pusta widownia miała w sobie coś przygnębiającego, stare fotele wydawały się stęsknione za aplauzem.

Ortega przedstawił się i pokazał odznakę.

— Miał pan już chyba okazję poznać pana Balengera — powiedział.

Balenger rozpoznał ich. Wysokiego chudego mężczyznę przedstawiono mu jako profesora Murdocka. Cztery stojące na scenie osoby również były na sobotnim wykładzie.

— Oczywiście, pamiętam pana oraz młodą kobietę, która panu towarzyszyła. Nazywała się... — Mężczyzna uniósł wzrok, usiłując sobie przypomnieć. — Amanda Evert.

— A pan nazywał się Adrian Murdock, choć wątpię, czy to pana prawdziwe nazwisko.

— Roland Perry. Nazwisko profesora przyjąłem wraz z rolą.

— Czy coś się stało? — zapytał młody człowiek na scenie.

— Przez telefon powiedział pan, że pański zespół został wynajęty, żeby wystąpić w domu przy Wschodniej Dziewiętnastej Ulicy — powiedział Ortega do Perry'ego.

— Zgadza się. Opisano to jako coś w rodzaju happeningu. — W głosie Perry'ego słychać było brytyjski akcent. — Dano mi tekst wykładu. Nasi aktorzy otrzymali ogólne wskazówki, jak powinni się zachowywać, oraz opis pana Balengera



i jego przyjaciółki. Powiedziano nam, że to rodzaj psikusa. Podczas wykładu publiczność miała stopniowo wychodzić. W pewnym momencie w trakcie prezentacji wizualnej miałem przestać mówić, zejść z mównicy i opuścić budynek. Prezentacja zakończyłaby się jakiś czas potem, a pan Balenger i jego przyjaciółka zorientowałyby się, że są na sali sami.

— Nie rozumiem, na czym miał polegać żart — stwierdził Ortega.

— Powiedziano nam, że to będzie przyjęcie urodzinowe z niespodzianką. Kiedy pan Balenger i jego towarzysza zaczęliby się zastanawiać, co się, u diabła, dzieje, ich ukryci na górze przyjaciele zawołaliby „Wszystkiego najlepszego!”. Podano by jedzenie oraz napoje i zaczęłoby się przyjęcie.

Ortega spojrział na Balengera.

— Ile wam zapłacono? — zapytał Perry'ego.

— Za pracę, która trwała mniej więcej godzinę, cała grupa otrzymała dwa tysiące dolarów gotówką. Pierwsza oferta była niższa, ale wynegocjowałem więcej. Wyczułem, że osobę, z którą rozmawiam, stać na wyższą zapłatę. Honorarium przeznaczaliśmy w całości na odnowienie naszej siedziby.

— Jak się z panem skontaktowano? — zapytał Balenger.

— Do teatru przyszła kobieta.

— Przedstawiła się?

— To ta pani, którą poznał pan na wykładzie. Karen Bailey.

— Wydawało mi się, że należy do waszej grupy — stwierdził Balenger.

— W żadnym wypadku.

— Macie jakąś umowę? — zapytał Ortega. — Adres albo podpis, na który mógłbym spojrzeć?

— Nie. To wydawało się zbędne. Zamówienie było dość niezwykle, to prawda, ale dwa tysiące dolarów nie mogły nam się trafić w lepszym momencie. Byliśmy wdzięczni losowi.

— Ale po co panowie tu przyszli? — zapytała ze sceny starsza kobieta. — O co chodzi?

— Nie musicie się niczego obawiać. Jeżeli Karen Bailey ponownie się z wami skontaktuje, dajcie mi znać — powiedział Ortega i wręczył Perry'emu swoją wizytówkę.

— Karen Bailey zostawiła mi kserokopię jakiegoś tekstu — oznajmił Peny. — Powiedziała, żebym dał ją panu Balengerowi, jeżeli przyjdzie do teatru.

— Kserokopię? — zdziwił się Balenger. — Czego?

— Włożyłem ją do torby z maszynopisami. — Perry wsadził pałeczkę pod pachę, po czym podszedł do fotela, przy którym leżała sfatygowana płócienna torba, i zaczął w niej grzebać. — Proszę — mruknął, wręczając Balengerowi złożony kawałek papieru.

— Niech pan zaczeka.

Ortega wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki, nałożył je i rozpostarł kartkę. Balenger stanął obok niego.

Kserokopia przedstawiała stronę książki, na której zasłonięto wszystko z wyjątkiem jednego akapitu i pieczętki DZIAŁU NAUK HUMANISTYCZNYCH I SPOŁECZNYCH BPNJ. Litery na pieczętce były niewyraźne. Fotokopiarka zostawiła smugi na papierze.

Osobliwe są te moczary — rzekł, rozglądając się dookoła po falistej równinie, przeciętej skalistymi grzbietami, które przybierały w oddali postać fantastycznych bałwanów morskich. — Ich widok nigdy nie spowszednieje. Takie rozległe, tajemnicze. Nie ma pan pojęcia, jakie się w nich kryją dziwne niespodzianki\*.

Balenger poczuł, że kręci mu się w głowie.

— Karen Bailey kazała mi to dać, jeżeli przyjdę do teatru?

\* tłum. Bronisława Neufeldt

- Tak.
- Powiedziała dlaczego?
- Nie. Myślałem, że to w ramach żartu. — Perry postukał pałeczką w podłogę. — Ale o co chodzi? Może powiedzieliście nam dlaczego...
- Czuję dym — powiedział nagle Balenger.
-

# 11

Odwróciwszy się w stronę wahadłowych drzwi na widownię, Balenger zobaczył pełzające spod nich szare nitki.

— Nie — jęknął Perry.

Balenger usłyszał, że czwórka aktorów zbiegła ze sceny. Nie przestawał się wpatrywać w coraz grubsze smugi szarego dymu. Razem z Ortegą pobiegli przejściem i zatrzymali się gwałtownie, widząc migocące między skrzydłami drzwi światło. Po drugiej stronie słychać było skwierczenie ognia.

Perry i inni aktorzy podbiegli do nich.

— Nasze farby. — Perry wciągnął dym w płuca i stłumił kaszlnięcie. — Musiały się zapalić. Może w puszcze była szmata. Jakiś rodzaj samozapłonu.

— Albo ktoś przyłożył do tego rękę — powiedział Balenger.

— Przyłożył rękę? Co pan, do diabła...

Nagle za ich plecami zgasły reflektory oświetlające scenę. Zapanowała ciemność. Jakiś aktor krzyknął głośno ze strachu. Po chwili zapaliły się zasilane bateriami awaryjne światła w rogach sali.

— Niech pan mi da swoją pałeczkę — poprosił Ortegę. Wziął ją do ręki i pchnął grubszym końcem drzwi. Przez otwór wpadły na widownię kłęby dymu. Za nimi widać było

pomarańczowe języki ognia, które liznęły pałeczkę. Ortega dał krok do tyłu i drzwi się zamknęły.

Zataczając się, Peny wpadł na jedną z aktorek, która zgięta w pół zanosila się kaszlem.

— Gdzie jest wyjście awaryjne? — zapytał Balenger.

— Tam — odparł Peny, wskazując drzwi po prawej stronie. Obok nich była mała czerwona skrzynka alarmu przeciwpożarowego.

W gęstniejącym dymie Balenger pomógł aktorce wyprostować się i poprowadził ją wzdłuż rzędu foteli. Idący przed nimi aktorzy objimali się o poręcze. Ortega nacisnął klamkę drzwi przeciwpożarowych.

Drzwi nie ustąpiły. Ortega pchnął je ramieniem. Bez skutku.

— Kto je, do diabła, zamknął? — krzyknął.

— Nikt! Zawsze się otwierały! Ktoś musiał je zablokować z drugiej strony! — odparł Peny, po czym otworzył skrzynkę alarmu, pociągnął za dźwignię i jęknął, gdy nie odezwała się syrena. — Alarm ma połączenie ze strażą pożarną, ale skoro go nie słyszymy...

Na tyłach widowni dym tak zgęstniał, że nie było widać wahadłowych drzwi. Trzask płomieni zmienił się w ryk. Balenger uświadomił sobie, że farba i terpentyna są wyjątkowo łatwo palne.

— Macie tu zraszacze?

— Tak! Nie rozumiem, dlaczego one także nie działają! Jeden z aktorów wskazał tylną ścianę widowni.

— Mój Boże, ogień pełźnie po ścianie.

Balenger spojrział w tamtą stronę i przeszły go ciarki. Płomień i kłęby dymu sięgały sufitu. Przez chwilę doświadczał straszliwego deja vu, miał wrażenie, że z powrotem trafił do płonącego hotelu Paragon. To dzieje się znowu, pomyślał.

— Gdzie jest drugie wyjście awaryjne? — zapytał.

— Za sceną!

Gryzący dym przyprawiał go o kaszel. Dwoje aktorów najwyraźniej obezwładnił strach. Balenger na chwilę również zamarł w bezruchu i pozwolił, by wróciły dawne koszmary.

— Biegiem! — wrzasnął.

Wspięli się po schodkach i przebiegli przez scenę. Deski łomotały pod ich stopami. Nad kolejnymi drzwiami paliło się awaryjne światło. Ortega nacisnął energicznie klamkę, lecz drzwi nie ustąpiły ani na cal. Balenger dołączył, napierając na nie całym ciałem. Sapiąc ciężko, zmagali się z drzwiami. Nagły ból przeszył ramię Balengera.

Ktoś wskazał im tył widowni.

— Płonie sufit!

— Co jest na górze? — zapytał Ortega, do którego zbliżały się kłęby dymu.

— Jest wyjście awaryjne z garderoby! — Peny ruszył w stronę metalowych kręconych schodów, które zadygotały, gdy zaczął po nich biec. Nagle stanął i złapał się mocniej poręczy. Kiedy Balenger dotarł do schodów, zobaczył, co go zatrzymało. Całe piętro spowijał dym.

— Nie będziemy mogli tam oddychać — powiedział ktoś. — Nie będziemy widzieli, gdzie idziemy.

Balenger zauważył, że kręcone schody prowadzą również na dół.

— Co jest w piwnicy? — zapytał.

— Trzy okna — wyjąkał Peny.

— Idziemy! — krzyknął Ortega.

Kiedy ich buty zastukały po metalu, Balenger spojrzął w mrok i się zawahał. Piwnica, pomyślał. Zawsze jest jakaś piwnica. Pot spływał mu po czole nie tylko z powodu gorąca. Dostrzegł latarkę przy pulpicie sterowniczym, złapał ją i zmusił się, by zejść na dół.

W piwnicy było chłodniej. Gdy stanął na kamiennej podłodze, poczuł, że kręci mu się w głowie. Przyćmione światło padało przez trzy wąskie okna po prawej stronie. Na górze,

przez zakurzone szyby widać było wąską alejkę i brudną ceglana ścianę po drugiej stronie.

Ortega złapał stojący pośrodku stół i zaczął go ciągnąć pod jedno z okien. Balenger zapalił latarkę i skierował jej światło na oparte o ścianę malowane horyzonty przedstawiające wzgórza, drzewo i niebo.

— Nie daje się otworzyć! — krzyknął Ortega, mocując się z oknem. — Zaszła farba!

— Stłucz szybę! — zawołał ktoś.

— Otwór jest za mały! — jęknął starszy tęgi aktor. — Nie zmieszczę się!

Balenger dalej omiatał piwnicę światłem latarki. Zobaczył stoły, krzesła i inne sceniczne meble. Na drążkach wisały kostiumy, na plastikowych głowach sterczały peruki. Przezroczysta folia chroniła rekwizyty przed zniszczeniem. Nie na wiele się teraz przyda, pomyślał.

Krople potu kapały mu z podbródka. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Ortega wybił okno starym telefonem tarczowym, który podał mu Peny.

— Mówię wam, że nie przejdę przez ten otwór! — upierał się tęgi aktor.

— Ja też nie! — odezwał się drugi.

Światło latarki padło na tylną ścianę. Za stosem pudeł kryły się stare drzwi. Balenger złapał za rękę Perry'ego.

— Dokąd prowadzą te drzwi? Do innego budynku?

— Nie! Do piwnicy piętro niżej!

— Piwnicy piętro niżej? Do czego jest potrzebna...

— Do niczego! Do niczego nie jest już potrzebna!

Peny trząsł się ze strachu, słysząc huk płomieni.

— Nie patrz na ogień! Powiedz, co to za piwnica!

— Pochodzi z wcześniejszego budynku. Przed laty płynął tędy strumień!

— Co takiego?

— Dawno temu w Greenwich Village było dużo strumieni. Dzięki tunelom odpływowym budynki nie osiadały! Koryto strumienia teraz wyschło, ale kiedyś można było stąd czerpać wodę! Coś w rodzaju prywatnej studni!

Balenger podbiegł do drzwi, odsunął pudła i pociągnął za zardzewiałą klamkę.

— Nie! — zawołał Ortega. — Zadusimy się tam!  
Chociaż przez wybite okno wpadało świeże powietrze, detektyw krztusił się gęstniejącym dymem.

Ciągnąc drzwi do siebie, Balenger słyszał chrobot szorującego o kamień drewna. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy. Zdołał otworzyć drzwi dość szeroko, by wsadzić do środka latarkę. Zobaczył pokryte pajęczynami stopnie.

— Ogień wysze wszystkie tlen tam z dołu! — krzyknął Ortega.

Balenger obejrzał się i zobaczył, że detektyw wybił już całą szybę. Pomagał teraz starszej aktorce wejść na stół i przeczołgać się przez okno. W połowie drogi kobieta utknęła.

— Wciągnij brzuch! — krzyczał Ortega.

— Skaleczyłam się!

Policjant pchnął jej biodra. Aktorka przesunęła się nagle do przodu i wylazła na zewnątrz. Kiedy pomagał drugiej aktorce wejść na stół, ruchoma ściana ognia znacznie się zbliżyła.

— Na pewno się nie zmieszczę — biadolili starszy aktor.

Koszmarne wspomnienia z hotelu Paragon o mało nie sparaliżowały Balengera. Klnąc pod nosem, wcisnął się w szparę, oparł plecami o drzwi i otworzył je szerzej. Przyświecając sobie latarką, odgarnął pajęczyny i zbiegł po nierównych schodach.

Znalazł się w kamiennym lochu. Jakiś szczur pisnął i zniknął z pola widzenia. Balenger odskoczył do tyłu. Oddychając chrapliwie, opanował wstęt i omiótł latarką chropowate ściany. Sklepiony loch miał mniej więcej sześć stóp szerokości i długości i był tak niski, że Balenger musiał się pochylić. Wyżłobionym w kamieniu korytem kiedyś płynął strumień.



Woda wpływała i wypływała przez łukowate otwory po lewej i prawej stronie, obudowane kruszącymi się cegłami. Nawet po stu pięćdziesięciu latach w powietrzu czuć było wilgoć. Balenger usłyszał nad sobą krzyki. Dochodził do niego ryk płomieni i czuł, jak owiewa go wysysane przez ogień powietrze. Zakręciło mu się w głowie i musiał się oprzeć dłonią o kamienną ścianę.

— Nigdy tędy nie przejdę — skarżył się coraz bardziej spanikowany głos.

Balenger ukląkł i skierował drżący promień latarki w otwór po prawej stronie. Dostrzegł, że w głębi tunelu zawałiło się sklepienie. Sterta gliny i cegieł blokowała drogę. W świetle latarki jarzyły się czerwone oczy jakiegoś zwierzęcia.

Oblewając się potem, Balenger oświetlił tunel po lewej stronie. Nie zauważył, by coś tarasowało drogę. Wyprostował się na chwiejnych nogach. Powietrze nadal uciekało do góry.

Któryś z aktorów krzyknął.

Balenger zmobilizował się i wbiegł z powrotem po schodach. Kiedy wyjrzał przez drzwi, nie była mu potrzebna latarka. Płomienie oświetlały rozgorączkowaną twarz Ortegi, który wypychał chudego, wysokiego Perry'ego przez wybite okno. Na dole, oprócz Balengera i Ortegi, zostali jeszcze dwaj aktorzy.

— Zdażymy wyjść? — zapytał Balenger.

Na Ortegę sypały się iskry.

— Nie sądzę! — odkrzyknął.

— Zejdźmy na dół! To nasza jedyna szansa!

Ogień był tak blisko, że w ogóle się nie wahali. Cała trójka przecisnęła się obok Balengera, który zatrzaskał za nimi drzwi, żeby zamknąć odpływ powietrza, i zbiegł na dół jako ostatni.

— Na lewo! — krzyknął.

— Chyba żartujesz!

— Czołgajcie się!

— Widzę szczura!

— To znaczy, że można stąd wyjść! Czołgajcie się! Ja będę szedł ostatni i oświetlał wszystkim drogę!

Po schodach zaczął pełznąć dym.

— Nie mamy wyboru! — krzyknął Balenger.

— Idę pierwszy! — zawołał Ortega i wyciągnął pistolet.

Tęgi aktor jęknął ze strachu.

— Do czego ci potrzebna broń? Jak duże są te szczury? Ortega ukląkł, po czym wpełzł do niskiego tunelu.

— Szybciej! Szybciej! — zawołał do dwóch pozostałych mężczyzn Balenger, wpychając ich do środka. — Ruszać się!

Kiedy położył się na brzuchu, owiewający go prąd powietrza stał się silniejszy. Odnosił wrażenie, że otaczający mrok kładzie się ciężarem na jego ramionach. Kamienna posadzka po chwili się skończyła i miał pod sobą glinę. Słyszał szelest ubrań, chrapliwe oddechy i mamrotanie pełnącego przed nim mężczyzny, który chyba odmawiał modlitwę.

Pajęczyny lepiły mu się do włosów. Tunel był coraz niższy. Balenger otarł się plecami o sklepienie i przywarł do ziemi.

— Tędy też chyba nie przejdę — jęknął mężczyzna pełnący za Ortega.

— Odgarniajcie ziemię na boki — rozkazał policjant. — Pogłębiajcie tunel.

Pochód się zatrzymał. Ogień nadal wysysał powietrze.

— Co się stało? — zawołał Balenger.

Kurz wypełniał mu nozdrza, klaustrofobia ścisnęła pierś. Bał się, że zaraz zemdleje.

— Widziałem chyba...

— Co takiego widziałeś? — zapytał Balenger, odwracając się na bok i kierując jak najdalej promień latarki.

— Jakiś poruszający się cień.

— Jeżeli to szczur, zastrzel go — powiedział starszy aktor.

— Nie — zaprotestował drugi. — Od hałasu może się zawalić tunel!

— Więc może byś tak przestał wrzeszczeć?

— Cegły — powiedział Ortega. — Trafiłem na kilka cegieł, które odpadły od sklepienia.

Pył sypał się Balengerowi na kark. Z trudem oddychał. Po chwili usłyszał hurgot przesuwanych cegieł.

— W porządku, idę dalej — odezwał się Ortega.

Pył dalej sypał się Balengerowi na kark. Prędkiej!

Facet przed nim zaczął się ponownie czołgać. Balenger ruszył za nim z walącym wściekłym sercem.

— Zaczekaj! — wyjąkał mężczyzna.

— Co jest?

— Zaczepiłem paskiem o cegłę w suficie.

Balenger znieruchomiał. W ciemności słyszał chrapliwy oddech.

— W porządku — mruknął facet. — Uwolniłem się.

Kiedy poczołgał się dalej, Balenger usłyszał głośny chrobot.

— Dotarłem do jakichś starych schodów! — zawołał Ortega.

Chwała Bogu, pomyślał Balenger. Nie mógł złapać tchu, czuł w ustach smak kurzu. Przycisnął brzuch do ziemi i popęzł do przodu.

Nagle serce podeszło mu do gardła. Coś go wstrzymywało. Zaczepił marynarką o cegłę.

— Trzymaj prosto latarkę — krzyknął Ortega.

— Tak, tu są schody — ucieszył się pełznący za nim facet. — Widzę je!

Balenger poczuł, że cegła zaczyna się ruszać.

— Zaraz stąd wyjdziemy. — Aktor przed nim wyraźnie przyspieszył.

Cegła obluzowała się i spadła Balengerowi na plecy. Posypało się więcej ziemi.

— Frank! — zawołał Ortega. — Co się dzieje?

Balenger nie odpowiedział. Bał się, że hałas spowoduje obluzowanie kolejnych cegieł.

— Dlaczego się zatrzymałeś? — krzyknął Ortega.  
Na plecach Balengera wylądowała kolejna cegła.

— Mój Boże, jak miło jest podnieść głowę — stwierdził aktor przed nim. — Widzę drzwi!

— Frank? — powtórzył Ortega.

Spanikowany Balenger miał ochotę wrzasnąć ze strachu. Obluzowała się trzecia cegła. Pył wypełniał mu nozdrza. Przesunął się o cal do przodu. Czuł ciężar na łopatkach.

— Frank?

Sklepienie przyciskało go do ziemi. Potrzebował więcej siły, żeby spod niego wypełznąć. Cegły drapały go po plecach. Zdał sobie sprawę, że nie zniesie tego ani chwili dłużej. Wyjął w duchu, popęzł szybciej do przodu i nagle posypało się na niego jeszcze więcej ziemi. Zaczął się czołgać jak szalony. Cegły waliły go po nogach, zasypywał go gruz, a on krzyczał już teraz na całe gardło i rwał do przodu, podciągając się łokciami i odpychając kolanami. Huk walącego się sklepienia był głośniejszy od jego krzyków. Czyjeś ręce złapały go i wyciągnęły. W korytarzu kłębił się kurz, wszyscy kasłali, latarka migotała w jego drżącej dłoni.

Jęcząc głośno, Balenger wbiegł po kamiennych schodkach i uderzył ramieniem w drewniane drzwi. Były tak stare, że gdy walnął w nie ponownie, wypadły z zawiasów, lecz nawet wówczas się nie otworzyły. Coś blokowało je po drugiej stronie. Ortega dołączył do niego. Kiedy natarli na nie obaj, drzwi w końcu ustąpiły i rozległ się łomot przewracających się po drugiej stronie przedmiotów.

W chmurze kurzu Balenger zobaczył światło. Razem z Ortega po raz ostatni pchnęli drzwi, które runęły w dół, wywracając kolejne sprząty.

Krztusząc się i próbując rozpaczliwie złapać oddech, Balenger przelazł po nich i znalazł się w piwnicy wypełnionej starymi meblami. Na drewnianych schodkach stał, przyglądając mu się, mężczyzna w garniturze i okularach.

## 12

Na szyldzie nad sklepem widniał napis GALERIA ANTYKÓW GREENWICH.

— Właściciel mówi, że lubi zabierać klientów do dolnej piwnicy — powiedział, zanosząc się kaszlem, Ortega. — Kontakt z historią sprawia, że jego meble wydają się jeszcze starsze i bardziej wartościowe.

Balenger oparł się o słupek i próbował opanować drzenie.

— Dziękujemy Bogu za antyki — mruknął.

— No tak, ale facet twierdzi, że wyłamując drzwi, zniszczyliśmy meble o wartości mniej więcej trzydziestu tysięcy dolarów.

— Znamy teraz cenę naszego życia. — Balenger spojrział na właściciela, który stał w progu sklepu z ponurą miną. — Czy przyjmie ode mnie czek?

— Na trzydzieści tysięcy dolarów? Nie sądzę, żeby poznał się na żarcie — mruknął Ortega.

— Mówię serio. Opowiem ci kiedyś o pewnej monecie, którą znalazłem. — Balenger podszedł do właściciela. — Zapłacę panu za straty, których nie pokryje ubezpieczenie — powiedział.

Na sąsiedniej ulicy słychać już było syreny wozów strażackich. Nad dachami domów snuł się czarny dym. Ludzie biegli w stronę pożaru.

— Musimy tam pójść i poinformować o wszystkim inspektorów straży — powiedział Ortega.

— Ale to zajmie kilka godzin. Wiesz to samo co ja. Mam za dużo spraw do załatwienia. Powiedz im, że nie mogłem zostać.

— O czym ty mówisz?

— Złóż raport za nas obydwu. Ja pogadam z nimi później, jeżeli nadal będą mieli jakieś pytania.

— Tak załatwiało się te rzeczy, kiedy służyłeś w policji? Składaliście zeznania za świadków?

— Dobrze, dobrze, rozumiem. — Balenger wciąż starał się złapać oddech. — Masz tę kserokopię?

— W kieszeni marynarki.

— Ma pan może kopiarę? — zapytał Balenger, zwracając się do właściciela.

Mężczyzna kiwnął głową. Uznał chyba, że po tym wszystkim, co się stało, to najzwyczajniejsze pod słońcem pytanie.

Balenger strzepnęła kurz z dżinsów i sportowej marynarki. Śmierdziały dymem.

— Mamy kartkę, którą musimy skopiować, żeby móc ją przeczytać bez zostawiania odcisków palców — wyjaśnił, wchodząc z powrotem do sklepu.

— Wyglądasz na wykończonego — stwierdził Ortega, bacznie mu się przyglądając. — Podczas rozmowy ze strażakami będziesz mógł przynajmniej chwilę odpocząć.

— Ten, kto nie chce, żeby odnalazł Amandę, z pewnością nie odpoczywa.

Balenger zrobił kserokopie i schował jedną z nich do kieszeni marynarki. Po wyjściu na ulicę zaczęli się przeciskać przez gęstniejący tłum. Słychać było kolejne syreny, z dachu teatru walił w górę ciemny słup dymu. Hałaśliwi gapiowie obstawili całą ulicę.

— Policja! — zawołał Ortega. — Przepuście nas. Kilku gapiów rozstąpiło się, lecz chwilę później zablokowali

im drogę inni. Balenger poczuł, że napierają na niego ze wszystkich stron. Szkoda na to czasu, pomyślał.

— Policja! — powtórzył głośno Ortega, kiedy zaczęli się na niego pchać kolejni gapie.

Nie ma czasu, pomyślał Balenger. Kiedy wepchnął się między nich następny facet, nie próbował go ominąć. Przepuścił jeszcze trzech i wycofał się z tłumu.

— Gdzie jesteś, Frank? — usłyszał za sobą krzyk Ortegi.

**POZIOM TRZECI**

**ZABAWA W  
SZUKANEGO**



# 1

Amanda niechętnie usłuchała polecenia i idąc za przykładem Raya, Bethany, Derricka i Viv, weszła do swojej sypialni. Głos kazał jej otworzyć szafę i włożyć strój, który tam znajdzie. Najpierw jednak poszła do łazienki, żeby się załatwić. Nie dbała o to, czy są tam kamery. Wstyd nie miał znaczenia w obliczu nagłej potrzeby. Ciężkie przejścia w hotelu Paragon nauczyły ją, że najważniejsza ze strategii przetrwania polega na tym, by korzystać z każdej nadarzającej się okazji. Pomyślała, że pewnie minie dużo czasu, zanim będzie mogła ponownie skorzystać z toalety, zdjęła więc papier toaletowy z uchwytu i schowała go do kieszeni dzinsów.

Teraz, kiedy ustępowały mdłości i otepienie spowodowane podanymi narkotykami, zdała sobie sprawę, jak pusty ma żołądek. Zaschło jej w ustach z pragnienia. Spuściwszy wodę, podeszła do umywalki i nagle spojrzała zaniepokojona na sedes. Woda spłynęła, nie słyszała jednak, by ponownie napełniła spłuczkę. Bała się, co się stanie — a raczej nie stanie — gdy odkręci kran, lecz zrobiła to. W rurach nie było wody. Poczuła, że jeszcze bardziej zasycha jej w ustach.

Otworzyła garderobę. Na wieszaku wisiał niebieski kombinizon z licznymi kieszeniami, przypominający lotniczy skafander, który widziała na filmach o wojskowych pilotach.

Na podłodze stały wysokie buty z grubymi podeszwami. One także były niebieskie, podobnie jak wełniane skarpetki oraz czapka baseballowa. Aby się ukryć przed kamerami, weszła do garderoby, szybko ściągnęła džinsy i nie zdejmując białej bluzki, włożyła kombinezon. Pokryty był twardym nylonem, w środku miał warstwę izolacyjną. Od chłodnej tkaniny zrobiło się jej na chwilę zimno w nogi. Schowała papier toaletowy do jednej z kieszeni, po czym usiadła na łóżku, nałożyła skarpetki i buty. Wszystko na nią pasowało.

Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby wykorzystać podczas ucieczki.

— Nic ci się tutaj nie przyda — oznajmił głos z sufitu.

Amanda się skrzywiła. Gdy usłyszała głosy na korytarzu, wyszła z sypialni i zobaczyła Raya, Bethany, Derricka oraz Viv. Wszyscy mieli na sobie kombinezony, wełniane skarpety, czapki i buty turystyczne, ale strój Raya był zielony, Bethany szary, Derricka czerwony, a Viv brązowy. Tylko Ray, który był pilotem, wyglądał w miarę normalnie w nowym przebraniu.

— Cóż, mogę was teraz przynajmniej rozróżnić — próbował zażartować Derrick, jedyny czarny w całej grupie.

— Myślę, że o to właśnie chodziło — stwierdził Ray, wskazując sufit. — Żeby on mógł nas rozróżnić, zwłaszcza z dużej odległości.

Rozglądając się nerwowo dookoła, zeszli po schodach do dużego holu przy drzwiach wejściowych. Ray otwierał i zamykał wieczko zapalniczki. Amanda próbowała ignorować klikanie, które działało jej na nerwy.

— Co teraz? — zapytała Viv.

— Wejdźcie do jadalni — rozkazał głos. — Załóżcie na głowy słuchawki. Włączcie je.

— Zaczekaj. — W oczach Bethany płonął gniew. — W mojej sypialni nie działały krany. Chce mi się pić.

— Jestem głodny. — Rayowi zaburczało w żołądku. — Bóg wie, ile minęło czasu...

— Jest poniedziałek — poinformował ich głos.  
— Poniedziałek? — wyjąkała Bethany.  
— Ale pamiętam, że... — Derrick potrząsnął głową. — Mój Boże, byłem nieprzytomny przez...  
— Przez dwa dni — dokończyła za niego zszokowana Viv.  
— Więc nic dziwnego, że jesteście głodni i spragnieni — wyjaśnił głos. — Ponieważ nie byliście w tym czasie aktywni, nie straciliście zbyt wiele energii. Nadal jesteście silni. Jak zaznaczyłem, opowiadając wam o przygodzie Bethany na morzu, bez jedzenia można wytrzymać nawet trzy tygodnie.  
Dowiedziawszy się, ile czasu przeżyła bez picia i jedzenia, Amanda poczuła, że znowu kręci się jej w głowie.  
— Wbrew powszechnej opinii dwa albo trzy dni bez jedzenia w ogóle nie zagrażają życiu — zapewnił ich głos. — Wiemy, że ludzie pozbawieni pożywienia pokonywali w tym czasie wielkie odległości.  
Viv weszła zgodnie z poleceniem do jadalni, ale zamiast się tam zatrzymać, zajrzała do kuchni.  
Domyślając się, o co jej chodzi, Amanda i pozostali ruszyli za nią. Patrzyli, jak Viv wkłada gumowe rękawice, których używała wcześniej, i otwiera lodówkę. Była pusta. Zajrzała do wszystkich szafek, ale tam również niczego nie znalazła. Odkręciła kran przy zlewozmywaku. Nie działał.  
— Post oczyszcza — powiedział głos. — A teraz wejdźcie do jadalni i nałóżcie słuchawki. W przeciwnym razie nie wypuszczę was na zewnątrz.  
Znęceni nagrodą, zrobili, co im kazał.  
Amanda nałożyła słuchawki i czapkę. Kiedy przeciągała koński ogon przez otwór z tyłu czapki, głos w słuchawkach wydawał się niepokojąco intymny.  
— Schowajcie odbiorniki GPS do kieszeni. Pamiętajcie, żeby je chronić. Będziecie ich potrzebowali.  
Wszyscy ponownie wykonali polecenie, wpatrując się we frontowe drzwi.

— Teraz opowiem wam o „Łowcy” — oznajmił głos. — W roku dwutysięcznym prezydent Clinton podpisał ustawę, zgodnie z którą ogólnie dostępne odbiorniki nawigacji satelitarnej mogą określać odległość z dokładnością do dziesięciu stóp, prawie tak samo precyzyjnie jak odbiorniki wojskowe. Przedtem użytkownicy cywilni mogli odbierać sygnały, które umożliwiały lokalizowanie obiektów z dokładnością do dwudziestu pięciu stóp. Większa precyzja zarezerwowana była dla wojska. Prawie natychmiast ktoś z Oregonu zamieścił na stronie internetowej pewne współrzędne i wyjaśnił, że każdy kto za pomocą GPS-u przeszuka wyznaczony teren, ma szansę odnaleźć ukryty skarb. Skarb był metalową puszką z błyskotkami, lecz nie o to chodziło. Celem nie było to, co znajdowało się w puszcze, ale sama przyjemność łowów. Nawet dysponując współrzędnymi pozwalającymi zlokalizować cel z dokładnością do dziesięciu stóp, niełatwo było ją odnaleźć.

Amanda przywykła do tego, że głos przemawiał do nich z sufitu. Teraz, słysząc go w słuchawkach, miała wrażenie, że rozbrzmiewa w środku jej głowy.

— Z Oregonu ta wersja zabawy w szukanego rozprzestrzeniła się na cały świat. Jest podobna do starej gry określanej mianem „letterboxing”, ale wersji z GPS-em nadano nazwę „geocaching”. Gracze zaglądają na stronę internetową, by poznać współrzędne jakiejś kryjówki na obszarze, który mają ochotę penetrować. Wpisują te współrzędne do swoich GPS-ów i kierując się ich wskazaniem, docierają do miejsca, które trzeba przeszukać. Często obiekt ukryty w porośniętym drzewami albo usłanym kamieniami miejscu o promieniu dziesięciu stóp jest tak mały lub dobrze zamaskowany, że nie sposób go odnaleźć. Niekiedy wygląda jak owad, na przykład konik polny. Trzeba uważnego spojrzenia, by odkryć, że konik polny się nie porusza. Obiekt może też być podobny do kamyka i dopiero po dokładniejszym zbadaniu okazuje się, że jest wydrążony, a w środku znajduje się tani pierścionek lub

jakiś inny tak zwany skarb. Gracz, który go odnajdzie, zostawia na jego miejscu coś podobnego albo po prostu list i zawiadania o swojej wygranej na stronie internetowej, na przykład [www.geocaching.com](http://www.geocaching.com). Im więcej zlokalizuje kryjówek, tym większym cieszy się poważaniem. Zaledwie parę lat po podpisaniu ustawy przez prezydenta Clintona w dwustu dziewiętnastu krajach ukryto ćwierć miliona skarbów. Na razie wszystko jasne?

— Bynajmniej — odparł gniewnie Ray. — Nie powiedziałaś nam jeszcze...

— Nie tak głośno, Ray. Nie krzyczysz już do sufitu. Musisz tylko mówić wyraźnie. Mikrofon przy twoim policzku zapewni właściwy poziom dźwięku.

— Ale co chcesz, żebyśmy...

— Podejdźcie do frontowych drzwi.

Zamek w drzwiach zabrzęczał i zasuwa się otworzyła. Amanda poczuła, że cała się sprężyła.

— Możecie je teraz otworzyć — powiedział głos.

— Najpierw sprawdzę, czy nie porazi mnie prąd. — Viv dotknęła gumową rękawicą klamki. Nie widząc żadnych iskier, nacisnęła ją i uchyliła drzwi.

Do środka wpadło słoneczne światło i świeży powiew wiatru.

— Cholera, całkiem tu miło — stwierdził Derrick i wyszedł wraz z Viv i Rayem na zewnątrz.

Po chwili wahania Amanda i Bethany ruszyły za nimi.

## 2

Na dworze było ciepło. Przed sobą mieli porośniętą trawą i krzakami bylicy pofałdowaną równinę. Amanda nigdy jeszcze nie znajdowała się na otwartej przestrzeni. Przez całe życie mieszkała w miastach, gdzie budynki odsłaniały tylko jakąś część nieba. Drzewa w parku w podobny sposób ograniczały widok. Tutaj pejzaż zapierał dech. W oddali wznosiły się zaśnieżone góry, ale w ogóle nie zasłaniały nieba.

— Jak widzicie, znajdujecie się w dolinie otoczonej przez góry — wyjaśnił głos w jej uchu. Zauważyła, że wszyscy słuchają z uwagą. — Daleko po prawej stronie możecie dostrzec przełęcz między górami. To jedyne wyjście z doliny. Nie radzę iść w tamtą stronę.

Derrick zerknął w stronę przełęczy.

Budynek, od którego się oddalali, przypominał Amandzie wzniesiony z bali domek myśliwski, który widziała w jakimś czasopiśmie. Zauważyła, że Viv schowała gumowe rękawice do kieszeni kombinezonu. Trzeba chomikować wszystko, co może się przydać, pomyślała. Im dalej odchodziła od domu, tym bardziej onieśmielał ją rozległy teren.

— Wyjmijcie, proszę, wasze GPS-y i włączcie je — powiedział głos.

Polecenie wykonali wszyscy oprócz Amandy, która z obawą przyglądała się nieznanemu urządzeniu.

— Gdzie tutaj...

— Z prawej strony — poinformował ją Derrick. — Dwa przyciski. Trzeba wcisnąć dolny. Ten z symbolem żarówki.

Amanda nacisnęła przycisk i usłyszała brzęczenie. Na ekranie ukazał się obrazek globu z krążącymi wokół niego satelitami.

— Głównie ze względu na Stany Zjednoczone i ich wojskowe potrzeby w przestrzeni okołoziemskiej krąży wiele satelitów systemu nawigacji. Rząd przyznaje się do dwudziestu sześciu — oznajmił głos. — Wasze odbiorniki muszą nawiązać łączność z trzema. Większa liczba poprawiłaby precyzję, ale trzy w zupełności wystarczą. W tej dolinie na ogół udaje się nawiązać łączność z pięcioma. Satelity znajdują się trzydzieści mil nad nami. Wysyłają sygnały o mocy zaledwie pięćdziesięciu watów, lecz mimo to są zaskakująco dokładne.

Amanda zobaczyła słupki, które pokazały się na dole ekranu. Pięć z nich pociemniało.

— GPS-y pracują najlepiej na otwartej przestrzeni — podjął głos. — Budynki i gęsty las zakłócają sygnały. Teraz, kiedy wyszliście z domu, odbiorniki zarejestrowały waszą aktualną pozycję. Zapamiętajcie następujące współrzędne. Wskazują wasz cel, tam musicie się udać — wyjaśnił głos, po czym podyktował serię liczb.

Zdezorientowana Amanda patrzyła, jak Ray, Bethany, Derrick i Viv wciskają przyciski na swoich odbiornikach.

— Nie tak szybko — zaprotestowała Bethany, poprawiając mikrofon. — Powtórz drugą serię liczb.

Głos spełnił jej prośbę.

— W porządku.

Amanda nadal nie mogła się w tym połapać.

— To łatwe — mruknęła ze zniecierpliwieniem Viv, biorąc do ręki jej odbiornik. — Przyciski po obu stronach przewijają

główne strony, na których są zaznaczone opcje: kompas, wysokościomierz i mapa.

— U mnie nie ma mapy — powiedział Ray.

— U mnie też nie — stwierdziła Bethany.

— Znakomicie. Zatem nadal nie wiemy, gdzie jesteśmy. — Viv pokazała Amandzie, jak działa każdy przycisk. — Kiedy się trochę wprawisz, łatwo zapamiętasz, do czego służą. Teraz wpiszę ci współrzędne.

Pokazała, jak to się robi, i oddała Amandzie odbiornik.

— Wspaniale — skomentował głos. — Ożywia was duch współpracy.

— Zrobię wszystko, żeby się stąd wydostać — mruknęła Viv.

— To zależy od tego, jak się wszyscy spisiecie. Czterdzieści godzin... — powiedział głos i na chwilę przerwał, jakby coś sprawdzał — ...zaczyna się w tej chwili.

Wszystcy zamarli w bezruchu.

— Radzę wam nie tracić czasu — ostrzegł głos.

Nikt się nie ruszył.

— W miejscu, którego współrzędne wam przed chwilą podałem, znajdziecie coś przydatnego.

— Wodę? — zapytała Bethany. Jej kombinezon był trochę luźny i wydawała się przez to jeszcze chudsza.

— Żywność? — chciał wiedzieć Ray.

Głos nie odpowiedział.

— Hej, jeżeli jest tam woda i żywność, chodźmy — powiedział Derrick, zerkając na swój odbiornik.

Amanda zrobiła to samo. Na wyświetlaczu czerwona strzałka kompasu wskazywała kierunek. W okienku oznaczonym symbolem DIST TO DEST widniała odległość: 1 mila.

— W tym trybie kompas nie pokazuje północy, lecz punkt, którego współrzędne wpisaliśmy — wyjaśniła Viv. — Wygląda na to, że mamy iść w stronę tamtej kępy drzew.

Amanda zauważyła, że drzewa rosną po przeciwnej stronie



niż przełęcz, przez którą można się było wydostać z doliny. Zgadywała, że inni myślą to samo co ona. Kiedy tylko znajdzie się dość daleko od budynku, który był teraz niewidoczny, poszuka możliwości ucieczki.

Miny pozostałych zdradzały, że mają podobne zamiary.

Ruszyli z miejsca. Pod stopami Amandy chrzęściła zeschnięta, brązowa trawa. Słońce raziło ją w oczy. Mimo że grzało dość mocno, przeszedł ją zimny dreszcz. Idąc parę kroków za resztą, zauważyła, jak nienaturalnie wygląda połączenie kolorów ich kombinezonów: niebieskiego, zielonego, szarego, czerwonego i brązowego. Gdy rozejrzała się dookoła, poczuła, że przytłacza ją przestwór nieba.

Nagle jakiś ruch przyciągnął jej uwagę. Coś wyskoczyło z zarośli. Królik. Biegąc zygzakami, oddalał się od nich. Nie widziała w życiu zbyt wiele dzikich królików i stanowiło to miłe urozmaicenie.

Z jakiejś rozpadliny wyskoczyło większe zwierzę i zaczęło ścigać królika. Amanda myślała z początku, że to wilk, lecz żaden z wilków, które widziała, nie miał takiej ciemnej sierści. To był pies, zdziczały pies. Razem z przerażonym królikiem zniknął w dole zbocza.

Nikt się nie odzywał. Uderzyło ją, że kiedy byli w domu, bez ogródek mówili, co myślą, lecz teraz, na otwartym terenie czuli się jacyś skrupowani. Słyszać było tylko odgłos kroków.

— Czy ktoś widział „Północ — północny zachód”? — zapytała nieoczekiwanie Bethany.

Jej głos, który można było słyszeć bezpośrednio i w słuchawkach, miał w sobie coś schizofrenicznego.

Nie wiem, jak długo zdołam to znieść, pomyślała Amanda. Gdzie jesteś, Frank? Boże, nie pozwól mu umrzeć. Zwariuję, jeśli zginął.

Chyba już zwariowałam. Uświadomiła sobie z przerażeniem, że mówi do siebie w drugiej osobie, co również zatracąco o schizofrenię.

Pytanie Bethany zaskoczyło pozostałych. Było równie nie-  
stosowne jak kosztowne pierścionki, naszyjnik i bransoletka  
przy jej kombinezonie.

— To ten film z Carym Grantem na Mount Rushmore? —  
zapytał Ray, zdając sobie sprawę, że są podsłuchiwani.

— Tak. W skalnej ścianie wyryte są twarze czterech pre-  
zydentów — mruknął zgnębionym tonem Derrick. — Wi-  
działem „Północ — północny zachód” na studiach. Dranie  
ścigali Cary’ego Granta i... jak ona się nazywała... Eve Marie  
Saint po tych wyrzeźbionych w skale twarzach.

— Trochę wcześniej Grant wysiada z autobusu przy polu  
kukurydzy — powiedziała Viv.

Amanda wyczuła zmianę tonu. Ich wypowiedzi były teraz  
mniej ostrożne, zupełnie jakby mieli nadzieję, że rozmowa o  
czymś znanym przywróci im poczucie normalności.

— Przy polu kukurydzy — potwierdziła Bethany. — Tak.  
Grant wysiada z autobusu na kompletnym odludziu. Powie-  
dziano mu, że z kimś się spotka i uzyska ważną informację.

Wysoko nad nimi krążyły dwa wielkie ptaki.

— To kondory — powiedział Derrick.

— Więc Grant wysiada z autobusu — Bethany podjęła  
bezpieczny wątek filmu — i po dłuższym czasie przejeżdża  
tamteży samochód. Grant dalej czeka. Przed sobą ma pole  
kukurydzy. Stoi na wiejskiej drodze ubrany w elegancki  
garnitur, przez co sytuacja wydaje się jeszcze dziwniejsza.

Trawa chrzęściła pod stopami maszerujących. Nagle Aman-  
da zobaczyła przed sobą parów.

— W końcu drogą wzdłuż pola nadjeżdża pick-up —  
mówiła dalej Bethany. — Dzieje się to po jakiejś minucie,  
podczas której Grant tylko tam stoi. Kobieta, która kieruje  
pick-upem, wysadza farmera i odjeżdża. Farmer i Grant  
pozdrawiają się skinieniem głowy. W tle słyszymy warkot  
samolotu opryskującego kukurydzę. Po chwili pojawia się  
kolejny autobus, farmer wsiada do niego, ale przedtem mówi

Grantowi, jakie to dziwne, że samolot opryskuje pola, na których nic nie rośnie. Grant zaczyna się zastanawiać. Autobus odjeżdża. Grant namyśla się jeszcze chwilę i zerka na samolot, który leci w jego stronę. I nagle Grant rusza biegiem w kierunku pola kukurydzy, a z samolotu sypie się na niego grad pocisków z karabinu maszynowego.

— Zgadza się! — powiedział Derrick. — Grant chowa się między rzędami kukurydzy. Pilot opryskuje go sztucznym nawozem, środkami owadobójczymi, czy co tam jeszcze ma w lukach, i Grant się dusi.

Amanda spostrzegła, że zbliżyli się do parowu.

— Czytałam gdzieś — powiedziała Bethany — że Hitchcock zrobił kilka filmów, których akcja toczy się w budzących grozę zamkniętych pomieszczeniach, na przykład w tym strasznym starym dworku w „Rebecce”. Ale w „Północy — północnym zachodzie” chciał spróbować czegoś odwrotnego: pokazać, jak przerażający może być otwarty teren.

Zatrzymali się na skraju parowu.

— Tak tu cicho. — Ray obrócił się i popatrzył na dolinę i przysypane śniegiem góry. — Przywykłem do hałasu odrzutowców, samochodów, wielkiego miasta. Do aktywności. Do tego, że dużo się dzieje.

— Wydaje mi się, że znowu jestem w tym okropnym pontonie. — Głos Bethany brzmiał tak, jakby język przykleił się jej do podniebienia. — A wokół tylko ocean i niebo. Tak tu cholernie cicho.

— Dla mnie i Derricka to nie pierwszyna — stwierdziła Viv. — Bardzo często jesteśmy w podobnych miejscach. W innych okolicznościach czułabym się jak w raju.

— Rzeczywiście, jak w raju — mruknęła z przekąsem Bethany. — Jak daleko waszym zdaniem mogą być te góry?

— Trudno powiedzieć — odparł Derrick. — Może dziesięć mil. Może więcej. Na otwartym terenie oczy mogą płać figle.

Ray wcisnął przycisk na swoim GPS-ie.

— Wysokościomierz podaje, że jesteśmy na wysokości pięciu tysięcy pięciuset stóp — powiedział i spojrzał na Bethany. — Mię nad poziomem morza. Jeżeli do tego nie przywykłaś, wysokość jest kolejnym powodem, że odczuwasz pragnienie.

— Chce mi się pić, bo ten sukinsyn nie dał nam wody.

— Cicho — ostrzegła Viv. — On słyszy wszystko, co mówimy.

Bethany poprawiła daszek czapki tak, by bardziej osłaniał oczy.

— Słońce jest tak jaskrawe, że gotują mi się kontakty w oczach. Hej, ty tam! Słuchasz nas?

Żadnej odpowiedzi.

— Mogłeś nam przynajmniej dać okulary przeciwsłoneczne! Nadal cisza.

— Może skurczybyk wcale nas nie słucha. — Bethany rozejrzała się dookoła. — Myślicie, że są tam gdzieś kamery?

Amanda nie miała co do tego wątpliwości. Ale Bethany nie czekała, aż ktoś odpowie na jej pytanie.

— Gdzie? Na tych drzewach, do których idziemy? — za pytała. — A może są zamontowane na domu? Albo na słupach, z których widać całą dolinę?

Zeszli na dół, wzbijając kurz. Parów miał mniej więcej pięć stóp szerokości i sięgał ponad ich głowy. W półmroku panował przyjemny chłód.

— Kiedyś uwielbiałam żeglować, nie mogłam się doczekać, żeby wypłynąć na morze i dookoła widzieć tylko horyzont — stwierdziła niepewnym głosem Bethany. — Miałam wtedy wrażenie, że zbliżam się do Boga czy coś w tym rodzaju — dodała i zadrżała. — Ale po dwóch tygodniach spędzonych w tej gumowej łódce otwarta przestrzeń wyssała ze mnie duszę. Od tego czasu nie zbliżam się do wody. Trudno jest przekonać ludzi, żeby kupili jacht, komuś, kogo przeraża sama myśl, że mógłby się na nim znaleźć.

Wzbijając obłoczki pyłu, Amanda wspięła się na drugą stronę parowu. Kurz, który osiadł na jej wargach, miał gorzki smak. Gdy dołączyła do stojących w słonecznym skwarze Raya, Derricka i Viv, zdała sobie sprawę, że kogoś brakuje.

Odwrociła się i zobaczyła, że Bethany patrzy na nich z dna parowu.

— Tu na dole jest chłodno i przyjemnie — powiedziała.

— To nie jest ocean — stwierdził z naciskiem Derrick. — Stoisz na twardym gruncie. Ziemia nie kołysze ci się pod stopami.

— Może pod twoimi stopami się nie kołysze. Ale ja nie czuję się pewnie, odkąd się obudziłam. W tym budynku miałam przynajmniej wokół siebie ściany.

— Potraktuj góry jako ściany.

Bethany potrząsnęła głową ze smętnym wyrazem twarzy.

— Coraz bardziej chce mi się pić.

— Głos powiedział, że w miejscu o współrzędnych, które nam podał, jest woda.

— Nie! — zaprzeczyła Bethany. — Głos powiedział, że znajdziemy tam coś, co się nam przyda. Cokolwiek to oznacza. Nie mówił nic o wodzie. Słyszemy to, co chcemy usłyszeć — dodała, zdejmując z głowy słuchawki.

— Chodź na górę — powiedziała Viv.

— Z każdą godziną będziemy coraz słabsi — stwierdziła Bethany, po czym spojrzała z odrazą na słuchawki i rzuciła je na ziemię.

— Nie — mruknął Derrick.

— Co może mi zrobić ten sukсын? — Bethany rozpostarła ręce niczym ruchomy cel. — Zastrzelić mnie? Jak? Nie widzi mnie tu na dole!

Amanda poczuła nagle dreszcz między łopatkami; zdała sobie sprawę, że Bethany miała rację. Rozejrzała się dookoła. Wszędzie mógł się ukrywać snajper: w kępach bylicy, za

drzewami, do których zmierzali, za piętrzącymi się obok skałami. Na otwartej przestrzeni wszyscy byli łatwymi celami.

— Wykorzystajcie szansę — nalegała Bethany. — Jeśli rozbiegniemy się w różnych kierunkach, to czy uda mu się wszystkich śledzić? Jak ma zamiar nas zatrzymać? Nie potrafi tego zrobić.

Przedstawiona przez nią logika była kusząca. Dopóki trzymamy się razem, nie mamy najmniejszych szans, pomyślała Amanda. O mało nie przyznała Bethany racji i nie zesłała z powrotem do parowu. Coś jednak ją powstrzymało: przekonanie, że sytuacja nie jest tak prosta, jak utrzymywała Bethany, że nie wystarczy, by pięć osób uciekło w pięciu różnych kierunkach.

Wróciła jednak do parowu, ale nie po to, żeby przyłączyć się do Bethany, lecz by ją powstrzymać.

— Mam złe przeczucie — powiedziała, kładąc jej rękę na ramieniu. — Nie rób tego.

— Przecież głos powiedział, że mamy być samodzielni, prawda? — Bethany strąciła dłoń Amandy z ramienia i odwróciła się w prawo. Zadrżała, wzięła głęboki oddech i ruszyła dnem parowu. Po chwili przyspieszyła kroku. Amanda zorientowała się, że jeżeli parów będzie biegł przez cały czas w tym samym kierunku, doprowadzi ją do wylotu doliny.

Bethany zniknęła za zakrętem, wzniesając za sobą tuman kurzu. Amanda słuchała przez chwilę jej oddalających się kroków, a potem spojrzała na Raya, Derricka i Viv. Nie wiedziała, co robić.

— Chcecie pójść w jej ślady? — zapytał nagle głos i Amanda skrzywiła się, słysząc go z tak bliska. — Zawsze jest szansa, że jej się uda. Nie chcecie zaryzykować?

Nikt nie odpowiedział.

— A ty, Amando?

— Skąd on, do diabła, wie, co robimy? — mruknął Ray.  
— Skoro nie, ruszajcie rozkazał głos. — Macie mało czasu. Nie traćcie go.

Amanda spojrzała w stronę zakrętu, za którym zniknęła Bethany.

— To fatalnie, że zdjęła słuchawki — powiedział głos. — Nie mogę spróbować przemówić jej do rozsądku.

— Skąd on wie? — powtórzył Ray.

Amanda pochyliła się, podniosła z ziemi słuchawki Bethany, zdmuchnęła z nich kurz i przyjrzała się z bliska pałakowi i mikrofonowi.

— Mikrofon... — szepnęła zdesperowana.

— Bravo! — powiedział głos.

— Mikrofon? — zapytał ze szczytu zbocza Derrick. — Coś jest z nim nie tak?

— To nie tylko... — wykrztusiła z trudem Amanda.

Viv ściągnęła z głowy swoje słuchawki i przyjrzała się mikrofonowi.

— Mój Boże, to kamera — powiedziała i wzburzona rzucała je na ziemię.

— Derrick, każ swojej żonie podnieść słuchawki — poleciał głos.

Derrick stał jak sparaliżowany.

— Każ swojej żonie podnieść słuchawki — powtórzył głos.

— Viv, on chce, żebyś podniosła słuchawki.

— Nie.

— Odsuńcie się od niej wszyscy — rozkazał głos.

Derrickowi stężyły rysy.

— Co masz zamiar zrobić?

— Nauczyć was, że nie będę niczego powtarzał dwa razy.

Odsuńcie się od niej.

Derrick podniósł szybko słuchawki z ziemi i wcisnął je w dłonie Viv.

— Nałóż je.

Widząc lęk w jego oczach, Viv wzruszyła ramionami i posłuchała.

— Amando, wyjdź z parowu — rozkazał głos. — Dołącz do pozostałych. Spójrz na wschód.

— Na wschód?

— W stronę wylotu doliny — wyjaśnił Ray.

Amanda poczuła, jak chłód ściska jej serce.

— W tamtym kierunku poszła Bethany.

Zaczęła się wspinać po zboczu. Ziemia osypywała się spod butów, ale udało się jej na czworakach wdrapać na górę. Wyprostowała się i przyjrzała nitce parowu, wijącej się wśród traw i zarośli w stronę odległej przełęczy. Co jakiś czas migała tam szara czapka i ramiona biegnącej Bethany.

Uświadomiła sobie, że w głosie, który odzywał się w słuchawkach, słychać było rezygnację.

— Zaczekaj! — zawołała. — Mówiłeś, że to fatalnie, że zdjęła słuchawki. Że chciałeś przemówić jej do rozsądku. Gdybym zdołała ją dogonić... — Ogarnięta straszliwym przeczuciem zaczęła szybciej oddychać. — Gdybym zdołała ją zatrzymać...

— Tak?

— Dasz mi sprowadzić ją z powrotem?

Głos nie odpowiedział.

Nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi, Amanda puściła się biegiem.

— Bethany! — wołała. — Zatrzymaj się!

Jej słowa ginęły w pustce. Biegnąc po kruchej trawie, minęła krzaki bylicy, wysoki do kolan głąz i karłowatą sosnę.

— Bethany!

Ale Bethany pędziła dalej dnem parowu. Jej szara czapka i ramiona były trochę lepiej widoczne. Ani razu się nie obejrzała.

— Stój! — Ogarnięta lękiem Amanda przyspieszyła kroku. — Posłuchaj mnie! — zawołała, z trudem chwytając powietrze, które drapało ją w gardle.



Parów robił się coraz płytszy. Teraz było widać Bethany od pasa w górę. Biegła w stronę odległego prześwit w górskim paśmie.

— Stój! — krzyknęła ponownie Amanda. Kombinezon przykleił się jej do spoconego ciała. Starła się maksymalnie wydłużyć krok. — On wie!

Parów był teraz tak płytki, że widać było biodra Bethany. Brak osłony wzmógł jej desperację. Pędziła w stronę piaszczystej niecki, w której podczas deszczu prawdopodobnie gromadziła się woda. Po jej drugiej stronie zaczynał się kolejny parów.

— Nie zatrzymasz jej! — odezwał się głos w uszach Amandy.

— Próbuję. — Amanda starała się jeszcze bardziej przyspieszyć kroku.

W połowie zagłębienia Bethany najwyraźniej straciła siły. Zwolniła i obejrzała się. Jej piersi unosiły się szybko.

— On może ci coś zrobić! — zawołała Amanda. — Nie wiem co, ale...

Twarz Bethany lśniła od potu. Potrząsnęła gwałtownie głową, a potem spojrzała na drugi brzeg niecki i pobiegła w stronę kolejnego parowu.

— Nie rób tego! — Prośba Amandy skierowana była w równym stopniu do Bethany co do głosu.

— Otwarta przestrzeń — mruknął głos. — To było tylko kwestią czasu.

Amanda nie mogła już szybciej biec. Bethany oddalała się od niej, podobnie jak prześwit w górskim paśmie.

— Lepiej, że doszło do tego dość szybko — oznajmił głos. — Dzięki temu pozostali przekonają się, że nie powinni tracić sił i czasu na jałowe wysiłki.

— Nie!

— Ale jestem rozczarowany, że mnie nie zaskoczyła. Kiedy Bethany dotarła do wylotu parowu, Amanda usłyszała huk i poczuła falę uderzeniową. Odziane w szary kombinezon

ciało Bethany eksplodowało w czerwonym tumanie. Jej ręka poleciała w jedną stronę, głowa w inną, kolejne części spadały na ziemię w krwawej mgiełce.

Amanda zatoczyła się i stanęła. Słuchawki ochroniły w pewnym stopniu bębenki, ale i tak dzwoniło jej w uszach. Zszokowana patrzyła, jak nagły podmuch wiatru porywa w górę krwawy tuman. A potem mgła opadła w dół i krew skropiła ziemię.

Amanda miała wrażenie, że ktoś zbił ją z nóg nagłym kopnięciem. Osunęła się na kolana. Łzy płynęły jej po twarzy, paląc policzki.

### 3

„Osobliwe są te moczary”.

Skulony na tylnym siedzeniu taksówki Balenger wpatrywał się w tekst kserokopii i zastanawiał, o co, u licha, może w nim chodzić. Wyblakła pieczętka należała do DZIAŁU NAUK HUMANISTYCZNYCH I SPOŁECZNYCH BPNJ. Domyślił się, że skrót oznacza Bibliotekę Publiczną Nowego Jorku. Zadzwoił z komórki na informację i dowiedział się, że dział nauk humanistycznych i społecznych biblioteki mieści się na rogu Czterdziestej Drugiej Ulicy i Piątej Alei.

Najbliższą aleją prowadzącą z Greenwich Village na północ była Avenue of the Americas. Przebijanie się przez korki trwało wieki. Zniecierpliwiony ciągłym trąbieniem, hamowaniem i dodawaniem gazu, Balenger kazał w końcu kierowcy zatrzymać się na rogu Czterdziestej Ulicy. Zapłacił za kurs i ruszył biegiem. Był zadowolony, że może w ten sposób rozładować napięcie.

Wysiadł z taksówki nie tylko z powodu zniecierpliwienia. Nadal był wstrząśnięty pożarem w teatrze. Ktoś za wszelką cenę chciał uniemożliwić odnalezienie Amandy i z całą pewnością nie dawał za wygraną.

Niepokój kazał mu przyspieszyć kroku. Od jakiegoś czasu wydawało mu się, że jest obserwowany. Obejrzał się za siebie

i sprawdził, czy ktoś nie wysiadł z innej taksówki i nie podąża w tym samym kierunku. Nikt jednak go nie śledził. Gdy ponownie się odwracał, o mało nie wpadł na mężczyznę z teczką. Minął go i przebiegł przez skrzyżowanie z Czterdziestą Pierwszą. W tej samej chwili światło zmieniło się z zielonego na czerwone i jakaś ciężarówka przejechała z rykiem klaksonu tak blisko, że poczuł pęd powietrza.

Przed sobą widział ludzi siedzących na ławkach w parku Bryanta. Obejrzał się ponownie przez ramię, ale i tym razem nie zauważył, by ktoś go śledził. Wszyscy czekali na światłach.

Skręciwszy w prawo, pobiegł w stronę Piątej Alei i dotarł do biblioteki, masywnego kamiennego gmachu z szerokimi schodami i wspartym na kolumnach portykiem, którego strzegły dwa marmurowe lwy.

Po przejściu przez obrotowe drzwi znalazł się w wielkim holu. Ludzie czekali, aż ochroniarz skontroluje ich torebki, plecaki i tecki. Ocierając pot z czoła, zdał sobie sprawę, że przyciąga zaciekawione spojrzenia. Stał w kolejce i znów obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt za nim nie wbiegł. Po kilku chwilach udało mu się uspokoić oddech. Wysokie sklepienie i kamienna posadzka upodabniały hol do kościelnej nawy, ale nie zwracał na to uwagi, skoncentrowany wyłącznie na wchodzących ludziach.

W końcu strażnik wpuścił go do środka. Balenger zapytał o drogę, wspiął się na drugie piętro i podszedł do stanowiska informacji.

— Czy mogę panu w czymś pomóc? — zapytała kobieta w okularach.

— Mam nadzieję. — Balenger podał jej kserokopię. — Orientuje się pani może, skąd to pochodzi?

Bibliotekarka nasunęła na nos okulary i przeczytała fragment.

Osobliwe są te moczary — rzekł, rozglądając się dookoła po falistej równinie, przeciętej skalistymi grzbietami, które przybierały w oddali postać fantastycznych bałwanów morskich. — Ich widok nigdy nie spowszednieje. Takie rozległe, tajemnicze. Nie ma pan pojęcia, jakie się w nich kryją dziwne niespodzianki.

— Całą resztę zaczerniono — stwierdziła zdziwiona.

— To taka zabawa — powiedział zadowolony, że znalazł proste wytłumaczenie.

Bibliotekarka pokiwała głową.

— Tak, już się z tym zetknęłam. W zeszłym tygodniu ktoś przyszedł do nas z wykazem do zabawy w szukanego. Miał znaleźć konkretną powieść, ale jedyna wskazówka, jaką mu dano, brzmiała: „Słońce też zachodzi”. Uznaliśmy w końcu, że chodzi o „Słońce też wschodzi” Hemingwaya.

Balengerowi przyszło do głowy, że akapit rzeczywiście stanowi fragment gry, najokrutniejszej, jaką można sobie wyobrazić.

— Sęk w tym, że chociaż często ludzie uważają nas za główny oddział nowojorskiej biblioteki, jesteśmy właściwie placówką badawczą — powiedziała kobieta. — Nie wypożyczymy książek. Czytelnicy mogą z nich korzystać tylko na miejscu. Musiałam odesłać gracza do naszego oddziału przy Czerdziestej Ulicy — dodała, w dalszym ciągu studiując kserokopię. — „Osobliwe są te moczary”. Ciekawe. — Zastanawiała się przez chwilę, a potem dała znak mężczyźnie siedzącemu obok przy komputerze. — Bronte czy Doyle? — zapytała, kiedy do niej podszedł.

— Mnie też przychodzi na myśl tylko tych dwoje — potwierdził mężczyzna, przeczytawszy akapit.

— Nie wydaje mi się, żeby to była Bronte — powiedziała kobieta.

— Chyba nie. Ma bardziej emocjonalny styl.  
Balenger spojrział na kobietę pytająco.

— Kiedy mowa o moczarach, na myśl przychodzą dwie powieści. Akcja „Wichrowych wzgórz” Emily Bronte rozgrywa się na wrzosowiskach Yorkshire, w północnej Anglii. To bardzo nastrojowa książka — Heathcliffe chodzi po moczarach i rozmawia z duchem Cathy, tego rodzaju klimaty. Tutaj przeciwnie, cały opis przyrody mieści się w jednym zdaniu: „Po falistej równinie, przeciętej skalistymi grzbietami, które przybierały w oddali postać fantastycznych bałwanów morskich”. Daje to jakieś pojęcie o miejscu akcji, ale tak naprawdę autora obchodzą wyłącznie „dziwne niespodzianki” ukryte na wrzosowiskach. Na tym się koncentruje. Nie zdziwiłabym się, gdyby to był autor kryminałów. Moim zdaniem to sir Arthur Conan Doyle. Autor „Psa Baskerville'ów”.

— „Psa Baskerville'ów”?

— Dartmoor leży w Devonshire w Anglii. Tam właściwie toczy się akcja powieści. W gruncie rzeczy to jedna z najbardziej znanych powieściowych scenerii. Jak już wspomniałam, nie wypożyczamy książek, ale jeżeli przejdzie pan do czytelni... — bibliotekarka wskazała za siebie —...ktoś przyniesie panu egzemplarz.

Balenger przez cały czas pamiętał, że ma mało czasu. Dziękując bibliotekarce, starał się zachować spokój. Kryminał Doyle'a znał wyłącznie z czarno-białego filmu z Basilem Rathbone'em. Pamiętał, że był mroczny, ponury, a jego akcja rozgrywała się w dzikim, bagnistym terenie, nad którym unosiła się mgła.

W przestronnej czytelni dominowały ciepłe kolory polerowanego przez dziesięciolecia drewna. Przy wejściu stał strażnik. Napis na ścianie przypominał o konieczności wyłączenia komórki.

Balenger zastosował się do polecenia i zamówił książkę Doyle'a. Uspokoił się nieco, gdy zobaczył, że w czytelni są

stanowiska komputerowe. Po uzyskaniu karty dostępu znaleźli wolne miejsce. Starał się spokojnie oddychać, lecz nie mógł się oprzeć, by nie pomasować obolałego lewego przedramienia. Uznał, że musiał urazić się w nie podczas pożaru. Podciągając rękawy marynarki i koszuli, zobaczył, że miejsce, w którym dokonano nakłucia, poczerwieniało i spuchło. Może wdało się zakażenie, pomyślał. Niewykluczone, że będzie potrzebował antybiotyku.

To był najmniejszy z jego kłopotów. Kiedy wpatrywał się w klawiaturę komputera, zadrżały mu palce. Pomyślał o Amandzie. Dokąd ją porwali?

Nie wiedział, po co Karen Bailey zostawiła mu ten cytat ani w jaki sposób lektura powieści, z której pochodził (jeśli rzeczywiście był to „Pies Baskerville'ów”), pomoże mu odnaleźć Amandę. Starał się za wszelką cenę odgadnąć, co tekst miał mu zasugerować.

Może chodzi o sir Arthura Conana Doyle'a, pomyślał zdesperowany.

W takim razie dlaczego cała reszta strony, łącznie z nazwiskiem autora i tytułem książki, została zaczerwniona? Dlaczego pozostawiono sam cytat? Co w nim takiego było?

Moczary.

Ręce przestawały mu drżeć, kiedy dotknął palcami klawiatury. Wszedł na Google'a i wpisał DARTMOOR. Pojawiło się kilka adresów, w większości nieistotnych.

PARK NARODOWY DARTMOOR

ODKRYWANIE DARTMOOR

WYCIEZKI PO DARTMOOR

POGOTOWIE RATUNKOWE DARTMOOR

Dowiedział się, że Park Narodowy Dartmoor zajmuje dwieście pięćdziesiąt mil kwadratowych pagórkowatego obszaru, który opisywano jako ponury, niedostępny i pierwotny. Nad

niezamieszkanymi terenami przeważnie unosiła się mgła. Woda z częstych opadów gromadziła się w licznych grzędawiskach, co tłumaczyło potrzebę powołania Pogotowia Ratunkowego Dartmoor, na którego stronę internetową również zajrzał.

Czyżby ktoś porwał Amandę do Dartmoor w Anglii? Po co? W jakim celu? To do niczego nie prowadziło.

Więc dlaczego Karen Bailey tak zależało, żeby dostał tę kartkę?

Nagła myśl sprawiła, że się wyprostował. Mogła przecież ją wysłać pocztą. Wolała jednak to skomplikować. Kserokopia nie trafiłaby do niego, gdyby nie poszedł do teatru. Karen kazała mężczyźnie, który udawał profesora, żeby przekazał mu tę kartkę, tylko jeżeli się tam pojawi.

Czując pulsowanie w skroniach, obejrzał inne strony, które pojawiły się na ekranie monitora. Zdał sobie sprawę, że musi je wszystkie dokładnie sprawdzić, nie może z góry zakładać, że coś jest nieistotne.

SOKOLNICTWO DARTMOOR  
FESTIWAL FOLKOWY DARTMOOR  
SKRZYNKI POCZTOWE W DARTMOOR

Miał już zamiar przeskoczyć na następną witrynę, kiedy jego uwagę przyciągnął krótki tekst pod hasłem SKRZYNKI POCZTOWE:

Historia zabawy w szukanego zaczęła się w roku 1854 w Dartmoor, kiedy...

Te słowa poruszyły jakąś strunę w jego pamięci. Przypomniał sobie wykład o kapsułach czasu, w trakcie którego fałszywy profesor wspomniał, że w miejscach, gdzie utracono kapsuły, trwa coś, co można określić mianem zabawy w szukanego.



Otworzył szybko stronę. Tekst, który pojawił się na ekranie razem z fotografiami niskich wzgórz i granitowych ostańców, kazał mu pochylić się do przodu.

„Skrzynki pocztowe” to zabawa w szukanego wymyślona w 1854 roku, kiedy przewodnik po Dartmoor, niejaki James Perrott, postanowił skłonić turystów do dokładniejszego spenetrowania trudno dostępnych moczarów o nazwie Cranmere Pool. Chcąc, by turyści udowodnili, że rzeczywiście tam dotarli, Perrott schował słoik pod stosem kamieni przy brzegu. Każdy, komu udało się go odnaleźć, miał umieścić w nim wiadomość. Czasami zostawiano kartkę pocztową z własnym adresem. Turysta, który ją odnalazł, kładł na jej miejscu własną, a znaną wysyłał autorowi.

Z biegiem lat ta zabawa — podobna do poszukiwania skarbów — okazała się tak popularna, że zaczęto chować słoiki w innych miejscach grzędawiska. Później zastąpiono słoiki metalowymi i plastikowymi pojemnikami, które z racji tego, że zostawiano w nich listy, nazwano skrzynkami pocztowymi. Sto pięćdziesiąt lat po tym, jak James Perrott umieścił pierwszy słoik pod stertą kamieni, na rozległym terenie Dartmoor można naliczyć około 10 000 skrzynek pocztowych.

Pojemniki są przemyślnie ukrywane. Gracze docierają do nich, korzystając z podanych wskazówek, którymi czasami są współrzędne geograficzne, a innym razem zagadki i rebu-sy.

Po artykule zamieszczonym w 1998 roku w „Smithsonian Magazine” zabawa stała się popularna na całym świecie. W Ameryce w każdym stanie istnieją ukryte skrzynki pocztowe. Oczywiście nie każda jest odnajdywana. Gracze w Dartmoor trafiają czasami na dawno zaginione skrzynki,

zawierające wiadomości zostawione przez kogoś wiele lat wcześniej.

Balenger długo wpatrywał się w ekran. Wzmianka o dawno zaginionych skrzynkach, zawierających wiadomości zostawione przez kogoś przed laty, ponownie przypomniła mu wykład o kapsułach czasu. Fałszywy profesor oświadczył wówczas, że więcej kapsuł czasu ginie, niż jest odnajdywanych.

Miał wrażenie, że na chwilę przestało mu bić serce. Czy to mógł być zbieg okoliczności? A może Karen Bailey chciała, żeby znalazł ten artykuł? Po cóż innego podsuwałaby mu fragment o Dartmoor?

Nadal drżały mu ręce, zaczął się bowiem wreszcie domyślać, dlaczego porwano Amandę. Przypomniał sobie, co powiedziała bibliotekarka o grze w szukanie przedmiotów. Gra? Czyżby to wszystko było cholerną grą?

Opanował drżenie i wstał. Oddychając szybciej, podszedł do stanowiska, przy którym wydawano książki.

— Słucham pana? — zapytała kobieta z pasemkami we włosach.

— Nazywam się Frank Balenger. Zamówiłem „Psa Baskerville'ów”.

— Oczywiście. Zaraz sprawdzę. — Bibliotekarka uśmiechnęła się. — Już jest.

Książka miała starą, zatęchłą okładkę z pozaginanymi rogami. Balenger znalazł wolne krzesło przy jednym z wielu stołów. Chociaż był przekonany, że dobrze zapamiętał fragment powieści, wbił wzrok w kserokopię i zaczął przewracać kartki książki, koncentrując się na pierwszym zdaniu każdego akapitu i szukając słów „Osobliwe są te moczary”.

Znalazłszy je, odetchnął głośno. Na stronie czterdziestej

szóstej. W dwóch trzecich kartki. Ale to nie było wszystko. Na marginesie ktoś odbił pieczętką napis SARKOFAG ZIEMSKICH NAMIĘTNOŚCI.

Balenger przypomniał sobie nagle niezwykłą nazwą jednej z kapsuł czasu, o której opowiadał „profesor”: Krypta Cywilizacji. Sarkofag. Krypta. Czyżby kolejny zbieg okoliczności? Musiał przekonać się, czy to wszystko nie jest wytworem jego wyobraźni. Jedynym sposobem było sprawdzenie wszystkich znajdujących się w bibliotece egzemplarzy „Psa Baskerville’ów”. W tym dziale nie wolno było wypożyczać książek, ale Karen Bailey nie mogła wiedzieć, który z kilku egzemplarzy dadzą mu do czytania. Chcąc mieć pewność, że Balenger otrzyma wiadomość, musiała postawić pieczętkę z napisem SARKOFAG ZIEMSKICH NAMIĘTNOŚCI w każdym posiadanym przez bibliotekę egzemplarzu.

Balenger zerwał się z krzesła tak szybko, że inni czytelnicy spiorunowali go wzrokiem. Idąc do stanowiska bibliotekarki, nagle uświadomił sobie, że jest obserwowany, i spojrzął w stronę wejścia.

Rzeczywiście ktoś mu się przyglądał.

Ubrana w prostą sukienkę, tęga kobieta koło czterdziestki. Z upiętymi w kok czarnymi włosami, które nadawały jej surowy wygląd.

Karen Bailey.

## 4

Kiedy Balenger ruszył w jej stronę, kobieta odwróciła się i pobiegła korytarzem. Jego szybkie kroki zwróciły uwagę siedzących za stołami czytelników. Mijany przez niego strażnik skarcił go wzrokiem.

Znalazłszy się na korytarzu, Balenger rozejrzał się na wszystkie strony. Ani śladu po Karen Bailey. Kolejni ludzie oglądali się za nim z dezaprobatą, kiedy biegł w stronę schodów. Tu także jej nie było.

— Widział pan kobietę w granatowej sukience? — zwrócił się do mężczyzny z nylonową torbą na książki. — Tęga? Koło czterdziestki? Z włosami upiętymi w kok?

Mężczyzna przyjrzał się nieufnie podenerwowanemu Balengerowi, jakby podejrzewał, że grozi mu z jego strony jakieś niebezpieczeństwo.

— Hej, wy wszyscy! — zawołał Balenger do kręcących się po korytarzu osób. — Czy ktoś widział kobietę w granatowej sukience?

— Niech pan mówi ciszej — powiedział strażnik, wychodząc z czytelnikami.

Balenger pobiegł korytarzem. Po drodze zaglądał do różnych sal wystawowych. Po chwili dotarł do damskiej toalety i nie zastanawiając się długo, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Stojąca przy umywalce kobieta odwróciła się i otworzyła szeroko usta ze zdziwienia. Balenger pochylił się i zajrzał pod drzwiczkami do kabin. Dżinsy. Spodnie. Nie było granatowej sukienki.

Wybiegając z toalety, minął strażnika, który próbował go złapać.

— Karen Bailey! — wrzasnął. — Stój!

Ścigany przez strażnika, dotarł do schodów i zaczął zbiegać w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na pierwszym piętrze zobaczył szereg zamkniętych drzwi, które prowadziły do biur. Popędził na dół i zatrzymał się dopiero na widok Ortegi, który wchodził po schodach.

— Widziałem ją! — zawołał. — Karen Bailey! Jest w budynku!

Strażnik dogonił Balengera.

— Muszę pana prosić o wyjście.

Ortega wyciągnął policyjną odznakę.

— Ten pan jest ze mną.

— Zobaczyłem ją przy wejściu do czytelni — wyjaśnił Balenger. — W tej samej granatowej sukience. Z włosami upiętymi w kok. Kiedy ruszyłem w jej stronę, uciekła.

— Nie widziałem nikogo, kto pasowałby do tego opisu — stwierdził Ortega. — Niech pan każe swoim kolegom zablokować wszystkie wyjścia — polecił strażnikowi. — Zachowajcie ostrożność. Ta kobieta może być niebezpieczna. Wezwę posiłki — dodał, wyjmując komórkę.

Zbiegając wraz z Balengerem schodami, wydawał instrukcje przez telefon.

— Zostawiłeś mnie w tłumie — powiedział nagle, piorunując go wzrokiem. — Musiałem sam opowiedzieć o wszystkim strażakom. Może powinienem cię aresztować za utrudnianie śledztwa.

— Nie miałem wyboru. Mówiłem, że nie ma na to czasu. Nie mogłem czekać.

— Przez ciebie musiałem kłamać i kręcić, że pojechałeś do szpitala, żeby cię opatrzyli.

— Dzięki. Może zdołam ci to kiedyś wynagrodzić...

— Wyszedłem na kompletnego idiotę. Nie powinno się prowadzić takiej gry z kimś, kto chce ci pomóc.

— Moim zdaniem z tym właśnie mamy do czynienia.

— Nie rozumiem...

— Z grą.

Na parterze Ortega pokazał odznakę strażnikom i opisał im Karen Bailey. Nikt jej nie widział.

— No dobrze, mamy do czynienia z grą — powiedział do Balengera, wpatrując się w obrotowe drzwi, które nie całkiem tłumiły dobiegający z zewnątrz gwar. — Powiedz, na czym ona polega.

— Karen Bailey zostawia mi kartkę w teatrze, ale żeby ją przeczytać, muszę tam trafić. Pieczętka na karcie prowadzi mnie do biblioteki, gdzie muszę zdać kolejny sprawdzian i dowiedzieć się, skąd pochodzi podany cytat. Okazuje się, że z „Psa Baskerville'ów”. Kiedy dostaję egzemplarz książki, na stronie zawierającej poszukiwany fragment znajduję odbite słowa.

— Jakie słowa?

— Sarkofag Ziemskich Namietności.

— Że co?

— Muszę się chyba dowiedzieć co to takiego. Nie wypożyczają tutaj książek do domu, więc Karen Bailey miała pewność, że znajdę wiadomość na marginesie. Krok po kroku prowadzi ze mną coś w rodzaju gry. Moczary, o których była mowa w akapicie, to Dartmoor w Anglii. Szukając w Internecie informacji na ten temat, dowiedziałem się o wymyślonej dawno temu zabawie noszącej nazwę „skrzynka pocztowa”. Jest ona podejrzanie podobna do tego, do czego sam jestem zmuszany: do odnajdywania ukrytych wiadomości, które prowadzą do kolejnych ukrytych wiadomości. Niektóre elementy

tej gry przypominają kapsuły czasu. Wszystko jest ze sobą związane.

— Ale po co ktoś miałby to robić? Masz jakichś wrogów? Kogoś, kto nienawidzi cię tak bardzo, żeby zgotować ci coś podobnego?

W oddali odezwały się syreny.

— Powiedziałem ci już wcześniej: jedyna osoba, która byłaby zdolna to zrobić, nie żyje — odparł Balenger. — Kapsuły czasu...

— Coś ci przychodzi do głowy?

— Kiedy byłem mały, znalazłem kapsułę czasu w części szkoły przeznaczonej do wyburzenia. Lokalna gazeta zrobiła z tego wielkie wydarzenie. Zamieszczono moje zdjęcie na pierwszej stronie. Stałem na nim z zardzewiałą metalową puszką w rękach.

Ortega zmrużył oczy.

— Chcesz powiedzieć, że komuś chciało się prześledzić twoją przeszłość aż do odległych wydarzeń z dzieciństwa? Tylko po to, żeby znaleźć przynętę, która skłoni cię do pójścia na wykład?

— Na strychu znaleźliśmy dwie gry wideo — wyjaśnił Balenger. — Jedną z nich była „Grand Theft Auto”. Powiedziałeś, że nigdy nie słyszałeś o drugiej. Pamiętasz, jak brzmiał jej tytuł?

Ortega przez chwilę się zastanawiał.

— „Łowca” — odpowiedział.

**POZIOM CZWARTY**

**AVALON**



# 1

Echo wybuchu zdążyło przebrzmieć w odległych górach, lecz Amanda nie wstawała z klęczek. Jej piersią wstrząsał szloch. Krwawa mgiełka wciąż unosiła się w powietrzu. Piaszczysta niecka była usłana częściami ciała. W nozdrzach czuła ostry, mdlący zapach. Wstrząśnięta, nie czuła, że w kolana wbijają się jej ostre kamyki.

— Wracaj do innych — odezwał się dźwięczny głos w słuchawkach. Nie słyszała go zbyt dobrze, bo wciąż boleśnie dzwoniło jej w uszach po eksplozji.

— Bethany — szepnęła.

Opłakiwała nie tylko utraconą przyjaciółkę, lecz samą siebie i całą grupę. Wszystkich czekał ten sam los.

Nie! Przetrwiała hotel Paragon i, na Boga, przetrwa też to.

Ale w hotelu Paragon miałś Franka, który ci pomagał, pomyślała. Zdała sobie sprawę, że ponownie zwraca się do siebie w drugiej osobie.

Miała ochotę krzyknąć.

— Czekają na ciebie przyjaciele. Nie chcesz chyba pozbawić ich swojego towarzystwa — powiedział głos. — Tak jak to zrobiła Bethany — dodał po chwili.

Amanda pokiwiała głową i dźwignęła się na nogi. Ponownie pomyślała o Franku. I znów ogarnął ją lęk, że zginął. Jeżeli

jakimś cudem przeżyje, będzie musiała liczyć tylko na własne siły. Łzy maciły jej wzrok. Wytarła oczy, spojrzała po raz ostatni na to, co zostało z Bethany, i odwróciła się w drugą stronę.

Sto jardów dalej, za krzakami bylicy i karłowatą sosną stali z rozdziawionymi ustami Ray, Derrick i Viv. Mimo dzielącej ich odległości widziała, że wszyscy pobledli. Kolory ich kombinezonów wydawały się jeszcze bardziej nienaturalne.

Dopiero teraz, brnąc w ich stronę, poczuła, jak bardzo bołą ją nogi po szaleńczej próbie dogonienia Bethany. Pot spływał jej po twarzy i kapał pod kombinezon. Żołądek zacisnął się z głodu. Przede wszystkim jednak dręczyło ją pragnienie. Język puchł w wyschniętych ustach.

Kiedy do nich szła, ani razu nie spojrzeli na siebie. Wpatrywali się wyłącznie w szkarłatną plamę za jej plecami. Odezwali się dopiero, kiedy stanęła tuż przy nich.

— Nic ci się nie stało? — zapytał Derrick.

Amanda zdołała tylko pokiwać głową.

— Jak to... — W głosie Viv brzmiało niedowierzenie. — Znasz się na uzbrojeniu — zwróciła się do Raya. — Czy to była rakietka? Jak to możliwe?

— Nie — odparł Ray. — To nie była rakietka. Zobaczylibyśmy i usłyszeli, jak nadlatuje.

— Może nastąpiła na jakąś minę?

— Nie. Ziemia nie wybuchła.

— Więc co...?

Ray omiół wzrokiem swój kombinezon.

— Materiał wybuchowy, prawdopodobnie plastik. Jest chyba w naszych ubraniach.

Dopiero po chwili dotarło do nich znaczenie tej informacji.

— W naszych ubraniach? — Derrick również spojrzał na swój kombinezon.

— Jezu — mruknęła Viv.

— Lub w naszych butach — dodał Ray. — Albo w słuchawkach.

— Może w tym — powiedziała Amanda, wyciągając z kieszeni odbiornik GPS.

Viv zatoczyła się, jakby ją ktoś uderzył.

— Jesteśmy chodzącymi bombami. Może nas wysadzić, kiedy tylko przyjdzie mu ochota?

— Kiedy nie będziecie posłuszni — oznajmił głos. Amanda wzdrygnęła się, słysząc go ponownie w słuchawkach.

— Kiedy nie będziecie przestrzegać reguł — kontynuował głos.

— Reguł? O jakich cholernych regułach mówisz? — zawołał Ray. — Nie słyszałem o żadnych...

— Odkrywanie reguł w trakcie działania jest istotą każdej wielkiej gry.

— Uważasz to wszystko za pierdoloną grę?

— Nie musisz używać wulgarnych słów, Ray. Słyszę cię wyraźnie.

— To ma być gra? — Ray rozejrzał się dookoła, jakby bał się, że traci zmysły. — Sukinsynowi wydaje się, że to gra!

— W której minęła jedna godzina. Zostało wam już tylko trzydzieści dziewięć. Nie marnujcie ich.

— A jakie to ma znaczenie? — odezwała się Viv z taką mocą, że ścięgni na jej szyi naprężyły się niczym powrozy. — I tak nas pozabijasz!

— Znam tylko jedną grę, w której zwycięzcy byli zabijani. To gra w piłkę, łącząca w sobie elementy lacrosse i koszykówki, a grali w nią starożytni Majowie. Coś takiego nie jest moim zamiarem. Zwycięzcy powinni zostać nagrodzeni. Co stanie się z przegranymi, to inna sprawa.

— Więc jak, do diabła, mamy wygrać? — zapytał Ray.

— Musicie to sami odkryć.

— Te współrzędne, które nam dałeś... — Amanda otarła ponownie łzy. Palily ją policzki. — Musimy tam dotrzeć?

Derrick pokiwał głową.

— Stojąc tutaj, niczego nie osiągniemy. Musimy ruszać dalej.

— I odkrywać reguły — dodał głos.

Ray spojrział na ekranik swojego GPS-u. Kilkudniowy zarost zaostrzył rysy jego twarzy. Miał taką minę, jakby odbiornik mógł w każdej chwili wybuchnąć mu w rękę.

— Tam. W stronę tego zagajnika.

Amanda z wysiłkiem stawiała stopy. Bolały ją nogi, płuca rozpaczliwie domagały się tlenu.

— To topole — stwierdził Derrick. — Potrzebują dużo wody.

Viv rozejrzała się dookoła.

— Musi tu być gdzieś podziemny strumień — powiedziała.

— Potrzeba nam tylko motyki, żeby się do niego dokopać — mruknął Ray.

W cieniu drzew mogli na chwilę schronić się przed upałem. Wkrótce znowu wyszli na słońce. Teren stał się wznosił. Idąc pod górę, Amanda pocila się obficie.

Ray spojrział na swój GPS.

— To podejście jest bardziej strome, niż na to wygląda. Jesteśmy na wysokości sześciu tysięcy stóp — oznajmił zdyszany.

— Wspinajmy się w poprzek zbocza — zaproponował Derrick.

— Racja. Trzeba iść zakosami — zgodziła się z nim Viv.

— Człowiek traci więcej energii, gdy wchodzi prosto pod górę. Lepiej wspinąć się zakosami.

— Bardzo dobrze — odezwał się głos. — Gospodarujcie rozsądnie siłami.

Wspinając się, Amanda czuła coraz mocniejszy ucisk w kolanach. Powoli odślaniała się przed nią pozostała część doliny. Nagle wyprostowała się, zaskoczona tym, co zobaczyła.

— Niech mnie kule... — wyrwało się jej z ust.

## 2

Poniżej zobaczyli jezioro. Miało mniej więcej sto jardów długości. Amandzie przyszło do głowy słowo „klejnot”. Jej towarzysze stanęli obok, ciężko dysząc.

— Głos powiedział, że znajdziemy to, czego potrzebujemy — oznajmił Derrick.

— Widziałam świat ze szczytu Everestu — oznajmiła ochryplym głosem Viv. — Ale to, co widzę, to najpiękniejsza...

— Więc na co jeszcze czekamy? — zapytał Ray, ruszając w dół. — Po tych dziesięciu dniach, kiedy ścigali mnie w Iraku, przysięgłem sobie, że nigdy już nie będę spragniony.

Derrick i Viv podążyli za nim i po chwili wszyscy puścili się biegiem. Amanda rozejrzała się dookoła. Miała wrażenie, że zagraża jej otaczająca przestrzeń. Góry wydawały się jednocześnie bliskie i dalekie. Zaburzało to jej poczucie odległości. Przypomniła sobie kurs psychologii, na który uczęszczała na studiach. Była tam mowa o żyjących w dżungli tubylcach, których zabrano na olbrzymią równinę. Ludzie ci tek przywykli do tego, że widok zasłaniają im drzewa, że otwarta przestrzeń kompletnie ich oszołomiła. U wielu rozwinęła się agorafobia.

Amanda, która nigdy wcześniej nie była w miejscu, gdzie

horyzontu nie zasłaniały żadne budynki bądź drzewa, rozumiała teraz dobrze ich obawy. U niej lęk potęgowała świadomość, że wszędzie może się czaić niebezpieczeństwo. W przeciwieństwie do hotelu Paragon, gdzie groziło ono w konkretnych pomieszczeniach, tutaj śmiertelny cios mógł paść z każdej strony.

— Nie dołączysz do nich? — zapytał głos.

— Podziwiam po prostu widok — odparła, nie dając po sobie poznać zaskoczenia.

— Naprawdę? Przez chwilę miałem wrażenie, że ten widok cię sparaliżował. Spójrz na ekran swojego GPS-u. Czy współrzędne, które wam podałem, wskazują jezioro?

Amanda nie nauczyła się jeszcze posługiwać tym urządzeniem, ale nawet dla niej nie ulegało wątpliwości, że strzałka wyznaczająca kierunek ich marszu nie wskazuje jeziora, lecz płaskowyż po prawej stronie. Stały na nim ruiny jakiegoś budynku.

— Tam mamy iść?

— Żeby brać udział w grze, trzeba znać jej reguły.

— Ray — odezwała się do mikrofonu. — Idziesz w złym kierunku.

Trzy osoby nadal biegły w stronę jeziora.

— Derrick. Viv. Tam na górze są ruiny budynku. To jest nasz cel.

Nikt z trójki nawet się obejrzał.

— Nie słyszycie mnie? — zapytała głośniejszym głosem. — Jezioro nie leży tam, dokąd powinniśmy iść!

— Faktycznie cię nie słyszą — potwierdził głos. — Na chwilę ich odłączyłem.

— Po co? Nie rozumiem. Po co to robisz?

Głos nie odpowiedział. Amandę ponownie ogarnęły złe przeczucia.

— Zatrzymajcie się! — zawołała do grupy.

Ale jej krzyk był zbyt cichy. A może do tego stopnia podkescytał ich widok wody, że nic do nich nie docierało.

— Nie! Nie podchodźcie do jeziora! — Amanda pobiegła w dół zbocza, mijając po drodze głązy i krzaki bylicy. — Zaczekajcie!

Viv odwróciła się w jej stronę.

— Stójcie!

Viv zawołała coś do Derricka i Raya, którzy zatrzymali się i obejrzel. Chwała Bogu, pomyślała Amanda. Grupa zaczęła, aż do nich dobiegnie.

— Co się stało? — zapytał Derrick.

Amanda usłyszała go teraz w słuchawkach. Przywrócona została normalna łączność.

— On może izolować nasze rozmowy. Powiedział, że Współrzędne, które nam podał, nie wskazują wcale jeziora.

Ray zerknął na strzałkę na ekraniku GPS-u.

— To prawda. Wskazują jakiś punkt na wzgórzu.

— Ruiny budynku — wyjaśniła Amanda.

— Ale dlaczego nie powiedział tego innym?

— Robi nam wodę z mózgu — stwierdził z odrazą Derrick.

— Doskonale. — Ray oblizał spierzchnięte wargi. — Spenetrujemy te ruiny. Ale najpierw sprawdzimy wodę.

— Jeśli go nie posłuchamy, wysadzi nas w powietrze — ostrzegła Viv.

— Nie sądzę. Nie tym razem. Mam przecucie, że jezioro stanowi część gry.

Ray odwrócił się i podszedł do brzegu.

### 3

Wiatr pomarszczył powierzchnię wody, na której pieniały się małe białe grzywy.

— Ciekawe, czy można ją pić? — zastanawiał się Ray.

Amanda popatrzyła wzdłuż brzegu.

— Nie widzę żadnych martwych zwierząt — stwierdziła.

— Zobaczcie, jaka czysta — wskazała Viv. — Widać ryby.

— Gdyby woda była zatruta, zabiłaby je — powiedział

Ray.

— Niekoniecznie — zaproponował Derrick. — W niektórych jeziorach jest rtęć i inne toksyny. Ryby jakoś w nich żyją, ale to nie znaczy, że można pić z nich wodę. Na Evereście nawet stopiony śnieg ma w sobie toksyny. Dodawaliśmy do wszystkiego, co piliśmy, tabletki z jodem.

Ray wyjął zapalniczkę, po czym zaczął otwierać i zamykać wieczko.

— Nie wiem, czy zauważyliście, ale nie mamy niczego, co oczyściłoby wodę — powiedział. Stukanie zapalniczki działało wszystkim na nerwy. — Kiedy byłem w Iraku i ukrywałem się przed rebeliantami, piłem strasznie brudną wodę. Dostałem od niej gorączki. Ale przeżyłem. — Ray schował do kieszeni zapalniczkę i ukląkł przy brzegu. Jego twarz odbijała się w wodzie. — Tak bardzo zaschło mi w ustach, że ledwie mogę poruszać językiem.



Wyciągnął ręce i zanurzył je w jeziorze.

— Nie — powiedziała Amanda.

Ray opryskał wodą twarz.

— Człowieku, to jest to. — Opryskał się jeszcze raz wodą i przesunął mokrymi dłońmi po policzkach i karku. — Mam ochotę tu popływać albo przynajmniej zmoczyć nogi — dodał i zaczął rozwiązywać sznurowadła.

— Nie zdejmuj butów — odezwał się głos.

— Aa! Witamy z powrotem — mruknął Ray. — Myślałem, że poszedłeś zrobić sobie kanapkę albo się zdrzemnąłeś.

— Nie będę spać przez czterdzieści godzin.

— Racja. Chcesz dzielić nasze cierpienia. Buty. To tam umieściłeś materiał wybuchowy?

Głos nie odpowiedział.

Ray chciał ponownie zanurzyć dłonie w jeziorze, ale nagle z wody wynurzył się wąż. Jego zęby śmignęły ku palcom Raya, który wrzasnął i padł na plecy.

— O mój Boże — wybełkotał, odpęłzając od brzegu.

Amanda wpatrywała się jak odrętwiała w powierzchnię wody. Zobaczyła teraz, że nie wszystkie fale spiętrzył wiatr. To były węże. Zupełnie niespodziewanie jezioro zaroiło się od tych gadów.

Ray toczył dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Po chwili podniósł ręce do oczu i zaczął się im przyglądać.

— Ugryzł mnie? Ugryzł?

— Węże... Nie znoszę węży. — Viv pochylała się i zwymiotowała.

— Ty sukinsynu — wrzasnął Derrick, podnosząc wzrok do nieba. — Te węże to wodne mokasyny. Nie spotyka się ich w tej części kraju! To ty je tu wpuściłeś!

— Bieg z przeszkodami i gra w szukanego — oznajmił głos.

— Gra w szukanego?

— W zimie, kiedy jezioro było zamrożone, ludzie z miasta

wycinali bloki lodu i magazynowali je w kopalni. W lecie korzystali z niego, żeby uchronić mięso przed zepsuciem.

— W kopalni? Ludzie z miasta? Lód? O czym do diabła nawijasz? — wrzasnął Ray. — Na litość boską, o mało nie ugryzł mnie wąż, a ty chrzaniś o lodzie?

— Zaczekaj chwilę — przerwała mu Amanda. — Ludzie z jakiego miasta?

— Z Avalonu. Wkrótce się o nim dowiecie.

Viv otarła wargi z zółci.

— To te ruiny, o których mówiła Amanda. Chcesz, żebyśmy tam poszli?

— Jak najszybciej. Straciliście dużo czasu i zmyliliście drogę.

— W biegu z przeszkodami i grze w szukanego — dopowiedziała Amanda, obserwując rojące się w wodzie węże.

—

## 4

Oddalili się od jeziora i mijając po drodze krzaki bylicy i skały, podobnie jak wcześniej wspinali się zakosami, żeby oszczędzać siły.

— Nazywanie mnie głosem jest takie bezosobowe. Od tej chwili mówcie o mnie jako o Mistrzu Gry.

— Jasne, tak będzie o wiele lepiej — mruknął Derrick.

Na niewielkim płaskowyżu w połowie zbocza zobaczyli przed sobą ruiny budynku. Ocalała tylko kamienna ściana po prawej stronie. Drewniany dach się zawalił, belki poszarzały i popękały ze starości.

— Pojedynczy budynek wzniesiony tak wysoko... Długi i wąski. Wszystko wskazuje, że to był kościół — powiedziała Amanda.

— Z całą pewnością kościół — poparła ją Viv i wskazała wielki drewniany krzyż leżący wśród kamieni po lewej stronie.

Rozglądając się ostrożnie dookoła, grupa dotarła do miejsca, w którym było kiedyś wejście.

— Popatrzcie. Ołtarz jest wciąż nienaruszony — zdziwił się Derrick.

Amanda zajrzała do środka i zobaczyła kamienną płytę Wspartą na dwóch pionowych blokach.

— Skąd wzięli te kamienne bloki? — zapytała Viv. — Te kamienne ściany...

— Z kopalni. Głos... Mistrz Gry — poprawił się Ray — wspominał coś o kopalni.

— I o mieście, które nazywało się Avalon — dodał Derrick, odwracając się w stronę doliny. — Tam. Popatrzcie niżej. Przy węższym końcu jeziora.

Mimo czapki z daszkiem słońce boleśnie raziło Amandę w oczy. Kiedy ostrożnie spojrzała w dół, zobaczyła schowane w zaroślach ruiny budynków, między którymi, jak się domyślała, dawno temu biegły ulice.

— Avalon. Brzmi znajomo — mruknął Derrick.

— Obudziłem się kiedyś w uzdrowisku w New Jersey, noszącym nazwę Avalon — powiedział Ray. — Miałem straszliwego kaca i ani jednego z pięciu patoli, które wygrałem wcześniej w blackjacka w Atlantic City.

— Król Artur — wyszeptała Amanda.

Wszyscy spojrzeli na nią.

— Rycerze okrągłego stołu? — zapytała zaintrygowana Viv. — Jak się nazywał ten film Disneya? „Miecz w kamieniu”? „Camelot”?

— Kiedy król Artur zginął w swojej ostatniej bitwie, grupa kobiet zabrała jego ciało do miejsca, które nazywało się Avalon. Według legendy przebywa tam pogrążony w letargu i czeka na moment, kiedy świat będzie go potrzebował.

— Wtedy zmartwychwstanie — mruknęła Viv, wchodząc do kościoła po stertach kamieni.

— Ostrożnie — zawołał Derrick i podążył za nią. — Po tym, co się wydarzyło przy jeziorze, mam wrażenie, że częścią tej gry są pułapki.

Amanda przyjrzała się gruzom i nie widząc nic podejrzanego, ruszyła za nimi. Przy ocalałej ścianie po prawej stronie leżała złamana drewniana ławka.

Viv odłożyła ostrożnie na bok jedną z desek.

— A jeśli są tu węże? — zapytała.

— Nie będzie wodnych mokasynów. Możesz się natknąć na grzechotniki — odparł Derrick. — Będą hałasować, żeby nas odstraszyć.

— Wiem o tym teoretycznie. Problem polega na tym, że trudno mi w to uwierzyć. — Viv wspięła się na kamienną płytę, która tworzyła ołtarz, i spojrzała w dół na swoich towarzyszy. — Założę się, że jestem pierwszą kobietą, która tu stoi.

— Widzisz coś, co mogłoby nam pomóc? — zapytał Derrick.

— Na ołtarzu jest wyryty jakiś napis. — Viv zdmuchnęła kurz z płyty i odgarnęła z niej kamyki. — Ciężko cokolwiek... — mruknęła, koncentrując się. — Sarkofag Ziemskich Namiętności — przeczytała.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Ray.

Sarkofag Ziemskich Namiętności. Wyryte na ołtarzu słowa kojarzyły się z czymś Amandzie, ale nie miała czasu się nad tym zastanowić.

— Jesteśmy w punkcie, którego współrzędne podał nam głos... to znaczy Mistrz Gry — powiedziała Viv, wpatrując się w ekranik swojego GPS-u. — Odbiornik określa położenie z dokładnością do dziesięciu stóp. I co mamy tutaj znaleźć?

Derrick rozejrzał się dookoła.

— Pamiętajcie, co powiedział o geocachingu? Przedmioty mogą być tak dobrze zamaskowane, że nie sposób ich znaleźć. Mówił o czymś, co wyglądało jak konik polny.

— I o kamieniu, w którym było coś w środku — dodał Ray, przyglądając się otaczającym ich niezliczonym kamieniom. — Nie ma tu węży? — zapytał dla pewności Derricka.

— Robimy tyle hałasu, że powinny się już odezwać.

— Wciąż to powtarzasz. A ile grzechotników spotkałeś na Mount Evereście? — Zanim Derrick zdążył zareagować na drwinę, Ray podniósł ostrożnie jeden z kamieni i potrząsnął nim. — Nie jest wydrążony — stwierdził i sięgnął po następny. — Ten też nie.

Amanda zebrała się na odwagę i także podniosła kamień. Nie kryło się pod nim nic strasznego.

— Ten jest prawdziwy — powiedziała.

— Podobnie jak te. — Derrick również zaczął sprawdzać kamienie. — Wszystkie są prawdziwe.

— Szukaj dalej! — zawołał Ray.

Dreńczęce ich pragnienie okazało się silniejsze od obaw. Kamienie fruwały dookoła Amandy i waliły z hukiem o ziemię.

— Jest ich zbyt wiele. To zajmie nam cały dzień. — Amanda nie chciała, żeby usłyszeli desperację w jej głosie. — Nie mamy tyle czasu. Gdyby rzeczywiście ukrył coś w kamieniu, nie powoływałby się na ten przykład, opisując zasady gry. To zbyt oczywiste. Próbował nas zmylić.

— A może chciał, żebyśmy myśleli, że wydrążony kamień jest zbyt oczywisty, a to właśnie jego powinniśmy szukać.

— Jestem zbyt spragniony, żeby rozsądnie myśleć. — Ray miał głos ochrypy z pragnienia. — Jeżeli to nie jest wydrążony kamień, jaki jeszcze przedmiot może coś skrywać?

— Drewniana krokiew dachu — powiedziała szybko Viv. Rayowi zapłonęły oczy.

— Tak! — Odwrócił się i złapał fragment złamanej belki. — Za ciężka — stwierdził i chwycił następną. — Nie jest wydrążona. Ta sama historia co z kamieniami — zawołał, podnosząc trzecią. — Nie będziemy... Czekać... to chyba jest plastik — powiedział, biorąc do ręki czwarty fragment krokwi.

Amanda patrzyła, jak Ray pociąga za dwa końce fałszywej belki. W środku była plastikowa butelka z wodą. Ray wydał triumfalny okrzyk, odkręcił korek i przytknął butelkę do ust.

Chciała go powstrzymać, ale język stanął jej kołkiem. Patrzyła bez słowa, jak woda leje się prosto do ust Raya. Jego jabłko Adama podskakiwało rytmicznie przy każdym łyku.

— Nie! — zdołała krzyknąć Viv.

Ale woda z przechylonej butelki nadal wpadała do gardła Raya. Część pociekła mu po policzkach i podbródku. Łykał ją

hałaśliwie i o mało nie zachłysnął się ostatnimi kroplami. Wreszcie wypuścił z płuc powietrze i odjął butelkę od ust. Oddychał gwałtownie, twarz mu się zaczerwieniła. Po chwili rozejrzał się i spostrzegł, że Amanda, Derrick i Viv patrzają na niego zszokowani. Dopiero po chwili zrozumiał, o co im chodzi.

— Przepraszam.

Amanda poczuła, że opuszcza ją wszelka nadzieja.

— Nie pomyślałem... Naprawdę przepraszam.

Viv jęknęła.

Derrick siadł na stosie kamieni i oparł głowę o kolana.

— Muszą tu być inne butelki. Pomogę wam poszukać. — Ray podniósł kolejny kawałek belki, a potem zaczął sprawdzać następne. — Nie miałyby sensu, gdyby zostawił dla nas wszystkich tylko jedną butelkę.

— Chyba że chciał zobaczyć, jak zareagujemy — powiedziała Amanda.

Ray cisnął pustą butelką o ścianę. Plastik wydał głuchy dźwięk.

— No dobrze, czego się spodziewaliście? Mówiłem wam, że nie jestem cholernym bohaterem.

— W porządku. — Viv uniosła ręce w górę. — Kłótnie nic nam nie pomogą. Stało się. Nie cofniemy tego, co się wydarzyło.

— Ale jeżeli znajdziemy kolejną butelkę, trzymaj się od niej z daleka — powiedział Derrick, wstając.

— Jak sobie życzysz, szefie.

Ray wyjął zapalniczkę i zaczął ją otwierać i zamykać.

— Przestań hałasować!

— W porządku, szefie.

— Poszukajmy innych butelek — powiedziała Amanda, by rozładować napięcie.

—

## 5

Butelka była schowana w kolejnej fałszywej belce przysypanej kamieniami przy ołtarzu. Amandzie szybciej zabiło serce, kiedy ją znalazła. Miała ochotę otworzyć butelkę i wypić wszystko, tak jak to zrobił Ray.

Zamiast tego przywołała innych.

Ona, Derrick i Viv pili po kolei. Wszyscy pilnowali, żeby nikt nie wypił więcej od pozostałych. Ray stał z ponurą miną na uboczu.

Amanda pociągnęła ostatni łyk i rozkoszując się smakiem wody na języku, przyjrzała się pustej butelce.

— Gdzie jest pojemnik na surowce wtórne? — zażartowała, ale nikt się nie uśmiechnął.

— W górach zawsze zbieramy nasze śmieci i znosimy je na dół — powiedział Derrick.

— Czy już ktoś ci mówił, jakim wspaniałym jesteś facetem? — skomentował Ray.

— Miałem zamiar dodać, że teraz nie ma to jakoś znaczenia.

— Butelka może się nam przydać. Zatrzymam ją. — Amanda chciała schować butelkę do kieszeni kombinezonu, ale nagle coś przyciągnęło jej uwagę.



— Tu są jakieś cyfry.

— Gdzie? — zapytała Viv, podchodząc bliżej.

— Na etykietce. Na samym dole. Ktoś napisał trzy grupy cyfr.

— Pokaż. — Derrick wziął od niej butelkę. — Przed cyframi są litery „dł. g.”.

— Długość geograficzna — powiedział Ray, dołączając do nich.

— Liczby z pewnością wyglądają jak oznaczenie długości geograficznej. Godziny, minuty, sekundy.

— Gdzie jest butelka, którą wyrzucił Ray? — Stąpając po kamieniach, Amanda podeszła do ściany. Znalazła butelkę **przy** szczątkach ławki. — Tu też są trzy grupy liczb i skrót „szer. g.”.

— Szerokość geograficzna — stwierdził Ray. — Czy tam mamy teraz iść?

Amanda nagle znieruchomiała.

— Coś jest nie w porządku.

— Jasne. Ta cała cholerna sytuacja jest nie w porządku, ale...

— Nie o to chodzi. Nie czujecie?

Skała, na której stała Amanda, zaczęła wibrować. Zachybiły się kawałki drewna.

— Mój Boże, co się dzieje? — zawołała Viv.

— Nie wiem, ale chyba lepiej... — Derrick urwał, zaniepokojony drganiem.

Ściana kościoła się zakotłowała.

— Uciekaj! Uciekaj! — krzyknęła Viv.

Biegąc po gruzowisku, Amanda straciła równowagę. Usłyszała za sobą łoskot i zdała sobie sprawę, że nie zdąży uciec. Dała nurka z powrotem, zdesperowana przywarła do ściany i osłoniła głowę ramionami. Mur runął z hukiem w dół, kamienie potoczyły się po posadzce kościoła. Amanda jęknęła, gdy gruz zaczął ją bombardować.

Po chwili łoskot ucichł i ustały wibracje. Kilka sekund później wszystko znieruchomiło, tylko serce w piersiach waliło jej jak oszalone. Pył ją dusił. Próbowwała wydmuchać nos i zaczerpnąć powietrza. Większość kamieni runęła na środek kościoła, jedynie te znajdujące się bezpośrednio nad Amandą wylądowały na jej ramionach, inne poleciały dalej. Mimo to czuła się cała poobijana.

Usłyszała krzyki, zbliżające się kroki i hurgot odsuwanych kamieni.

— Jesteś ranna? — zawołał Derrick.

— Obolała.

— Nic dziwnego.

— Ale udało mi się zasłonić głowę. — Viv i Derrick pomogli jej wstać. — I nie wypuściłam tego — dodała, podając Viv butelkę ze współrzędnymi i masując obolałe ramiona.

Ray stał trochę dalej i nie kwapił się do pomocy.

Amanda zdała sobie sprawę, że w grupie doszło do poważnego rozłamu. Chwilę później Ray pokazał coś, co leżało na ziemi.

— Mamy kolejne butelki z wodą — powiedział.

Derrick i Viv obrócili się w jego stronę.

— Spadające kamienie rozbiły kilka fałszywych belek — wyjaśnił Ray. Grupa podeszła do niego, jakby przyciągał ich magnes. Butelki lśniły w słońcu, ich zawartość kusiała. — Starczy dla wszystkich — powiedział. — Chyba nie masz nic przeciwko, Derrick, żebym wziął jedną?

Derrick przyglądał się Rayowi przez dłuższą chwilę.

— Bierz.

— Dziękuję, szefie. To miło, że pozwoliłeś.

Rzeczywiście w grupie nastąpił poważny rozłam, pomyślała Amanda. Za przykładem Derricka i Viv podniosła butelkę i zaczęła pić. Cudowny płyn zmył pył, który osiadł na jej ustach. Była tak spragniona, że miała ochotę wlać sobie wodę prosto do gardła, tak jak to robił Ray, lecz bała się, że dostanie mdłości. Ray też się napił, ale nie poprawiło mu to humoru.

Viv zaburczało w żołądku.

— Jeżeli nie zdobędziemy szybko jakiegoś jedzenia...  
powiedziała.

— Bez przerwy narzekasz — przerwał jej Ray. — W Iraku żywiłem się robakami.

— Opuść jej, człowieku — odezwał się Derrick. — Wszyscy jesteście głodni.

— Tak jest, szefie.

— To staje się zabawniejsze, niż sądziłem — oświadczył głos.

Amanda wzdrygnęła się, słysząc go w słuchawkach. Derrick łypnął okiem w górę.

— To też należy do gry? Nadzieja, że skoczmy sobie do oczu?

— W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym odkryto tutaj złoto.

— Złoto?

— W dolinie pojawiły się tysiące poszukiwaczy. Prawie z dnia na dzień narodziło się miasto. Angielski spekulant kupił ziemię od ranczera, który uznał, że ponieważ ludzie tak czy owak zادهczą dolinę, lepiej będzie wziąć okazałą sumkę, którą mu zaproponowano, i pozwolić komu innemu borykać się z chaosem. Jak się okazało, ranczer miał rację.

— Złoto? — prychnął Ray. — Przed chwilą bredziłeś coś o lodzie!

— Anglik, który założył miasto, lubił opowieści o królu Arturze. Jak już zgadliście, nazwał je na cześć miejsca, w którym król spoczywa w zbliżonym do śmierci letargu, czekając, aż dopełni się jego przeznaczenie. Ale osiem lat później w dolinie wydobyto ostatnie złoto. Większość górników wyjechała. Działo się to w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim. W Ameryce nastąpił wówczas wielki finansowy krach. Ludzie w mieście uznali, że gdzie indziej też nie mają czego szukać, i zostali. Anglik musiał odsprzedać

z powrotem dolinę ranczerowi, który dał pracę mieszkańcom i nie pozwolił miastu upaść. To jednak wcale nie pomogło Anglikowi, który spodziewał się dłuższej trwającej koniunktury. Kompletnie zrujnowany wyszedł z miasta podczas śnieżycy. Kilka miesięcy później ludzie wycinający lód z jeziora odnaleźli jego zamrożone ciało.

— Powtarzasz, że mamy tylko czterdzieści godzin, a mimo to marnujesz nasz czas — stwierdził Ray. — Przejdź do rzeczy. Powiedz, jak się stąd wydostać.

— Moim zdaniem, on właśnie to robi — powiedziała Amanda. — Daje nam dalsze wskazówki. Prawda? — zwróciła się do Mistrza Gry. — Powiedziałeś, że to bieg z przeszkodami i zabawa w szukanego.

— Stajesz się moją ulubioną zawodniczką.

— No to ślicznie — burknął Ray. — Będzie miała fory.

— Ale się nie mylę, prawda? — zapytała Amanda. — Na każdym etapie gry dajesz nam problem do rozwiązania i stwarzasz zagrożenie, z którym musimy się uporać. A potem przekazujesz w nagrodę informację, która jest potrzebna do tego, żeby wygrać. Czy to miałeś na myśli, mówiąc, że będziemy poznawali zasady w miarę rozwoju gry?

— Musicie grać, żeby poznać zasady.

— Ale co mamy zrobić, żeby wygrać? — chciał wiedzieć Ray.

— Amando? — zapytał głos.

Amanda masowała posiniaczone ramię.

— Czy już się tego domyśliłaś?

— Słowa na ołtarzu.

— Tak?

— Sarkofag Ziemskich Namiętności.

— Tak? — powtórzył niecierpliwie głos.

— Nic nie jest tutaj przypadkowe. To kolejna wskazówka.

— Ale co oznacza?

— Sarkofag? To brzmi jak grób — powiedział Derrick.

## 6

Policjanci wbiegli po schodach.

— Macie pojęcie, jaki to wielki budynek? — zapytała dyrektorka biblioteki. — Przeszukanie go zajmie wam parę godzin.

— Nie mogę czekać tak długo — stwierdził Balenger.

— Czy ta kobieta jest niebezpieczna? To terrorystka? Nie sądzicie chyba, że ma broń albo materiały wybuchowe?

— Nie mam pojęcia. — Balenger pomyślał o tym, co się do tej pory wydarzyło. — Ale owszem, jest niebezpieczna.

Dyrektorka zrobiła taką minę, jakby miała mdłości.

Kolejni policjanci wbiegli po schodach.

Ortega zamienił z nimi kilka słów i wrócił do Balengera.

— Zniknęła bez śladu — powiedział.

— Może opuściła budynek przed przyjazdem policji — zauważył Balenger. — Albo ukrywa się na drugim piętrze. To by wyjaśniało, dlaczego nikt nie widział, jak zbiega po schodach.

— Do diabła, ja też jej nie widziałem — oznajmił strażnik z czytelní.

— Stała dokładnie w progu — upierał się Balenger.

— Musiałem być do niej odwrócony plecami. Kiedy zerwał się pan z krzesła i odbiegł od stolika, był pan jedyną osobą,

którą zauważyłem. Narobił pan niezłego zamieszania. Ta facetka mogła się z łatwością ulotnić.

— Ale dlaczego pokazała się i uciekła?

— To dobre pytanie — stwierdził Ortega.

— Może chciała, żebym za nią pobiegł. Po co się w takim razie ukryła? Dlaczego nie pokazała się ponownie, żebym mógł ją ścigać?

— Kolejne dobre pytania — zauważył Ortega.

— Coś nie daje ci spokoju?

— Jeszcze nie wiem. Nadal czekam na informacje dotyczące innej części śledztwa.

— Innej części?

— Pogadamy o tym później.

Zaintrygowany Balenger zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta po południu. Czas ucieka, pomyślał. Wyciągnął z kieszeni komórkę i wystukał numer informacji telefonicznej.

— Do kogo dzwonisz? — chciał wiedzieć Ortega.

W tym samym momencie nagrany głos zapytał Balengera, o jakie chodzi mu miasto.

— Atlanta — odparł, oddalając się od grupy.

— Nazwisko abonenta? — zapytał głos.

# 7

- Uniwersytet Oglethorpe'a — odezwała się recepcjonistka.
- Z wydziałem historii, proszę — powiedział Balenger. Czekając, czuł przyspieszone bicie serca.
- Wydział historii.
- Balenger pamiętał, że fałszywy profesor wspominał coś o działającym na Uniwersytecie Oglethorpe'a towarzystwie kapsuł czasu. Modlił się, żeby to nie było kłamstwo.
- Nie wiem, czy dodzwoniłem się we właściwe miejsce. Czy ktoś u was wie coś na temat kapsuł czasu?
- Fakt, że jego pytanie bynajmniej nie zdziwiło recepcjonistki, świadczył o tym, jak bardzo zmienił się świat.
- Przełączę pana.
- Spościła mu się dłoń, w której trzymał słuchawkę.
- Międzynarodowe Towarzystwo Kapsuł Czasu — odezwał się męski głos. — Mówi profesor Donovan.
- Próbuję zdobyć informacje na temat obiektu, który może być panu znany. — Żeby uciec przed hałasem panującym w bibliotece, Balenger wyszedł na zewnątrz. Uliczny gwar kazał mu natychmiast przycisnąć telefon do ucha. — Jego nazwa kojarzy mi się z Kryptą Cywilizacji.
- Która znajduje się oczywiście tutaj, na Uniwersytecie Oglethorpe'a — wtrącił z entuzjazmem profesor.

— Chwileczkę. Dzwonię z Manhattanu i straszny tutaj hałas. — Balenger wszedł z powrotem do biblioteki. — Słyszał pan kiedykolwiek o Sarkofagu Ziemiści Namietności<sup>9</sup>

— Ależ naturalnie.

— Słyszał pan?

— Nie można wykluczyć, że to tylko legenda. Ale jeżeli istnieje naprawdę, powinien się znaleźć na liście najbardziej poszukiwanych kapsułek czasu.

— Niech mi pan o nim wszystko opowie.

— Obawiam się, że to zajmie trochę czasu. Sarkofag spowija tajemnica, ale towarzyszy mu bardzo bogaty historyczny kontekst. Zajrzę do materiałów źródłowych. Jeżeli zadzwoni pan jutro...

— Nie mam tyle czasu! Muszę to wiedzieć dzisiaj!

— Za chwilę wychodzę z uczelni na spotkanie, proszę pana. To będzie musiało poczekać do... Powiedział pan, że dzwoni z Manhattanu? W takim razie może się pan czegoś dowiedzieć już dzisiaj. Osoba, która wie najwięcej na temat Sarkofagu Ziemiści Namietności, wyklada na nowojorskim uniwersytecie.



## 8

Washington Square South. Panujący w budynku uniwersytetu półmrok kontrastował ostro z jasnym słońcem na dworze. Balenger zdawał sobie sprawę z presji czasu, kiedy wysiadł z windy na szóstym piętrze i szedł korytarzem do drzwi z tabliczką WYDZIAŁ HISTORII, PROFESOR GRAHAM.

Dobiegały zza nich głośne wystrzały. Balenger zapukał, ale nikt mu nie otworzył. Zapukał ponownie i tym razem usłyszał kobiecy głos, który zapraszał go do środka. Po otwarciu drzwi usłyszał strzały jeszcze wyraźniej.

Miał przed sobą drobną, sześćdziesięcioletnią kobietę z krótkimi siwymi włosami i wąską pomarszczoną twarzą. Ubrana była w jasnoniebieską bluzkę z rozpiętymi dwoma górnymi guzikami. Przy trzech ścianach stały regały wypełnione książkami. Okno było zasłonięte żaluzjami. Balenger skoncentrował uwagę na starszej pani, która siedziała przy biurku i nie odrywając wzroku od jarzącego się monitora, energicznie poruszała joystickiem. Strzały dochodziły z jej komputera.

— Profesor Graham?

Kobieta nie odpowiedziała.

— Jestem Frank Balenger.

Profesor Graham kiwnęła głową, ale nie wiedział, czy

zrobiła to w odpowiedzi na jego nazwisko, czy na coś, co ukazało się na wielkim ekranie monitora. Jak na swój wiek poruszała joystickiem zaskakująco sprawnie. Strzały rozbrzmiewały jeden po drugim.

— Dzwoniłem do pani pół godziny temu — podjął Balenger.

— Uhm.

— To, o czym chcę z panią porozmawiać, jest bardzo ważne. Strzały nagle ucichły.

— Cholera — mruknęła profesor Graham, unosząc ręce. — Zepsuł się. To drugi joystick, który rozwaliłam w tym tygodniu. Dlaczego nie produkują mocniejszych? Ile mogę mieć siły w tych starych palcach? — zapytała Balengera, pokazując mu swoje kościste, artretyczne dłonie. — Powiedział pan, że służy w policji?

— Służyłem. W New Jersey.

— Grał pan kiedyś w gry wideo?

Balenger chciał jak najszybciej uzyskać potrzebne informacje, ale policyjne doświadczenie podpowiadało mu, że powinien najpierw nawiązać bliższy kontakt z przesłuchiwaną osobą. Musiał zachować spokój.

— Nigdy mnie nie pociągały — odparł.

— Uważa pan, że są bezmyślne?

Balenger wzruszył ramionami.

— Miałam te same uprzedzenia — przyznała profesor Graham — aż do chwili, gdy przed siedmiu laty jeden z moich studentów uczynił ze mnie entuzjastkę. Studenci są czasami mądrzejsi od swoich profesorów. Ten konkretny student odmienił moje życie. Trzeba zapomnieć o treści gier wideo, wiele z nich jest rzeczywiście bezmyślnych. Chodzi o umiejętności, dzięki którym się wygrywa. Te gry rozwijają refleks i uczą mózg szybszego działania. Niektórzy uważają, że wielozadaniowość jest zła, ale co jest złego w tym, że potrafisz robić kilka rzeczy równocześnie i robić to dobrze?

— Dwaj chłopcy, którzy zastrzelili swoich kolegów w szkole średniej Columbine w Colorado, byli uzależnieni od brutalnych gier wideo.

— Podobnie jak wiele innych dzieci. Ale na wiele milionów graczy...

— Milionów?

— Gry wideo przynoszą większy dochód niż cały przemysł filmowy. Gra w nie połowa ludzi w tym kraju. Na wiele milionów dzieci, które lubią brutalne gry wideo, tylko kilka wpada w morderczy szał. Stają się zabójcami z jakichś innych powodów, często z wściekłości, która wzbiera w nich w wyniku długotrwałych prześladowań. Był pan policjantem w New Jersey? Gdzie?

— W Asbury Park.

— Kiedy byłam małą, brałam tam udział w zawodach łyżwiarskich — oznajmiła siwowłosa kobieta, zanim Balenger zdążył zadać jej jakieś pytanie. Przez chwilę wpatrywała się w jakiś punkt nad jego głową. — To było dawno temu — wyjaśniła i z powrotem na niego spojrzała. — Swoją drogą, skoro pracuje pan w policji, dziwię się, że nie gra pan w gry wideo. Ta, w którą przed chwilą grałam, nazywa się „Doom”. To jedna z gier, w którą grali zabójcy z Columbine. Należy do rodzaju FPS, czyli „first-person shooter”, to znaczy strzelanek w pierwszej osobie. Mówiąc w skrócie, gracz ogląda wszystko znad lufy pistoletu. Jestem strzelcem piechoty morskiej na Marsie i bazę opanowały demony. Kiedy się pojawiają, rozwalam je. Ukazują się często i są bardzo szybkie. Gra toczy się w czymś w rodzaju labiryntu. Zdarza się, że sufit wali mi się na głowę. Nigdy nie wiem, jakie okropności czają się za zamkniętymi drzwiami.

Balenger przypomniał sobie hotel Paragon.

Profesor Graham baczniej mu się przyjrzała.

— Słyszałam, że policjanci grają w gry FPS, żeby ćwiczyć

refleks, kiedy nie mają akurat zajęć na strzelnicy. I że robią to często przed akcją, aby się do niej lepiej przygotować.

Balenger nie potrafił już dłużej skrywać zniecierpliwienia.

— Przepraszam — powiedziała profesor. — Nie potrafię poskromić swego entuzjazmu. Wspomniał pan przez telefon, że zdaniem profesora Donovana mogę panu pomóc. Specjalizuję się w dziejach amerykańskiego pogranicza, ale fascynują mnie również kapsuły czasu. Co chciałby pan wiedzieć?

Balenger opowiedział jej o tym, co zdarzyło się w trakcie wykładu w domu przy Dziewiętnastej Ulicy.

— Manhattański Klub Historyczny? — mruknęła, gdy skończył. — Nigdy o nim nie słyszałam.

— Ponieważ nie istnieje.

— W kawie były środki nasenne?

— Zgadza się. Kiedy odzyskałem przytomność, moja przyjaciółka zniknęła.

— Co się panu stało w lewe przedramię? Wciąż je pan pociera.

Balenger zdał sobie sprawę, że robi to zupełnie odruchowo.

— Kiedy byłem nieprzytomny, ktoś podał mi dożylnie środek nasenny. Miejsce, w którym dokonano nakłucia, jest zaczerwienione i spuchnięte.

— Doszło chyba do zakażenia. Powinien pan iść do lekarza.

— Nie mam na to czasu. — Balenger pochylił się do przodu. — Profesor Donovan twierdzi, że posiada pani wiedzę na temat tak zwanego Sarkofagu Ziemijskich Namiętności.

Profesor Graham zmrużyła oczy.

— Gdzie, u licha, pan o nim słyszał?

— Osoba, która porwała moją przyjaciółkę, zostawiła te słowa jako coś w rodzaju wskazówki. Myślę, że to fragment gry, skrajnie niebezpiecznej gry — dodał Balenger, spoglądając mimo woli na komputer.

— Sarkofag Ziemijskich Namiętności. — Profesor Graham

pokiwała głową. — Fascynował mnie od lat. Trzeciego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku do miasta Cottonwood nieopodal gór Wind River w centralnym Wyoming dowlókł się na ostatnich nogach przez śnieżne zasy niejaki Donald Reich. Miał wysoką gorączkę. Przez kilka poprzednich dni padał gęsty śnieg i temperatura spadła poniżej zera. Reicha zabrano do miejscowego lekarza, który stwierdził, że ma odmrożone uszy, nos oraz palce u nóg i rąk i że trzeba je amputować, zanim wda się gangrena. Odzyskawszy na kilka chwil świadomość, Reich wyznał, że przybył pieszo z miasta o nazwie Avalon. Ta leżąca w górach Wind River miejscowość była niegdyś ośrodkiem górniczym, ale po zamknięciu kopalni przyszły na nią ciężkie czasy. Z Cottonwood do Avalonu jest sto mil. Reich twierdził, że wyruszył w sylwestra i pokonał tę odległość w najgorszą pogodę, jaka zdarza się w ciągu roku. Balenger słuchał uważnie.

— Majaczenia Reicha trudno było zrozumieć — podjęła profesor Graham — lecz wynikało z nich, że pełnił w Avalonie funkcję pastora. Celem jego desperackiej wyprawy nie było jednak sprowadzenie pomocy dla miasta. Nie szukał też leku, który miał zwalczyć epidemię, ani nie próbował zdobyć żywności dla głodujących mieszkańców. Nie przybył do Cottonwood, by coś uzyskać. Nie, jego jedynym motywem była chęć ucieczki.

Balenger się wyprostował.

— Przed czym?

— Reich bez przerwy mówił o nowym stuleciu. Niech pan pamięta o dacie, którą podałam. Trzeciego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku. Trzy dni wcześniej skończył się wiek dziewiętnasty i zaczął dwudziesty. Zostawmy na boku spór o to, kiedy naprawdę zaczyna się nowe stulecie. Wielu ludzi wierzy, że dzieje się to, kiedy zmieniają się początkowe cyfry: w tym wypadku osiemnastka na dziewiętnastkę. Inni utrzymują, że rok z zerami po tych cyfrach należy do poprzedniego,

a nie do następnego wieku. Według tej teorii początkiem nowego stulecia był rok tysiąc dziewięćset pierwszy. W gruncie rzeczy w liczbach nie ma żadnej magii. Liczy się tylko psychologiczne znaczenie, jakie im przypisujemy, a Reich szczerze wierzył, że nowe stulecie zaczęło się trzy dni wcześniej. To go przerażało. Bez przerwy bajdurzył, że jest tchórzem, że powinien zostać i spróbować pomóc i że skazał na zatracenie swoją duszę, ulegając lękowi i uciekając. Balenger poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

— Ale co, u diabła, przestraszyło go tak bardzo, że opuścił swoje owieczki i pokonał pieszo sto mil w środku zimy?

— Sarkofag Ziemskich Namiętności.

## 9

Balenger zacisnął palce na poręczach fotela. Muszę cię odnaleźć, Amando, pomyślał.

— W mojej pracy pod tytułem „Amerykański Zachód u schyłku dziewiętnastego stulecia” jest rozdział poświęcony historii końca wieku. — Profesor Graham podeszła do półki, wzięła do ręki jedną z książek i przekartkowała ją, szukając odpowiedniego fragmentu. — Niech się pan przyjrzy temu tekstowi. Jego autorem jest Reich. W ubraniu zaszył zapisane odręcznie kartki.

Balenger przeczytał wskazany przez nią fragment.

31 grudnia 1899

Kończy się rok. I kończy całe stulecie. Boję się, że tracę rozum. Nie mam na myśli kontaktu z rzeczywistością. Rozumiem świat, co się dzieje. Nie jestem jednak w stanie zapobiec konsekwencjom. Z każdym dniem słabnie we mnie siła ducha.

Tego ostatniego dnia chyba już świta, lecz na dworze szaleje śnieżycą. Wirujące płatki śniegu i wycie wichury odzwierciedlają zamęt w mojej głowie. Modłę się, żeby zapisywane przeze mnie kartki pomogły mi odzyskać jasność umysłu.

Jeżeli tak się nie stanie i jeżeli jakimś cudem świat przetrwa następne sto lat, wy, którzy znajdziecie je w sarkofagu, być może zrozumiecie to, czego ja nie zdołałem pojąć.

Balenger odłożył książkę.

— Brzmi to jak bełkot szaleńca.

— Lekarz odnalazł w ubraniu Reicha kilkanaście pokrytych gryzmołami kartek. Czyta pan początek jego rękopisu — wyjaśniła profesor Graham.

— Reich wspomina o sarkofagu — rzekł Balenger, wskazując ostatnie zdanie.

— Ale nie wymienia jego pełnej nazwy. Ta pojawia się w rękopisie później.

— Co znaczy ten fragment: „jeżeli jakimś cudem świat przetrwa następne sto lat”?

Profesor rozłożyła dłonie pokryte plamami wątrobowymi, dając do zrozumienia, że odpowiedź jest oczywista.

— Histerii końca wieku często towarzyszą apokaliptyczne obawy. Wiążą się na ogół ze skrajnymi poglądami religijnymi.

— Więc w jakiejś położonej na odludziu, upadającej osadzie pewien pastor puścił wodze wyobraźni. Ale dlaczego uciekł? Chyba nie sądził, że zdoła uniknąć końca świata, jeśli zmieni miejsce pobytu?

— W moich badaniach często natrafiam na apokaliptyczne wizje związane z określonymi miejscami — powiedziała profesor Graham. — Powódź ma zniszczyć pewien konkretny obszar albo na jakimś wzgórzu ma dojść do Drugiego Przyjścia. Nie wierzę jednak, że Reich bał się końca świata. W dalszej części rękopisu okazuje się, że bał się przede wszystkim Sarkofagu Ziemijskich Namiętności... i pewnej osoby. Konkretnie mówiąc, innego pastora. Niejakiego Owena Pentecosta.

— Pentecosta?

— W Biblii czytamy, że pięćdziesiąt dni po zmartwych-



wstaniu Jezusa Duch Święty zstąpił na apostołów i że mieli oni wizje. To zdarzenie nazywane jest Pięćdziesiątnicą, Pentecost.

— Dobre nazwisko dla pastora. Prawdę mówiąc, zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Najprawdopodobniej je zmyślił.

— Reich opisuje, jak wielebny Owen Pentecost, mężczyzna wysoki, wyjątkowo chudy i ubrany na czarno, z długimi włosami i brodą niczym u Abrahama Lincolna, wkroczył do Avalonu dziewięć miesięcy wcześniej, w kwietniu. Panowała wówczas straszliwa susza, szalały piaszkowe burze. Pentecost wyłonił się z tumanów piasku. Zobaczył go mężczyzna szukający krowy, która uciekła z zagrody. Pierwsze słowa kaznodziei brzmiały: „Zbliży się koniec wieku”.

— Wygląda na to, że występował wcześniej w teatrze — mruknął Balenger.

— Albo był szalony — dodała profesor Graham. — Po dotarciu do Avalonu ruszył główną ulicą od razu do kościoła. Reicha tam nie było. Czuwał akurat przy chorym dziecku. W związku z tym następnymi ludźmi, którzy mieli okazję spotkać Pentecosta, byli mężczyzna i kobieta prowadzący sklep i dbający o porządek w kościele. Zobaczyli, że kaznodzieja modli się przed ołtarzem. Miał ze sobą worek, który się ruszał.

— Ruszał?

— Wyjaśnienie tego sekretu zawarte jest w dalszej części manuskryptu. W następnych tygodniach i miesiącach Reich rozmawiał ze wszystkimi, którzy mieli styczność z Pentecostem, i zapisywał to, czego się dowiedział. Kiedy para w kościele zapytała kaznodzieję, co mogą dla niego zrobić, odparł, że przeszedł długą drogę, więc chętnie coś by zjadł i napił się wody, przede wszystkim jednak chce wiedzieć, czy ktoś w mieście nie jest chory. Powiedzieli, że pewien mały chłopiec cierpi na silne bóle w prawej części podbrzusza, ma gorączkę i wymiotuje.

— Wygląda to na atak wyrostka — zauważył Balenger.

— W rzeczy samej. W tamtych czasach zapalenie wyrostka równało się niemal wyrokowi śmierci. Niewielu lekarzy potrafiło usuwać chory organ. Tutaj, w Stanach Zjednoczonych, pierwsza taka udana operacja miała miejsce zaledwie dziesięć lat wcześniej. Nawet gdyby lekarz wiedział, jak ją wykonać, na pograniczu trudno byłoby znaleźć środek znieczulający w postaci eteru. Przeprowadzenie operacji bez niego groziło tym, że pacjent umrze z bólu. A w Avalonie nie było eteru. Gdy Pentecost dotarł do domu chorego, zastał tam Reicha modlącego się z ojcem chłopca. Ponieważ ostatni lekarz opuścił Avalon rok wcześniej, Reich, który w ciągu długich lat swej kapłańskiej posługi liczył trochę wiedzy medycznej, pełnił tam również funkcję felczera. Jednak operacja wycięcia wyrostka zdecydowanie przekraczała jego możliwości. Prawdę mówiąc, po prostu czuwał razem z ojcem przy umierającym. Pentecost zapytał, czy w okolicy jest jakiś las. Jest w górach, odparł Reich, ale co to może pomóc chłopcu? Czy nie ma zagajnika gdzieś bliżej? Owszem, przy jeziorze rosną osiny. Reich, którego zaintrygował przybysz, towarzyszył mu do jeziora, lecz tam Pentecost polecił mu poczekać i sam wszedł między drzewa. Niedługo później wrócił z ziołami, które zebrał. W domu chłopca zrobił z nich napar i kazał mu go wypić. Chory zemdlął, a wówczas Pentecost dokonał operacji.

— Operacji?

— Owszem i chłopiec przeżył — potwierdziła z podziwem w głosie profesor Graham. — Pentecost poprosił następnie Reicha, żeby pozwolił mu odprawić nabożeństwo w kościele i publicznie podziękować Bogu za ocalenie chorego. W trakcie kazania otworzył worek i wysypał jego zawartość na podłogę. Pytał pan, co w nim było. Węże. Tłum zaczął krzyczeć i rzucił się do wyjścia, ale Pentecost zdeptał głowy wszystkim gadom, unikając ukąszenia, po czym oznajmił, że wierni muszą być czujni i zniszczyć zło podobnie, jak on zdeptał głowy węży.

— Facet miał bezsprzecznie zmysł dramatyczny — powiedział Balenger. — Te zioła, które znalazł... Jaki to wyjątkowy zbieg okoliczności, że składniki, których potrzebował, rosły akurat w tym zagajniku, choć nikt o nich wcześniej nie wiedział. Założy się pani, że miał już środki nasenne w kieszeni i wsypał je do naparzu, kiedy nikt nie widział?

— Jako były policjant dostrzega pan manipulację z dystansu ponad stu lat, ale w tamtej epoce, w leżącej na uboczu górskiej dolinie trudno było się oprzeć magii Pentecosta, zwłaszcza że uratował życie chłopcu. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego operacja się powiodła. Może zaryzykował i przypadkiem mu się udało, a może miał jakieś medyczne przygotowanie.

Balenger czuł, że czas przecieka mu między palcami. Nie przestawał myśleć o Amandzie.

— Niech mi pani opowie o Sarkofagu Ziemijskich Namiętności.

— Nie wiemy dobrze, co to było. Jednak wygląda mi na rodzaj kapsuły czasu. Tego terminu nie stosowano oczywiście przed Targami Światowymi w Nowym Jorku w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, ale pomysł jest ten sam bez względu na to, jak go nazwiemy. Z każdym dniem Pentecost coraz mocniej podkreślał, że nadchodzi nowe stulecie. Mówił, że ich dusze zostaną wkrótce poddane próbie, że zbliża się apokalipsa. Wiosna przeszła w lato, a jesienią kaznodzieja kazał wszystkim wybrać przedmioty, na których im najbardziej zależy. Pod koniec roku polecił umieścić te wartościowe przedmioty w Sarkofagu Ziemijskich Namiętności. Marność, powtarzał. Wszystko to marność. Kiedy zacznie się nowe stulecie, materialne rzeczy nie będą miały znaczenia.

— Jak wyglądał ten sarkofag?

— Nikt tego nie wie.

— Jak to?

— Reich pisał swój dziennik w pośpiechu. Przeskakiwał z tematu na temat, starał się bowiem przekazać jak najwięcej

informacji w ograniczonym czasie, jaki miał do północy... do północy tego, co miało się okazać ostatnim dniem świata. Fragment, który pan czytał, wskazuje, że zamierzał włożyć te kartki do sarkofagu. Potem jednak opuściła go odwaga i uciekł z niedokończonymi notatkami.

— Zgoda, sarkofag nie został przez niego opisany — mruknął Balenger. — Ale mógł przecież powiedzieć lekarzowi, jak wyglądał.

— Reich nigdy nie odzyskał przytomności. W rany po odmrożeniach wdała się infekcja. Następnego dnia zapadł w śpiączkę i umarł.

— Sarkofag miał zawierać wszystkie cenne przedmioty znajdujące się w miasteczku, musiał więc być duży — stwierdził Balenger. — Czy nikt go później nie znalazł? Ludzie w Cottonwood na pewno się nim interesowali, a kiedy nadeszła wiosna i stopniał śnieg, wyprawili się do Avalonu, żeby sprawdzić, co się tam dzieje.

— Rzeczywiście zrobili to.

— I co?

— Nigdy nie znaleźli niczego, co mogłoby przypominać sarkofag.

— Mieszkańcy Avalonu mogli im pokazać, gdzie został złożony. Nazwa wskazuje, że zakopali go na cmentarzu.

— Wyprawa z Cottonwood znalazła wymarłe miasto. Budynki były puste. Nie trafiono na najmniejszy ślad przemocy, na nic, co wskazywałoby, że mieszkańcy zostali zaskoczeni. Żadnych niedojedzonych posiłków na stołach. Żadnych przedmiotów, które ktoś w panice upuścił na podłogę. Wprost przeciwnie, wszystko było uporządkowane i czyste. Łóżka zasłane. Ubrania powieszony w szafach. Puste miejsca po wyniesionych z pokoi meblach, wazonach i obrazach. Zniknęły nawet domowe zwierzęta. Większe: świnie, owce, krowy i konie znaleziono martwe na pastwisku — padły z zimna lub z głodu.

— To kompletnie nie ma sensu... Ile osób mieszkało w Avalonie?

— Ponad dwieście.

— Tyle ludzi nie może zniknąć bez śladu. Musieli się przenieść do innego miasta.

— Nie ma na ten temat żadnych informacji — stwierdziła profesor Graham. — Gdyby przenieśli się gdzie indziej w środku zimy, któryś z mieszkańców z pewnością opowiedziałby, co się stało. Kiedy rozeszła się wieść o tajemniczym zniknięciu ludności Avalonu, ktoś z dwustu ludzi na pewno by się odezwał się i wyjaśnił, że jego ziomkowie po prostu się przenieśli.

— Więc dokąd poszli? To było ponad dwieście osób, na litość boską.

— Religijni fanatycy w innych miastach zaczęli wierzyć, że w Avalonie rzeczywiście nastąpiło Drugie Przyjście i wszyscy mieszkańcy poszli do nieba.

— Ależ to niedorzeczność! Przecież pani wie, że to żadne tłumaczenie. Jezu.

— Widzi pan, jak łatwo odwołujemy się do religii, kiedy dzieje się coś niemożliwego?

Balenger wbił ponury wzrok w podłogę.

— Niewiele mi pani pomogła. Wiem tyle samo, co na początku. Nie mam pojęcia, jak znaleźć Amandę.

# 10

Drzwi do gabinetu profesor Graham były przez cały czas uchylone. Balenger usłyszał odgłos zatrzymującej się windy, a następnie zbliżające się w ich stronę ciężkie kroki mężczyzny. W progu stanął Ortega.

— Myślałem już, że źle trafiłem — oznajmił niezbyt zadowolony.

Balenger przedstawił go profesor Graham.

— Rozmawialiśmy o Sarkofagu Ziemijskich Namietności, ale nie ma o nim zbyt wielu konkretnych informacji. Znalazłeś Karen Bailey?

— Nie.

Kolejne rozczarowanie. Balenger poczuł, że opadają mu ręce.

— A to pudełko po grze komputerowej? Wysłałeś radiowóz do domu, gdzie odbył się wykład?

— Pogadamy o tym później.

— Słuchaj, rozumiem, że nie chcesz o tym dyskutować przy osobach trzecich, ale profesor Graham zna dobrze temat. Może nam pomóc.

— Nadal zachowujesz się jak ktoś, kto tu dowodzi? — zapytał poirytowanym tonem Ortega.

W gabinecie zapadła cisza.

— Zachowuję się jak ktoś, kto się boi — odparł Balenger. — Pudełko było nadal na strychu?

Ortega przez chwilę się zastanawiał, po czym sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął przezroczystą plastikową torebkę, w której znajdowało się pudełko.

— „Łowca”. Nazwa nadal nic mi nie mówi.

Balenger wziął od niego pudełko. Pod tytułem gry zobaczył klepsydrę, w której sypał się piasek. Ten na górze był biały, na dole zaś szkarłatny jak krew.

— Mogę zobaczyć? — zapytała profesor Graham. Zmęczenie zaostrzyło jej rysy.

Balenger podał jej pudełko. Zaintrygowana obejrzała okładkę i oddała mu z powrotem.

— Gra została wydana w tym roku. Czytam w Internecie wszystkie blogi na temat gier, ale nigdy o niej nie słyszałam.

— Czyta pani wszystkie blogi? — zdziwił się Ortega.

— Ludzie uważają, że gry wideo są dla nastolatków. Jednak średni wiek gracza wynosi trzydzieści lat i wśród fanów jest wielu moich rówieśników. — Profesor Graham pokazała im swoje powykrzywiane palce. — Zdziwilibyście się, jak bardzo gry pomagają zachować jasność umysłu i chronią przed artryzmem.

— Mimo to... — bąknął Ortega.

— Profesor historii grająca w gry wideo, nierzadko brutalne... — Starsza pani była najwyraźniej rozbawiona. — Mogłabym pewnie grać w grę eksplorującą wszechświat w rodzaju „Myst”, która wyszła już trochę z mody, lub w grę fabularną, taką jak „Anarchy Online”, gdzie kontroluję zachowanie postaci w alternatywnej rzeczywistości. Ale szczerze mówiąc, wszystkie one są dla mnie za wolne. Właściwie tylko wyścigi samochodowe i strzelanki sprawiają, że krew szybciej krąży mi w żyłach, a na tym etapie mojego życia wcale niełatwo to osiągnąć. Wiercie mi, znam każdą dostępną na rynku grę, a o tej nikt nigdzie nie pisał, co jest dziwne, zważywszy, ile

pieniędzy wydano na okładkę, która jest na profesjonalnym poziomie. Wiem, że ta plastikowa torebka chroni przez pozostawieniem odcisków palców, ale jeżeli to możliwe, chciałabym wyjąć płytę i zagrać.

— Ja też chętnie bym to zrobił — powiedział Balenger. — Znaleźliśmy to pudełko w domu, w którym wygłosił wykład fałszywy profesor. Niestety, było puste.

— Znalazł pan to pudełko w domu, gdzie został wygłoszony wykład? — Profesor Graham przeczytała przez folię tekst umieszczony z tyłu: „Łowca« jest najbardziej sugestywną grą akcji, jaką kiedykolwiek stworzono. Ma zaskakująco realistyczną scenierię, która pozwala utożsamiać się z postaciami uwięzionymi na tajemniczym pustkowiu. Grając w nią, przekonujemy się, że otwarte przestrzenie mogą być tak samo przerażające jak nawiedzany przez duchy dom. Postaci biorą udział w morderczym biegu z przeszkodami i w grze w szukanego, by za pomocą nowoczesnych urządzeń poznać przeznaczoną dla przyszłości wiadomość, którą otwieramy w dniu dzisiejszym, aby zrozumieć przeszłość”.

— O czymś podobnym była mowa w zaproszeniu na wykład, które dostaliśmy z Amandą — powiedział Balenger. — Zwróciło to moją uwagę i zachęciło do pójścia.

„Celem jest odnalezienie zagubionej stuletniej kapsuły czasu — czytała dalej profesor. — Po drodze zarówno gracz, jak i postaci odkrywają, że to czas jest prawdziwym łowcą wysysającym z nas życie w ciągu czterdziestu godzin, na które jest obliczona gra”.

Profesor Graham odłożyła pudełko i popatrzyła uważnie na mężczyzn. Sińce pod oczyma dodawały jej lat. Balenger zaczął się zastanawiać, czy nie jest przypadkiem chora, ale nie zdążył o to zapytać.

— Czy to typowy opis gier wideo? — zapytał nagle Ortega.

— Bynajmniej. Piszą tam na ogół o „pompującej adrenalinę akcji”, „spektakularnej grafice” i „walce z piekielnymi mo-



cami”. Ten opis jest do tego stopnia introspektywny i posepny, że ma w sobie coś z filozofii egzystencjalnej. „Czas jest prawdziwym łowcą, wysysającym z nas życie”? Można by pomyśleć, że napisał to Kierkegaard w najmroczniejszą ze swoich nocy.

— Co oznacza odniesienie do czterdziestu godzin? — zapytał Ortega.

— Tyle mniej więcej trwa większość gier komputerowych — wyjaśniła profesor Graham.

Balenger pomasaował obolałe ramię.

— Czy to znaczy, że mamy tyle czasu na odnalezienie Amandy? — zapytał i spojrzął z niepokojem na zegarek. — Minęła piąta po południu. Obudziłem się w Asbury Park wczoraj, krótko po północy. Od tego czasu minęło ponad czterdzieści godzin. Straciłem ją.

**POZIOM PIĄTY**  
**UMYSŁ STWÓRCY**

# 1

— Czy ktoś z was czytał książki Dorothy L. Sayers? — zapytał Mistrz Gry.

Amanda poprawiła na głowie słuchawki, przekonana, że się przesłyszała.

— Czyje książki? — zapytała Viv.

Derrick stał pośrodku ruin kościoła, wpatrując się w jasne niebo. Gruz ze ściany, która runęła, wydzielał ciepło.

— Najpierw chciałeś wiedzieć, czy potrafimy zgadnąć, co to za sarkofag — mruknął. — Teraz pytasz o...

— Możesz nam chyba opowiedzieć o pani Sayers, Amanda — przerwał mu głos.

— Dlaczego miałyby o tym wiedzieć? — obruszył się Ray. — Powiedziałeś już, że jest twoją ulubioną zawodniczką. Czy dajesz jej fory, zadając pytania, na które tylko ona potrafi odpowiedzieć?

— Pracuję w księgarni — wyjaśniła Amanda, celowo używając czasu terażniejszego. Chciała przekonać sama siebie, że jej życie może ponownie wrócić do normy. — Tak, wiem, kim jest Dorothy L. Sayers.

— Słuchamy — oznajmił głos.

— To brytyjska autorka kryminałów, która stworzyła postać detektywa amatora, lorda Petera Wimseya. Jej najsyn-

niejszą powieścią jest prawdopodobnie „Dziwięciu krawców”. Opowiada o dzwonych w kościelnej wieży i o znalezionym tam trupie.

— To jakieś kolejne brednie — mruknął Ray, ocierając pot z twarzy. — Czas ucieka, a my gędzimy o autorce kryminałów.

Zaburzało mu w brzuchu tak głośno, że wszyscy to usłyszeli.

— Wielkie nieba, Ray — powiedział głos. — Musisz być bardzo głodny.

Ray zaczerwienił się po same uszy i spojrzał spode łba na pozostałych.

— Gadajcie z tym facetem, ile chcecie. Marnujcie czas i siły.

Wyrwał Amandzie z ręki butelkę po wodzie, wpisał do swojego GPS-u cyfry znajdujące się na etykiecie i uzupełnił je danymi z drugiej butelki.

— Wy możecie się tu opierniczać, a ja mam zamiar odkryć, jak wygrać tę grę i jak się stąd wydostać — oznajmił, po czym złapał dwie pełne butelki, wepchnął je do kieszeni i ruszył szybko w dół wzgórza.

— On ma rację. Musimy dotrzeć do miejsca, które wyznaczają współrzędne — stwierdziła Viv i zabrała dwie kolejne butelki. Derrick zrobił to samo.

Gdy Amanda sięgnęła po wodę, okazało się, że została tylko jedna butelka. Rozwścieczona pobiegła za resztą. Czerwona strzałka na jej GPS-ie wskazywała wąski koniec jeziora, tam, gdzie leżały ruiny Avalonu. Starła się nie stracić równowagi na stromym zboczu. Nagle poczuła padający na ramię cień i spojrzała w stronę horyzontu. Nad najwyższą z gór gromadziły się chmury.

— Nadchodzi burza — powiedział Derrick. — Za parę godzin się rozpocznie.

— Nie wspomniałaś, Amando, że Dorothy L. Sayers przetłumaczyła „Piekło” Dantego — odezwał się głos.

— Może byś się w końcu zamknął!? — ryknął Ray, zbliżając się do końca zbrocza.

— Staram się wam ułatwić zadanie — wyjaśnił głos. — Chcę, żebyście lepiej zrozumieli zasady gry. Sayers napisała „Umysł Stwórcy”. Czytałaś tę książkę, Amando?

— Nie! — wydyszała Amanda, goniąc Derricka, Viv i Raya, którzy zbliżali się już do wymarłego miasta.

— Zawiodłem się na tobie.

— To nie jest duża księgarnia, do diabła!

— Ale skończyłaś filologię angielską na Uniwersytecie Columbia.

Viv odwróciła się i zmierzyła ją gniewnym spojrzeniem.

— Nie studiowaliśmy autorów kryminałów! — zawołała Amanda. Huczało jej w głowie od biegu.

Głos westchnął z rozczarowaniem.

— Sayers była pobożną anglikanką. Dręczyła ją jednak sprzeczność pomiędzy wszechwiedzą Boga i wolną wolą, którą podobno mają ludzie. Skoro Bóg wie wszystko, wie również, kiedy każdy z nas zgrzeszy. Oznacza to, że przyszłość jest z góry określona i nie mamy wolnej woli.

— Zamknij się! — wrzasnął Ray, który dotarł do skraju wymarłego miasta.

— Dlatego Sayers napisała „Umysł Stwórcy” — wyjaśnił głos. — Uznała, że Bóg jest podobny do autora powieści. Ustala czas i miejsce akcji. Tworzy postaci i wie w ogólnych zarysach, co będą robić. Ale bohaterowie, o czym powie wam każdy pisarz, często zaczynają żyć własnym życiem. Nie robią tego, co powinni robić. Istnieją w umyśle autora, lecz mimo to są niezależni. Przypominają aktorów grających według metody Stanisławskiego. Nie sądzę, że bym mógł to zrobić, mówi jeden. Moja postać powiedziałaaby prawdę w tej scenie. Moim zdaniem, twierdzi inny, zamiast pracować z kimś, kogo nie lubię, powinienem raczej odrzucić awans. To głosy, które odzywają się w umyśle wszytkowiedzącego autora. Sayers

wiedziała z własnego doświadczenia, że postaci powieści mają wolną wolę. W podobny sposób, w jaki mają wolną wolę ludzie. Chociaż nasze role są rozpisane, czasami nie chcemy ich grać. Czasami zaskakujemy samego Boga. Według Sayers, w ten sposób dostępujemy zbawienia. Pokazując, jacy jesteśmy pomysłowi, i zaskakując Boga.

Wyprzedzający ich Ray zatrzymał się, żeby złapać oddech i spojrzeć na ekranik GPS-u.

— To tutaj — powiedział. — Współrzędne wskazują ten punkt.

Derrick, Viv i Amanda dogonili go. Derrick miał mokrą od potu twarz. Wyjął z kieszeni butelkę z wodą i zaczął łapczywie pić.

— Nie spiesz się — poradziła mu Viv.

Stali w miejscu, gdzie kiedyś biegła ulica. Między prostymi liniami zburzonych budynków rosły krzaki bylicy. W przeciwieństwie do wzniesionego z kamienia kościoła, te zabudowania były drewniane; deski i belki leżały w stertach, między którymi pieniały się chwasty. Drewno było stare i popękane.

— Rozejrzyjcie się! — rozkazał Ray. — Te GPS-y mają dokładność do dziesięciu stóp. Gdzieś tu blisko jest coś, co powinniśmy znaleźć!

Sam zaczął gorączkowo przeszukiwać ruiny po lewej stronie. Viv robiła to po prawej, a Derrick zaglądał pod krzaki. Olbrzymie niebo przytłaczało Amandę.

— Chcesz powiedzieć, że uważasz się za Boga? — zapytała. Spojrzała w górę i poczuła, że kręci się jej w głowie.

Derrick przestał szukać i zmarszczył czoło.

— Powiedziałem, że jestem Mistrzem Gry — odparł głos.

— Czy to znaczy, że uważasz nas za postaci zrodzone w twojej głowie?

Viv także znieruchomiała.

— Nie istniejemy w twojej głowie! — krzyknęła Amanda.

Zdesperowana przypomniała sobie, co mówił jej Frank: że przestępcy są bardziej skłonni maltretować swoje ofiary, jeżeli uważają je za obiekty, nie za ludzi. Musiała za wszelką cenę sprawić, by Mistrz Gry odnosił się do niej jako do jednostki, osoby, istoty ludzkiej.

Frank. Myśl o nim sprawiła, że przeszedł ją dreszcz. Z rozpaczą uświadomiła sobie, że chyba zginął. Mimo tłącej się w jej sercu nadziei nie wyobrażała sobie, by mogło być inaczej. Przecież gdyby żył, byłby tu razem z nimi i próbował jej pomóc.

— Mam dwadzieścia sześć lat! Moimi ulubionymi daniami są spaghetti i klopsiki, chociaż od węglowodanów przybiera się na wadze! Lubię filmy z Bradem Pittem! Lubię oglądać History Channel! Lubię bawić się z irlandzkim seterem mojego ojca! Lubię biegać po Prospect Parku. Lubię...

— Przestań wrzeszczeć! — krzyknął Ray. — Pomóż nam znaleźć to, co ukrył tutaj ten drań!

— Spodziewałem się, że Bethany ucieknie — kontynuował swój monolog głos. — Nie przeszkadzało mi to, ponieważ chciałem udzielić wam lekcji. Rzecz w tym, że mogło się to potoczyć inaczej. Bethany mogła tu być razem z wami. Szczerze mówiąc, musiała mnie tylko zaskoczyć.

— Tak jak lubi być zaskakiwany Bóg? — zapytała Amanda.

— Pomóż nam szukać, do cholery! — zaklął Ray.

— Znalazłam coś — powiedziała Viv, grzebiąca w ruinach po prawej stronie.

— Co? — zapytał Derrick, ruszając ku niej.

— Fragment szyldu.

— Pokaż! — Ray podbiegł do Viv i złapał kawałek deski. Widniały na niej litery OM TOWA. — To może znaczyć wszystko.

— Dom towarowy — stwierdził Derrick. — Sklep, w którym sprzedawano mydło i powidło, w tym artykuły spożywcze.

— Artykuły spożywcze? — skrzywił się Ray. — Po tylu latach na pewno nic już z nich nie zostało.

— Butelki z wodą w kościele zostały tam umieszczone niedawno. Żywność też tu pewnie przyniesiono.

Rayowi zaburczało głośniejszym w brzuchu.

— Taki z ciebie wielki ekspert od przetrwania — zwrócił się do Derricka. — Nie możesz pokazać nam, gdzie można znaleźć jakieś korzonki albo jagody? Zjadłbym wszystko.

— Nawet gdyby pozwolił nam na to Mistrz Gry, i tak to nic nie da — odparł Derrick. — Szukanie korzonków pochłania więcej energii, niż można z nich uzyskać.

— Wiedziałem, że się jakoś wykpiasz. — Ray podniósł z ziemi starą deskę, żeby sprawdzić, czy nic się pod nią nie kryje. Kiedy złapał kolejną deskę, złamała mu się w dłoniach. Cisnął na bok kawałki. — No dalej! Kopcie!

Amanda zaczęła podnosić deski i nie bacząc na wbijające się w dłonie drzazgi, ciskała je za siebie.

— Znalazłem puszkę! — krzyknął nagle Derrick i podniósł ją w górę.

Na etykiecie było napisane BRZOSKWINIE.

— Ja też! — zawołała triumfalnie Viv.

Na jej puszcze widniał napis GRUSZKI.

Amanda i Ray ze zdwojoną energią zaczęli podnosić deski.

— Gdzie są inne? — Ray dokopał się poobcieranymi rękoma do przegniłej drewnianej podłogi. — Szukajcie dalej! Gdzie są inne?

Amanda cisnęła kilka desek na ulicę.

— Wybiję ostrym kamieniem denka — oświadczył Derrick.

— Nie będziesz nic robił, dopóki nie znajdziemy innych puszek — zawołał Ray.

— Obawiam się, że nie ma innych — powiedziała Amanda. Derrick odwrócił się w stronę krzaków bylicy.

— Kopnąłem tam przed chwilą kamień — oznajmił, po czym trzymając w ręku puszkę z brzoskwiniami, podszedł do



krzaka. — Jest! Nie ma ostrego końca, ale możemy go użyć jako młotka. Jeżeli znajdziemy...

— Nie będziesz go używał jako młotka — powiedział Ray — dopóki nie ustalimy, jak podzielić zawartość.

— Tak jak ty podzieliłeś wodę z pierwszej butelki?

— To się już więcej nie zdarzy.

Jasne, pomyślała Amanda. Ale potem wszyscy wzięli po dwie butelki, a mnie zostawili jedną.

— Żebyś wiedział, że się nie zdarzy — odparł Derrick. — Każdy wypije jeden łyk soku. A potem policzymy, ile jest kawałków owoców i równo je podzielimy.

— W porządku, szefie — mruknął Ray. — Jak sobie życzysz. Teraz, skoro tu rządysz, znajdzmy drugi kamyk.

— Wcale nie rządę — zapewnił go Derrick. — Chcę tylko, żeby było sprawiedliwie.

— Jasne, szefie.

Viv podniosła z ziemi kamyk przypominający kształtem klin.

— Patrzcie — powiedziała, pragnąc najwyraźniej zmienić temat. — Można tym wybić dziurę w denku.

Derrick przyłożył kamyk z ostrym końcem do puszki i podniósł w górę drugi, płaski kamień.

— Poczekaj. — Ray otarł usta. — Sok tryśnie z puszki. Nie chcemy uronić ani kropli.

— Nie unikniemy tego — odparł poirytowany Derrick.

— Niekoniecznie. Mam gumowe rękawice, które zabrałam z domu — stwierdziła Viv, wyciągając jedną z nich z kieszeni. Żółta guma odbijała się wyraźnie od brązowego kombinezonu. — Włożymy puszkę do rękawicy. Jeśli z puszki tryśnie sok, spłynie cały do środka.

Viv wsunęła puszkę do rękawicy. Derrick postawił ją na desce, przyłożył do niej pierwszy kamień i walnął w niego drugim. Rozległ się głuchy odgłos. Stara deska złamała się pod puszką. Amanda spojrzała na denko, które wygięło się do środka, lecz nie pękło.

— Uderz mocniej — poradził Ray.

— Nie chcę zmiażdżyć owoców.

— Uderz mocniej — powtórzył Ray.

Derrick uderzył kamień z taką siłą, że aż stęknął. Z wybitej dziury trysnął sok, ale cały spłynął do rękawicy.

— Najpierw wypijemy sok — oznajmił Ray. — Kiedy już go nie będzie, rozbijemy do końca puszkę i wyjmiemy owoce.

— Tak postanowiłeś? — zapytał Derrick, spoglądając na niego spode łba i dając puszkę Viv, która przytknęła do niej wargi i pociągnęła łyk.

— Jak smakuje? — zapytał Ray.

— Ciepły — odparła Viv i dała puszkę Amandzie.

— Nie jest zepsuty?

— Jezu, to dlatego nie protestowałeś, kiedy jej pierwszej dałem się napić? — Derrick potrząsnął ze zdumieniem głową. — Chciałeś się przekonać, czy nie zrobi się jej niedobrze?

Amanda zawahała się z obawy, że sok może być zepsuty. Powoli uniosła puszkę do ust. Gęsty, słodki płyn podrażnił jej kubki smakowe. Po niej po puszkę sięgnął Derrick.

— Nie — oświadczył Ray. — Teraz ja się napiję.

— Tak sądzisz? — odparł Derrick, piorunując go wzrokiem.

— Daj mu — odezwała się Viv. — Może to go uspokoi.

Derrick obserwował bacznie Raya, kiedy ten podniósł puszkę do ust. Jabłko Adama poruszało się w jego długiej szyi.

— Wystarczy — powiedział Derrick.

Słońce zaczęło nagle grzać mocniej. Ray opuścił puszkę.

— Nie chciałem pić po tobie, szefie — powiedział.

Derrick wydał z siebie okrzyk wściekłości, zerwał się na nogi i zamachnął trzymanym w ręce kamieniem.

Nagła napaść zaskoczyła Raya. Cofając się, jęknął z bólu, gdy wymierzony w głowę kamień trafił go w lewe ramię. Krzycząc głośno, Derrick atakował dalej. Ray zasłonił się ręką i po raz drugi oberwał kamieniem, tym razem w przedramię.

— Przestań! — zawołała Viv.

Derrick zamachnął się ponownie i o mało nie trafił Raya w szczękę.

— Nie rób tego!

Ray odskoczył do tyłu, stracił równowagę i wywrócił się na ziemię. Stojąc nad nim, Derrick podniósł rękę i wycelował kamieniem w jego głowę.

— Nie! — zawyła Viv.

Ray kopnął Derricka, zbił go z nóg i popęzł w jego stronę. Derrick cisnął kamieniem i trafił przeciwnika w pierś, ale chwilę później Ray skoczył na niego, złapał za gardło i zaczął walić jego głową o ziemię.

Amanda nie była w stanie się poruszyć. Wiedziała, że to, co wydawało się jej minutą, trwało tylko kilka sekund. Nagle odniosła wrażenie, że zwalnia się potężna sprężyna, wprowadzając ją w ruch. Podbiegła do Raya z tyłu, złapała go i próbowała ściągnąć z Derricka. Czuła zapach potu. Oddech Raya cuchnął octem.

— Przestań — zawołała.

Viv dołączyła do niej i starała się oderwać ręce Raya od szyi Derricka. Amanda szarpała go za plecy. Język Derricka wysunął się z ust. Jego czarna twarz posiniała wskutek braku tlenu.

— Zabijesz go! — wrzasnęła Viv.

Ray rozluźnił uchwyt.

Chwała Bogu, pomyślała Amanda.

Ray puścił szyję Derricka.

— Tak! — powiedziała. — Zostaw go!

Odciągany przez nią Ray odsunął się na bok.

— Tak! — zawołała Viv.

Amanda zobaczyła nagle, że Ray podniósł kamień, którym cisnął w niego Derrick. Serce zamarło jej w piersi.

— Nie! — wrzasnęła.

Złapała go ponownie, lecz Ray zamachnął się i uderzył ją

w bok głowy. Zrobiło się jej ciemno przed oczyma i upadła. Kątem oka zobaczyła, że Ray przewraca Viv, Uklękła na jedno kolano i rzuciła się na niego. Za późno. Jego dłoń była o cal od głowy Derricka. Kamień uderzył w czaszkę z głośnym chrupnięciem. Derrick jęknął. Pojawiła się krew. Ray zadał kolejne uderzenie i tym razem kamień wbił się w czaszkę.

Amanda skoczyła na niego razem z Viv. Każda z nich złapała Raya za jedną rękę i zaczęły odciągać go od Derricka. Próbował się im wyrwać. Nagle przestał się opierać i wszyscy się wywrócili. Ray zerwał się z ziemi pierwszy i dał susa w stronę Derricka. W rękę nadal ścisnął kamień. Zamachnął się nim ponownie. I jeszcze raz. Z kamienia pociekła krew.

— Żaden czarny sukinsyn... — kolejne uderzenie —...nie będzie mi mówił... — Ray uderzył jeszcze mocniej, do krwi na kamieniu przykleiły się włosy —...co mam robić!

Zmiażdżona twarz Derricka była trudna do rozpoznania. Viv zawyła i uklękła przy mężu.

Ray dźwignął się z ziemi.

Derrick zadygotał i znieruchomiał.

Viv także zamarła przy nim w bezruchu. Szok zniekształcił jej rysy. Amanda miała wrażenie, że wokół niej zaciska się metalowy zwój.

Ray zerknął na zakrwawiony kamień i wypuścił go z ręki.

## 2

Wiatr uniósł w górę tuman kurzu. Przez dłuższą chwilę nie działo się nic więcej.

Kłęcząc przy mężu, Viv trąciła go w ramię. Derrick nie reagował. Czapkę miał przesiąkniętą krwią. Oczy i nos zmiążdżone.

— Obudź się, kochanie. Nie śpij — prosiła, łkając.

Ray powlókł się do puszki z brzoskwiniami. Leżała na ziemi, tam gdzie ją upuścił, kiedy rzucił się na niego Derrick. Wylało się z niej trochę soku. Ray łypnął okiem na plamę, a potem podniósł puszkę, wytarł miejsce wokół otworu i wypił cały pozostały sok. Następnie włożył ją do rękawicy, rozejrzał się, podniósł z ziemi kamień i walił nim tak długo, aż puszka pękła na całej długości.

— Obudź się — mruzczała Viv do Derricka.

Ray wsadził palce do środka, wyciągnął kawałek brzoskwini, wepchnął ją do ust i zaczął żuć, wpatrując się w Amandę, jakby chciał, by go powstrzymała.

— Poczujesz się lepiej, kiedy się obudzisz — mruzczała Viv. Amandzie brakowało tchu w piersiach.

Ray wyciągnął kolejną brzoskwinię z puszki, wsadził ją do ust i połknął, prawie nie przeżuając.

— To nie moja wina. Zaatakował mnie — oznajmił.

— Sprowokowałeś go — powiedziała Amanda.

— Nie powinien wydawać mi rozkazów.

Ray wydobył z puszek ostatnią brzoskwinę i zjadł ją. Sok ciekł mu po brodzie.

— Pamiętacie, jak Ray upierał się, że nie jest żadnym bohaterem? — odezwał się Mistrz Gry. — To prawda.

Viv obróciła się powoli w stronę Raya. W jej oczach lśniły łzy.

— Owszem, jego samolot został zestrzelony, tak jak mówiłem — podjął głos. — I Ray przetrwał dziesięć dni, żywiąc się robakami i pijąc wodę z kałuż, które udało mu się znaleźć, gdy polowali na niego rebelianci. Jednak powodem, że nie użył swojego urzędu namierzającego, nie była obawa, że wysłane z misją ratowniczą helikoptery wpadną w pułapkę. Nie, nie użył go, ponieważ się zepsuło. Tak naprawdę zrobiłby wszystko i naraził na niebezpieczeństwo każdego, żeby tylko przeżyć.

— To właśnie zrobiłem — krzyknął Ray, zadzierając głowę. — Przeżyłem!

— Dwa miesiące po tym, jak go uratowano i wrócił do Stanów, Ray wdał się w bójkę w barze. Nie był to pierwszy taki incydent, ale po raz pierwszy zabił kogoś, nie pełniąc służby wojskowego pilota. Nerwowy z niego facet. Znalazły się jednak dowody na poparcie tezy, że zabity był pijany, że upadł i rozbił sobie głowę w trakcie zwykłej przepychanki. Incydent wydarzył się w bazie. Nie chcąc, by prawda o wybuchowym charakterze Raya podważyła wcześniejsze doniesienia o odwadze, za którą został odznaczony — nie byłoby to korzystne dla morale żołnierzy i wizerunku wojska w czasie wojny — sąd wolał rozstrzygnąć niejasności na jego korzyść. Ray został zwolniony z wojska z powodów zdrowotnych. Jego wybuchowy charakter stał się odtąd cywilnym problemem.

Viv stwardniały rysy.

— To wcale nie znaczy, że Amanda i Viv nie dopuścili się zabójstwa — dodał głos.

Viv odwróciła się do Amandy.

— Amanda musiała zabić, żeby przeżyć w hotelu Paragon — oświadczył Mistrz Gry. — Jeśli chodzi o Viv i Derricka, to opowiadałem już o ich bohaterskim zachowaniu na Mount Evereście. Zapomniałem tylko dodać, dlaczego byli tacy zdeterminowani. W trakcie poprzedniej wyprawy prowadzili wspinaczy po lodowcu. Wszyscy szli gęsiego, połączeni liną. Otworzyła się szczelina. Idący z tyłu wpadli do niej i pociągnęli innych. Szczelina wciąż się poszerzała. Wpadało do niej coraz więcej ludzi. Wszystko działo się tak szybko, że nie można było wbić czekanów w ścianę. Ludzie zsuwali się w dół, a ich ciężar wciągał w pułapkę kolejnych. Ześlizgując się po lodowcu, Viv i Derrick desperacko starali się zatrzymać. W końcu zostało ich tylko dwoje. W ostatnim momencie Viv, a może to był Derrick, któreś z nich przecięło linę. Przywiązani do niej wspinacze spadli tysiąc metrów w dół. Nikt nie przeżył. Podobnie jak nie przeżyliby Viv i Derrick, gdyby nie przecięli liny. Śledztwo nie wykazało niczyjej winy. Zamiast próbować ratować się za wszelką cenę, Viv i Derrick mogli jedynie pozwolić, by lina wciągnęła ich do szczeliny, i zginąć wraz z innymi. Kiedy w grę wchodzi przeżycie, trzeba czasami podejmować trudne decyzje i należy je podejmować szybko. To nie ma nic wspólnego z heroizmem. Mam rację, Viv?

— Tak. — Viv spojrzała spode łba na Raya. — To nie ma nic wspólnego z heroizmem.

Ray wziął do ręki puszkę z gruszkami.

— Zostaw to — ostrzegła go Viv. — Jeżeli będzie trzeba, ukamienujemy cię na śmierć, ale nie zjesz tego, co jest w puszcze.

Ray zignorował ją i obrócił puszkę w dłoniach. Coś przyciągnęło jego uwagę na spodzie. Wyjął GPS, wpisał do niego jakieś cyfry, po czym posłał lekceważące spojrzenie

Viv i odłożył puszkę na bok. Następnie podniósł pustą puszkę po brzoskwiniach, spisał z niej kolejne dane i odszedł porośniętą bylicami ulicą.

Amanda podbiegła do puszek, odwróciła je i zobaczyła liczby oznaczające długość i szerokość geograficzną.

— Mamy następne współrzędne.

Viv śledziła wzrokiem Raya, który oddalał się coraz szybciej.

— Pomóż mi — powiedziała Amanda. — Nie umiem posługiwać się sprawnie GPS-em. Musisz wpisać mi te liczby.

Viv nie mrugnęła nawet okiem. W dalszym ciągu obserwowała Raya, który zerknął na GPS i skreślił w lewo, w inną ulicę. Kiedy zamrugła, łzy popłynęły jej po twarzy.

— Musisz mi pomóc — nalegała Amanda. — Chcę rozbić tę puszkę, ale nie mogę tego zrobić, dopóki nie wpiszesz danych do GPS-u. Mogłabym je zniszczyć.

Viv spojrzała na Derricka i pogładziła go po rękę.

— Przepraszam, kochanie.

— Pomóż mi — powtórzyła Amanda. — Chyba chcesz wyrównać z nim rachunki?

Viv wstała z klęczek i posyłając wściekłe spojrzenie Rayowi, podeszła do niej. Pragnienie zemsty to równie dobry motyw jak każdy inny, pomyślała Amanda. Ona jednak nie myślała wyłącznie o Rayu. Pamiętała o Mistrzu Gry.

— W porządku, współrzędne są zaprogramowane — stwierdziła po chwili Viv.

Amanda wsadziła puszkę z gruszkami do gumowej rękawicy, przystawiła do niej kamień i zaczęła walić w niego drugim. Raz. Drugi. Mocniej. Denko puszki pękło.

— Ty pierwsza — powiedziała do Viv.

— Nie jestem głodna.

— Musisz mieć siły, żeby się z nim porachować.

Viv pokiwała z determinacją głową, złapała puszkę i z zacierwienionymi oczyma przystawiła ją do ust.



— Wypiłam dwa łyki.

— Okej. — Amanda przechyliła puszkę i znowu poczuła na języku gęsty, ciepły płyn. Sok gruszkowy był trochę mniej słodki.

Piły na zmianę, aż w puszcze nie została ani jedna kropla soku. Amanda wsadziła ją z powrotem do gumowej rękawicy i rozbiła kamieniem. Cztery gruszki. Każda z nich zjadła dwie.

— Żuj powoli — powiedziała słabym głosem Viv.

Amanda rozumiała dlaczego. Zaspokajając zbyt łapczywie głód po dwudniowym poście, mogłaby wymiotować.

Viv spojrzała na martwego męża.

Zerwał się silniejszy wiatr. Burzowe chmury zasłoniły góry na zachodzie i w dolinie pojawił się ich cień.

### 3

— Powiesz mi w końcu, do diabła, co ci się nie podoba? — zapytał Balenger. Stał razem z Ortegą przed budynkiem wydziału historii, w którym pracowała profesor Graham. Po drugiej stronie Washington Square rosły drzewa.

— Co mi się nie podoba? — odpowiedział pytaniem na pytanie Ortega, najwyraźniej próbując uniknąć konfrontacji.

— Kiedy wszedłeś do gabinetu profesor Graham, o mało się nie pokłóciliśmy. W bibliotece mówiłeś coś o innej części śledztwa. Nie wyjaśniłeś konkretnie, o co ci chodzi, ale z twojego tonu można wnosić, że nie pałasz do mnie sympatią. Co jest grane?

— Poza tym, że zachowujesz się, jakbyś to ty prowadził śledztwo? Dziś rano wspomniałem, że razem z moim partnerem zebraliśmy pewne informacje.

Balenger pokiwał głową.

— Być może zastanawiasz się, dlaczego go jeszcze nie poznałeś — dodał Ortega.

— Myślałem, że ma dzisiaj wolne.

— Sprawdza twój życiorys.

Balenger zaniemówił.

— Powiedziałeś wcześniej, że już ci się to raz przytrafi-

ło — ciągnął Ortega. — Porwano twoją żonę. Ten sam mężczyzna uprowadził kobietę, która była do niej podobna.

— Amandę. I co z tego? — zapytał Balenger. — Psychopaci często atakują podobne kobiety. Ofiary przypominają zabójcy jego żonę, matkę albo inną kobietę, która tak zalażała mu za skórę, że przez cały czas stara się wyrównać rachunki.

Ortega zmarszczył czoło.

— Skąd się na tym tak dobrze znasz?

— Jeżeli twój partner sprawdził moją przeszłość, powinienś znać odpowiedź. Moją specjalnością w policji były przestępstwa o podłożu seksualnym.

— Byłeś kiedyś u psychiatry?

Balenger poczuł, że krew napływa mu do twarzy.

— Zakładam, że twój partner powiedział ci, co mi się przytrafiło w Iraku.

Obok nich przejechał samochód. Balenger poczekał, aż przebrzmi hałas silnika.

— Podczas pierwszej wojny w Zatoce... Pustynnej Burzy... służyłem w rangersach.

— W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym. Zgadza się — mruknął Ortega.

— Miałem potem bóle głowy. Bóle mięśni. Gorączkę.

— Syndrom wojny w Zatoce. Zgadza się.

— Niektórzy twierdzili, że te dolegliwości są wynikiem choroby, którą roznosiły pchły. Inni, że powoduje je rozszczepiony uran, który stosowaliśmy w naszych pociskach artyleryjskich. Wojskowi lekarze próbowali różnych terapii. Kiedy nie przyniosły rezultatu, zaproponowali, żebym porozmawiał z wojskowym psychiatrą i sprawdził, czy choroba nie ma podłoża psychicznego, nie jest rodzajem nerwicy pourazowej.

— To był pierwszy psychiatra — powiedział Ortega. Balenger miał ochotę go zostawić, ale powtarzał sobie, że

liczy się tylko Amanda. Zrobię wszystko, żeby ją odzyskać, pomyślał.

— Po wojnie zostałem policjantem w Asbury Park.

— Zaliczyłeś tam kurs na temat przestępstw o podłożu seksualnym.

— Potem zaginęła moja żona — podjął Balenger, starając się powstrzymać drżenie głosu — i po roku, kiedy władze nie zdołały jej odnaleźć, odszedłem ze służby, żeby móc prowadzić poszukiwania na własną rękę. Po jakimś czasie zabrakło mi pieniędzy i zatrudniłem się jako prywatny ochroniarz podczas drugiej wojny w Iraku. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów miesięcznie. Po kilku miesiącach jeżdżenia z konwojami miałbym dość forsy, żeby dalej szukać żony. Mogłeś mnie o to zapytać.

— Opowiedz o swojej drugiej turze w Iraku.

Balenger czuł, że wracają do niego stare lęki.

— Wiesz, co tam się stało. Zaraz po moim przyjeździe konwój, który ochraniałem, został zaatakowany przez rebeliantów. Straciłem przytomność pod wpływem eksplozji. Odzyskałem ją w niewoli, przetrzymywany przez grupę Irakijczyków w kapturach. Jeden z nich groził, że utnie mi głowę, jeżeli nie wystąpię przed kamerą i nie potępię Stanów Zjednoczonych. Jednostka rangersów odbiła budynek, w którym mnie więzili, i udało mi się ujść z życiem, ale nawet po powrocie do Stanów nie czułem się bezpieczny. Dręczyły mnie koszmary. Nie mogłem przebywać w zamkniętych pomieszczeniach. Miałem dreszcze. Budziłem się zlany potem.

— Nerwica pourazowa — powiedział Ortega.

— Zgadza się — odparł Balenger, przedrzeźniając go. — Jak zapewne wiesz, poszedłem do następnego psychiatry.

— Który stosował nietypową formę terapii.

— Poradził mi, żebym zrobił wszystko, by oddalić się od teraźniejszości: studiował historię, czytał książki o przeszłości,

próbował wyobrazić sobie, że żyję gdzieś sto lat temu albo jeszcze dawniej. Przypominało to próbę podróży w czasie.

— Co się z tobą działo po tym, jak znalazłeś martwą żonę i uratowałeś Amandę w hotelu Paragon?

Balenger bał się odezwać.

— Zacisnąłeś pięści — powiedział Ortega. — Masz ochotę mnie uderzyć?

— Obudziłem się w szpitalu. Psychiatra chciał wiedzieć, dlaczego zwracając się do Amandy, używam imienia zmarłej żony.

— Psychiatra numer trzy. Uporałeś się z tym? Z tym myśleniem imion?

Balenger był zbyt wściekły, żeby odpowiedzieć.

— Ty i Amanda... Czy w nocy, po ciemku, nie wyobrażasz sobie, że masz przed sobą ducha? — drażył dalej Ortega.

— Przestań.

— Powiedziałeś, że psychopaci często atakują kobiety, które są do siebie podobne. Ofiary przypominają zabójcy jego żonę, matkę albo kogoś innego.

— Nie wyobrażam sobie, że mieszkam z martwą żoną. Nie wyobrażam sobie, że śpię z martwą żoną.

Ortega milczał.

— Uważasz, że jestem odpowiedzialny za zniknięcie Amandy? — zapytał Balenger.

— To tylko taka teoria — odparł Ortega. — Może odbiło ci, gdy zrozumiałeś konsekwencje tego dziwnego układu. Może nabrałeś do siebie takiej odrazy, że zrobiłeś coś, czego teraz żałujesz. Byłeś kiedyś policjantem. Mogłeś przewidzieć, jak potoczy się śledztwo.

— Uważaj, co mówisz.

— Powiedziałem ci, że to tylko teoria. Nie można niczego wykluczyć. Mogłeś wszystko zaaranżować: wynająć przez telefon dom przy Dziewiętnastej Ulicy, zatrudnić facetkę, która zorganizowała aktorów. Zjawili się tam z dziewczyną,

która udawała Amandę. Aktorzy wyszli zgodnie z instrukcją w trakcie wykładu. Kiedy zostaliście sami, podziękowałeś dublerce Amandy. Była zaskoczona, ale dobrze jej zapłaciłeś, więc wzięła cię za kolejnego świra i poszła do domu. Tymczasem wszyscy byli święcie przekonani, że widzieli prawdziwą Amandę i że ktoś ją porwał.

— Skoro to prawda, musiałbym również spowodować pożar w teatrze. Ale byliśmy tam przez cały czas razem.

— Z wyjątkiem kilku chwil, kiedy zostałeś w holu, a ja poszedłem się rozejrzeć. Mogłeś wzniecić pożar i wejść na widownię tak, żebym tego nie zauważył.

— O mało nie zginęliśmy. Po co miałbym narażać się na niebezpieczeństwo?

— Żeby przekonać mnie, że zagrożenie jest realne. Poza tym zgodnie z tą teorią w rzeczywistości nic ci nie groziło.

Balenger miał wrażenie, że ropień w łokciu zaraz mu pęknie.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał.

— Powinieneś pójść ze mną i pogadać z inspektorami straży pożarnej, ale za wszelką cenę starałeś się tego uniknąć. Dowiedziałem się od nich bardzo ciekawych rzeczy. Okazało się, że kobieta, która wynajęła aktorów, poprosiła, żeby oprowadzono ją po teatrze. Zainteresowała się dolną piwnicą i dokładnie obejrzała to pomieszczenie. Co więcej, kilka tygodni wcześniej kobieta odpowiadająca jej rysopisowi odwiedziła firmy przy tej samej ulicy. Między innymi sklep z antykami. Udając, że ma zamiar coś kupić, wspomniała o wyschniętych strumieniach pod Greenwich Village i tunnelach, którymi płynęła kiedyś woda. Właściciel sklepu z antykami z chęcią udzielił jej bliższych informacji, ponieważ cały ten historyczny sztafaż pomaga mu sprzedawać meble. Jego piwnica jako jedyna w okolicy jest połączona z piwnicą teatru.

— Myślisz, że wznieciłem pożar, mając nadzieję, że zdołam uciec tunelem, który mógł się okazać zablokowany? To nonsens!

— W nie mniejszym stopniu niż twoje twierdzenie, że dziś po południu widziałeś tę kobietę w bibliotece. Kobietę, która w magiczny sposób zniknęła, która nie miała żadnego powodu, żeby się tam pojawiać, i której nikt nie widział oprócz ciebie.

— Po co miałbym kłamać, że ją widziałem?

— Żebyś dalej wierzył, że nam zagraża. Żeby zbić mnie z tropu. Wykorzystujesz każdą sposobność, by przejąć kontrolę nad śledztwem.

Balenger popatrzył ponad ramieniem Ortegi. W głębi ulicy stała, machając do niego, kobieta w ciemnych spodniach i białej bluzce.

— Mylisz się — powiedział do detektywa.

— To wszystko jest tak samo prawdopodobne jak twoja teoria, że ktoś porwał Amandę, żeby zmusić cię do wzięcia udziału w jakiejś chorej grze — mruknął Ortega.

— Mylisz się i mogę ci to udowodnić.

— Bardzo chciałbym, żebyś mi cokolwiek udowodnił.

— Ta kobieta, która pojawiła się w bibliotece, a przedtem wynajęła aktorów i przedstawiła się jako Karen Bailey...

— Co z nią?

— Stoi na ulicy i macha do nas.

## 4

Balenger puścił się biegiem, zanim Ortega zdążył się obejrzeć. Karen Bailey stała przez chwilę bez ruchu, być może zaskoczona, że zareagował tak szybko. A potem odwróciła się i zniknęła za rogiem.

Balenger przyspieszył. Zbliżało się wpół do szóstej. Kończyły się zajęcia, studenci wracali do akademików i domów w innych częściach miasta. Po drodze musiał ominąć kilku pieszych. Za sobą słyszał kroki Ortegi. Dobiegł do skrzyżowania i zobaczył znikającą za kolejnym rogiem białą bluzkę Karen Bailey.

Kiedy tam dotarł, wbiegała do budynku. Miała sznurowane buty na niskim obcasie, co zapewniało jej większą swobodę poruszania się.

— Stój! — wrzasnął.

Usłyszał sapanie Ortegi. Chwilę później detektyw dogonił go i pobiegł dalej.

— Teraz mi wierzysz?

Chodnik był ogrodzony siatką. W kontenerze na śmieci leżał gruz i deski, które wyrzucono przez rękaw zsypowy z okna na drugim piętrze.

Oddychając ciężko, Balenger dopadł siatki. W pobliżu nie było nikogo. Przyjrzał się furtce, która na pierwszy rzut oka



wydawała się zamknięta. Po chwili zobaczył, że kłódka jest otwarta. Wściekły, otworzył furtkę na oścież. Ortega złapał go za ramię.

— Na litość boską, zaczekaj, aż wezwę posiłki. Nie wiemy, co tam jest.

— To ty zaczekaj — odparł Balenger, po czym po zasypanych gruzem schodach dobiegł do opartej o otwór wejściowy płyty pilśniowej, która służyła jako prowizoryczne drzwi.

— Nie jesteś policjantem! — zawołał Ortega. — Nie masz prawa!

— To oznacza, że nie mam posady, o którą musiałbym się martwić! — odrzyknął przez ramię Balenger. — Mogę zrobić, co mi się podoba!

Zerknął ostrożnie przez szparę do wnętrza i słysząc cichnące w głębi echo kroków, wszedł do budynku. W powietrzu unosił się zapach kurzu, pleśni i starych tynków. Kiedy jego oczy przywykły do półmroku, zobaczył pozbawione wykładzin podłogi i gołe ściany. Przylegające do korytarza pomieszczenia nie miały drzwi. W schodach po prawej stronie brakowało kilku stopni i nie było balustrady. Z sufitu łuszczyła się farba.

Kolejny stary, opuszczony budynek. Półmrok. Zwężające się korytarze. Malejące pomieszczenia. Balenger oblał się potem, lecz nie dlatego, że biegł zbyt szybko. Musiał użyć całej siły woli, by nie odwrócić się i nie uciec.

Pomyślał o Amandzie. Oddalające się kroki dobiegały z pierwszego piętra. Wspiął się po schodach, przeskakując przez dziury w stopniach. A potem usłyszał inne kroki i zastygł w bezruchu. Obejrzawszy się, zobaczył wchodzącego do budynku Ortega.

— Posiłki są w drodze — poinformował go detektyw.

— Jesteś pewien, że to nie kolejna, zaaranżowana przeze mnie mistyfikacja?

— Jestem pewien tylko jednego: chcę pogadać z tą kobietą — odparł Ortega.

Kiedy szli razem na pierwsze piętro, stopnie skrzypiały pod ich stopami. Na górze zobaczyli kolejne zwisające z sufitu płaty farby, ogołocone ściany i pozbawione wykładzin podłogi. Balenger nadstawił ucha, ale słyszał tylko stłumiony hałas uliczny.

— To chyba jedyne schody — powiedział Ortega. — Nie mogła stąd uciec.

— Na pewno? Niewykluczone, że można przejść do sąsiedniego budynku.

W głębi korytarza usłyszeli jakiś hałas. Balenger zastygł w bezruchu.

— Tam! Chyba się poruszyła i zaskrzypiały pod nią deski.

Balenger ominął ziejącą w podłodze dziurę i ruszył po-grażonym w półmroku korytarzem. Żwir chrzęścił pod butami. Po drodze sprawdzali każde remontowane pomieszczenie. Ortega przyjrzał się resztkom muru po lewej i prawej stronie.

— Była tu chyba ściana, ale zburzyli ją robotnicy — powiedział. — Korytarz jest cholernie długi jak na jeden budynek.

— Może to dwa budynki, połączone ze sobą — stwierdził Balenger.

Po chwili doszli do korytarza, który biegł w prawo pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

— Może nawet trzy — powiedział Ortega. — Władze uniwersytetu mogły połączyć je w jeden duży kompleks dydaktyczny.

Ich uwagę zwróciło kolejne skrzypnięcie, które dobiegło z jednej z sal. Na dwóch kozłach leżała tam długa deska. Przy ścianie stały skrzynie i inne deski. Na podłodze rozłożono płachtę na trociny. Z wyższego piętra zwisała lina.

— Coś leży na tej desce — zauważył Ortega. Mały, prostokątny srebrno-czarny przedmiot zaopatrzony był w przyciski i wyświetlacz. — To komórka. Musieli ją zostawić robotnicy.

— Jest większa od zwykłego aparatu — stwierdził Balenger. Ortega dał krok do przodu.

— To palmofon BlackBerry.

Balenger nigdy nie używał takiego aparatu, lecz wiedział, że można z niego wysyłać e-maile i korzystać z Internetu.

— Jest chyba dość drogi?

— Kosztuje kilkaset dolarów — potwierdził Ortega.

— Czy robotnik, którego stać na takie cacko, zostawiłby je na budowie?

Ostrożnie podeszli do opartej na kozłach deski. Balenger sięgnął po palmofon.

— Lepiej go nie dotykaj — powiedział Ortega. — Jeżeli masz rację i ktoś rzeczywiście prowadzi z tobą grę, możesz się bardzo zdziwić. Niewykluczone, że to bomba.

— Albo trop, który dokąś mnie zaprowadzi, podobnie jak pudełko po grze wideo.

Balenger wziął do ręki palmofon.

— Któregoś dnia pożałujesz, że mnie nie słuchasz — mruknął Ortega.

Balenger zauważył, że urządzenie było trochę cięższe i grubsze od jego komórki. Miało większy wyświetlacz i znacznie więcej klawiszy, które poza cyframi obejmowały cały alfabet.

— Jak to się włącza?

— Słyszę jakieś głosy. — Ortega obejrzał się za siebie. — To na pewno posiłki.

Uwagę Balengera przyciągnął nagły ruch. Po drugiej stronie pomieszczenia mignęła biała bluzka. Najwyraźniej spanikowana Karen przebiegła korytarzem.

— Tam!

Balenger wepchnął palmofon do kieszeni i chciał przebiec po płachcie, lecz nagle wpadł w zasłoniętą przez nią dziurę w podłodze. Lecąc w dół, złapał za zwisającą z wyższego piętra linę. Płachta zsuwała się coraz niżej. Kiedy lina się odprężyła, jego pierś znalazła się na wysokości podłogi.

Ortega podbiegł i wyciągnął do niego rękę.

— Uważaj — ostrzegł go Balenger. — Pod płachtą nie widać, gdzie zaczyna się dziura.

Trzymając go za rękę, Ortega wychylił się tak daleko, że on również musiał złapać się liny, która nie wytrzymała obciążenia i zaczęła się obsuwać. Detektyw stracił równowagę i runął na Balengera, który głośno jęknął. Obaj polecili w dół. Razem z nimi spadała lina oraz taczka, do której, jak się okazało, była przywiązana piętro wyżej.

— Nie! — ryknął Balenger, spadając razem z Ortega. Płachta szorowała o skraj dziury. Balenger wylądował piętro niżej i chwilę później zwałił się na niego detektyw. Przez moment nie mógł złapać tchu.

Słyszając trzask, spojrzął do góry. Zobaczył, że taczka zatrzymała się piętro wyżej, tuż przy krawędzi dziury. Chwilę później deska się złamała i taczka runęła prosto na nich.

— Uważaj! — zawołał Balenger.

Taczka spadła detektywowi na plecy. Ortega jęknął głucho i z ust pociekła mu krew.

Balenger zobaczył, że jego twarz wiotczeje, a oczy zasnuwają się mgłą. Rozpaczliwie łapiąc powietrze, przewrócił Ortegę na plecy. Miał nadzieję, że zobaczy jakieś oznaki życia, zdoła mu pomóc, lecz całkowity bezruch śmierci nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Zrozpaczony wpatrywał się w strużkę krwi na ustach Ortegi. Nagle usłyszał głosy ludzi, którzy biegli korytarzem, zaalarmowani odgłosem upadku. Zdał sobie sprawę, że to wezwane przez Ortegę posiłki. Będą go przesłuchiwali na komisariacie. Wyjaśnienie wszystkiego zajmie długie godziny. Kroki się zbliżały. Szkoda na to czasu, pomyślał.

Zerwał się i pokuśtykał korytarzem. W kieszeni czuł ciężar palmofonu. Chwilę po tym, jak zniknął za rogiem, na korytarzu zabrzmiały głosy. Starając się nie hałasować, pobiegł dalej i skręcił w kolejny korytarz. Miał wrażenie, że znalazł się w labiryncie. Mijał kolejne kozły, deski i skrzynie. W końcu

zobaczył okienną ramę, w którą nie wprawiono jeszcze szyby. Zdyszany przelazł przez nią, zawisł w powietrzu i skoczył w dół. Ładując, starał się ugiąć kolana, ale i tak jęknął, gdy stopy dotknęły ziemi.

Bolały go żebra i nogi. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu skóra na przedramieniu. Przez kilka chwil kulał, potem udało mu się wyrównać krok. Szedł wzdłuż siatki ogradzającej plac budowy. Słońce zachodziło, cienie budynków się wydłużyły. Kampus był wyludniony. Kilku idących po drugiej stronie studentów w ogóle nie zwracało na niego uwagi.

W oddali wyły syreny. Dotarłszy do kolejnej furtki w ogrodzeniu, Balenger odkrył, że jest zamknięta. Kiedy syreny zabrzmiały bliżej, wdrapał się na kontener na śmieci, znalazł kawałek plandeki i zarzucił ją na drut kolczasty na szczycie siatki. Słyszał, że radiowozy zatrzymały się za rogiem. Przelazł przez ogrodzenie, ściągnął plandekę z siatki, wyrzucił ją do kontenera i zeskoczył na ulicę.

Opanował chęć ucieczki. Zachowaj spokój, powtarzał sobie. Idź normalnym krokiem.

Z kawiarni wyszli zaciekawieni studenci.

— Chcesz zobaczyć, co się dzieje? — zapytał student z plecakiem swego kolegę.

— Nie pcham się na pierwszą linię frontu — usłyszał odpowiedź.

Mądre podejście, pomyślał Balenger.

Z kawiarni wyszły kolejne osoby. Mając nadzieję, że go osłonia, skręcił szybko na skrzyżowaniu. Przyjrzał się swojemu odbiciu w szybie, wygładził włosy i otrzepał ubranie z kurzu.

Gdy usłyszał kolejne syreny, zdał sobie sprawę, że nie zdoła się wymknąć niepostrzeżenie z kampusu. Kiedy tylko rozniesie się wiadomość, że zginął detektyw, policja zablokuje cały teren. We wszystkich restauracjach i barach siedzieli w większości studenci. Jeżeli wejdzie do któregoś z nich, bi-dzie się rzucał w oczy.

Chciał wejść do jakiegoś biurowca, ale drzwi były zamknięte. Musiał poszukać schronienia.

Nie przestawał myśleć o Karen Bailey. Widząc, jak biegnie korytarzem, był przekonany, że wpadła w panikę. Teraz jednak uświadomił sobie, że chciała, by puścił się za nią w pogoń i trafił na rozłożoną na podłodze plandekę. Kolejna pułapka. Nie, kolejna przeszkoda, poprawił się w myśli.

Nie dawały mu spokoju słowa na okładce gry. Bieg z przeszkodami i gra w szukanego. Udało mu się pokonać przeszkodę i w nagrodę zdobył palmofon.

Ale skąd Karen Bailey wiedziała, gdzie go znaleźć?

Słyszając zbliżające się syreny, uświadomił sobie nagle, gdzie może się schronić.

## 5

Korytarz robił wrażenie dłuższego niż wcześniej. Podchodząc do drzwi gabinetu, Balenger ponownie usłyszał strzały. Wziął głęboki oddech i zapukał. Bez odpowiedzi. Zapukał głośniejsz i kiedy nikt się nie odezwał, otworzył drzwi.

Profesor Graham siedziała przy komputerze i wciskała z pasją przyciski gry. Wydawała się jeszcze bardziej zmęczona. Ciemne sińce pod oczyma były wyraźniejsze, podkreślał je blask bijący z monitora.

— Myślałem, że zepsuła pani joystick — powiedział.

— Zawsze mam zapasowe. — Starsza pani wykonała kilka szybkich manewrów i spojrzała poirytowana na ekran. — Cholera, znowu mnie zabili.

Balenger usłyszał na zewnątrz syreny.

— Co się panu stało? — zapytała profesor Graham. — Ma pan brudne spodnie.

Balenger zauważył kurz, którego wcześniej nie spostrzegł, i otrzepał spodnie.

— Trafiłem na kilka przeszkód.

— A ten detektyw, z którym pan wyszedł?

— Trafił na te same przeszkody — odparł Balenger, starając się zachować obojętny ton.

— Czy to ma związek z całym tym zamieszaniem na dworze?

Balenger pokiwał głową.

— I ze wszystkim, o czym rozmawialiśmy. Cieszę się, że pani nie wyszła. — Nie dodał, że gdyby nie zastał jej w gabinecie, zrobiłby wszystko co w jego mocy, by dowiedzieć się, gdzie mieszka.

— Zostałam, bo przestały działać moje tabletki.

— Tabletki?

— Te, które połknęłam przed chwilą, nie zaczęły jeszcze działać. — Zmarszczki wokół jej oczu się pogłębiły. — Nie będę pana zanudzać szczegółami.

Balenger zrozumiał teraz, dlaczego w trakcie poprzedniej rozmowy nagle wydała mu się starsza. Podejrzenia, że jest chora, okazały się trafne.

— Przykro mi.

Profesor wzruszyła ramionami.

— Student, który nauczył mnie przed laty grać w gry wideo, przedłużył mi życie i uświadomił, że tanta rzeczywistość — starsza pani pokazała ekran monitora — jest bardziej wyrazista od naszej. Po co pan wrócił? Nie chcę być niegrzeczna, ale pragnęłabym zacząć nową grę.

— Przyszło mi coś na myśl. Jeżeli człowiek, który porwał Amandę, dał mi wskazówki, musiał wiedzieć, że w końcu tu przyjdę i porozmawiam z panią o sarkofagu. Jest pani w tej dziedzinie ekspertem. A poza tym zna się pani na grach wideo.

— Jestem ich entuzjastką. To mój student był w tej dziedzinie prawdziwym ekspertem.

Twarz profesor stężała, a potem rozluźniła się, gdy minął spazm bólu.

— Utrzymuje pani z nim kontakt?

— E-mailowy i telefoniczny. Bardzo się przejął, gdy powiedziałam mu o moich problemach zdrowotnych. Dlatego przysłał mi ten nowy komputer. Ma procesor o dużej mocy, pozwalający grać w najnowocześniejsze gry. Ten monitor jest



najlepszy, jaki miałam. Na laptopach, z których korzysta uniwersytet, gra się fatalnie,

— Pani znajomy jest bardzo hojny.

— Stać go na to. Dlatego nie odmówiłam.

— Jak się nazywa?

— Lucius Creed. — Profesor Graham przez chwilę obserwowała Balengera. — Nic panu nie mówi to nazwisko?

— A powinno?

— Znają je nawet ludzie, którzy nie grają w gry wideo.

Balenger utkwiał w niej pytające spojrzenie.

— W świecie gier jest kilku legendarnych programistów, ludzi, którzy zaprojektowali gry tak genialne, że trudno im dorównać. Albo są po prostu geniuszami marketingu. Jednym z nich jest CliffyB. Jego gra nazywa się „Unreal Tournament”.

— Unreal. Nierzeczywisty. To trafny tytuł, jeśli weźmie się pod uwagę to, co mówiła pani wcześniej o grach, które przenoszą ludzi do alternatywnej rzeczywistości — powiedział Balenger.

— Jest także Shigeru Miyamoto, który stworzył „Super Mario Bros”. On pierwszy wyposażył bohatera gry w silną motywację. Mario porusza się po podziemnym labiryncie, walcząc z potworami i starając się ocalić porwaną dziewczynę.

— Porwaną dziewczynę?

— Rozumiem, dlaczego tak to pana uderzyło.

— Niech mi pani powie coś więcej o tych programistach.

— John Romero i John Carmack wymyślili strzelanki w pierwszej osobie, podobne do tej, w którą teraz gram: „JDoom”. Will Wright jest autorem gry w Boga.

— Gry w Boga?

— Na przykład „Sim City”. To komiksowa wersja miasta. Ze wszystkimi problemami, które spotyka się w prawdziwym mieście: zanieczyszczeniami, psującą się infrastrukturą, slumskimi, biedotą, kłopotami z siłą roboczą. Celem gry jest zreformowanie miasta i poprawienie jego funkcjonowania. Ale gracz

szybko sobie uświadamia, że podejmowane w dobrych intencjach działania mogą prowadzić do katastrofy. Dlatego nazywa się je „grami w Boga”. W strzelance oglądamy świat z lufy pistoletu, natomiast osoba bawiąca się w Boga widzi wszystko i ma nad wszystkim kontrolę.

— Jednak w przeciwieństwie do Boga gracz nie wie, jak to się zakończy, prawda? — zapytał Balenger. — W przeciwieństwie do Boga gracz może popełniać błędy.

— A kto powiedział, że Bóg nie może popełniać błędów? — Twarz profesor Graham znowu stężała. — Nie rozumiem, dlaczego te tabletki nie działają.

— Gracz wszystkowiedzący — mruknął Balenger, spoglądając w górne rogi pokoju.

— Co pan robi? — zapytała.

— Myślę o Bogu — odparł, bacznie lustrując półki z książkami.

— Czego pan szuka?

— Kiedy Lucius Creed przysłał pani ten komputer?

— Dwa tygodnie temu. Dlaczego?

Balenger zbadał uważnie monitor, wodząc po nim rękoma.

— Wiem, że chce pani grać dalej w „Doom”. Ale może pozwoli się pani zaprosić na kawę?

— Tak jak pan powiedział, chcę grać dalej.

— W innym miejscu będziemy mogli swobodniej porozmawiać.

Profesor Graham posłała mu pytające spojrzenie.

— W monitorze są założone pluskwy — wyjaśnił Balenger.

— Co takiego?

— Miniaturowe kamery. Jeżeli pani się uważnie przyjrzy, zobaczy pani otwory w przednim i tylnym rogu. Prawie na pewno są tam również mikrofony. Wynośmy się stąd, do diabła.

**POZIOM SZÓSTY**  
**AWATAR**

# 1

Chmury zgęstniały i w dolinie zrobiło się ciemniej.

— Nie mamy dużo czasu. Rób, co ci powiem. — Viv przyjrzała się uważnie ruinom. Jej wzrok zatrzymał się przez moment na zwłokach męża i jego zmiażdżonej, zakrwawionej twarzy, po czym pobiegł dalej. — Tam — powiedziała, wskazując dom, którego zwalone ściany i dach tworzyły coś w rodzaju piramidy.

Amanda ruszyła z nią w tamtą stronę.

— Pomóż mi usunąć deski ze środka — powiedziała Viv. — Musimy zrobić jamę.

Amanda zaczęła ściągać deski. Szare drzazgi wbijały się jej w dłoń.

— Połóż je na górze. Jedną na drugiej, tak żeby przykryły szpary. Spróbujemy zrobić dach.

Amanda poczuła gwałtowne podmuchy lodowatego wiatru. Drżąc z zimna, obejrzała się i zobaczyła sunące nad doliną groźne chmury.

— Szybko — ponagliła ją Viv i położyła na górze kolejne deski.

Amanda zabrała się do roboty, nie zważając na wbijające się w ręce drzazgi. Wiatr o mało nie zerwał jej z głowy czapki, kiedy ustawiała deski obok siebie.

— Wiesz, co to jest hipotermia? — zapytała Viv, sapiąc z wysiłku.

— Spadek temperatury ciała.

— W górach pogoda szybko się zmienia. Czujesz, jak jest zimno? — Viv ustawiała w poprzek kolejne deski. — Jeżeli zmokniemy i przemarzniemy, już po trzech godzinach wewnętrzna temperatura organizmu tak bardzo się obniży, że umrzemy. Dostaniemy dreszczy i umrzemy.

Amanda ponownie obejrzała się przez ramię, tym razem nie na chmury, lecz w stronę Raya, który stał na otwartym terenie za ruinami. Jego zielony kombinezon kontrastował wyraźnie z ciemnym niebem. Przyglądał się czemuś z niepokojem, ale nie widziała co to takiego.

Viv spojrzała na oddalone o kilkanaście kroków rumowisko.

— Pomóż mi przenieść te drzwi — powiedziała.

Drzwi leżały pod fragmentem dachu. Amanda i Viv wyciągnęły je i podniosły, walcząc z wiatrem, który próbował wyrwać im je z rąk. Amanda ponownie zerknęła w stronę Raya. To, co odkrył, tak go zaabsorbowało, że dopiero teraz zauważył zbliżającą się burzę.

Dźwigając drzwi do kryjówki, zobaczyła, że Ray biegnie z powrotem w stronę ruin. Po chwili zasłonił go tuman kurzu. Zaczął padać deszcz. Obok niej przelatywały kawałki desek.

Kiedy położyły drzwi na płask, deszcz zmienił się w rześistą ulewę. Wpełzając z Viv do jamy, Amanda czuła, jak krople padają na czapkę i ramiona. W środku unosił się zapach pleśni i kurzu. Deski wbijały się jej w kolana. Razem z Viv przesunęły drzwi i zakryły nimi otwór; zostawiły tylko niewielkie szpary po obu stronach, żeby móc przytrzymać drzwi.

Wiatr gwizdał w szczelinach, a zimny deszcz smagał Amandę po palcach.

— Nie puszczaj drzwi! — zawołała Viv. Niewielkie rozmiary kryjówki potęgowały siłę jej krzyku. Mimo to wichura

była tak głośna, że Amanda ledwo ją usłyszała. — Nie puszczaaj, cokolwiek się stanie!

Czyjaś ręka złapała za drzwi z zewnątrz i pociągnęła do góry.

— Wpuście mnie — wrzasnął Ray.

— Nie ma miejsca! — odkrzyknęła Viv.

— Musicie mnie wpuścić!

— Idź do diabła!

Ray chwycił drzwi drugą ręką i szarpnął tak gwałtownie, że uniosły się na kilkanaście cali. Zobaczyły jego wychudłą, zarośniętą twarz, z oczyma, w których płonął gniew. Lały się na niego potoki deszczu, dookoła unosiły się tumany kurzu i fruwały deski. Mrużył wściekle oczy, jakby chciał wyciągnąć Amandę i Viv z kryjówki i sam zająć ich miejsce.

Przez chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem bez ostrzeżenia puścił drzwi i się oddalił.

Amanda złapała mocniej za skraj drzwi, które o mało nie odleciały, szarpnięte mocniejszym podmuchem. Razem z Viv nasunęły je głębiej na otwór. Deszcz siekł po palcach.

— Wierzycie w moc symultanicznej modlitwy? — zapytał nieoczekiwanie Mistrz Gry.

— Zamknij się! — krzyknęła Viv.

— Powiedzmy, że jakaś kobieta jest ciężko chora i członkowie jej kościoła modlą się, by wyzdrowiała. Setki wiernych robią to jednocześnie. A co będzie, jeżeli pastor skontaktuje się z innymi parafiami i wszyscy będą się modlić w tym samym momencie? Setki tysięcy symultanicznych modlitw. Wierzycie, że odniosą jakiś skutek?

Krople deszczu waliły o drzwi tak mocno, że Amanda ledwie słyszała rozbrzmiewający w słuchawkach głos. Lodowate igiełki kłuły jej zaciśnięte palce.

— Autorzy badań utrzymują, że jeżeli chora osoba wie o modlitwach, efekt psychologiczny jest tak potężny, że może dojść do wyzdrowienia. A teraz zastanówcie się nad mocą

odbywającej się za pośrednictwem Internetu gry komputerowej typu multi-player.

— Jakiego typu? Gadasz bez sensu! Zamknij się! — jęknęła Viv, zaciskając ręce na drzwiach.

— Jedną z najpopularniejszych gier typu multi-player jest „Anarchy Online”. Uczestnik wnosi miesięczną opłatę za prawo do utożsamienia się z postacią istniejącą w alternatywnej rzeczywistości, na planecie Rubi-Ka. W niezwyklej scenerii żyją tam egzotyczne istoty tworzące humanoidalną kulturę.

Amanda traciła czucie w palcach prawej ręki. Kiedy nie mogła już nimi ruszać, puściła drzwi i zaczęła chuchać w dłoń, próbując ją rozgrzać.

— Nie! Nie puszczaj drzwi! — zaprotestowała Viv.

— Czy wiesz, co to jest awatar, Amando? — zapytał głos.

— Daj mi spokój! — Amanda złapała prawą ręką za drzwi i zaczęła chuchać w lewą.

— Ktoś, kto ma dyplom z literatury, musi wiedzieć, co to jest awatar.

Viv ponownie posłała jej gniewne spojrzenie.

— Awatar to bóg w cielesnej formie — odpowiedziała Amanda.

— Wydane na twoją edukację pieniądze nie zostały zmar-nowane. W grach typu multi-player awatar to postać, w którą wciela się gracz. Jego alternatywna tożsamość. Gracz chce czasami przybrać inną tożsamość, ponieważ w tak zwanym realnym życiu nie wie mu się najlepiej. Może ma nadwagę i pryszczki, wciąż mieszka z matką mimo trzydziestki na karku, otrzymuje minimalną płacę w barze szybkiej obsługi i ogólnie biorąc, ma przesrane życie. Ale kiedy jest awatarem na planecie Rubi-Ka, nikt z graczy nie ma pojęcia, jak wygląda ani jakim jest nieudacznikiem. Na Rubi-Ka również musi dostać jakąś pracę, żeby wynająć mieszkanie, kupić ubranie i jedzenie. Ale tutaj liczy się tylko jego umysł. Ma szansę na zupełnie

nowy początek i nic go nie powstrzymuje. Wykorzystując własną inteligencją, może poprawić warunki życia swojego awatara. To naprawdę zdumiewające, ale osoby, które w realnym świecie są nieudacznikami, na Rubi-Ka stają się ludźmi sukcesu. Co ciekawe, połowa grających mężczyzn zmienia płeć i w grze występują oni jako kobiety.

Chuchając na zdrętwiałe palce lewej ręki, Amanda poczuła, że odzyskuje w nich czucie. Zrozumiała teraz, na czym polega hipotermia i jak łatwo można od niej umrzeć.

— „Anarchy Online” należy do firmy o nazwie Funcom, która ma mnóstwo komputerów w Oslo w Norwegii — kontynuował głos. — Potrzebują olbrzymich mocy obliczeniowych, ponieważ w dowolnym momencie w grze uczestniczą dwa miliony ludzi. Na całym świecie. W każdym kraju, który przyjdzie wam do głowy. Miliony ludzi wcielają się w postaci istniejące w alternatywnej rzeczywistości i biorą udział w grze w dzień i w nocy, ponieważ tutaj ich życie jest do bani. To potężna internetowa gra typu multi-player. Skoro badania dowodzą, że symultaniczna zbiorowa modlitwa ma pewną psychologiczną moc, cóż można powiedzieć o mocy symultanicznej zbiorowej gry? Co jest prawdziwsze: pryszcz na twarzy, pokoik przy sypialni matki i masturbacja, ponieważ nie chce nas żadna kobieta, czy życie w alternatywnym świecie, gdzie otwierają się przed nami nowe możliwości? Osiem godzin w barze szybkiej obsługi czy na Rubi-Ka dwanaście godzin, po których trzeba przespać się cztery godziny i biec z powrotem do baru?

Kilka kapiących z dachu kropli wylądowało na biodrze Amandy.

— Na Rubi-Ka awatarzy gromadzą różne dobra, podobnie jak czynimy to my w naszej wersji rzeczywistości. Mówię nie tylko o drogocennych przedmiotach, ale również o kosztownych narzędziach i drogich mieszkaniach. Gracze zazdroszczą ich sobie i jeżeli awatarzy nie są w stanie zdobyć tych dóbr



w grze, gracz kupuje je czasem na eBayu. Teoretycznie są to dobra wyimaginowane, ale nabierają swoistej realności. Na eBayu można nawet kupować i sprzedawać awatarów, przybierać nową tożsamość, jeżeli stara wam nie odpowiada. Jedna rzeczywistość miesza się z drugą.

Amanda zauważyła kolejną formującą się na drzwiach kroplę wody.

— Dach przecieka.

— Najważniejsze, żebyśmy nie przemokły — mruknęła Viv.

— Mam dla ciebie nowinę — powiedziała Amanda, zwracając się do Mistrza Gry. — Rzeczywistość jest tu, w tym miejscu.

— To ty tak twierdzisz. Być może nadeszła pora, żeby opowiedzieć wam o wielbnym Owenie Pentecoście.

— O kim?

— O geniuszu, który stworzył Sarkofag Ziemijskich Namiętności. Pokonałyście kolejną przeszkodę. Zasługujecie na następną informację. Słyszysz mnie, Ray?

Bez odpowiedzi.

— Ray?

— Słyszę. — W głosie Raya brzmiało rozgoryczenie.

— Jak sobie radzisz?

— Znakomicie.

— Nie jest ci zbyt zimno?

— Przeżyłem gorsze chwile.

— Skoro nie narzekasz, możemy przejść do rzeczy. Wielbny Owen Pentecost. To nie było prawdziwe nazwisko. Człowiek ten nie był też pastorem, natomiast sługą bożym był jego ojciec. Kiedy został wyrzucony ze szkoły medycznej, przywdział ubiór swego ojca i opuścił Boston. Zamierzał głosić słowo boże na pograniczu. Do Avalonu przybył w kwietniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Panowała wtedy straszliwa susza, ale Pentecost wiedział, że nie

będzie trwała wiecznie, i zachęcał mieszkańców miasta do modlitwy. Gdy okres suszy się przedłużał, Pentecost uznał, że nie żałują szczerze za swoje grzechy. Musieli się modlić jeszcze żarliwiej. Kiedy w końcu w czerwcu zaczęło padać, powiedział, że Bóg jest z nich zadowolony. Mieszkańcy dziękowali gorąco Pentecostowi za to, że sprowadził deszcz. On jednak nie miał dla nich więcej dobrych nowin. Zapowiedzią czekających ich plag było to, co przytrafiło się sklepikarzowi Peterowi Bethune'owi, którego zabił piorun, gdy zeskoczył z furgonu i biegł do swojego sklepu.

Coś walnęło o drzwi.

Amanda się wzdrygnęła. W pierwszej chwili myślała, że Ray próbuje znowu dostać się do środka. Stuknięciu towarzyszyło jednak szybkie i głośne ziajanie. Usłyszała plusk kałuży, rozchłapywanej przez wiele łap, i przypomniała sobie dużego wychudłego psa, który zaatakował królika.

Po prawej stronie drzwi pojawił się pysk.

— Jeżeli ściągną drzwi, już po nas — ostrzegła Viv.

Amanda usłyszała warczenie.

— Nie możemy trzymać ich rękoma. Odgryzą nam palce — powiedziała.

Pies wsadził pysk po lewej stronie, obnażył zęby i zawarczał.

— Opierając się o drzwi, utrzymują je w miejscu — stwierdziła Viv. — Ale jeżeli zaczną je ściągać... Mamy paski — powiedziała nagle. — Zaczepimy je o drzwi.

Amanda pociągnęła za swój pasek.

— Jest przyszyty z tyłu do kombinezonu — powiedziała.

— Oderwij go.

— Nie. Nie możemy podrzeć kombinezonów.

— Musimy coś zrobić.

— Nasze sznurowadła. — Amanda puściła jedną ręką drzwi i zaczęła wywlekać zgrabiałymi palcami sznurowadło. Warczenie stawało się coraz bardziej zajadłe. Drzwi zadygotały

od następnego uderzenia. — Wyciągnęłam jedno — powiedziała.

— Ja też.

Viv związała końce swojego sznurowadła. Pies zaczął przesuwać drzwi pyskiem. Amanda uderzyła go kawałkiem deski.

— Spieprzaj stąd!

Pysk zniknął.

Viv zarzuciła pętlę na środkową deskę drzwi. Zanim pies otrząsnął się z zaskoczenia i wrócił, przyciągnęła do siebie mocno sznurowadło.

Amanda zdała sobie sprawę, że jej świszczący oddech nie różni się wiele od ziajania psa. Związała końce sznurowadła, podobnie jak Viv założyła pętlę na środkową deskę i szybko cofnęła palce, dzięki czemu w ostatniej chwili uniknęła ugryzienia. Usłyszała zwierające się z trzaskiem szczęki i gniewne warczenie.

Psy drapały drzwi i próbowały je przesunąć pyskami. Sznurowadło wrzynało się Amandzie w palce. Modliła się, żeby nie pękło.

— Na razie nic złego nam nie grozi — powiedziała Viv.

— Jasne, psy są tam, gdzie chcemy — zaśmiała się Amanda, zdając sobie sprawę, że ogarnia ją histeria.

— Przynajmniej nas nie zjedzą — dorzuciła Viv. W jej głosie również zabrzmiała histeria. — Boże, co ja bym dała, żeby coś zjeść — westchnęła.

Amanda przestała się nagle śmiać.

— To coś jest tuż obok — powiedziała ze śmiertelną powagą.

— Jak to?

— Jeśli będzie trzeba, zabiję jedną z tych bestii i upiekę w ognisku, które Ray rozpali za pomocą swojej zapalniczki.

Viv popatrzyła na nią uważnie.

Warczenie nagle umilkło. Zapluskawa woda w kałużach i psy odbiegły.

— Dokąd poszły? — zastanawiała się Viv, nadstawiając uszu.

— Może zaatakowały Raya. Ray? Słyszysz mnie? — powiedziała Amanda do mikrofonu. — Nic ci nie jest?

Bez odpowiedzi.

— Jesteś bezpieczny, Ray? — zapytała gniewnym tonem Viv. — Nie pozwól, żeby coś ci się stało. Potrzebujemy twojej cholernej zapalniczki.

Jedyną odpowiedzią był plusk deszczu. Psy zaczęły nagle wściekle ujadać. Gryzły się chyba ze sobą, walcząc o zdobycz.

— Ray?

Psy jeden po drugim ucichły.

Czując, jak ogarniają ją mdłości, Amanda puściła sznurówkę. Chociaż nylon już nie wrzynał się w skórę, dopiero po kilku minutach przestały ją boleć dłonie. Zerknęła przez szparę, ale zobaczyła tylko deszcz.

— A potem dziecko utonęło w nagłej powodzi — podjął swoją opowieść Mistrz Gry — farmer spadł ze stryszku w stodole i nadział się na widły, a cała rodzina zginęła w...

## 2

— Ukryte kamery? — Profesor Graham była wyraźnie zszokowana. — Lucius mnie szpiegował?

— Szpiegował nas. — Balenger siedział naprzeciwko niej w rogu małej kawiarenki przy Broadwayu, kilka przecznic od uniwersytetu. Sąsiadujące z nimi stoliki były puste. — Chciał śledzić moje postępy w grze.

— Grze?

— Skoro miał kamery w pani gabinecie, nie można wykluczyć, że umieścił je także gdzie indziej. W teatrze. Przed biblioteką. Przed gmachem wydziału historii. W budynku, który jest remontowany.

— Ale ktoś by to zauważył.

— Nie po jedenastym wrześniu. Dzisiaj każdy z napisem OCHRONA na plecach może robić, co chce, i nikt go o nic nie pyta. Kamery to dla nas normalka. Zamontowane są przy światłach na skrzyżowaniach, nad wejściami do budynków, w sklepach i hotelach. Prawie wszędzie. Nie sposób przejść ulicą, żeby nie zostać sfilmowanym. Jeżeli wcześniej wszystko sobie dokładnie zaplanował, mógł śledzić moje ruchy.

Kelnerka przyniosła herbatę, kawę i kanapkę z szynką, które zamówili. Profesor Graham nie miała apetytu. Balenger

był zbyt zdesperowany, by go odczuwać, ale powtarzał sobie, że nie będzie w stanie pomóc Amandzie, jeśli się nie wzmocni

— Proszę mi powiedzieć, jak go pani poznała.

— Pojawił się pewnego popołudnia. Stał na korytarzu przy otwartych drzwiach do sali wykładowej. Wyglądał tak żałośnie, że od razu zapragnęłam mu pomóc.

— Żałośnie?

— Niski, chudy, zagubiony. Z piskliwym głosem, kępkami jasnych włosów na głowie. Przypomniał mi zdjęcia Trumana Capote'a z młodości. Dowiedziałam się, że ma trzydzieści pięć lat, ale wyglądał jak chłopiec. Chce pan wysłuchać wykładu? — zapytałam. Pokiwał głową, wszedł na salę i usiadł z tyłu. Tym, co go tam przyciągnęło, był temat zajęć: Sarkofag Ziemskich Namiętności.

Balenger nadstawił ucha.

— W następnych miesiącach dowiedziałam się, że przeżył załamanie nerwowe z powodu nowej gry, którą wymyślił. Przez sześć miesięcy przebywał w stanie katatonii, z umysłem uwięzionym w Złym Miejsku, jak to sam nazwał. Nigdy o tym nie mówił, powtarzał tylko, że to nie do opisanía. Po wyzdrowieniu postanowił szukać prawdy wszędzie, tylko nie w grach wideo.

— Tak powiedział?

— Wydawało się to naturalne u osoby, której iloraz inteligencji wynosi sto dziewięćdziesiąt. Powiedział mi, że chce zdobyć wykształcenie, na co wcześniej nie miał cierpliwości ani czasu.

Profesor Graham przerwała, czekając chyba, aż minie spazm bólu. Balenger spuścił wzrok, by nie czuła się skępowana.

— Lucius studiował wcześniej filozofię — podjęła, głęboko odetchnąwszy. — Sądził, jak mi wyznał, że łatwiej będzie tam znaleźć prawdę. Studiował Heraklita, Parmenidesa, Sokratesa, Platona i Arystotelesa. Zna się pan trochę na filozofii?

Balenger potrzęsnał głową.

— Niektórzy filozofowie utrzymują, że budynki, drzewa i niebo wokół nas są tak samo ulotne jak cienie w jaskini. Inni wierzą, że rzeczywistość jest solidna jak kamyk, który ktoś kopie w słoneczny dzień. Lucius uważał, że to bezsensowna kontrowersja. Według niego racją mieli ci, dla których świat to sen. Świat wyobraźni był dla niego o wiele bardziej wyrazisty niż tak zwana fizyczna rzeczywistość. Wie o tym każdy projektant i użytkownik gier.

Potem zaczął studiować literaturę, uznał jednak, że większość jej wykładowców specjalizuje się bardziej w filozofii lub naukach politycznych. Nikogo nie interesowała hipnotyczna metoda, dzięki której opowiadania przenosiły go w świat o wiele bardziej wyrazisty niż pozornie solidna otaczająca rzeczywistość.

Na koniec przeniósł się na wydział historii. Niech pan pamięta, że nie zapisywał się na żadne kursy. Kręcił się po prostu po korytarzu i zatrzymywał przy salach, kiedy coś go zainteresowało. Wyznał mi, że wysłuchał wykładów na temat zabójstwa Juliusza Cezara, inwazji Normanów na Anglię, zabójstwa książąt w londyńskim Tower, wojny stuletniej i prawie miliona ofiar amerykańskiej wojny secesyjnej. Żadnego z tych wydarzeń nie traktował jako niezbitego faktu. Każda relacja z pierwszej ręki, a tym bardziej ta, którą powtarzano później, była dla niego subiektywna. Wszystkie były zwykłymi fabułami. Cieniami w jaskini. Nie sposób udowodnić, że kiedykolwiek się zdarzyły. Ale jako fabuły były fascynujące i pomagały mu zapomnieć o dręczących go koszmarach. Miał zamiar pokręcić się jeszcze trochę po wydziale i wysłuchać opowieści o zamachu na arcyksięcia Ferdynanda, użyciu iperytu w pierwszej wojnie światowej i obozach śmierci podczas drugiej, lecz stojąc przed moją salą, usłyszał nagle o Sarkofagu Ziemijskich Namiętności. W tym momencie zmieniło się jego życie, oświadczył. Nie wyjaśnił tego dokładniej,

ale przez następne trzy miesiące chodził na moje wykłady i odwiedzał mnie w czasie dyżurów. Spotykaliśmy się na śniadaniu i spacerowaliśmy po południu po Washington Square. Niedawno zmarł mi mąż. Nigdy nie miałam dzieci. Przyznaję, że zaczęłam żywić do Luciusa matczyne uczucia. Dowiedziałam się od niego, że fantastyczny świat gry może być bardziej realny niż rozpacz, przed którą chciałam uciec. A potem miałam pierwszy epizod z rakiem, a Lucius pokazał mi, że grając, nie marnuję czasu, lecz wprost przeciwnie: wydłużam go. Szybkość, z jaką w grze wideo dokonuje się niezliczonych wyborów, dzieli każdą sekundę na mniejsze jednostki i wypełnia ją do maksimum. Ostatecznie, po odwróceniu się na jakiś czas od gier Lucius ponownie się do nich przekonał. Wszedł, jak to określił, w następny etap swojej ewolucji i uznał, że gry stanowią metafizykę, której nie zdołali pojąć filozofowie. Stanowią prawdę.

Profesor Graham odetchnęła głęboko i sięgnęła do torebki po fiolkę z tabletkami. Popiła dwie herbatą i spojrzała na Balengera.

— On i jego siostra... — zaczęła.

— Ma siostrę?

— Wyższą od siebie, brunetkę w przeciwieństwie do Luciusa, który jest blondynem.

— Czy upina włosy w kok i nie stosuje makijażu?

— Spotkałam się z nią tylko parę razy, ale owszem, nie przywiązuje dużej wagi do urody — potwierdziła profesor Graham. — Zna ją pan?

— Powiedziała mi, że nazywa się Karen Bailey.

— Na pewno ma na imię Karen. Nie jest podobna do Luciusa, ponieważ mają różnych ojców. Matka prowadziła bujne życie seksualne. Mężczyzna, który ich wychowywał, nie był ojcem, mieszkał z nią tylko jakiś czas. Zostawiła go razem z dziećmi. Traktował je jako przynętę. Miał nadzieję, że kiedy odwiedzi dzieci, przekona ją, żeby została.



Profesor Graham zacisnęła zęby z bólu.

— Ojczym był pijakiem — podjęła po chwili. — Agresywnym. Lucius opowiadał mi, że nigdy nie spuszczał go z oczu. Ciągłe bał się, że coś wyprowadzi go z równowagi. W dodatku ojczym interesował się Karen. Tak bardzo przypominała z wyglądu swoją matkę, że nie można jej było bezpiecznie z nim zostawić. Dlatego do dziś nie eksponuje swojej urody, choć przypuszczam, że jest całkiem atrakcyjną kobietą. Nie chce, żeby interesowali się nią mężczyźni.

Dzieci stale chowały się przed ojczymem. Kiedy mu podpadły, zamykał je z czystej złośliwości w szafie albo w piwnicy. Lucius powiedział, że pewnego razu spędził z siostrą trzy dni w ciemnej klitce, której drzwi ojczym zabił deskami. Bez jedzenia, wody, toalety. Karen stała się dla niego zastępczą matką. Opiekowała się Lucusem i robiła co mogła, by go chronić i odwrócić od niego uwagę ojczyma. Kiedy się przed nim chowali, Lucius wymyślał fantastyczne gry, podobne do „Dungeons & Dragons”. Razem z Karen uciekali w stworzoną przez niego alternatywną rzeczywistość.

Jedyną dobrą rzeczą, którą zrobił dla nich ojczym, było kupno gry wideo. Chodziło mu pewnie o to, żeby się przed nim nie chowali i żeby łatwiej było mu dobierać się do Karen. Działo się to pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy grę podłączało się do telewizora i można było tylko mieć nadzieję, że nieruchomy obraz nie pozostawi trwałych smug na ekranie. Lucius był wtedy jeszcze dzieckiem, ale rozebrał urządzenie na części, zorientował się, jak działa, i zmodernizował je. Ojczym zmarł w końcu na raka wątroby. Rodzeństwo nie zagrzało jednak miejsca u różnych rodziców zastępczych. W gruncie rzeczy mogli polegać tylko na sobie i na grach, które wymyślał Lucius. Kiedy w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym pojawiło się na rynku nintendo, Lucius był jednym z autorów gier do tej konsoli. Korzystał przy tym

z pracowni komputerowych w licznych szkołach średnich, do których uczęszczał razem z Karen. Szczególną przyjemność sprawiało mu to, że prześladowający go koledzy po powrocie do domu grali w zaprojektowane przez niego gry, nie mając bladego pojęcia, kto je stworzył. Wprowadził wiele ważnych innowacji w technologii gier wideo. We wczesnych grach można było się poruszać tylko w górę, w dół i na boki. Lucius pierwszy wprowadził ruch do przodu i do tyłu, a także nakładające się tła. Obie techniki stworzyły iluzję trójwymiarowości. Inną z jego innowacji było wrażenie, że świat, w którym rozgrywa się gra, jest nieskończony. We wcześniejszych grach zawsze istniały limity, w ramach których gracz mógł się poruszać. Akcja toczyła się w przewidywalnej, zdefiniowanej przestrzeni. Lucius zaprojektował grę o nazwie „Nieskończoność”, w której dwie rakiety ścigały się w kosmosie. Wiele zmieniło się od czasu, kiedy razem z Karen siedzieli zamknięci w zabitej deskami klitce. W „Nieskończoności” osoba grająca ulega wrażeniu, że statki kosmiczne mogą lecieć bez końca w każdym kierunku i stale odnajdywać nowe cuda. Lucius powiedział mi żartem, że chce, by okrążając kometę, gracz spodziewał się za nią ujrzeć Boga.

— Wygląda na to, że można było zatracić się w grze.

— To właśnie przytrafiło się Luciusowi. — Profesor Graham przymknęła na chwilę oczy. — Projektanci gier to ludzie ogarnięci obsesją — powiedziała, unosząc powieki. — Niektórzy z nich potrafią pracować cztery dni bez przerwy. Żywią się chipsami i napojami energetyzującymi. Lucius powiedział mi, że dla urozmaicenia pił mocną kawę i słodził ją colą.

— Tak długie obywanie się bez snu może doprowadzić do psychozy — zauważył Balenger.

— Siostra pilnowała go, kiedy miał te czterodniowe wizje. Tak właśnie można to nazwać. Lucius gryzmolił kody kom-

puterowe, jakby to było pismo automatyczne, lecz nie popełnił w nich ani jednego błędu. Opłaty patentowe i honoraria przyniosły mu ponad sto milionów dolarów. Pieniądze nie miały jednak dla niego żadnego znaczenia. Ważne były tylko gry. W tej branży istnieje stałe dążenie do pokonywania kolejnych trudności i projektowania gier na coraz wyższym poziomie. Chodzi zarówno o twórczą satysfakcję, jak i okazję do przechwałek. Lucius uparł się, że stworzy grę na tak wysokim poziomie, że nie dorówna mu żaden inny projektant. Karen czuwała przy nim, gdy miał wizję trwającą dłużej, niż powiedziałam: pięć, sześć dni. W końcu doznał załamania nerwowego, którego zawsze się obawiała jego siostra.

Słuchając profesor Graham, Balenger nie mógł już wytrzymać swędzenia w łokciu. Zaniepokojony podwinął rękaw marynarki i koszuli. Ropień był otoczony czerwoną opuchlizną.

— Powinien pan iść do szpitala — stwierdziła profesor Graham. — Wygląda to na zakażenie krwi.

— Mam wrażenie, jakbym...

— Jakby co?

Jakbym miał coś pod skórą, pomyślał przerażony.

— Proszę na mnie chwilę poczekać — powiedział i ruszył między stolikami do drzwi z napisem TOALETA.

Słabo oświetlony korytarzyk prowadził do męskiej łazienki. Terakotowa podłoga była brudna, pod zamkniętymi drzwiami kabiny zobaczył czyjeś tenisówki. Zdjął marynarkę, zarzucił ją sobie na prawe ramię, podwinął lewy rękaw koszuli, wziął głęboki oddech i nacisnął opuchliznę.

O mało nie jęknął, gdy przeszył go ból. Nacisnął mocniej i tym razem jęknął. Wrzód pękł i popłynęła z niego ropa. Balenger nie przestawał naciskać. Ukazało się więcej żółtej, a potem czerwonej wydzieliny. To dobrze, pomyślał. Muszę to zrobić. Muszę zobaczyć, co tam się paskudzi.

Przygryzł wargę z bólu. Pojawiło się coś czarnego. Małego. Wąskiego. Metalicznego. Nieco większego od czubka ołówka. Kiedy wyszło na zewnątrz, położył to na palcu wskazującym i podniósł do światła. Sukinsyn, pomyślał.

Owinał przedmiot chusteczką i schował do kieszeni spodni. Namydlił ranę w zgięciu łokcia, po czym spłukał wodą. Namydlił ponownie. Miał wrażenie, że nigdy już nie będzie czysty.

### 3

Profesor Graham siedziała ze spuszczoną głową, wpatrując się w filiżankę z herbatą. Kiedy usiadł z powrotem przy stoliku, podniosła wzrok.

— Jak pańska infekcja? — zapytała ze znużonym wyrazem twarzy.

— Umyłem ramię, ale wygląda to jeszcze gorzej niż wcześniej — odparł, starając się ukryć wściekłość. — Miała pani rację. Kiedy tylko skończymy, idę do szpitala.

Wyjął z kieszeni palmofon i zaczął mu się przyglądać. Aparat był srebrny, z szarym metalicznym frontem i wyświetlaczem większym niż w standardowych komórkach. Poza klawiszami alfanumerycznymi miał przycisk na górze, a także pokrętło i przycisk po prawej stronie. Nic nie wskazywało na to, by była w nim zamontowana kamera. Balenger jednak był pewien, że Lucius zainstalował podsłuch, a także urządzenie namierzające, które uzupełniało to, co wszczepiono mu w ramię.

Jak to się włącza? — zastanawiał się przez chwilę. Spróbował przycisku na górze i ekran natychmiast się rozjaśnił. W blasku lampy nad głową trudno było rozpoznać ikony, odkrył jednak, że wystarczy odsunąć aparat od światła, by ekran stał się całkiem wyraźny. W górnym prawym rogu

rozbłysła czerwona strzałka. Po kilku chwilach zaczęło pulsować zielone światło. Palmofon zadzwonił.

Balenger znieruchomiał. Na dwóch przyciskach widniały ikony telefonu; jeden był czerwony, drugi zielony. Zielonym odbieramy rozmowę, pomyślał i wcisnął przycisk.

— Gdzie jest Amanda? — zapytał.

— Wiesz, co to jest awatar? — odparł głos, dźwięczny i donośny niczym u radiowego spikera.

— Niestety nie — odpowiedział z przekąsem Balenger.

— Amanda wie.

— Gdzie ona jest?

Balenger przysunął telefon do profesora Graham, żeby mogła słyszeć rozmowę.

— To właśnie musisz odkryć — oznajmił głos.

— Więc powiedz mi, co to jest awatar.

— Bóg w cielesnej postaci.

Profesor Graham pilnie słuchała.

— Ty jesteś moim awatarem — powiedział głos.

— To znaczy, że ty jesteś bogiem?

— Jestem Mistrzem Gry.

Balenger poczuł, że cały tężeje.

— [www.scavengerthegame.com](http://www.scavengerthegame.com) — oświadczył Mistrz Gry.

— Co to ma być?

— Wiesz już chyba, że za pośrednictwem tego palmofonu możesz połączyć się z Internetem. Używając pokrętła z boku, wybierz ikonę przedstawiającą glob. Po naciśnięciu pokrętła wejdiesz do sieci. Twój aparat ma szybki dostęp, więc powinieneś natychmiast wejść na stronę.

— Co tam zobaczę?

W słuchawce zapadła cisza: połączenie zostało przerwane. Balenger wcisnął przycisk z czerwonym telefonem, żeby zakończyć rozmowę.

— To nie jego głos — stwierdziła profesor Graham.

— Jest pani pewna?

— Mówiłam już panu, że Lucius ma piskliwy, cichy głos. Ten brzmi, jakby należał do kogoś, kto czyta wieczorne wiadomości.

— Wzmacniacze i filtry mogą gruntownie zmienić brzmienie głosu.

Zgodnie z poleceniem rozmówcy Balenger wszedł do Internetu. Kilka minut trwało, nim nauczył się manipulować przyciskami. Zauważył, że kiedy aparat przetwarza dane, na ekranie ukazuje się klepsydra. Symbol ten przypominał mu wypełnioną krwią klepsydrę na pudełku gry.

Jej okładka pojawiła się teraz na ekranie. A potem klepsydra zniknęła i miejsce okładki zajęły fotografie, na których Amanda ścigała jakąś kobietę. Balenger zaczął szybciej oddychać. Nigdy jeszcze nie obserwował niczego z tak wielkim skupieniem.

Miała na sobie niebieski kombinezon i baseballową czapkę. Druga kobieta była ubrana na szaro. Wszystko działo się na otwartym terenie, w oddali widać było góry. Amanda miała otwarte usta, najwyraźniej krzyczała coś w desperacji. Kobieta się obejrzała, jakby zastanawiała się, co robić dalej.

Ekran wypełniła nagle czerwona plama. Dopiero po chwili Balenger zdał sobie sprawę, że fotografia przedstawia wybuch. W powietrzu fruwały części ciała. Ręka. Kawałek czaszki. Krew. To, że obrazom nie towarzyszył żaden dźwięk, potęgowało surrealistyczny efekt.

Przeszedł go zimny dreszcz. Mój Boże, czyżby Amanda wyleciała w powietrze? Na kolejnym zdjęciu zobaczył, że stoi z szeroko otwartymi ustami. Odetchnął z ulgą, ale udzieliło się mu widoczne na jej twarzy przerażenie.

Co ja oglądam? — pytał sam siebie.

Ekran zgasł. Chwilę później pojawiły się na nim słowa: TA STRONA NIE JEST JUŻ DOSTĘPNA.

Balengera rozboleły palce, w których ścisnął palmofon.

— Co się dzieje? — zapytała profesor Graham. — Co pan zobaczył?

— Piekło.

Palmofon zadzwonił.

Balenger nacisnął zielony przycisk i przystawił aparat do prawego ucha, by nie forsować obolałej lewej ręki. Policyjne doświadczenie podpowiadało mu, że nie może wzbudzić wrogości w rozmówcy. Dlatego zamiast dać upust ogarniającej go wściekłości i wykrzyzczyć najgorsze wyrazy, jakie przychodziły mu do głowy, zachował spokój.

— Mogłeś obejrzeć te fotografie dzięki technologii o na zwie Surveillance LIVE — oznajmił głos. — Zostały zrobione przed kilkoma godzinami.

Balengerowi zabrakło tchu w piersi.

— Przed kilkoma godzinami? W takim razie nie mam pewności, że Amanda nadal żyje.

— Ona żyje.

— Skąd mam wiedzieć, czy nie kłamiesz?

— Gdybym kłamał, gra byłaby wadliwa. Jej reguły są niepodważalne. Jedną z nich jest to, że nie kłamię. A oto kolejna reguła. Bardzo ważna. Od tego momentu nie uczestniczy w tym policja. Zrozumiano?

Przez chwilę Balenger nie był w stanie odpowiedzieć.

— Dobrze — wykrztusił w końcu.

— Żadnej policji, FBI, znajomych z wojska ani nikogo w tym rodzaju. To, że zwróciłeś się do policji, było na początku całkiem naturalne. Ale teraz wszystko się zmieniło. Znajdujemy się na innym poziomie gry. Jesteś zdany tylko na siebie. Rozumiesz? Odpowiedz.

— Rozumiem — odparł Balenger, bojąc się, że język stanie mu kołkiem.

— Jesteś moim awatarem. Za twoim pośrednictwem biorę udział w akcji. Kibicuję ci. Chcę, żebyś wygrał.

— Jasne. Oczywiście.



— To szczerą prawdą. Chcę, żebyś uratował porwaną dziewczynę i dotarł do najwyższego poziomu, gdzie odkryjesz sekret.

— Sarkofag Ziemskich Namiętności.

— Oraz wszystko, co on symbolizuje. Nie przesadzę, jeśli powiem, że jest to coś, co stanowi o sensie życia. Jeżeli uratujesz dziewczynę i odnajdziesz sarkofag, okażesz się godny tego, by poznać sekret. Ja znam go już teraz, lecz chcę jeszcze raz poczuć się odkrywcą. Za twoim pośrednictwem.

— Myślałem, że gra jest skończona. Myślałem, że trwała czterdzieści godzin i skończyła się dziś o piątej po południu.

— Nie. Dla ciebie „Łowca” zaczął się dziś o dziesiątej rano. Zostało ci niecałe trzydzieści jeden godzin.

— „Łowca”. — To słowo przejmowało chłodem. — Z tego, co mówisz, wynika, że oprócz mnie i Amandy są także inni gracze.

Mistrz Gry nie odpowiedział.

— Co się stanie, jeżeli nie uratuję Amandy i nie odkryję sekretu w wyznaczonym czasie?

Połączenie zostało przerwane.

## 4

Kiedy wyszli z kawiarni, zachodzące słońce już skryło się za budynkami. Niebo miało złotawy odcień, ale na Broadwayu było tak ciemno, że kierowcy pozapalali światła.

Balenger schował palmofon do kieszeni i poklepał go, nie chcąc, by Mistrz Gry usłyszał to, o co chciał zapytać profesor Graham.

— Jak znajdę dolinę, o której pani wspomniała? Gdzie leży Avalon? Gdzie może spoczywać Sarkofag Ziemskich Namiętności? Mówiła pani coś o Wyoming i górach Wind River.

Profesor Graham sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej.

— Avalon już nie istnieje. Ruiny trudno nawet nazwać wymarłym miastem. Nie ma również innego miasta, które wymieniłam, Cottonwood. Korzystałam z pomocy Towarzystwa Historycznego stanu Wyoming, lecz i tak zajęło mi sporo czasu zlokalizowanie doliny, którą odwiedził wielbny Owen Pentecost.

— Gdzie to jest?

— Najbliższa duża miejscowość nosi nazwę Lander. Dolina leży pięćdziesiąt mil na północ od tego miasta, przy wschodnim skraju gór.

Balenger wciąż poklepywał się po kieszeni, w której trzymał palmofon.

— Skąd będę wiedział, że znalazłem właściwe miejsce?

— W tej okolicy to jedyna dolina, w której leży jezioro. W każdym turystycznym albo myśliwskim sklepie w Lander mają mapy topograficzne pobliskich terenów. Bez trudu ją pan znajdzie.

— Była tam pani?

— Przed siedmiu laty. Przez cały lipiec próbowałam odnaleźć sarkofag. Chwilami nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że istniał tylko w ogarniętym gorączką umyśle Donalda Reicha. Lucius też próbował go znaleźć.

— I co?

— Jestem pewna, że powiedziała mi, gdyby go odkrył. Niekoniecznie, pomyślał Balenger.

— Dziękuję — powiedział, kładąc łagodnie rękę na jej ramieniu.

Profesor Graham wzruszyła ze smutkiem ramionami. Pocałował ją w policzek.

Chyba się zaczerwieniła, ale trudno to było stwierdzić w zapadającym zmierzchu.

— Od dawna nikt tego nie zrobił — powiedziała.

— W takim razie cieszę się, że sobie na to pozwoliłem. — Balenger zatrzymał taksówkę i wręczył kierowcy dwadzieścia dolarów. — Proszę zaopiekować się moją znajomą — polecił.

Obserwując odjeżdżającą taksówkę, w dalszym ciągu poklepywał schowany w kieszeni palmofon. Po chwili podszedł do bankomatu, pobrał pięćset dolarów, czyli maksymalną kwotę, którą mógł wyjąć jednego dnia, i udał się do najbliższego sklepu z telefonami.

— Czy można u was dostać palmofony BlackBerry? — zapytał młodego sprzedawcę z kucykiem i kolczykiem w uchu, poklepując przez cały czas kieszeń, żeby Mistrz Gry nie usłyszał jego pytania.

— Oczywiście.

Balenger wybrał egzemplarz podobny do tego, który udostępnił mu Mistrz Gry.

— Świetny wybór — stwierdził sprzedawca. — To najnowszy model. Kosztuje trzysta dolarów, ale dodajemy w paczeczce pocztę za sto dolarów.

— Jeżeli go pan od razu aktywuje, cena nie gra roli.

— Nie ma problemu.

Ostatnio wszyscy powtarzają tę formułkę, pomyślał Balenger. Nie ma problemu. Do jakiego to się odnosi wszechświata?

— Chciałbym wiedzieć, czy ten model obsługuje program o nazwie Surveillance LIVE? — zapytał.

— Potrzebna jest do tego dodatkowa płatna aplikacja. Ściągają pan za pośrednictwem domowego komputera i przenosi do palmofonu.

— Wybieram się w podróż i nie będę tam miał dostępu do komputera. Zapłacę panu sto dolarów gotówką, jeżeli załaduje mi pan tę aplikację w tej chwili.

— Oczywiście, nie ma problemu. Dlaczego klepie się pan po kieszeni?

— To nerwowo tik.

Dziesięć minut później sprzedawca wręczył Balengerowi nowy palmofon.

— Z pełnym oprogramowaniem — oznajmił. — Będzie pan musiał wkrótce podładować baterię. Nowe mają niski poziom załadowania. Oto ładowarka, instrukcja obsługi, kabel do USB i etui.

— A oto pańskie sto dolarów. Dobrze jest poznać kogoś, kto zna się na rzeczy.

Balenger zapłacił czekiem za sprzęt i wyszedł na ulicę. Przestał poklepywać palmofon i wyjął go z kieszeni.

— Słyszysz mnie? — zapytał. — Zapisz sobie numer tego telefonu — oznajmił, po czym podyktował dwa razy numer nowego aparatu.

Następnie wyrzucił stary telefon do śmietnika, starając się

nie wdychać odoru starych frytek. Wyjął z kieszeni chusteczką z chipem, który wyciągnął z rany w łokciu i spojrzął na brodatego, wychudłego menela, pchającego w jego stronę wózek ze szmatami.

— Oto dwadzieścia dolarów — powiedział. — Niech pan sobie kupi coś do jedzenia.

— Nie potrzebuję pańskiej jałmużny.

— W porządku, ale niech pan weźmie. Zachowa je pan na czarną godzinę. — Balenger wsunął bezdomnemu banknot i chip do kieszeni koszuli. — Miłej nocy.

— Jasne, założę się, że zarezerwowali już dla mnie apartament w Sherry-Netherland.

Balenger zatrzymał taksówkę i wsiadł do niej.

— Na lotnisko Teterboro — powiedział.

— Nie wiem, gdzie to jest — odparł kierowca w turbanie.

— Ja też nie. Gdzieś w New Jersey, jeżeli to panu coś mówi.

Kierowca zamruczał coś pod nosem.

— Zapłacę podwójną stawkę, jeśli szybko mnie pan tam dowiedzie.

Facet sięgnął po krótkofalówkę.

## 5

Teterboro jest tak zwanym lotniskiem zapasowym. Odciąża ono sąsiednie komercyjne porty lotnicze, przejmując od nich loty prywatnych i firmowych samolotów. Tyle mniej więcej wiedział o nim Balenger, lecz w trakcie dwunastomilowej podróży z Manhattanu uzyskał znacznie więcej informacji z Internetu, do którego dostęp zapewniał mu kupiony palmofon.

Przypuszczał, że do Lander w Wyoming nie latają żadne rejsowe samoloty z lotniska Kennedy'ego, La Guardii ani Newark. Przeglądając witryny kilku linii lotniczych, przekonał się, że miał rację. Właściwie brak było bezpośrednich lotów dokądkolwiek w Wyoming. Musiałby przesiąść się w Chicago albo Denver, lecz i tak aż do rana nie znalazł wolnych miejsc w żadnym z lecących tam samolotów. Co więcej, w Lander nie było porządnego pasa startowego. Najbliższe lotnisko obsługujące duże linie lotnicze leżało w Riverton, mniej więcej pół godziny drogi od Lander. Mógł tam dotrzeć najwcześniej po południu, a prawdopodobnie znacznie później. Straciłby za dużo czasu. Zmarnowałby większą część trzydziestu jeden, a właściwie trzydziestu godzin, które mu jeszcze pozostały.

Żeby tego uniknąć, miał tylko jedno wyjście. Taksówka wjechała przez bramę i zatrzymała się przed terminalem Jet

Aviation, jednej z firm zajmujących się lotami czarterowymi i przechowywaniem samolotów. Kiedy wręczył taksówkarzowi obiecany napiwek i szedł do nowocześnie wyglądającego budynku, niebo było zupełnie ciemne.

Jasno oświetlone wnętrze przypominało poczekalnię pierwszej klasy na dużym lotnisku. Podszedł do niego sympatyczny mężczyzna w garniturze.

— Pan Balenger?

Podali sobie dłonie.

— Erie Gray. Pobrałem opłatę za lot z rachunku karty kredytowej, której numer podał pan przez telefon. Odrzutowiec tankuje w tej chwili paliwo. Dla jasności, cena wynosi trzy tysiące dolarów za godzinę.

— Tyle, ile uzgodniliśmy. — Balenger oczekiwał pytań, dlaczego tak mu się spieszy, ale nagle zdał sobie sprawę, że ludzie, których stać na taki luksus, nie przywykli tłumaczyć się z czegokolwiek. Sam fakt, że posiada takie środki, zastępował wszelkie wyjaśnienia.

— Sprawdziliśmy pańskie nazwisko i pragnę z radością poinformować, że nie ma pana na żadnej liście osób uważanych za terrorystów i poszukiwanych przez policję — oznajmił z uśmiechem Erie.

Balenger zdołał odwzajemnić jego uśmiech.

— Dobrze wiedzieć.

Wyszli przez szklane drzwi na płytę lotniska otoczoną ze wszystkich stron hangarami. Erie wskazał ręką prawo.

— Tam stoi pański odrzutowiec, learjet sześćdziesiąt. — Samolot był niewielki i smukły. — Jest już prawie gotów do lotu.

— Dziękuję — rzucił Balenger.

W tej samej chwili odezwał się jego palmofon. Dzwonił parę razy wcześniej, kiedy jechał na lotnisko, ale nie miał ochoty rozmawiać. Teraz, na jasno oświetlonej płycie lotniska wyjął go z futerału przy pasku.

Erie cofnął się do budynku, by mu nie przeszkadzać.

— Podobnie jak strona w sieci, na którą mnie odesłałeś, jestem dostępny tylko przez minutę — powiedział Balenger do telefonu.

— Udało ci się dokonać niemożliwego: jednocześnie się poruszasz i tkwisz w tym samym miejscu — oświadczył głos.

— Twój zmodyfikowany palmofon leży w śmietniku. Czyp, który wszczepiłeś mi pod skórę, tkwi w kieszeni spacerującego Broadwayem bezdomnego.

— Ale to uniemożliwi osiągnięcie celu gry! Jak możesz być moim awatarem, skoro nie mogę śledzić twoich postępów?

— Równie dobrymi urządzeniami namierzającymi są komórki. Przekazniki telefonii komórkowej ustalają położenie każdego używanego aparatu. Jeżeli uzyskasz dostęp do danych operatora mojego nowego palmofonu, będziesz wiedział, gdzie jestem.

Mistrz Gry nie odpowiedział.

— Zbyt wielu jest dostawców komórek? — domyślił się Balenger. — Nie możesz uzyskać dostępu bez wzbudzania podejrzeń?

— Chcę wiedzieć, gdzie jesteś.

— A ja, do diabła, chcę wiedzieć, dlaczego wybrałaś Amandę? Dlaczego wybrałaś nas?

— Z powodu hotelu Paragon.

— Nie dość się nacierpieliśmy? Uznałeś, że możemy znieść jeszcze więcej?

— Potrzebowałem graczy godnych tej gry, ludzi, którzy udowodnili, że potrafią przetrwać. Ty i Amanda odznaczacie się zdumiewającym hartem ducha. Prototyp „Łowcy” nie odniósłby bez was sukcesu.

— Prototyp? Na litość boską, nie sądzisz chyba, że uda ci się sprzedać tę grę?

— W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym istniała gra wideo o nazwie „Death Race”. Miała prymitywną grafikę.



Gracze przejeżdżali samochodem obok nawiedzanego przez duchy cmentarza. Na drodze pojawiały się postaci, które miały wyobrażać duchy. Kiedy udało się któregoś przejechać, na ekranie ukazywał się krzyż i gracz zdobywał punkty. Jakaś kobieta złapała swojego syna na grze w „Death Race” i tak ją to przeraziło, że wszczęła ogólnokrajową kampanię przeciwko przemocy w grach wideo. Do akcji przyłączył się Phil Donahue i autorzy programu „60 Minutes”. Lokalne władze zaczęły wydawać przepisy dotyczące miejsc, w których można grać na automatach. Wszystko to z powodu jakichś kukiełek, które zmieniały się w krzyże. I jaki był rezultat? Gry wideo stały się jeszcze bardziej popularne.

Przejdźmy teraz do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego. Gra o nazwie „Mortal Kombat” była niezwykle krwawa: gracz mógł złapać przeciwnika za gardło i wyrwać mu cały szkielet. Kongres objął dochodzeniem branżę gier wideo, wymógł wprowadzenie kategorii wiekowych i próbował stosować cenzurę. Nie miało to większego znaczenia. Sprzedano trzy razy więcej nieocenzurowanej wersji „Mortal Kombat” niż ocenzurowanej. Dzisiejsze gry akcji są o wiele bardziej obrazowe. Gracze kradną samochody, potracają przechodniów, strzelają do policjantów i biją prostytutki. Sama armia amerykańska korzysta z dwóch gier: jednej w czasie rekrutacji, drugiej podczas szkolenia żołnierzy. W gruncie rzeczy obie powstały na zamówienie Pentagonu.

— Twoja minuta dobiegła końca — powiedział Balenger.

— Zaczekaj. Widziałeś kiedyś film „Sieć”? W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym roku widownia uważała, że przedstawiona tam historia jest zupełnie nieprawdopodobna. Peter Finch gra faceta prowadzącego wiadomości, niejakiego Howarda Beale'a. Oglądalność jego programu spada. Gdy zdesperowany oświadcza, że popełni samobójstwo na wizji, nagle wszyscy chcą go oglądać. Zamiast prezentować wiadomości, Beale piekli się i peroruje. Jego oglądalność wzrasta.

Tymczasem dział rozrywkowy sieci przejmuje wiadomości i manipuluje nimi, żeby je bardziej udramatyzować. W telewizji zaczynają dominować krzykacze, którzy wydzierają się na siebie w talk-show.

— Dobrze, rozumiem, o co chodzi. Opisałeś właśnie, jak wyglądają wiadomości w większości kabłówek.

— Czy sądzę, że uda mi się sprzedać „Łowcę”? Nie dzisiaj ani jutro. Nie w przyszłym roku ani za dwa lata. Ale zaręczam, że któregoś dnia to się stanie. Ponieważ granica między rzeczywistością i fikcją stale się zaciera i wszystko przybiera coraz bardziej ekstremalną postać.

W tle zabrzmiał ryk startującego odrzutowca.

— Co to za hałas? — zapytał głos.

— To ja wybieram się do ciebie — odparł Balenger i przerwał połączenie.

## 6

W czasie startu learjeta Balenger miał wrażenie, że prowadzi sportowy samochód. Hałas dwóch silników był stłumiony. Przez okno po prawej stronie zobaczył oświetlony kompleks sportowy Meadowlands. Trochę dalej światła odbijały się w Hudson River. Na horyzoncie widać było zarys Manhattanu. W innych okolicznościach ten widok mógłby go zachwycić, teraz podkreślał tylko, jak bardzo jest oddalony od Amandy. Kiedy odrzutowiec przechylił się w lewo, skręcając na zachód, Balenger wsadził ładowarkę palmofonu do gniazdka i odchylił się do tyłu. Widok siedmiu pustych foteli sprawił, że poczuł się mały i osamotniony.

Chociaż nie był głodny, zmusił się do zjedzenia kanapki z tuńczykiem, którą zabrał z terminalu. Jedz, kiedy tylko masz okazję, powtarzał sobie. I spróbuj odpocząć. Światła w kabynie były przyćmione. Miał wrażenie, jakby przebiegł maraton. Był kompletnie wykończony. Zdjął buty i przechylił do tyłu oparcie fotela. Spojrzał na zegarek. Była 21.14. Powiedziano mu, że lot do Lander potrwa niecałe pięć godzin. To oznaczało, że wyląduje kwadrans po drugiej czasu nowojorskiego. W Wyoming będzie kwadrans po północy.

Przypomniał mu się tekst na okładce gry. „Czas jest prawdziwym łowcą”. Jeżeli gra zaczęła się o dziesiątej rano, jak

stwierdził Mistrz Gry... Facet nazywa się Lucius Creed. Uży-  
waj jego pieprzonego nazwiska... Jeżeli gra zaczęła się o dzie-  
siątej, minęło już jedenaście godzin. Zostało dwadzieścia  
dziewięć. Koniec nastąpi pojutrze o drugiej w nocy. Nie,  
poprawił się, druga w nocy będzie w Nowym Jorku. Biorąc  
pod uwagę dwugodzinną różnicę między strefami czasowymi,  
w Wyoming koniec nastąpi jutro dokładnie o północy.

Wciąż wracały do niego obrazy, które zobaczył na ekranie  
palmofonu: kobieta w szarym kombinezonie, wybuch, czer-  
wona mgiełka, fruujące części ciała, przerażona twarz  
Amandy.

Wkrótce tam dotrę, Amando, pomyślał. Nie poddawaj się.  
Walcz dalej. Dotrę tam. Pomogę ci.

Zziębnięty, skrzyżował ręce na piersi. Teraz, gdy nie pozos-  
tało mu nic innego jak czekać, nie mógł opanować dreszczy.

**POZIOM SIÓDMY**

**STRZELANKA  
W PIERWSZEJ  
OSOBIE**

# 1

Wiatr ucichł. Amanda nie czuła już, by próbował porwać drzwi. Przez całą noc lało, ale krople padały prosto w dół i bębniły o deski nad ich głowami. Amanda trochę się odpreżyła.

— Dyplom z literatury angielskiej? — usłyszała nagle głos Viv i ponownie stężała. — Na Uniwersytecie Columbia? Słyszałam, że to elitarna buda.

Chociaż w ciasnej jamie siedziały tuż koło siebie, Amanda nie widziała po ciemku jej twarzy. Przypomniała sobie jednak wściekłe spojrzenie Viv, kiedy Mistrz Gry napomknął o jej wykształceniu.

— Chciałam iść na studia, ale nie stać mnie było na czesne — powiedziała Viv.

Amanda się nie odzywała, bała się, że dojdzie do kolejnej kłótni.

— Cholera, nie wiem, dlaczego się wściekam — stwierdziła po chwili Viv. — I tak pewnie bym oblała. Prawdę mówiąc, chciałam wspinać się po górach, a nie siedzieć za biurkiem.

Kolejna kropla spadła z dachu.

— Zimno — mruknęła Amanda.

— Zużyliśmy mnóstwo energii. — Viv poruszyła się i otworzyła butelkę z wodą. — Pamiętaj, żeby pić.

Amanda podniosła do ust swoją jedyną butelkę i wypła łyk, delektując się każdą kroplą.

— Nie mam więcej.

— Nie zakręcaj jej i wystaw na zewnątrz. Do środka wpadnie trochę deszczu — poradziła Viv. — A tymczasem napij się z mojej drugiej butelki. Musimy sobie pomagać, jeżeli chcemy się stąd wydostać.

— Coś sobie uświadomiłam.

— Co?

— To zabrzmiało...

— Powiedz.

Amanda zawahała się.

— Derrick miał dwie butelki wody — powiedziała w końcu.

Viv się nie odezwała.

— Jedną wypił prawie do końca, ale druga jest w kieszeni jego kombinezonu.

Viv nadal milczała.

— Będziemy jej potrzebować — stwierdziła Amanda.

— Tak — wykrztusiła Viv. — Będziemy jej potrzebować. A także koszuli, którą ma pod kombinezonem. Skarpetek. Sznurowadeł. Wszystkiego, co może się przydać. Jeżeli nadejdzie kolejna burza...

Zaczerpnęła powietrza, jakby próbowała stłumić szloch.

— Najbardziej feralną grą wszech czasów była pierwsza domowa wersja „E.T.” — odezwał się nieoczekiwanie Mistrz Gry.

— Zamknij się! — wrzasnęła Amanda.

— Sympatyczny mały kosmita wpadał tam do dołka. Chodziło o to, żeby manipulując przyciskami, wydostać go stamtąd. Jednak bez względu na to, co robili gracze, malec nie mógł wyleźć z przeklętej jamy. Po pewnym czasie oni sami odnosili wrażenie, że znaleźli się w dołku. Miliony egzemplarzy zwrócono dystrybutorom albo w ogóle nie zostały sprze-

dane. Niewiele lepsza była pierwsza domowa wersja „Pac-Mana”. Działała tak marnie, że dwanaście milionów egzemplarzy gry wróciło do magazynów. Zniechęcony producent wykopał wielki dół na pustyni w Nowym Meksyku. To zabawne, zważywszy, że problemy z „E.T.” również były związane z dołem. Wrzucono tam wszystkie egzemplarze gry, puszczono po nich walec drogowy i zalano betonem. To też swoista kapsuła czasu. Pewnego dnia w przyszłości, kiedy w wyniku wojny nuklearnej albo katastrofalnych zmian klimatycznych odsłoni się warstwa betonu, ktoś znajdzie miliony gier wideo i będzie się zastanawiał, co w nich było takiego ważnego, że zachowano je na pamiątkę dla przyszłych pokoleń. „Pac-Man”... Nie uderzyło was, że gra zawsze kończyła się jego śmiercią? Uśmiechnięty facecik jest pożerany i znika. Właściwie wiele gier kończy się śmiercią. Ale gracze nadal się starają, robią, co mogą, żeby odwlec to, co nieuniknione. Funkcja zapisu zapewnia pewną formę nieśmiertelności. Po pokonaniu licznych przeszkód gracze stają przed koniecznością podjęcia kluczowej decyzji. Zapisują to, czego dokonali do tej pory, i ruszają dalej. Jeżeli ich awatar ginie, wracają do zapisanej pozycji i próbują podjąć inną decyzję, a potem jeszcze inną i inną. Względnie kupują kody do gier, dzięki którym mogą uniknąć zagrożeń i uzyskać nowe życie. Tak czy inaczej awatar może w każdej chwili zmartwychwstać. Gracze osiągają w grze to, czego nie udaje się im uzyskać w życiu. Nieśmiertelność.

— Ty sukinsynu! Wydaje ci się, że możesz włączyć funkcję zapisu albo użyć kodu, żeby przywrócić życie mojemu mężowi? — zawołała Viv.

— Albo życie Bethany? — wsparła ją Amanda. — Myślisz, że przywrócisz jej życie?

— Nigdy nie pozwalałem na używanie kodów w moich grach. „Północ — północny zachód” — powiedział Mistrz Gry.



— Że co? — Nagła zmiana tematu sprawiła, że Amandzie zakreśliło się w głowie,

— Kiedy rozmawialiście wcześniej o Mount Rushmore. miałem zamiar opowiedzieć wam o Izbie Pamięci.

— Zaraz zwariuję — mruknęła Viv.

Amandzie opadały powieki. Zdała sobie nagle sprawę, że kręci jej się w głowie nie tylko dlatego, że Mistrz Gry przekakiwał z tematu na temat. Z trudem oddychała. W małej dusznej jamie było coraz więcej dwutlenku węgla.

— Pomnik na Mount Rushmore zaczęto rzeźbić w latach trzydziestych, podczas Wielkiego Kryzysu — wyjaśnił Mistrz Gry. — Wyryte w skale twarze czterech prezydentów miały symbolizować trwałość Stanów Zjednoczonych w okresie, kiedy kraj i cały świat wydawały się pogrążyć w chaosie.

Amanda zauważyła, że Viv również ma trudności z oddychaniem.

— Musimy tu wypuścić trochę świeżego powietrza — powiedziała.

Uniosły nieco drzwi i Amanda zaczerpnęła kilka razy zimnego, czystego powietrza. A potem do środka wpadł deszcz i z powrotem zasłoniły wejście.

— Ludzie zaangażowani w budowę pomnika tak bardzo obawiali się o przetrwanie narodu, że zaprojektowali pod nim pomieszczenie, które nazwali Izbą Pamięci — kontynuował Mistrz Gry. — Chcieli w nim przechować Deklarację Niepodległości i inne ważne amerykańskie dokumenty. Gdy by państwo upadło w wyniku zamieszek, te skarby zostałyby uratowane.

Amanda oparła głowę o ziemię. Strach, zimno i zmęczenie kompletnie ją wyczerpały. Oczy same jej się zamykały.

— Ale kiedy gospodarka stanęła na nogi i zamieszki ustały, projekt porzucono.

Zasypiając, Amanda prawie nie spostrzegła, że z dachu

przestały kapać krople wody. Deszcz nie bębnił już tak głośno o drzwi.

— Ostatecznie w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym grupa historyków umieściła dokumenty na temat Mount Rushmore w tej niewielkiej części Izby Pamięci, którą ukończono pół wieku wcześniej.

Kapanie deszczu kompletnie ucichło.

— To kolejna kapsuła czasu — oznajmił szeptem Mistrz Gry.

## 2

Lotnisko Hunt Field w Lander, w stanie Wyoming, dziesięć minut po północy.

Learjet podchodził do lądowania. Balenger obserwował przez okno światła na pasie startowym, który lśnił po niedawnym deszczu. Koła samolotu miękko dotknęły ziemi. Kiedy kołowali do miejsca postojowego, nie mógł się doczekać, by znowu zacząć działać. Przed odlotem z Teterboro wykonał kilka telefonów. Modlił się, żeby przyniosły spodziewane rezultaty.

Silniki odrzutowca zwolniły i ucichł ich stłumiony poświst. Balenger wyszedł z samolotu i przeskakując przez kałuże, ruszył w stronę baraku z blachy falistej, gdzie paliło się światło.

W środku zastał wąsatego mężczyznę w kowbojskim kapełuszu, siedzącego przy stole i oglądającego na małym telewizorku film z drugiej wojny światowej.

— Frank Balenger? — zapytał facet.

— Zgadza się.

— Na zewnątrz stoi wynajęty przez pana samochód. Facet, który go przyprowadził, kazał panu przypomnieć, że należy się dodatkowa opłata za usługę po godzinach.

— Taka była umowa.

— Niech pan podpisze te papiery i pokaże mi kartę kredytową oraz prawo jazdy.

Balenger poczekał, aż mężczyzna odda mu dokumenty, po czym wyszedł przed barak i zobaczył ciemnego pochłapanego deszczem jeepa cherokee. Na miejscu pasażera leżały mapy, tak jak prosił. Pochylił się, żeby je przestudiować.

— Może pan nas podwieźć do miasta? — zapytał zza jego pleców jeden z pilotów.

— To po drodze.

— Kto by pomyślał, że na tak małym lotnisku będzie taki ruch w środku nocy — powiedział drugi pilot.

Balenger początkowo nie zareagował, ale potem w głowie zapaliło mu się ostrzegawcze światełko.

— Co pan ma na myśli? — zapytał.

— Ten facet w środku powiedział, że pięć minut przed nami lądował tutaj gulfstream. Podobnie jak my tylko z jednym pasażerem na pokładzie. Zabawne, że przyleciał także z Teterboro.

Balenger zmarszczył czoło i wrócił do baraku.

— Czy tym gulfstreamem z Teterboro przyleciała kobieta? — zapytał mężczyznę w kowbojskim kapeluszu.

— Pięć minut temu. Właśnie odjechała.

— Jak wyglądała?

— Nie zwróciłem uwagi.

— Mniej więcej czterdziestoletnia? Włosy upięte w kok?

— Chyba się zgadza.

### 3

Balenger wysadził pilotów na głównej ulicy Lander, przed motelem Wind River i pojechał dalej. Opony jeepa mlaskały po mokrej jezdni, kiedy przyglądał się niskim zabudowaniom. Zatrzymał się na chwilę na parkingu przed barem, obejrzał mapkę miejscowych firm, po czym podjechał pod sklep, w którym musiał zrobić zakupy. O tej porze światła były zgaszzone, a drzwi zamknięte, ale wiedział już przynajmniej, gdzie go nazajutrz szukać. Zaparkował przed zajazdem dla kierowców ciężarówek, napił się mocnej kawy, po czym wrócił do jeepa, wyzerował licznik mil i ruszył na północ drogą numer 287. Minał jeden, a potem drugi znak ostrzegający przed łosiami. Po lewej stronie widać było zaśnieżone góry. Bardzo rzadko mijał po drodze jakieś pojazdy, w większości pick-upy i terenówki. Raz przejechał obok niego policyjny radiowóz.

Profesor Graham powiedziała „pięćdziesiąt mil”. Kiedy na liczniku pokazała się liczba 40, zaczął się przyglądać bocznym drogom, które prowadziły w góry. Pierwsza była prymitywna i zagrodzona bramą. W reflektorach jeepa nie zobaczył na niej żadnych śladów opon. Przy następnej nie było bramy, lecz tam również nie spostrzegł w błocie żadnych śladów. Dojechał do sześćdziesiątej mili. Z pozostałych czterech

bocznych dróg tylko na dwóch, na czterdziestej ósmej i pięćdziesiątej ósmej mili, były ślady opon. Zerknął na mapę. Żadna z dróg nie była tam zaznaczona. Ponieważ nie nanieśiono również cech terenu, nie mógł wiedzieć, czy którakolwiek prowadzi do interesującej go górskiej doliny. Ale przy pięćdziesiątej ósmej mili widać było w oddali światła jakiegoś domu, a przy czterdziestej ósmej wyłącznie ciemne zarysy szczytów.

Była za osiem druga. Kiedy wrócił do Lander, zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał 2.48. Wyczerpany wynajął pokój w motelu. Po podłączeniu palmo fonu do ładowarki położył się na łóżku i chyba nawet trochę się zdrzemnął. Recepcjonista obudził go o ósmej rano, zgodnie z poleceniem. Balenger wziął prysznic i zrobił użytek z maszynki do golenia oraz szczoteczki do zębów, które kupił poprzedniej nocy. Przypomniał sobie stary film, „Bilardzistę”, w którym Paul Newman grał w bilard z Jackiem Gleasonem. Newman nie golił się i wyglądał coraz bardziej niechlujnie, Gleason mył ręce i twarz, dawał do czyszczenia marynarkę i wkładał świeże kwiaty w butonierkę. Gleason wygrał.

Podjechał do McDonalda, zamówił sok pomarańczowy, kawę, smażone ziemniaki z cebulą oraz dwa duże muffiny z jajkiem. Zjadł wszystko w samochodzie, czekając na otwarcie sklepu, co zgodnie z napisem na drzwiach miało nastąpić o dziewiątej.

W sklepie sprzedawano broń. Balenger minął dział broni krótkiej, gdzie trzy dni czekało się na wydanie towaru, i przystanął w dziale półautomatycznych karabinków.

— Szuka pan czegoś konkretnego? — zapytał barczysty sprzedawca w dżinsowej koszuli i spodniach, przytrzymywanych paskiem z kłamrą w kształcie siodła.

— Ma pan jakieś bushmastery? — zapytał Balenger, mając na myśli cywilną wersję karabinu M-16, z którego korzystał w Iraku.

— Właśnie się skończyły. Będę miał dwa pod koniec tygodnia.

— Niech mi pan pokaże tego rugera mini czternaście.

— Strzelbę ranczerów? Proszę bardzo.

Sprzedawca wziął broń ze stojaka, po czym wyjął magazynek i odciągnął zamek, żeby pokazać, że jest nie załadowana.

Balenger przyjrzał się dokładnie karabinkowi. Zgodnie z tym, co sugerowała nazwa, była to skrócona wersja wojskowego M-14, poprzednika M-16. W przeciwieństwie jednak do większości surowych z wyglądu karabinów szturmowych, błękitna stal i drewniana kolba M-14 upodobiła go do broni myśliwskiej. Być może to właśnie spowodowało, że został wyłączony z listy półautomatycznych karabinków, których nie było wolno sprzedawać w latach 1994-2004 w Stanach Zjednoczonych, mimo że strzelało się z niego tymi samymi nabojami kalibru .223 i miał taką samą siłę ognia co cywilna wersja M-16. Podczas służby w policji Balenger spotkał kolegów, którzy wozili mini-14 w radiowozach. Wybrali ten model, ponieważ był lżejszy i krótszy.

— Dobry na szkodniki — zauważył sprzedawca.

— Ma pan pociski Winchester Ballistic Silvertips o wadze pięćdziesięciu pięciu granów?

— Celne na dużą odległość. Z porządną fragmentacją. Zna się pan na amunicji. Ile pudełek?

Balenger wiedział, że w pudełku jest dwadzieścia naboarów.

— Dziesięć.

— Dużo ma pan szkodników.

— Nowa strzelba. Muszę się wstrzelać. Lepiej niech pan da piętnaście.

— W zestawie jest magazynek tylko na pięć naboarów — oświadczył przepaszającym tonem sprzedawca.

— Ma pan magazynki na dwadzieścia?

— Dwa.

— Biorę. A celowniki kolimatorowe?

— Bushnell HOLOsight.

Balenger wiedział, że celownik ten wykorzystuje technologię holograficzną do umieszczania na celu czerwonej kropki, lecz nie za pomocą promienia laserowego, który mógłby zdradzić pozycję strzelca. Kropka jest widoczna tylko w celowniku. Ustawienie jej na celu jest stosunkowo proste i zapewnia celność strzału.

— Zamontuje go pan dla mnie? W porządku. Biorę także ten nóż, Emerson CQC siedem, oraz pas do karabinu, plecak, brązowe buty i strój turystyczny. Apteczkę. Manierkę. Peletrynę. Rękawiczki. Wełniane skarpety. Latarkę. Ten kapelusz z szerokim rondem. Ciemne okulary. Filtr przeciwsłoneczny. Pudełko batonów energetycznych. I lornetkę z noktowizorem.

— Miło jest obsługiwać klienta, który wie, czego chce. Balenger dał mu czek.

— Proszę podpisać odbiór amunicji — powiedział sprzedawca.

— Potrzebny mi jest także kompas i mapa topograficzna gór Wind River — dodał Balenger, przypomniawszy sobie, czego nauczyli go na szkoleniu w rangersach.

— Jakiej części gór?

Balenger podszedł do wiszącej na ścianie mapy i pokazał mu.

Umieścił zakupy z tyłu jeepa i podjechał do zajazdu dla ciężarówek przy drodze numer 287, gdzie napełnił manierkę i kupił zgrzewkę wody oraz opakowanie chusteczek jednorazowych. To ostatnie stanowiło substytut czegoś, czego zapomniał kupić w sklepie z bronią, a było równie ważne jak woda. Kupił również taśmę samoprzylepną.

W jeepie przestudiował mapę topograficzną. Dolina okazała się łatwa do zlokalizowania. Zgodnie z tym, co powiedziała profesor Graham, była jedyną, w której znajdowało się jezioro. Na mapie naniesiono większość dróg, które widział w nocy, choć akurat nie tę z zagadkowymi śladami opon. Mimo to był



przekonany, że właśnie ona prowadzi do doliny, podobnie jak nie miał wątpliwości, że w pojeździe, który zostawił ślady, siedziała Karen Bailey. Najprawdopodobniej jechała do brata. Ale jeżeli ruszy jej śladem, Mistrz Gry... Balenger w dalszym ciągu nie wiedział, dlaczego woli nie używać jego nazwiska... prawie na pewno go zauważy. Studiując mapę, spostrzegł, że trochę dalej na północ ku dolinie prowadziła jeszcze jedna droga, która jednak kończyła się u podnóża gór.

Ruszył na północ i po raz pierwszy, odkąd wyleciał z Teterboro, włączył palmofon, który prawie natychmiast zadzwonił. Odebrał go i zszedł, aż w słuchawce odezwie się Mistrz Gry.

— Ujawniłeś pewien mankament gry — oświadczył głos.  
— Ponieważ testuję prototyp, powinienem chyba być ci wdzięczny.

— Tylko jeden mankament?

— Nie możesz być moim awatarem, jeżeli nie śledzę przez cały czas twoich postępów. Jesteś bohaterem. Muszę się z tobą utożsamiać. Ale jak mam to robić, skoro nie wiem, gdzie jesteś?

— Gdybyś się ze mną utożsamiał, oddałbyś mi Amandę.

— Powiedz, gdzie jesteś. Może podążasz w złym kierunku?

— Nie sądzę. A zresztą cóż to za gra, w której nie ma miejsca na niespodzianki? Myśl pozytywnie. Weszliśmy po prostu na nowy poziom.

— Jak to?

— Jesteś teraz graczem, nie obserwatorem. Musisz zacząć przewidywać moje ruchy. Ale nie mam zamiaru grać, dopóki nie przekonam się, że Amanda nadal żyje.

— Wiesz, gdzie szukać — odparł zde gustowany głos. Balenger przez chwilę się zastanawiał, po czym zjechał na pobocze, uaktywnił internetową funkcję palmofonu i wpisał adres [www.scavengerthegame](http://www.scavengerthegame), który dał mu poprzedniego dnia Mistrz Gry. Na wyświetlaczu pojawiła się klepsydra. Na górze było mniej brązowego piasku, na dole więcej

krwi. WITAJ W „ŁOWCY”, głosił napis.

Po chwili pojawiła się pierwsza fotografia. Balenger nie bardzo rozumiał, co przedstawia. Na stertach gruzu leżała cienka warstwa śniegu. Na drugim zdjęciu widać było drzwi oparte o jedną ze stert. Na kolejnym wypełzające z jamy Amandę i kobietę w brązowym kombinezonie. Balenger podniósł do oczu palmofon i bacznie studiował zdjęcie. Amanda i jej towarzyszka sprawiały wrażenie wycieńczonych, ale nie były, dzięki Bogu, ranne. Ulga, którą poczuł, ulotniła się, gdy ujrzał następne zdjęcie przedstawiające leżący na ziemi obiekt — tak przerażający, że miał ochotę odwrócić wzrok.

Obraz znikł i na ekranie ukazał się napis: TA STRONA NIE JEST JUŻ DOSTĘPNA.

W tej samej chwili minęła go z rykiem wielka ciężarówka.

Balenger uderzył rękoma w kierownicę.

— Nie! — zawołał.

Zadzwoił palmofon.

Balenger zaczekał, aż się uspokoi, i dopiero wtedy podniósł słuchawkę do ucha.

— To, co widziałeś, wydarzyło się dziś rano — oznajmił głos.

— A ostatnie zdjęcie? To szczątki Amandy?

— Nie. Widziałeś, jak wypełza z ruin. Zdjęcie pokazuje, co się wydarzy, jeżeli nie będziesz grał.

— Na fotografiach widać leżący na ziemi śnieg... — Balenger przestraszył się nagle, że trafił w złe miejsce.

— Kolejna niespodzianka wzbogacająca grę. Oglądałeś kiedyś reality show „Rzyzycanci”?

— Nie. W telewizji oglądam tylko History Channel — odparł drżąc Balenger.

— Atrakcyjne osoby z różnych środowisk są umieszczane w nieprzyjaznym otoczeniu, na przykład w dżungli.

Balenger wyjechał z powrotem na drogę. Furia dodała mu odwagi.

— W programie usiłuje się stworzyć wrażenie — kontynuował głos — że grupa składa się z rozbitków, którzy muszą zrobić wszystko, aby przetrwać. Ale uważny widz z pewnością zdaje sobie sprawę, że kamery, w większości ręczne, są obsługiwane przez żywych ludzi, że dźwięk z ukrytych mikrofonów biegnie kablami do techników dźwięku i że za filmowanymi scenami kryją się członkowie ekipy i producenci, którym nic nie grozi, mimo że uczestnicy walczą rzekomo o przetrwanie.

Balenger jechał z maksymalną dozwoloną prędkością. Minał go policyjny radiowóz. Przez moment miał chęć go zatrzymać, ale pamiętał dobrze obraz kobiety eksplodującej w czerwonej mgiełce oraz przerażające zdjęcie, które zobaczył przed chwilą. Nawet gdyby policjanci zdołali wkroczyć do doliny, nie zdradzając swojej obecności, prawie na pewno nie udałoby im się zorganizować akcji przed północą. A Balenger nie miał wątpliwości, że Amanda zginie, jeżeli nie uratuje jej przed północą.

— Co będzie, jeżeli w programie podobnym do „Rzykantów” zdarzy się fatalny wypadek? — zapytał Mistrz Gry. — Co będzie, jeżeli mimo wszystkich środków ostrożności ktoś spadnie na przykład z wodospadu i się zabije?

— No dobrze, co będzie? — powtórzył Balenger, patrząc na wznoszące się po lewej stronie góry.

— Czy producenci wytną tę scenę z programu? Czy powiedzą: to tragedia i nie damy wam jej obejrzeć? Czy wprost przeciwnie: stwierdzą, że muszą pokazać wypadek, by złożyć hołd dzielnemu uczestnikowi, który ryzykował życie dla programu? Pokazanie tej sceny świadczyłoby o tym, że w programie rzeczywiście mają miejsce niebezpieczne sytuacje. Widzowie zrozumieliby, że w każdym momencie może się zdarzyć śmiertelny wypadek. Nie przegapiliby ani jednego odcinka.

Balenger minął boczną drogę, na której poprzedniej nocy widział ślady opon w błocie.

— Po tego rodzaju precedensie — powiedział głos — w innych programach również pojawiłyby się wysoce ryzykowne konkurencje. Nietrudno sobie wyobrazić nieunikniony kierunek ich ewolucji. „Obejrzyj dzisiejszy odcinek. Ktoś może zginąć”. Tak brzmiałoby hasło zachęcające widzów.

— Jak mówiłeś, wszystko przybiera coraz bardziej ekstremalną postać — oświadczył Balenger, z trudem powściągając odrazę. W oddali zobaczył kolejną boczną drogę.

— Tak, ale to tylko program telewizyjny, natomiast „Łowca” jest grą w Boga, połączoną ze strzelanką w pierwszej osobie. Nad przebiegiem gry czuwa Mistrz Gry, który może przemawiać do uczestników, dawać im wskazówki bądź też je ukrywać i obserwować, jak uczą się życia.

— Gra w Boga — powtórzył z przekąsem Balenger. — Cóż to za Bóg, który nie pozwala uczestnikom wygrać?

— A kto mówi, że nie można wygrać? Każda wybitna gra musi mieć godny cel. Żeby przeżyć, uczestnik musi tylko znaleźć Sarkofag Ziemskich Namietności.

## 4

Amanda podniosła głowę z drewnianej podłogi, na której leżała. Światło wpadało przez szpary po obu stronach drzwi. Zorientowała się, że ona i Viv leżą przytulone do siebie, próbując się wzajemnie ogrzać. Mimo paru godzin snu czuła się kompletnie wyczerpana. Spojrzała przez szparę i zmarszczyła brwi. Wszędzie na zewnątrz było białe.

Pchnęła drzwi w górę i kiedy wywróciły się na bok, zmrużyła oczy, oślepiąca jasnym blaskiem nieba.

Viv podniosła głowę i zamrugła. Chwilę trwało, nim otrząsnęła się ze snu i dotarło do niej, co widzi.

— Spadł śnieg?

— W czerwcu! — odparła skonsternowana Amanda.

— W Górach Skalistych widziałam, jak pada w lipcu. — Viv zerknęła na zegarek. — Dochodzi dziewiąta. Zamroczył nas dwutlenek węgla. Zostało tylko piętnaście godzin.

Półprzytomne ściągnęły sznurowadła z drzwi i założyły je z powrotem do butów.

Amanda wzięła do ręki pustą butelkę, którą wystawiła na zewnątrz. Śnieg zatkał szyjkę. Na dnie było trochę wody.

— Wsadź do niej śnieg — poradziła jej Viv. — Nie zaszkodzi nam. Śnieżne pchły jeszcze się nie pokazały.

— Śnieżne pchły? — Amanda poczuła, że swędzi ją skóra.

— Wylęgają się na wiosnę — wyjaśniła Viv. — Wyglądają jak brud na śniegu. Na razie żadnych nie widzę.

Warstwa śniegu była gruba najwyżej na cal. Amanda przyjrzała mu się dokładnie, sprawdziła, czy nie ma żadnych plamek, po czym zebrała trochę i podniosła do ust.

— Nie rób tego! — ostrzegła ją Viv. — Zużyjesz za dużo energii, próbując stopić śnieg w ustach.

Amandę dziwiło, że dręczące ją pragnienie jest silniejsze od głodu. Być może sok owocowy i gruszki, które zjadła poprzedniego dnia, nasyciły ją w większym stopniu, niż sądziła. A może jej system trawienny się zamykał. Działał tu jakiś mechanizm obronny. Kręciło jej się trochę w głowie.

Kiedy wypętzły z jamy, wciągnęła w płuca chłodne poranne powietrze. Nagle poczuła jakiś zapach.

— Dym.

Spojrzały w prawo. Pięćdziesiąt jardów dalej Ray zdołał rozpalic ognisko. Pośrodku ulicy trzaskały płomienie, w górę bił dym. Ray gapił się na nie, otwierając i zamykając wieczko zapalniczki.

— Widzę, że nie dopadły cię psy — powiedziała Viv do mikrofonu.

— Przykro mi, że cię rozczarowałem. — Głos Raya ledwo było słychać z oddali, ale w słuchawkach Amandy rozbrzmiewał całkiem głośno.

Viv zasłoniła ręką mikrofon i odwróciła się do Amandy.

— Nie mam ochoty się wysikać.

— Ja też.

— Nie pijemy dość dużo, żeby zmusić nerki do pracy — Viv opróżniła do połowy drugą butelkę i podała ją Amandzie.

— Wypij do końca. I pomóż mi wcisnąć śnieg do pustych butelek. Postaram się jednak wysikać — stwierdziła, kiedy się z tym uporały.

— Masz, może będziesz tego potrzebować — powiedziała Amanda i wyciągnęła z kieszeni papier toaletowy.

Viv spojrzała na papier, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu i nie miała pojęcia, do czego służy. Śnieg skrzypiał pod butami, kiedy oddalały się od Raya, a potem każda znalazła osobne miejsce za stertą gruzu.

— Jeżeli mnie teraz obserwujesz, Mistrzu Gry, zamiast prowadzić grę, powinieneś raczej oglądać pornosy — powiedziała Amanda, rozpinając kombinezon.

— Seks nigdy nie był dla mnie ważny — odparł głos. — Nie obserwuję cię.

— To dobrze.

— Nawet Ray cię nie obserwuje.

Amanda zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Ray spogląda tam, gdzie poprzedniego dnia wskazywała strzałka jego GPS-u. Widziany z profilu, wydawał się pogrążony w zadumie.

Napięła mięśnie podbrzusza i udało jej się wycisnąć z siebie kilka kropel moczu. Był pomarańczowy. Niedobrze, pomyślała. Wetknęła papier toaletowy pod deski i wróciła do Viv.

— Musimy zabrać tę butelkę Derrickowi — powiedziała. Viv pobladła i pokręciła głową.

— Ty to zrób. Ja nie mogę.

— Dobrze.

Amanda niechętnie ruszyła ulicą. Słońce zaczynało przygrzewać, śnieg pod jej stopami zamieniał się w breję. Zbliżając się do zwłok Derricka, zwolniła.

— Stój! — odezwał się nagle Ray.

Amanda pomyślała, że nie chce, żeby się do niego zbliżała. Nie przejmowała się jednak zakazami. Potrzebowała tej butelki. Podeszła bliżej.

— Nie! — wrzasnął Ray.

Amanda stanęła. Zwłoki Derricka nie wyglądały tak jak poprzednim razem. Miały dziwny kształt. Mokry śnieg zdążył się z nich zsunąć. Gdyby nie miała pustego żołądka, mogłaby zwymiotować.

Usłyszała za sobą kroki Viv.

— Cofnij się — zawołała. Odwróciła się i zasłoniła jej widok.

— Co się stało?

— Nie patrz tam.

Ale Viv spojrzała. Otworzyła szerzej oczy. A potem spuściła wzrok i zaczęła potrząsać głową.

— Mam tego dosyć.

Zwłoki Derricka — nie tylko jego zmasakrowana twarz, lecz całe ciało — były trudne do rozpoznania. Miał powyrywane wnętrzności, nogi i ręce poobgryzane do kości. Brakowało mu dłoni.

Amanda zdała sobie sprawę, że to sprawka psów. Słyszac, jak gryzą się ze sobą w nocy, myślała, że dopadły Raya. Teraz rozumiała, że walczyły o ciało Derricka.

Jego buty i kombinezon zniknęły.

Amanda spojrzała pytająco na Raya.

— Psy zdartyby z niego ubranie, gdybym go wcześniej nie zabrał. Kombinezon i tak do niczego by mu się nie przydał. Potrzebowałem go, żeby uszczelnić dach. — Ray wskazał płytki dół pod stosem starych desek.

Jama przypominała Amandzie postawioną na boku trumnę. Leżały przed nią drzwi z przywiązanymi do środkowej deski sznurowadłami.

— Sznurowadła też nie były mu już potrzebne. Dokąd ona idzie?

Amanda się odwróciła. Viv oddalała się od nich, brnąc przez pośniegowe błoto.

— Viv?

Viv szła dalej ze wzrokiem utkwionym w przełęcz między górami. Amanda pobiegła za nią.

— Mam już dosyć — mruzczała Viv.

— Stój — zawołała Amanda, gdy się z nią zrównała.



— Mam dosyć — powtórzyła Viv, spoglądając w stronę wylotu doliny.

— Pamiętaj, co się przytrafiło Bethany — odezwał się głos w słuchawkach Amandy.

Jak mogła o tym zapomnieć? Ogłuszający huk, czerwony tuman i fruujące w powietrzu części ciała wryły się na zawsze w pamięć Amandy.

— Nikt nie opuszcza gry — oznajmił głos.

Amanda objęła ramieniem Viv.

— Musisz wrócić.

— Mam dosyć. — Viv dobrnęła do skraju miasta i ruszyła po śliskiej trawie.

— Odsuń się od niej, Amando — ostrzegł głos.

— Weź się w garść, Viv. Wracamy.

— Nie mogę — odparła, brnąc dalej po śniegu.

— To twoja ostatnia szansa — oznajmił głos.

Czyjeś ręce złapały Viv i pociągnęły z powrotem do miasta. Ray trzymał ją mocno i nie miał zamiaru puścić.

— Odwal się ode mnie! — wrzasnęła.

— Spróbuj się wyrwać — powiedział, wlokąc ją ulicą. — Spróbuj mnie uderzyć. Proszę bardzo. To nie będzie miało znaczenia. Nie możesz mi nic zrobić.

Viv wyzwoliła z jego uścisku jedną rękę, zamachnęła się i uderzyła go w ramię. Zamachnęła się energiczniej, ale Ray dał krok do tyłu.

— Nie stać cię na nic więcej? — zadrwił z niej.

Zacisnęła pięść i próbowała uderzyć go w szczękę.

Ray uchylił się.

Walnęła go w pierś. Cofnął się jeszcze dalej. Wtedy uderzyła go w usta i w nos. Popłynęła krew. Po każdym ciosie dawał krok do tyłu. W ten sposób doszli do środka miasta i zbliżyli się do miejsca, w którym Amanda i Viv przetrwały noc. Kiedy Viv ponownie się zamachnęła, Ray złapał ją za rękę. Zamachnęła się drugą, ale złapał i tę.

Przez chwilę próbowała się wyrwać, a potem powoli zaczęła tracić siły i osunęła się na kolana. Pierś jej podnosiła się szybkim oddechem. Szloch zdawał się wydobywać z najgłębszych zakamarków duszy.

— Przepraszam — powiedział Ray.  
Amanda pomogła Viv wstać z klęczek.

— Musisz się położyć — powiedziała i ułożyła ją w jamie. Śnieg w butelkach zdążył się już rozpuścić. — Masz. Napij się trochę. — Kiedy Viv nie zareagowała, przytknęła jej butelkę do ust. — Pij — nalegała.

Woda pociekła Viv po brodzie, ale Amanda zauważyła z ulgą, że wypita prawie wszystko.

Uświadomiła sobie, że trzeba ponownie napełnić butelki, zanim rozpuści się śnieg. Wzięła je w obie ręce i podstawiała pod kapiącą z desek wodę. Ray stanął koło niej i zaczął robić to samo. Po jakimś czasie mieli siedem pełnych butelek.

— Chcę z tobą pomówić — powiedziała Amanda. Zostawili Viv, która wpatrywała się w dach jamy, i ominąwszy szerokim łukiem ciało Derricka, ruszyli w stronę ogniska. — Nie wiem, jak to zrobimy, ale musimy go pochować. Jeżeli psy tu wrócą...

— Znalazłem nawet odpowiednie miejsce — odparł Ray, ocierając krew z twarzy.

Amanda zauważyła, że spogląda tam, gdzie dotarł poprzedniego dnia.

— Co tam jest? — zapytała.

— Skorzystaj ze swojego GPS-u i sprawdź. Może to nie jest właściwe miejsce. Sprawdź, czy się nie mylę.

— Znasz się na tych urządzeniach lepiej ode mnie.

— Tak czy owak sprawdź.

Amanda wyciągnęła GPS z kieszeni, poczekała, aż odbierze sygnały z satelitów, po czym weszła do menu WSPÓŁRZĘDNE i wpisała dane, które podał jej wcześniej Mistrz Gry. Czerwona strzałka wskazała teren za miastem.

— Pokazuje to samo miejsce co twój — powiedziała. Razem z Rayem minęli kolejne gruzowisko, Kiedy wyszli z miasta i zbliżyli się do terenu, który wskazywały oba GPS-y, Amanda zobaczyła zasłonięte wcześniej przez stertę gruzów pochylone krzyże.

— To chyba...

— ...groby — dokończył za nią Ray.

Pięćdziesiąt jardów za miastem za zwalonym drewnianym płotem zaczynał się cmentarz. W trawie między krzakami bylicy stały poszarzałe, popękane krzyże. Kilka było połamanych, inne pochylone.

W spróchniałym drewnie wyryto nazwiska i daty. Pokonując skrzepowanie, Amanda ruszyła wzdłuż krzyży i zaczęła czytać napisy.

— Więcej tu kobiet i dzieci niż mężczyzn — powiedziała.

— W tamtych czasach wiele kobiet nie przeżywało porodu — stwierdził Ray. — A dzieci umierały na choroby, które dziś łatwo wyleczyć.

Amanda usłyszała jakiś hałas i odwróciła się. Viv, która nie mogła usiedzieć spokojnie w miejscu, zdejmowała deski ze sterty i układała je nad ciałem Derricka.

— Jest twarda — mruknął Ray. — Dlatego ten sukinsyn wybrał właśnie nas.

— Kiedy wczoraj znalazłeś to miejsce, coś cię zaniepokoiło. Co takiego? — zapytała Amanda.

— Ten rząd grobów.

Amanda podeszła bliżej i zaczęła odcyfrowywać napisy na krzyżach.

— Peter Bethune. Zmarł dwudziestego czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Margaret Logan. Dwudziestego pierwszego czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Edward Baker. Trzydziestego czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Wszyscy zmarli w czerwcu.

— Jennifer Morse. Czwartego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku — przeczytał Ray. — Arnold Ryan. Dwunastego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. W tym rządzie jest siedemnaście grobów. Wszyscy zmarli między czerwcem i październikiem tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

— Dobry Boże — mruknęła Amanda.

— Potem ziemia była zamrożona. Może ludzie umierali dalej, ale mieszkańcy nie mogli wykopać grobów.

— Tyle zgonów w takiej małej osadzie. — Amandę przeszedł zimny dreszcz. — Dla mieszkańców to musiał być szok.

— W rzeczy samej — odezwał się głos w jej słuchawkach. — Ray się nie myli. Przed końcem roku zmarło osiem innych osób. W tamtych czasach zwłoki ludzi, którzy zmarli po tym, jak zamarzła ziemia, składano do trumien i trzymano w czyjejś stodole. Kiedy wiosną tysiąc dziewięćsetnego roku do Avalonu przybyli ludzie z odległego o sto mil Cottonwood, znaleźli trumny i leżące w nich zwłoki. To był jedyny ślad, jaki pozostał po zmarłych i żywych mieszkańcach. W którymś momencie w zimie, prawdopodobnie w przeddzień Nowego Roku, mieszkańcy Avalonu zniknęli.

— Zniknęli? — zdziwił się Ray.

— Później zorganizowano następne ekspedycje, ale one też niczego nie odkryły. Mieszkańcy miasteczka po prostu zniknęli z powierzchni ziemi. Ekspedycje nie odnalazły również Sarkofagu Ziemskich Namiętności. Religijni ekstremiści twierdzili, że u zarania nowego stulecia mieszkańcy Avalonu wstąpili do nieba.

— Ale to przecież szaleństwo.

— Nie w tym kontekście. Weźcie pod uwagę szereg zgonów, które zaczęły się w czerwcu. Peter Bethune zginął od uderzenia pioruna, kiedy biegł od furgonu do swojego sklepu. Mieszkańcy byli zszokowani. Ale tak długo czekali na deszcz, że nie mieli jednoznacznego stosunku do tego wydarzenia.

Dla niektórych śmierć Petera Bethune'a była po prostu ceną, jaką trzeba było zapłacić. Tak to przedstawił wielebny Owen Pentecost. Następnego dnia zatoniła w powodzi dwunastoletnia Margaret Logan. Bawiła się przy strumieniu, który nagle wezbrał. Osunęła się ziemia i porwała ją woda. Później w pożarze domu zginęli Edward Baker, jego żona i dwaj synowie. Pewnego farmera stratował jego własny koń. Utonęło kolejne dziecko, tym razem w jeziorze. Grzechotnik ugryzł kobietę. Rodzina zatruiła się grzybami. Łańcuch katastrof wydawał się nie mieć końca. Nad doliną zawisł cień śmierci. Amanda przyjrzała się rzędowi grobów, wstrząśnięta bezmiarem cierpień, które symbolizowały.

— Wielebny Pentecost mówił, że Bóg błogosławi tym, którzy mu służą, i karze tych, którzy tego nie robią. Coś w sercach i duszach mieszkańców sprawiło, że Bóg zwrócił się przeciwko nim. Powinni wejrzeć w swoje serca i zrobić rachunek sumienia. Powinni zmasakrać winy, które naraziły ich na boży gniew. Po każdym zgonie ludzie modlili się coraz dłużej i żarliwiej.

— Byli poddani straszliwej presji — zauważyła Amanda. Ray zwrócił instynktownie oczy ku niebu, co robili zawsze, gdy zwracali się do Mistrza Gry.

— I doszli do wniosku, że to wszystko dzieło Boga? Nie przyszło im do głowy, że może istnieć inne wytłumaczenie?

— Na przykład jakie? — zapytał głos. — Nieustający pech nie jest wcale lepszym wytłumaczeniem aniżeli utrata bożej łaski.

— Myślałem raczej, że maczał w tym palce wielebny Pentecost. Miasto zmieniło się po jego przybyciu.

— Sugerujesz, że wielebny Pentecost zabił niektórych z tych ludzi?

— Jaki to problem zepchnąć kogoś ze stryszku albo podsunąć trujące grzyby w miejsce jadalnych? — odparł Ray. — Pentecost musiał tylko poczekać na odpowiednią okazję.

— Sądząc po wczorajszych wydarzeniach, wiemy, że dla ciebie nie byłby to wcale wielki problem — stwierdził głos.

— To Derrick mnie zaatakował! Bronilem się!

— Oczywiście. Może dokończymy tę rozmowę kiedy indziej. W tym momencie skoncentrujcie się na udzielanych przeze mnie wskazówkach. Wielebnemu Pentecostowi udało się w końcu przekonać mieszkańców, by pozbyli się wszelkiej próżności i chciwości, zgromadzili wszystkie cenione przez siebie przedmioty i umieścili je w czymś, co nazwał Sarkofagiem Ziemskich Namiętności. Powiedział im, że sarkofag będzie przykładem dla przyszłych pokoleń.

— Przykładem? — zdziwił się Ray.

— Pentecost miał obsesję na punkcie nadchodzącego stulecia. Doszedł do wniosku, że powtarzające się śmiertelne wypadki są zapowiedzią apokalipsy. Wszystko to marność, mówił im. W nowym wieku rzeczy materialne nie będą już miały znaczenia. Ale ludzie poza doliną mogli nie dostrzec prawdy. Kiedy sarkofag zostanie w końcu odnaleziony i otwarty — być może po stu latach, gdy dojdzie do następnej apokalipsy — będzie wskazywał ścieżkę zbawienia tym, którzy ocaleją.

— Kapsuła czasu — mruknęła Amanda. — Cholerna kapsuła czasu. Dlatego uspięś Franka i mnie podczas wykładu o kapsułach czasu.

Zszokowana przypomniała sobie, od czego to wszystko się zaczęło. Nie pozwoliła jednak, by myśl o Franku osłabiła jej determinację. Nie poddam się, pomyślała. Znajdę sposób, by się stąd wydostać i odplacić Mistrzowi Gry za to, co zrobił Frankowi.

— No cóż, logiczne byłoby zakopanie sarkofagu na cmentarzu — powiedziała, wrywając deskę z płotu i wbijając ją w błoto. — Pewnie na nim stoimy. Mieszkańcy miasta ukryli go gdzieś tutaj.

— Nie traćcie czasu — powiedział głos.

Używając deski niczym szpadla, Amanda odgarnęła na bok mokrą ziemię.

— Pomóż mi — powiedziała do Raya. Ponownie wbiła deskę w błoto, ale tym razem ją złamała. — Pomóż mi, do diabła.

Ray wyrwał z płotu drugą deskę i nagle jego uwagę przyciągnął ostatni krzyż w rzędzie.

— Dlaczego mi nie pomagasz? — zawołała Amanda.

— Ten krzyż. Cyfry na nim są jakieś inne.

Amanda dopiero po chwili zareagowała na jego słowa. Rzuciła na ziemię złamaną deskę i podeszła do Raya.

— Nie ma tu nazwy miesiąca — pokazał jej. — Są tylko cyfry.

— Ale nie oznaczają wcale miesiąca, dnia i roku.

— Nie. Na jednym krzyżu jest długość geograficzna, na drugim szerokość. To kolejne współrzędne.

Ray wpisał je do swojego GPS-u.

— Zaprowadzą nas do jeziora — odezwała się nagle Viv w ich słuchawkach. Amanda odwróciła się w jej stronę.

Viv przykryła deskami ciało Derricka i patrzyła teraz w ich kierunku.

— Bez względu na to, jak wyglądał ten sarkofag, nie mogli go zakopać z tego samego powodu, z jakiego nie mogli zakopać trumien. Ziemia była zamrznięta. Jakie zostało im inne miejsce? Sarkofag jest w wodzie.

— Ale jezioro przecież też zamrzło — stwierdził Ray.

— Otóż to — odparła Amanda, domyślając się nagle, jak to mogło wyglądać. — Mieszkańcy mogli wejść na łód i wyrąbać w nim przeręb. A potem wrzucili do wody sarkofag.

— Jeżeli zawierał wszystko, co cenili, z pewnością był duży. Czyli to musiał być cholernie duży przeręb — powiedział Ray.

— Może sarkofag był tak wielki, że nie tylko on wpadł do

wody — powiedziała Viv, ruszając w ich stronę. — Może łódź się załamała. Może wszyscy zatonęli.

— Ale na wiosnę ekipa poszukiwawcza szukałaby ich w wodzie, zakładając, że ktoś mógł się utopić — zaprotestował Ray.

— W jaki sposób mieli to zrobić? — zapytała Viv. — Jezioro jest chyba dość głębokie. Nie mieli nurków, bosaków ani łodzi.

— Na wiosnę ciała wypłynęłyby na powierzchnię — odparł Ray i nagle przerwał. — Chyba że...

— Chyba że co? — zapytała Amanda.

— Chyba że to nie był wcale wypadek. — Ray nagle się stropił. — Może to było zbiorowe samobójstwo? Jeżeli ciała były prawidłowo obciążone, nie wypłynęły na powierzchnię po stopnieniu lodu. I nigdy ich się nie odnajdzie, chyba że ktoś spuści wodę z jeziora.

Mieli wrażenie, że wiatr ucichł i w dolinie zapadła grobowa cisza.

— Jezioro. — Ray wbił wzrok w strzałkę na swoim GPS-ie, a potem w miejsce, które wskazywała. — Nowe współrzędne wskazują jezioro.

Amanda pokiwała głową.

— Dlatego są w nim węże — powiedziała, czując, że dostaje gęziej skórki. — Żebyśmy tam nie szukali. Powiedziałeś „chyba że ktoś spuści wodę z jeziora” — dodała, spoglądając na Raya. — Nie widzę, jak można by to zrobić.

— To całkiem możliwe, jeżeli uświadomimy sobie, że to wcale nie jest jezioro — oświadczyła Viv, podchodząc do nich.

— O czym ty mówisz? — zapytał Ray.

Viv spiorunowała go wzrokiem.

— Kiedy to się skończy, zapłacisz za to, co zrobiłeś moje mu mężowi — oznajmiła. — Przysięgam, że się z tobą policzę.

Ray nie spuścił wzroku.

— Proszę bardzo.



— Ale nie zamierzam tu ginąć tylko dlatego, że doprowadziłeś mnie do rozpaczki. W tym momencie najważniejsza jest wygrana.

— Jasne. Później. Najpierw musimy się stąd wydostać. Potem możesz się ze mną policzyć.

Amanda czuła, jak rośnie między nimi napięcie.

— Co miałaś na myśli, mówiąc, że to nie jest jezioro? — zapytała, dając krok do przodu.

— Zauważyliście, jaki ma kształt, kiedy patrzyliście ze wzgórza, tam gdzie stoi kościół?

— Ma wodę. To wszystko, co zauważyłem — powiedział Ray. — Jest prostokątne.

— Nie. Przypomina klin. Jego czubek jest skierowany w stronę gór na zachodzie, tam skąd płynie strumień. Przy tęym końcu są głązy i teren obniża się. Kształt jest symetryczny. Zbyt symetryczny. To nie jest naturalne jezioro. To sztuczny zbiornik.

Ray zastanawiał się nad tym tylko przez chwilę.

— Jezu — zawołał i puścił się biegiem.

## 5

Błoto wyszło na słońcu. Jadąc wąską gruntową drogą, Balenger słyszał, jak pęka jego skorupa. Po obu stronach rosła bylica i wysoka trawa. Przed sobą widział pagórki, za nimi zaśnieżone góry. Nic nie wskazywało, by ktoś tędy ostatnio jechał. Nie widział żadnych budynków. Budziła się w nim nadzieja.

Drogę przecinał strumień. Wysoko zawieszony jeep pokonał go bez trudu; dzięki napędowi na cztery koła udało się wjechać po śliskim zboczu na drugi brzeg. Wyboje nie pozwalały rozwijać większej szybkości niż dwadzieścia mil na godzinę. Balenger miał świadomość, że czas ucieka. U podnóża wzgórz zobaczył wiatrak, przy którym krowy piły wodę z koryta.

Zaraz potem droga się skończyła. Balenger ominął wiatrak i klucząc między krzakami, wypatrywał otwartego terenu. Skały i zapadliny zmuszały go do jazdy zygzakiem. Zredukował szybkość do piętnastu mil. Teren zaczął się wznosić. Omijał kolejne głązy i krzaki. Zbocze stawało się coraz bardziej strome. Kiedy wjechał na jego szczyt, okazało się, że dalej jest przepaść, ruszył więc w bok granią porośniętą osiną. Po jakimś czasie zaczęło się kolejne zbocze, tak skaliste i strome, że dalsza jazda była niemożliwa. Cofnął wtedy jeepa i zatrzymał go między drzewami.

Wysiadł z samochodu, otworzył tylną klapę i wyjął wysokie buty i strój myśliwski, którego barwa zlewała się z terenem. Włożył to na siebie. Ponieważ słońce mocno przypiekało, nasmarował twarz kremem, nałożył ciemne okulary i brązowy kapelusz, po czym napił się wody z jednej z butelek, które kupił w zajeździe. Wsadził składany nóż do kieszeni spodni i załadował amunicję do dwóch magazynków mieszczących po dwadzieścia nabojów. Jeden umieścił w karabinku, drugi wsadził do bocznej kieszeni plecaka. Załadował również magazynek na pięć naboji i schował go do drugiej kieszeni plecaka. Wsadził kompas i paczkę chusteczek jednorazowych do kieszeni koszuli, przypiął manierkę do paska, po czym schował do plecaka pozostałe pudełka z amunicją, butelki z wodą, batoniki energetyzujące, lornetkę z noktowizorem, latarkę, rękawice, pelerynę, apteczkę, taśmę samoprzylepną i mapy. Przypomniał sobie, jak pakował sprzęt przed wyjazdem do Iraku, i było to trafne skojarzenie, ponieważ szedł na pierwszą linię frontu.

Założywszy plecak na ramiona, ocenił, że waży jakieś trzydzieści funtów. Dźwigał w życiu więcej. Odciągnął zamek mini-14 i załadował karabin, po czym zabezpieczył go, zarzucił na ramię i ruszył pod górę. Stąpając po skalistym podłożu i wspinając się po zboczu, nie miał żadnych objawów nerwicy pourazowej — dreszczy, trudności z oddychaniem i spoconych dłoni — które nękały go od tak dawna. Po zniknięciu Amandy obawiał się, że symptomy wrócą i będą go torturować. Jednak determinacja, z jaką starał się ją uratować, nie pozostawiała miejsca na sprzeczne emocje.

Wkrótce dotarł do kolejnego osinowego lasu. Mimo cienia, który dawały drzewa, pot wystąpił mu na czoło i koszula przylepiła się do pleców. Na grani znalazł skalną półkę, wystającą spomiędzy drzew. Zostawił karabin i plecak, zszedł na nią i przyjrzał się leżącej niżej dolinie. Na wprost przed sobą zobaczył lśniące w promieniach porannego słońca, pofalowane jezioro w kształcie trójkąta.

Po jego drugiej stronie w powietrze unosił się dym.

Balenger zastanawiał się, czy to nie jakiś podstęp. Coś, co ma go wciągnąć w pułapkę.

Wyjął z plecaka lornetkę i zasłaniając ją rondem kapelusza, żeby słońce nie odbiło się od soczewek, zbadał uważnie źródło dymu. Małe ognisko paliło się pośród stert czegoś, co wyglądało jak ruiny. Czy to był teren, który widział na stronie internetowej „Łowcy”?

Sięgnął po palmofon, połączył się z Internetem i wszedł na stronę [www.scavengerthegame.com](http://www.scavengerthegame.com). Ku jego zaskoczeniu okazało się, że jest ponownie aktywna. Pojawiła się klepsydra. Na górze było jeszcze mniej piasku, na dole więcej krwi.

Na wyświetlaczu ukazała się fotografia. Przedstawiała wodę. Dużo wody. Prawdopodobnie jezioro widziane z brzegu. Nagle zobaczył zdesperowaną twarz Amandy. Potem fale na jeziorze. Zaskoczony zdał sobie sprawę, że nie spiętrzył ich wiatr. Coś poruszało się pod powierzchnią. Węże. Dobry Boże, pomyślał, w wodzie roi się od węży.

Amanda stała na wale zbudowanym z kamieni. Przelewała się przez niego woda. Balenger stwierdził, że to nie jest jezioro, lecz sztuczny zbiornik. Amanda podnosiła z wału kamienie i odrzucała je na bok. Przez chwilę widział jej ręce pokaleczone przez kamienie. Stojąca obok kobieta, którą oglądał już wcześniej, również odrzucała kamienie. To samo robił ubrany w zielony kombinezon chudy mężczyzna, którego nie rozpoznawał.

Obraz zgaśł. TA STRONA NIE JEST JUŻ DOSTĘPNA, głosił napis.

Facet bawi się ze mną w kotka i myszkę, pomyślał rozwścieczony Balenger. Upewniwszy się, że palmofon jest nastawiony na wibrację, a nie na dzwonicie, schował go do kieszeni i ponownie przyjrzał się jezioru. Było od niego oddalone o kilka mil i nawet przez lornetkę nie widział zbyt wielu szczegółów. Mimo to zobaczył usypany z kamieni wał.

Być może tylko to sobie wyobraził, lecz wydawało mu się, że widzi przy nim małe postaci, wykonujące jakąś pracę. Od-  
rzucały na bok kamienie. Po co? Żeby zrobić wyłom w tamie?

Założył z powrotem kapelusz i schował lornetkę do plecaka. A potem wycofał się między drzewa, włożył plecak i zarzucił karabin na ramię. Po lewej stronie zbocze opadało w dół, tworząc wąskie wejście do doliny. Tędy właśnie powinien nadejść. Nie potrafił jednak uwierzyć, że można w czymkolwiek polegać na Mistrzu Gry.

Pamiętał, że w Iraku też nie mógł być niczego pewien. Każda uliczka mogła się okazać pułapką. Każdy przedmiot przy drodze bombą.

Tak samo jest tutaj, pomyślał. Nic nie jest tym, czym się wydaje.

Stawiając ostrożnie stopy i wypatrując pułapek między drzewami i skałami, zaczął schodzić do doliny.

## 6

Krzywiąc się z bólu, Amanda odrzuciła na bok kolejny kamień. Był wielki niczym piłka futbolowa. Kiedy potoczył się po zboczu, nie bacząc na skaleczenia na rękach, złapała następny. Wydawało się jej, że robi to już od wieków. Razem z Rayem i Viv stali piętnaście stóp poniżej miejsca, skąd spływała woda. Padający poprzedniego dnia deszcz wypełnił zbiornik po brzegi. Wilgotna mgiełka chłodziła jej twarz. Żeby zobaczyć, co jest na dnie zbiornika, musieli zrobić wyłom w tamie i spuścić całą wodę.

— Uważaj! — zawołała Viv, przekrzykując szum wody. — Pamiętaj, że tam są węże.

Amandzie nie trzeba było tego przypominać. Już dwa razy widziała przepływające obok mokasyny, które prąd porwał w dół.

— Ten głaz jest za ciężki — krzyknął Ray. — Pomóż mi go wyrwać.

Amanda powlokła się do niego. Miała ręce śliskie od krwi, ale zacisnęła je z całej siły na kamieniu i pociągnęła. Głaz wysunął się z nasypu i zbijając ich z nóg, potoczył się w dół. Upadając, Amanda uderzyła się w prawą rękę.

— Nic ci się nie stało? — zapytał Ray.

Zdeterminowana Amanda zignorowała ból i sięgnęła po kolejny kamień.

— Widzę ziemię — zawołała nagle Viv.

Amanda podeszła do niej i spojrzała na odsłoniętą glinę.

— Musiałam odrzucić cztery warstwy kamieni, zanim do niej dotarłam — powiedziała Viv.

Amanda przyjrzała się uważnie nasypowi. Pot spływał jej po twarzy.

— Zostało jeszcze mnóstwo pracy — stwierdziła, po czym pochyliła się i zaczęła odrzucać na bok kolejne otoczaki. Z trudnością oddychała. — Musimy wyciągać je z wody — powiedziała, klękając. — Wtedy prąd podmyje inne.

— Tam są węże — szepnęła Viv.

— Nie mamy innego wyjścia — odparła Amanda i przesunęła się bliżej strumienia. Kiedy zanurzyła w nim ręce i złapała kamień, przyskająca woda zmyła brud z jej twarzy. Silny nurt pomógł jej wyrwać kolejny kamień i porwał go w dół. Następny głaz również potoczył się z prądem. Amanda zanurzyła ponownie ręce w wodzie i nagle cofnęła je, ponieważ dostrzegła w niej coś podobnego do czarnej liny.

Przez chwilę nie była w stanie się poruszyć. Miała wrażenie, że wąż wije się w jej wnętrznościach. Kiedy wreszcie sięgnęła po kolejny kamień, prąd był tak silny, że musiała mocno wbić nogi w ziemię. Po chwili kamień wysunął się z nasypu i pomknął z hukiem w dół.

Ray poszedł za jej przykładem, lecz Viv dalej wyciągała kamienie w sporej odległości od wody. Powstrzymywał ją lęk przed węzami.

Kaskada wody zaczęła wymywać ziemię spod skał.

— Dobra nasza! — zawołał Ray.

Podkscytowana Amanda poczuła nagły przypływ energii.

Od lodowatej wody drętwiały jej palce. Złapała kolejny kamień i nagle poczuła, że ktoś chwyta ją i ciągnie do tyłu. Ułamek sekundy później przemknął koło niej następny wąż.

Obejrzała się i zobaczyła za sobą pobladłą Viv, która wpatrywała się w strumień.

— Woda wymywa coraz więcej ziemi! — zawołał Ray, zanim zdążyła jej podziękować.

Z miejsca, z którego wydobyli kamienie, zaczęła się lać woda.

— Gdyby udało się poszerzyć otwór... — powiedział Ray, szarpiąc kolejny głaz.

Amanda pomogła mu. Woda coraz silniej podmywała nasyp. Pozbawione oparcia kamienie same osuwały się w dół.

— Cofnijcie się! — krzyknęła Amanda.

Stary nasyp nie był konserwowany od ponad stu lat. Amanda zdała sobie sprawę, że stoi w miejscu, w którym zaczyna się coś w rodzaju reakcji łańcuchowej. Z nasypu wypadło kilka następnych kamieni. Woda podmywała leżącą pod nimi ziemię, uwalniając kolejne kamienie, spod których strumień wymywał coraz więcej ziemi. Prąd był silniejszy. Szczyt tamy osunął się kilka stóp w dół i otworzył kanał. Coraz więcej wody wymywało coraz więcej ziemi. Widząc, że głazy, na których stoi, mogą zaraz runąć w dół, Amanda odwróciła się i zaczęła biec po nierównym podłożu. Ale zbocze poruszało się, jakby przeciągała się pod nim żywa istota, i Amanda co chwila traciła równowagę. Ray biegł przed nią, Viv z tyłu.

Nagle usłyszała jej krzyk. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że głazy, po których biegła Viv, zsuwają się w dół. Złapała ją za lewą rękę, ale nie mogła utrzymać i sama też zaczęła się zsuwać.

Ray objął ją wpół i próbował wciągnąć obie w bezpieczne miejsce. Zbocze osypywało się, woda zalewała buty Viv, która przekreśliła się nagle na bok. Jej dłoń wyślizgnęła się z palców Amandy, która gwałtownie się cofnęła. Viv wyklóciła się i porwał ją prąd.

— Nie! — krzyknęła Amanda.



Szczyt tamy się załamał i ściana wody runęła w dół. Amanda zobaczyła potężną falę, która porwała Viv. Jej brązowy kombinezon zanurzył się w spienionej toni.

— Musimy ją wyciągnąć!

Amanda pobiegła wzdłuż rwącego potoku. Słyszając za sobą kroki Raya, ujrzała, że Viv wynurza się z wody, łapie powietrze i z powrotem znika w topieli.

— Jej buty! — zawołał Ray. — Nie zdoła w nich płynąć!

Ale Viv nie dawała za wygraną. Wynurzając się ponownie, rozłożyła ramiona i młóciła nogami wodę. Nurt niósł ją w dół.

Amanda i Ray biegli wzdłuż potoku, starając się dotrzymać kroku nurtowi.

— Nie walcz z prądem! — krzyknęła Amanda.

— Pozwól, żeby cię niósł! — dodał Ray. — Złapiemy cię na dole, kiedy zwolni!

Viv nie miała innego wyboru. Prąd był zbyt silny.

Amanda omijała krzaki i głązy, chcąc być przez cały czas blisko niej. Kiedy okrążała skałę, na chwilę straciła z oczu brązowy kombinezon i jęknęła z przerażenia, ale potem zobaczyła go ponownie, więc pobiegła dalej. Viv wystawiała głowę nad wodę i rozpaczliwie łapała powietrze.

Rwący potok podmywał brzegi tego, co jeszcze przed pięcioma minutami było leniwym strumykiem. Fala rozlewała się z szumem i łoskotem po płaskiej, porośniętej trawą hali. Trudno było dostrzec brązowy kombinezon w brudnej od ziemi wodzie.

Amanda widziała, jak głowa Viv wynurza się i znika pod powierzchnią. Kiedy poziom rozlewiska trochę opadł, wbiegła do wody, ale silny prąd o mało jej nie wyrzucił. Ray wciągnął ją z powrotem na twardy grunt.

— Viv! — krzyknęła.

Woda rozlewała się coraz szerzej. Viv starała się utrzymać głowę na powierzchni, a nurt niósł ją dalej. Uderzyła o jakiś

przedmiot — Amanda zdała sobie sprawę, że to głaz — i zła-  
pała się go.

— Dobrze! — zawołała Amanda. — Trzymaj się!

Nurt był coraz wolniejszy. Głębokość rozlewiska nie prze-  
kraczała jednej stopy. Potem sześciu cali. Viv puściła nagle  
głaz i osunęła się do wody.

— Nie opuszczaj głowy! — krzyknęła Amanda, ruszając  
w jej stronę. Nurt był nadal silny i musiała się trzymać Raya,  
żeby nie upaść. W końcu woda opadła na wysokość trzech  
cali i Amanda pobiegła szybciej. Gdy spojrzała w górę,  
zobaczyła olbrzymią wyrwę w nasypie i sączący się przez nią  
strumyk. Przyspieszyła kroku i obiegała głaz.

Viv leżała na plecach, jej twarz wystawała z płytkiej wody.  
Amanda pochylała się nad nią. Nagle poczuła, że Ray ciągnie  
ją z powrotem.

— Puszczaj! Musimy jej pomóc!

— Nie możemy! Ona nie żyje!

— Gówno prawda. Widzę, że oddycha! Zabieraj te cho-  
lerne ręce!

Nagle zrozumiała, dlaczego piersi Viv się poruszają, i słowa  
uwięzły jej w gardle. Podczas wyciągania kamieni z nasypu  
Viv rozsunała zamek błyskawiczny kombinezonu, żeby łatwiej  
móc oddychać. Teraz wypełził z niego czarny wąż i przesunął  
się po jej barku. Ogon drugiego wystawał z lewej nogawki  
spodni i można było odnieść wrażenie, że Viv porusza nogą.  
Trzeci wił się w prawym rękawie.

— Prąd zerwał jej z nóg buty i wcisnął węże pod kom-  
binezon — stwierdził Ray.

Amanda zobaczyła, że wszędzie dookoła wiją się węże, co-  
raz lepiej widoczne w płytkiej wodzie.

— Musimy stąd uciekać — powiedział Ray, odciągając ją.

— Ale... Viv... Może zdołamy jej jakoś pomóc.

Nie. Popatrz na jej twarz.

Amanda zrobiła to. Viv miała wybałuszone oczy. Mimo blasku słońca nie zmrużyła ich.

— Chodźmy. Te węże są chyba nieźle wkurzone — ponaglał ją Ray.

Jeden z nich zasyczał na nich.

Ray znowu ją pociągnął, ale Amanda oparła się, ponieważ dostrzegła przedmiot wystający z kieszeni Viv.

— Co ty wyprawiasz? — wrzasnął Ray.

Amanda pochyliła się i złapała gumową rękawicę.

— Nie wiem, do czego nam się może przydać, ale na wszelki wypadek ją wezmę.

Rękawica nie chciała wyjść z kieszeni i Amanda musiała pociągnąć ją mocniej. Ciało Viv poruszyło się, kiedy to zrobiła. Z kombinezonu wypętlł kolejny wąż.

— Szybciej — powiedział Ray i tym razem nie stawiała oporu, kiedy ją pociągnął. Wycofując się, wpatrywała się w Viv aż do chwili, gdy głaz zasłonił jej wybałuszone oczy.

Syczało teraz na nich coraz więcej węży.

Amanda i Ray stąpali powoli, starając się ominąć. Woda wsiąkała w grunt, ale węży było tyle, że wydawała się falować.

— To wodne węże. Zdechną tutaj — powiedział Ray.

— To dobrze — mruknęła Amanda.

Weszli na wyższy teren. Kilka węży odpętlło dalej, ale większość została tam, gdzie ziemia była mokra.

— Pamiętasz, co powiedziała Viv, widząc, jak psy okaleczyły ciało Derricka? — zapytała.

Ray pokiwał głową.

— Powiedziała, że ma tego dosyć.

— Właśnie — Amanda zerknęła na niebo, skąd, jak sądziła, obserwował ich Mistrz Gry. Zakręciło się jej w głowie z głodu i zmęczenia. Osunęła się na ziemię. — Mam tego dosyć.

— Nikt nie opuszcza gry — odezwał się głos w jej słuchawkach.

— Kto mówi coś o opuszczaniu? Po prostu nie gram już dalej.

— To błąd. Nie robienie niczego to też forma gry — oświadczył głos. — To decyzja, żeby nie wygrać. Frankowi by się to nie spodobało.

— Frankowi? Daj mu spokój, do cholery. Co mu zrobisz? W jaki podły sposób pozbawiłeś go życia?

— Dać mu spokój? Nie mam takiego zamiaru. Prawdę mówiąc, nie mogę. Właśnie wchodzi do gry.

# 7

Balenger schodził po stromym zboczach i przy każdym kroku czuł, jak napinają się mięśnie nóg. Poślizgnął się raz na mokrych osinowych liściach, ale złapał się pnia, odzyskał równowagę i szedł dalej. Tam, gdzie nie dochodziło słońce, leżał śnieg, domyślił się więc, że podczas nocnej burzy w górach padał nie tylko deszcz. To wyjaśniało obecność śniegu na zdjęciach, które pokazał mu Mistrz Gry. Nie wątpił teraz, że znajduje się we właściwym miejscu.

Po prawej stronie pagórki przechodziły w wysokie góry. Miłą po lewej leżało płaskie wejście do doliny. Znając upodobanie Mistrza Gry do urządzeń monitorujących, spodziewał się ukrytych kamer i być może detektorów ruchu, jednak gdy usłyszał nagły tętent kopyt i zobaczył między drzewami uciekające przed nim cztery jelenie, uznał, że detektory byłyby niepraktyczne. Zwierzęta bez przerwy uruchamiałyby alarm. W tych okolicznościach bardziej niezawodne mogły się okazać kamery. Jednak w tym miejscu Mistrz Gry raczej by ich nie umieścił, ponieważ osinowe pnie poważnie ograniczały widok. Lepiej było rozlokować je na otwartym terenie, gdzie zaledwie kilka umożliwiłoby kontrolowanie dużego obszaru.

Schodząc, Balenger przez cały czas skręcał w prawo, żeby

maksymalnie oddalić się od wejścia do doliny. Dotarł do końca zbocza i ukryty między drzewami, wyjął kompas i mapę terenową. Widoczny po prawej stronie szczyt pomógł mu zorientować mapę. Oceniał, że po pokonaniu kolejnej mili powinien się znaleźć na wysokości ogniska, które widział wcześniej.

Napił się trochę wody, zjadł kawałek batonika i ruszył dalej. Badając wzrokiem grunt, pamiętał, że powinien się zachowywać jak w Iraku, gdzie w każdej chwili mógł trafić na bombę lub pułapkę. Najbardziej prawdopodobny był rozciągnięty tuż nad ziemią drut. Jeżeli pod ziemią znajdowały się miny z czujnikami dotykowymi, z pewnością starannie je zakamuflowano. Tego rodzaju urządzenia były jednak narażone na zdetonowanie przez zwierzęta, uznał zatem, że bardziej prawdopodobne jest odpalenie materiałów wybuchowych przez sygnał radiowy po optycznym potwierdzeniu celu — podobnie jak to wyglądało w wypadku przydrożnych bomb w Iraku. Chociaż był przekonany, że kamery są skierowane na otwarty teren, a nie w stronę drzew, na wszelki wypadek unikał zwierzęcych ścieżek i polan.

Nagle usłyszał hałas i zatrzymał się w miejscu. Dźwięk przypominał dobiegający z oddali łoskot gromu. Trwał dłuższą chwilę, a potem ucichł. Czy to wybuch? Nie, niemożliwe. Słyszał go zbyt długo. Przyszło mu do głowy, że Amandzie i jej dwojgu towarzyszy udało się przerwać tamę. Być może tym, co słyszał, był huk spadającej wody. Lęk o Amandę kazał mu przyspieszyć kroku, ale wiedział, że niewiele jej pomoże, jeżeli będzie nieostrożny.

Ze zdwojoną czujnością skradał się dalej między drzewami. Ostatecznie na podstawie mapy i kompasu ocenił, że znajduje się na wysokości ogniska. Wtedy skręcił w lewo, na południe i zbliżył się do skraju lasu. Kiedy drzewa się przerzedziły, zobaczył rozległą dolinę i otaczające ją góry. Nie było widać dymu. Ognisko zgasło.

Zastanawiał się, czy nie powinien posuwać się dalej pod osłoną lasu.

Ostatecznie jednak przeważała świadomość, że nie ma zbyt wiele czasu. Dochodziła pierwsza. Do końca gry o północy zostało jedenaście godzin. Zdjął z ramienia karabin i trzymając go w gotowości, wyrzął spomiędzy drzew. Nie zobaczył nic podejrzanego.

Wyszedł ostrożnie na otwarty teren. Po względnie bezpiecznej wędrówce przez las rozległa przestrzeń wytrącała go z równowagi.

W kieszeni jego spodni zawibrował palmofon. Mimo grzejącego mocno słońca poczuł zimny dreszcz. Palmofon ponownie zawibrował.

Trzymając karabin w lewej ręce, prawą wyjął telefon. Kiedy zawibrował po raz trzeci, wcisnął zielony przycisk.

— Witaj w „Łowcy” — powiedział głos.

Balenger omiół wzrokiem rozciągającą się przed nim przestrzeń. Krzaki bylicy, kilka sosen, głązy. Mimo padającego niedawno deszczu grunt sprawiał wrażenie wyschniętego.

— Kupiłem tę dolinę, kiedy dowiedziałem się o Sarkofagu Ziemijskich Namietności — oznajmił Mistrz Gry.

— Miło jest móc kupować wszystko, na co się ma ochotę — odparł Balenger, uważnie przypatrując się drzewom po lewej stronie, zwłaszcza wyższym gałęziom.

— Przemierzyłem dolinę wzdłuż i wszerz i poznałem ją jak starego przyjaciela.

— Masz jakichś przyjaciół? — zdziwił się Balenger, lustując gałęzie drzew po prawej stronie.

— Sprawdziłem wykrywaczem metalu cały cmentarz, ponieważ podejrzewałem, że tam właśnie zakopano sarkofag. Ale wykrywacz odkrył tylko biżuterię, z którą pochowano niektórych mieszkańców.

— Odkopałeś ich, żeby to sprawdzić?

— Przeszukałem całe miasto. Strasznie żmudna robota. Jak można się było spodziewać, wykrywacz reagował na wszystkie metalowe przedmioty, od gwoździ i zawiasów po zardzewiałe noże i widelce. Ani razu jednak sygnał nie był wystarczająco mocny, by mógł sugerować, że sarkofag zakopano gdzieś pod Avalonem.

— Twoim zdaniem jest bardzo duży? — Przyciskając telefon do ucha i mrużąc oczy, mimo że miał na nosie ciemne okulary, Balenger nadal przyglądał się drzewom. — A może jest malutki, mieści tylko Biblię i kilka spisanych odręcznie modlitw.

— Nie — odparł Mistrz Gry. — Jest wielki. Następnie wynająłem samolot i wyposażylem go w kamerę termowizyjną, która rejestruje różnice temperatury terenu. Ziemia wchłania ciepło. Skąła je odbija. Cienka warstwa ziemi na skale daje inny kolor niż gruba warstwa albo ziemia, w której jest metal. Oglądając robione przez kamerę termowizyjną fotografie, ma się wrażenie, że ciepłe miejsca się żarzą. Nowocześni eksploratorzy używają tego sprzętu, żeby szukać ruin ukrytych w dżungli albo pod piaskiem pustyni. Kamienne ruiny dają inny obraz niż pozbawiona ich dżungla lub pustynia.

— To dla ciebie dobre miejsce — mruknął Balenger. — Ruiny.

Dostrzegł w końcu to, czego szukał, i kiwnął z satysfakcją głową.

— Kamera zrobiła tysiące fotografii. Zarejestrowała temperaturę wszystkich części doliny. Robienie zdjęć trwało kilka dni. Ich analizowanie kilka tygodni. Parę odbiegających od normy obrazów wzbudziło moją nadzieję, ale prowadzone w tych miejscach wykopaliska niczego nie wykazały.

— Więc może sarkofag to mit. Może nigdy nie istniał. Jeżeli nie można go znaleźć, gra ma kolejną wadę. Przerwij ją.

— Sarkofag istnieje. Zajrzałem ponownie do oryginalnych dokumentów. Studiowałem je wiele razy i w końcu zrozumia-



łem, że wskazówki były tam od samego początku. Nie umiałem ich po prostu znaleźć.

— Wskazówki? — zapytał Balenger, czując, że poci się pod przyciśniętą do ucha komórką.

— Byłem uczciwy wobec graczy. Powiedziałem im wszystko, co powinni wiedzieć. Ale czasami to, co ważne, nie jest oczywiste.

— Znalazłeś sarkofag?

— W rzeczy samej.

— Jest tutaj, w tej dolinie?

— Naturalnie.

— Gdzie?

— To byłoby zbyt łatwe. To ty masz go znaleźć. Jeżeli ci się uda, wygrasz.

— I Amanda zostanie uwolniona?

— Pod warunkiem, że pokona pozostałe czekające ją przeszkody.

— Dlaczego miałbym ci wierzyć?

— Nie tworzę nieuczciwych gier.

— W takim razie nie mam czasu na pogawędkę.

Balenger przerwał połączenie i schował palmofon do kieszeni spodni. Trzymając karabin w lewej ręce, wyjął z kieszeni koszuli paczkę z chusteczkami, rozdarł jedną, połówki zwinął w kulki i wcisnął je do uszu. Następnie podniósł karabin, spojrzął przez holograficzny celownik i ustawił czerwoną kropkę na kamerze, którą zobaczył wcześniej na drzewie. Ostatni raz strzelał z karabinu w Iraku przed półtora rokiem. Umiejętności strzeleckich nie nabywa się raz na zawsze. Celność zależy od praktyki. Mając nadzieję, że holograficzny celownik nadrobi brak wprawy, wstrzymał oddech i nacisnął spust.

Od huków wystrzału zadzwoniło mu w uszach, mimo że je zatkał. Karabin odbił do tyłu, z komory wypadła łuska. Balenger spojrzął na oddaloną o pięćdziesiąt jardów, zamontowaną

na wysokości dwudziestu stóp kamerę. Dostrzegł pod nią ciemną dziurę w korze, domyślił się więc, że pociągnął zbyt mocno za spust i lufa przesunęła się w dół.

Wycelował ponownie. Ustawił czerwoną kropkę na kamerze, po czym starał się delikatnie nacisnąć, nie pociągając. Bang. Przyjąwszy na bark siłę odrzutu, opuścił lufę i zobaczył spadające na ziemię kawałki kamery. Jej szczątki zwisały na kablu.

Pięćdziesiąt jardów dalej zobaczył zamontowaną na gałęzi następną kamerę. Dolina była nimi naszpikowana. Tyle kamer, tyle podłączonych do nich monitorów. Nie sposób było ich wszystkich śledzić. Domyślał się, że jakiś czujnik ruchu włączał poszczególne monitory, kiedy pojawiał się na nich podobny do człowieka obiekt. Dzięki temu Mistrz Gry nie tracił czasu na obserwację nieistotnych szczegółów.

Oto kolejny obraz, który nie będzie zaprzętał twojej uwagi, pomyślał Balenger i podniósł karabin. Ustawił czerwoną kropkę na kamerze, nacisnął spust i rozbił sprzęt na kawałki. Zadowolony z siebie, poczuł wibrację palmofonu w kieszeni, ale zlekceważył to.

Mimo niedawnego deszczu trawa chrzęściła sucho pod jego stopami. Przed sobą zobaczył ukryty częściowo za głazem słupek z zamontowaną kamerą. Podeszedł bliżej, podniósł z ziemi kamień i rozbił ją w drobny mak. Nie zrobił tego, żeby oszczędzać amunicję, chociaż nie było to bez znaczenia. Zgodnie z zasadami, które wpojono mu podczas szkolenia, nie chciał po prostu strzelać do obiektu, który nie był niczym zasłonięty. Gdyby nie trafił w kamerę, nie wiadomo, dokąd mógłby dolecieć pocisk i kogo zranić. Na przykład Amandę.

Idąc dalej, lustrował wzrokiem otaczający teren. Niezmierzony przestwór nieba przypominał mu Irak; miał wrażenie, że wisi do góry nogami i zaraz odpadnie od ziemi. Amando, Pomyślał. Amando, powtarzał raz po raz. Amando, krzyczał w duchu, czując, że czerpie siły z tej mantry.

Spostrzegł kolejną kamerę, tym razem skrytą w krzakach, i roztrzaskał ją kamieniem.

Palmofon ponownie zawibrował. Jego uwagę przykuło jednak co innego — biegnący w poprzek drogi parów. Był szeroki i głęboki. Dnem, które stanowiło naturalne koryto strumienia, płynęła woda z wczorajszego deszczu. Żeby iść dalej do przodu, musiał zejść na dół i wdrapać się na drugi brzeg.

Miał przed sobą nie dającą się ominąć przeszkodę.

**POZIOM ÓSMY**

**SKARBIEC**

**SĄDNEGO DNIA**

# 1

Amanda leżała na ziemi, wpatrując się w głaz, za którym zostawili Viv. Nadal usiłowała sobie przyswoić to, co Mistrz Gry powiedział o Franku. „Wchodzi do gry”. A więc Frank żyje?

— Chodźmy — ponaglał ją Ray.

Spojrzała na niego wyczerpana.

— Szkoda czasu. Musimy zobaczyć, co jest w zbiorniku — powiedział.

Amanda przyjrzała się wielkiej wyrwie w nasypie i ziejącej wyżej pustce. Z góry ciekło coraz mniej wody. Frank wchodzi do gry? Frank żyje?

— Nie mogę dłużej czekać — zawołał Ray.

Amanda popatrzyła na niego obojętnie.

— To twoja ostatnia szansa — powiedział i ruszył w stronę nasypu.

Dwa dźwięki zwróciły jej uwagę. Jednym z nich był chlupot, z jakim węże wiły się w płytkiej wodzie, drugim strzał z broni palnej. Jego echo przetoczyło się po całej dolinie, ale odniosła wrażenie, że dźwięk dobiegł z terenu za rozlewiskiem, od Strony gór na północy. Chwilę później rozległ się drugi strzał. Tak, dobiegł z północy.

Amanda dźwignęła się z trudem i nadstawiła uszu. Za

moment padł trzeci strzał. Czy to ty Frank? — pytała w myślach. Wchodzisz do gry? Przez chwilę czekała w napięciu, ale nie usłyszała czwartego strzału. Co się stało? Do czego strzelasz, Frank?

Spojrzała na Raya, który stał blisko wyrwy w nasypie i wpatrywał się w góry na północy. Kiedy zapadła cisza, jego rysy stwardniały i zaczął się ponownie wspinać w kierunku opróżnionego z wody zbiornika.

Amanda ruszyła za nim. Nogi bolały ją od pracy w kukki, ale instynkt podpowiadał, że jeżeli Frank ma się tu pojawić, musi zrobić wszystko, żeby mu pomóc. Nie mogła stanąć w szranki z Mistrzem Gry, ale powinna odwrócić jego uwagę od Franka, zmusić go, by obserwował jej postępy w grze.

Spocona dotarła do zbocza i zaczęła się zygzakiem wspinać, oszczędzając siły tak, jak nauczyła ją tego Viv. Na myśl o tym, że jej towarzyszka nie żyje, zabrakło jej tchu. Nie zatrzymuj się, powtarzała w duchu. Osiągnij to, czego chciała Viv. Wyrównaj rachunki.

Tuż przed szczytem nasypu znalazła butelki, które ona, Ray i Viv napełnili topniejącym śniegiem. Harując przy tamie, wypili prawie całą wodę. Tylko w jednej butelce zostało parę łyków cieplej cieczy. Amanda opróżniła ją i ruszyła dalej.

Na górze zobaczyła Raya, który wpatrywał się w błotniste dno zbiornika. W ciągu dziesięcioleci osiadło w nim wiele przedmiotów. Chociaż woda popłynęła w dół z wielką siłą, kilka z nich nadal tkwiło w szlamie. Spróchniałe pnie drzew. Szczątki odkrytego powozu. Szkielet krowy z widocznymi rogami. Coś, co mogło być łodzią wiosłową.

Wypełniony błotem zbiornik miał teraz sto jardów długości, dziesięć jardów szerokości w węższym końcu i czterdzieści przy nasypie, obok którego stała Amanda. Ryby chlupotały w kałużach. Nieliczne węże pełzły w stronę wyrwy w nasypie.

— Nie widzę żadnych ludzkich kości — powiedział Ray.

— Mogą leżeć pod spodem.

— Ale ten krowi szkielet wystaje z błota. Nic nie świadczy o tym, by leżeli tu zaginieni mieszkańcy. — Ray dokładnie lustrował wzrokiem pusty zbiornik. — Nie widzę również niczego, co wyglądałoby jak pojemnik, jeżeli w ogóle go szukamy.

— To, czego szukamy, może być gdziekolwiek — powiedziała, spoglądając w stronę gór na północy w nadziei, że usłyszy kolejny strzał.

Zastanawiała się, czy Frank jest już gdzieś blisko. Nagle zdała sobie sprawę, że popełnia błąd, wpatrując się w tamtą stronę. Nie chciała, by Mistrz Gry o nim myślał. Powinien skoncentrować się na tym, co robi ona i Ray. Musimy przykuć jego uwagę, pomyślała.

Ray wyciągnął z kieszeni swój GPS. Czerwona strzałka wskazywała najgłębszą część zbiornika.

— Idź wzdłuż brzegu — powiedział do Amandy. — Patrz, gdzie wskazuje twoja strzałka.

Amanda przeszła trzydzieści stóp, zatrzymała się i spojrzała na ekranik GPS-u. Strzałka wskazywała miejsce za krowimi rogami. Coś wystawało tam na kilka cali z błota.

— Co to jest? — zapytał Ray.

— Nie wiem. Wygląda na metal — odparła. — Krawędź jakiejś skrzyni.

Przedmiot, czymkolwiek był, miał około czterech stóp długości i trzy stopy szerokości.

— Marność tego świata — mruknął Ray. — To właśnie ma zawierać sarkofag. Ale w tym dużo się ich nie zmieści.

— Wydaje mi się, że coś takiego już widziałam, lecz nie mogę sobie przypomnieć gdzie — stwierdziła.

Stawiając ostrożnie stopy, zaczęła schodzić na dno zbiornika. Grunt, choć gąbczasty, wydawał się pewny. Po kilku krokach zaczął się lekko zapadać. Po kilku następnych błoto zalało czubki jej butów.

— Nie wiem, jak daleko zdołam dojść — powiedziała.

Do wystającego z błota przedmiotu zostało jej może trzydzieści stóp. Widząc przed sobą pełznącego węża, zaczęła, aż oddali się na bezpieczną odległość, i dopiero wtedy dała kolejny krok. Prawa noga wpadła w błoto i zanurzała się coraz głębiej. Z bijącym szybko sercem patrzyła, jak grzęźnie. Spanikowana, straciła równowagę. Chcąc ją odzyskać, postawiła lewą stopę, ale błoto wessało prawą nogę do połowy kolana. Bała się, że zaraz upadnie na twarz. Łapiąc kurczowo powietrze, obróciła się i upadła na lewy łokieć. Błoto rozprysło się na boki. Wąż odwrócił się i zasyczał. Próbowwała odpełznąć bokiem, lecz ręce aż po łokcie wpadły w błoto i nie mogła ich wyciągnąć. Masa ciała nie pozwalała jej zatonać, ale nie potrafiła się stamtąd wydostać. Błoto cuchnęło śmiercią i rozkładem.

Bezradnie spojrzała na Raya, który stał na brzegu zbiornika. Wyraz jego pociągłej, pokrytej zarostem twarzy świadczył o tym, że nie zamierza ruszyć palcem, żeby jej pomóc. Zdała sobie sprawę, że starając się wcześniej ściągnąć ją i Viv z walącego się nasypu, wyczerpał swój limit bohaterskich czynów. Patrzył na nią przepraszająco i bawił się nerwowo wieczkiem zapalniczki.

Przekręcona pod nienaturalnym kątem noga bardzo ją bolała, bała się, że skrzyła kostkę lub naderwała ścięgno. Miała wrażenie, że ktoś ściska w imadle jej płuca. Zdesperowana próbowała podeprzeć się barkiem i wyzwolić prawą rękę, ale błoto stawiało opór niczym żywa istota. Pociągnęła mocniej i poczuła przyływ adrenaliny, gdy udało jej się wyrwać rękę. Wzięła kilka głębokich oddechów i nagle uświadomiła sobie, że wpatruje się w krowi szkielet. Rozumiała, dlaczego zwierzę nie zdołało się wydostać z wody. Rogi miało zwrócone na wprost. Wyciągnęła jak najdalej rękę i musnęła opuszkami palców jeden z nich. Krzywiąc się z bólu, spróbowała ponownie i tym razem zdołała zacisnąć na nim palce. Potrzebowała czegoś, by podciągnąć się do przodu, niestety czaszka oderwała się nagle od reszty szkieletu.



Z jękiem przyciągnęła ją do siebie. Skierowane do przodu rogi nasunęły jej pewien pomysł. Odwróciła czaszkę o sto osiemdziesiąt stopni i stękając z wysiłku, wsunęła rogi w błoto. Poczowała, że wbijają się w coś twardego. Oparła prawą dłoń o czaszkę i uniosła łokieć. Błoto mlasnęło, gdy wysunęła z niego lewą rękę. Położyła ją natychmiast na czaszce, pod parła się oburącz i usiadła.

Ból w kolanie zelżał. Zaczęła odgarniać błoto spod prawej nogi. Duża część spływała z powrotem, ale ona odgarniała je pracowicie dalej, próbując jednocześnie wyszarpnąć but. Stopniowo stawało się to coraz łatwiejsze. Za którymś razem zdołała go wydobyć. Wiedziała jednak, że kiedy tylko spróbuje stanąć, zapadnie się ponownie. Obróciła się, złapała za czaszkę i podciągnęła się do przodu, po czym wydobyła ją z błota, wbiła bliżej skraju zbiornika, podciągnęła się ponownie i w końcu stanęła na gąbczastym gruncie.

Ray nadal ją obserwował.

— Nic by nie dało, gdybyśmy oboje wpadli w pułapkę — powiedział.

— Jasne — odparła, łapiąc z trudem oddech.

— Gdybym mógł ci pomóc, zrobiłbym to. Ale jestem cięższy. Zapadłbym się jeszcze głębiej niż ty.

— Oczywiście.

Z Amandy ściekało błoto.

— Chciałem po prostu, żebyś zrozumiała.

— Rozumiem.

— Choć w gruncie rzeczy nie ma to większego znaczenia.

I tak mamy przechlapane. Nie zdołamy dotrzeć do tego przedmiotu i nie dowiemy się niczego o sarkofagu.

— I tu się mylisz — odparła Amanda, mając nadzieję, że to stwierdzenie, podobnie jak jej perypetie w błocie, odciągnie uwagę Mistrza Gry od Franka. — Wiem, w jaki sposób uda się nam do niego dotrzeć.

## 2

Balenger wpatrywał się w parów. Jego dnem płynął strumień. Miał pięć stóp głębokości i dziesięć szerokości. Za dużo, by udało się go przeskoczyć.

Gdy się rozejrzył, zauważył, że parów przecina całą dolinę. Próba obejścia go trwałaby zbyt długo. Instykt jednak ostrzegł przed zejściem w dół.

Może nic mi nie grozi, pomyślał.

Nie mógł jednak ryzykować. Przypuśćmy, że to pułapka. Co w niej jest? Materiały wybuchowe? Nie odpalały ich czujniki dotykowe. Wybuch spowodowałoby pierwsze podchodzące do wodopoję zwierzę. Mistrz Gry mógł co najwyżej zdetonować miny elektronicznie, widząc na monitorze, że intruz znalazł się w korycie strumienia.

Kolejny powód, żeby niszczyć kamery.

Boleśnie świadom tego, że mijają cenne sekundy, Balenger uznał w końcu, że umieszczenie min w parowie nie miałoby sensu. Trzeba by w tym celu użyć dużej ilości materiałów wybuchowych, a przecież niełatwo je zdobyć. Po jedenastym wrześniu istniało zbyt duże ryzyko, że któraś ze służb bezpieczeństwa trafi na ślad zamówień, a ostrożność, którą przejawiał Mistrz Gry w kwestii dostępu do sieci komórkowych,

wskazywała, że nie chce się niepotrzebnie narażać i pragnie zachować prywatny charakter gry.

Więc skoro nie miny, co groziło mu tam na dole?

Słowa „zdetonować elektronicznie” zrodziły w jego głowie kolejne podejrzenie. Spojrzał w stronę oddalonych o pół mili zalesionych wzgórz. Może wróci tam i przyciągnie do parowu jakiś złamany konar? Nie był to najlepszy pomysł. Nawet gdyby zdołał to zrobić, za bardzo by się zmęczył i zajęłoby to za dużo czasu. Miał wrażenie, że do północy zostało zaledwie kilka minut.

Rozejrzał się dookoła i zauważył mnóstwo leżących na ziemi kamieni. Założył karabin na ramię i rzucił jeden do parowu. A potem zrobił to ponownie i zaczął budować z kamieni przejście nad strumieniem. Musiał pracować szybko, ponieważ stworzyły coś w rodzaju tamy i woda przelewała się górą. Nie mógł zanurzyć w niej buta, ponieważ nabierał coraz większej pewności, że pod korytem strumienia biegnie kabel elektryczny. Mistrz Gry nie włączył prądu na stałe, dzięki czemu nie porażał on podchodzących do wodopoju zwierząt i ich martwe ciała nie mogły ostrzec intruzów. Ale kiedy na monitorach pojawił się wchodzący do doliny Balenger, z całą pewnością prąd został włączony.

Balenger uwijał się jak w ukropie, wrzucając kolejne kamienie do strumienia, jednak woda stale przelewała się przez tamę. Zdał sobie sprawę, że nic w ten sposób nie zdziała.

Gdy znalazł o wiele większy kamień, zaczął toczyć go w stronę parowu. Pot kapał mu z podbródka. Nienawykły do dużych wysokości, czuł, że brakuje mu tchu. Popędzając się w duchu, dotarł do skraju parowu, pchnął głaz w dół i zdyszany patrzył, jak się stacza i zatrzymuje w płytkiej wodzie poniżej tamy, którą zbudował.

Niestety, głaz był teraz cały mokry. Jeżeli Balenger nie mylił się w kwestii prądu, nie wolno mu było na niego stąpnąć. Musiał zaczekać, aż wyschnie. Słońce prażyło. Zauważył, że

brzegi strumienia zdążyły wyschnąć po nocnym deszczu. Zsunął się po zboczu, przywarł do niego całym ciałem, żeby nie stracić równowagi i nie wpaść do wody. Kamień zaczął obsychać. Woda miała zwodniczo przyjemny zapach.

Czekał. Żeby się czymś zająć, przyjrzał się ścianom parowu. W odległości pięćdziesięciu jardów spostrzegł skrzynkę schowaną pod ziemnym nawisem, by nie można jej było zobaczyć z góry. W środku była kamera. Inne umieszczono zapewne w regularnych odstępach wzdłuż całego strumienia.

Balenger poprawił chusteczki w uszach, zdjął z ramienia karabin i wycelowwał tak, aby czerwona kropka znalazła się na skrzynce. Pamiętając, żeby wcisnąć, a nie pociągnąć za cyngiel, strzelił i usłyszał stłumiony huk. Kamera została rozbita w drobny mak.

Chwilę później zawibrował palmofon w kieszeni jego spodni. W powietrzu rozszedł się zapach spalonego prochu. Balenger nie zadał sobie trudu, żeby odebrać telefon.

Brzegi głązu zdążyły już wyschnąć. Nie miało znaczenia, że zostało na nim trochę wody: prąd nie mógł popłynąć po suchych krawędziach. Balenger zarzucił karabin na ramię, dał długi krok i postawił prawą stopę na głązie, który lekko się pod nim zachybotał. Złapał gwałtownie powietrze, podniósł lewą stopę i postawił ją na brzegu po drugiej stronie. Gdy unosił prawą stopę, głąz znowu się poruszył. Balenger wyciągnął rozpaczliwie ręce do przodu i wylądował na brzegu. Ciężar plecaka dodał mu impetu, lecz chwilę później zaczął się zsuwać i musiał wbić palce w ziemię, żeby nie wpaść do wody.

Ostrożnie dźwignął się i podciągnął do góry. Kiedy wystawił głowę nad parów, kłapnęły nad nim psie zęby i prysnęła na twarz ślina. Przerazony, zsunął się z powrotem.

Pies skoczył na niego. Balenger przewrócił się na bok. Zwierzę uderzyło go pyskiem w prawe kolano i nie wpadając do wody, wylądowało na brzegu.

Leżąc na grzbiecie z krępującym ruchy plecakiem, Balenger kopnął psa w nos. Nie miał czasu zsunąć z ramienia karabinu. Zresztą nawet gdyby to zrobił, był zbyt blisko, by wycelować. Kopnął ponownie psa, co jeszcze bardziej rozwścieczyło zwierzaka, po czym sięgnął po nóż do prawej kieszeni spodni, zwolnił kciukiem ostrze i podniósł się, żeby mieć większą swobodę ruchu.

Natychmiast usłyszał nad sobą warczenie drugiego psa, który wystawił pysk nad krawędzią parowu i próbował go ugryźć. W tym samym momencie pierwszy pies skoczył na niego, celując w krocze. Balenger ciął go nad nosem. Krwawiąc z pyska, pies cofnął się, wpadł do strumienia i zawył porażony prądem. Udało mu się wyskoczyć z wody, lecz wstrząs elektryczny pozbawił go sił. Wpadł ponownie do strumienia i zaczął się miotać w konwulsjach. Jego wycie przeszło w stękanie. Po chwili znieruchomiał i ucichł.

Drugi pies także przestał warczeć, zaskoczony tym, co się stało. Balenger odwrócił się i ciachnął go pod szczęką. Pies zaskomlał, odskoczył i zniknął z pola widzenia.

Balenger nie miał czasu złapać tchu. Zerwał się na nogi i pobiegł parowem w kierunku przeciwnym do tego, który obrał pies na górze. Poczul ostry ból w lewym kolanie, spojrzął w dół i zobaczył krew. Ten cholerny pies go ugryzł. Mój Boże, chyba nie był wściekły?

Po chwili dotarł do miejsca, gdzie łatwiej było się wdrapać na górę. Podciągnął się i ponownie cofnął ręce przed wyszczerzonymi kłami. Nad krawędzią parowu pojawiły się dwa psy. Warczały i toczyły pianę. Jeden miał skałeczony pysk. Drugi, większy, był podobny do owczarka alzackiego, ale z cechami wilka.

Balenger puścił nóż, zdjął z ramienia karabin i sprawdził szybko, czy ziemia nie zatkała lufy. Kiedy wycelował, dwa psy zniknęły nagle z pola widzenia. Spocony, czekał z gotową

do strzału bronią, aż pokażą się ponownie. Mimo zatkanych chusteczkami uszu słyszał, jak warczą za krawędzią parowu.

Po chwili ruszył dalej wzdłuż strumienia, mając nadzieję, że znajdzie je z boku. Warczenie świadczyło o tym, że idą w ślad za nim. Przez cały czas miał świadomość, że w każdej chwili może wdepnąć w wodę.

Chcąc je przepłoszyć, strzelił w powietrze. Na chwilę zapadła cisza, ale potem znowu odezwało się warczenie.

Psy były duże, lecz chude. Balenger domyślał się, że to głód skłania je do tak zaciekłych ataków. Ściągnął z ramion plecak, wyjął dwa batoniki i cisnął je nad ścianą parowu. Gdy usłyszał, że psy odbiegają, ruszył szybko w prawą stronę. Po drodze podniósł nóż, schował go do kieszeni i biegnąc, minął leżące w strumieniu martwe zwierzę.

W miejscu, gdzie zbocze wydawało się łagodniejsze, podciągnął się i czekał, czy na palcach nie zacisną się mu kły. Kiedy nic takiego się nie stało, wystawił na zewnątrz głowę. Nie dostrzegł żadnego zagrożenia, więc wdrapał się na górę. Dwa psy były teraz daleko. Szczercząc zęby, walczyły o dwa batoniki. Większy złapał jeden i zaatakował mniejszego, kiedy ten próbował porwać drugi.

W kieszeni spodni Balengera zawibrował palmofon. Zlekceważył to i ruszył w stronę jeziora.

### 3

— Kładź więcej! — zawołała Amanda, stojąc pośród ruin z wyciągniętymi rękami, na których Ray kładł kolejne deski.

— Za dużo! — odparł.

— Jeszcze jedną — powiedziała i skrzywiła się z wysiłku, kiedy to zrobił. — Dobra, wystarczy!

Z wysiłkiem ruszyła w stronę pustego zbiornika. Słyszała, jak Ray podnosi swój ładunek. A potem usłyszała coś jeszcze: kolejny strzał. Ten również dochodził z północy, ale wydawał się bliższy. Czy to ty, Frank? Do czego strzelasz?

Uginając się pod ciężarem desek, powlokła się dalej. Kiedy dotarła do zbiornika, cisnęła je na ziemię, odetchnęła głęboko i rozmasowała obolałe ramiona. W ustach czuła suchość, jakby wytarła je od środka watą.

Ray dojrzał do niej i rzucił deski na ziemię.

— Za dwadzieścia druga — powiedział, patrząc na zegarek.

— Kiedy dobrze się bawisz, czas szybciej ci mija.

Amanda złapała dwie deski i ułożyła je obok siebie na błotnistym zboczu.

— Albo wolniej — odezwał się nagle w słuchawkach Mistrz Gry. — W grach wideo czas jest rzeczą względną. Wszystko zależy od tego, jak jest podzielony.

— Idź do diabła! — mruknęła Amanda.

— Wiele gier ma licznik czasu. W tych, których treścią jest rozwój wirtualnych cywilizacji, wskazuje on miesiące i lata zamiast sekund i minut. Miesiąc może tam trwać tylko minutę. W innych grach pozornie mierzony jest konwencjonalny czas, lecz minuta trwa tam dwie minuty w tak zwanym realnym czasie. Po skończeniu gry uczestnik przekonuje się, że minęło dwa razy więcej czasu, niż sądził. Efekt może być dezorientujący.

Amanda rzuciła w błoto dwie kolejne deski, które miały tworzyć pomost.

— Poza tym, jak już się przekonaliście, subiektywny czas gry może się różnić od czasu zegarowego — kontynuował Mistrz Gry. — Moja znajoma, która umiera na raka, odkryła, że wymagana w wielu grach szybkość, z jaką podejmuje się złożone decyzje, wypełnia bogactwem każdą chwilę i sprawia, że czas wydaje się płynąć wolniej albo w ogóle zostaje zawieszony. Dla pewnych graczy czterdzieści godzin, które są potrzebne do ukończenia przeciętnej gry, staje się ekwiwalentem całego życia.

Amanda wzdygnęła się, gdy zza opróżnionego zbiornika dobiegł kolejny strzał. Spojrzała w stronę porośniętej trawą hali i gór na północy.

— Możesz być pewna, że dla Franka to ekwiwalent całego życia — powiedział Mistrz Gry.

— On się po prostu z ciebie nabija — mruknął Ray. — To na pewno myśliwi. Znajdą nas, jeśli dopisze nam szczęście.

Amanda zastanawiała się, czy zdołają im pomóc, nawet jeżeli ich znajdą. Oboje byli przecież chodzącymi bombami. A skoro tak, jak mógł im pomóc Frank?

— Ja nigdy nie kłamie — oświadczył Mistrz Gry. — Jeżeli powiedziałem, że strzały świadczą o tym, że Frank wszedł do gry, możesz mi wierzyć na słowo.



— Nigdy nie kłamiesz? Jakoś trudno mi w to uwierzyć. — Ray spojrzał gniewnie na niebo. Ale z całą pewnością nigdy nie mówisz całej prawdy.

Nie myśl o tym! — ostrzegła się w duchu Amanda. Po prostu odwracaj uwagę Mistrza Gry od tego, co może w tym momencie robić Frank. Balansując na prowizorycznym pomoście i pochylając się do przodu, położyła ostatnią trzymaną deskę i wróciła po następne.

## 4

Balenger doszedł w tym momencie do samotnej sosny, która była jedynym w promieniu kilkuset jardów wysokim obiektem. Zgodnie z tym, czego się spodziewał, odkrył zamontowaną na niej kamerę. Ponieważ była za wysoko, by mógł się wdrapać i rozbić ją kamieniem, zrobił to strzałem z karabinu.

Gasną kolejne światła, pomyślał.

Oglądając się przez ramię, stwierdził, że dwa psy idą za nim w odległości pięćdziesięciu stóp. Kiedy się zatrzymał, zrobiły to samo i bacznie mu się przyglądały. Gdy ruszył dalej, poszły jego śladem. Przystanął ponownie. One także.

Ból w lewym kolanie się nie zmniejszał. Nogawka spodni była coraz bardziej zakrwawiona. Psie zęby rozdarły materiał. Widząc rany klute, pomyślał o pianie, którą toczyły z pysków. Czy to zwykła ślina, czy były chore na wściekliznę? Nie wiedział, jak szybko trzeba wziąć zastrzyki po ukąszeniu przez wściekłe zwierzę.

Zdjął plecak i oparł o niego karabin tak, żeby nie pobrudzić lufy ziemią. Słońce grzało coraz mocniej. Wyjął z plecaka apteczkę i taśmę samoprzylepną. Zerknął na psy. Intensywnie się w niego wpatrywały.

Zastanawiał się, czy ich nie zastrzelić. Ale chociaż miał

plecak wypełniony amunicją, wiedział, że musi jej oszczędnie używać i strzelać tylko wtedy, kiedy jest to bezwzględnie konieczne. Lepiej niszczyć kolejne kamery... lub zabić samego Mistrza Gry... niż zastrzelić niepotrzebnie dwa psy. Niewykluczone, że później będzie gotów oddać wszystko za te dwa naboje.

Sprawdźmy, jakie są sprytne, pomyślał. Wziął karabin i wycelował w większego psa, który był podobny do wilka. Zanim jednak zdążył ustawić czerwoną kropkę na jego piersi, zwierzę odbiegło razem ze swoim towarzyszem. Wodząc za nim lufą, starał się ustawić kropkę. Kusiło go, żeby nacisnąć spust, lecz trafienie do ruchomego celu, który stawał się coraz mniejszy, nie było łatwe. W końcu odłożył karabin.

Otworzył butelkę z wodą, wypił trochę nieprzyjemnie ciepłej cieczy i polał nią kolano, by zmyć krew i brud. Rany były zaczerwienione. Sięgnął po apteczkę, wyjął pakiet antyseptyczny i rozdarł go. Znajdujący się w środku opatrunek pachniał spirytusem. Przetarł nim rany klute i wycisnął na nie Spirytus. Zapiekł. Następnie przedarł opakowanie z maścią antybiotykową, posmarował nią rany i przykrył gazą. Na koniec odciął nożem kawałki taśmy i przykleił gazę do kolana, tworząc coś w rodzaju opaski uciskowej, która powinna zatamować krwawienie. Ochroniarze, z którymi pracował w fraku, nazywali taśmę samoprzylepną przyjacielem każdego żołnierza.

Przyjrzał się leżącej przed nim równinie, szukając następnych kamer.

Kiedy po raz kolejny zawibrowała komórka, wyjął chusteczki z uszu i tym razem odebrał telefon.

— Nadal mi kibicujesz?

— Przestań niszczyć kamery — oświadczył głos. — Psujesz grę.

— Myślałem, że mam być pomysłowy.

— Z wyjątkiem tych aktów wandalizmu robisz wszystko

dokładnie tak, jak się spodziewałem, tak jak wyobrażałem sobie, że ja będę robił. Jesteś dla mnie idealnym awatarem.

— Mam dla ciebie propozycję. Może byś sam tu zszedł i zagrał w tę cholerną grę?

Bez odpowiedzi.

— No chodź! — wrzasnął Balenger do telefonu. — Zostań bohaterem!

— Ktoś musi być przecież Mistrzem Gry — odparł w końcu skonsternowany głos.

— Po co?

Głos ponownie nie odpowiedział.

— Pomyśl o tym inaczej — powiedział Balenger. — Wspomniałeś o błędzie w twojej grze. A może cały wszechświat obarczony jest błędem?

— Gra i wszechświat. To przecież to samo. O jakim mówisz błędzie?

— Bóg poczuł się samotny i stworzył inne cudowne istoty, anioły. I stąd wzięło się całe zło, ponieważ anioły go zdradziły. Bóg znowu poczuł się samotny, ale już się czegoś nauczył i stworzył istoty niższe, ludzi, którzy byli tak niepozorni i pozbawieni dumy, że nie zdołaliby go zdradzić. Lecz i oni go zdradzili. Na tym polega twój problem?

— Że ludzie mnie zdradzają?

— Że jesteś samotny. Chcesz, żeby ktoś się z tobą pobawił? — zapytał Balenger.

W oddali rozległ się krzyk jastrzębia. Poza tym otaczała go cisza.

— Jeżeli nas nie zabijesz, chętnie się z tobą pobawimy — powiedział do Mistrza Gry.

— Czasami...

— Tak?

— Czasami mnie zadziwiasz.

— Naprawdę? — Balenger poczuł, że budzi się w nim nadzieja.

— Nawet jeśli przyznałbym, że Dorothy L. Sayers była genialną pisarką, i przyjął, że autorzy słuchają swoich postaci w podobny sposób, w jaki Bóg słucha tych, których stworzył, to jak mógłbym zejść na dół i się z tobą pobawić? Nie jesteś prawdziwy.

Połączenie się urwało.

— Naboje w moim karabinie są prawdziwe — mruknął Balenger, po czym schował palmofon do kieszeni i ruszył dalej, szukając wzrokiem kolejnych kamer, które miał zamiar zniszczyć.

## 5

Choć krwawiły jej ręce, Amanda złapała drzwi i razem z Rayem uniosła je z miejsca, gdzie ona i Viv zbudowały poprzedniej nocy schronienie przed burzą. Pamiętała, jak Viv podzieliła się z nią wodą i powiedziała, że jeżeli chcą przetrwać, muszą ze sobą współpracować.

A teraz już jej nie było.

Dźwigając drzwi, nie mogła otrząsnąć się z szoku. Ugięły się pod nią kolana, ciążyły mokre buty. Z głodu kręciło jej się w głowie, lecz dzielnie walczyła ze słabością. Kilka chwil wcześniej usłyszała kolejny strzał, który dobiegł z mniejszej odległości niż poprzedni. Jeżeli zgodnie z zapowiedzią Mistrza Gry zbliżał się do nich Frank, nie chciała go zawieść. Zrobi wszystko, żeby mu pomóc. Będzie harowała, aż padnie na twarz.

O mało do tego nie doszło. Potknęła się o kamień, ale zdołała odzyskać równowagę i powlokła się do pomostu, który ułożyli wcześniej w błocie.

— To powinno wystarczyć — powiedział Ray.

Trzymając drzwi z drugiej strony, szedł tyłem po zboczach. Amanda dreptała za nim po przechylonych w dół deskach. Dotarwszy na dno zbiornika, postawili drzwi z boku pomostu, aby Ray mógł się cofnąć do Amandy. Deski zanurzyły się

trochę głębiej w błocie. Odór rozkładu przyprawiał o mdłości. Wspólnie postawili drzwi na sztorc, przesunęli je do końca pomostu i puścili, pozwalając, by wpadły w błoto. Dwadzieścia stóp dalej zasyczał wąż. Drzwi wylądowały przy tajemniczym obiekcie wystającym ze zbiornika.

Deski, na których stali, zaczęły się chybotać. Oboje starali się za wszelką cenę zachować równowagę.

— Za dużo razem ważymy — powiedziała Amanda i przykucnęła, by obniżyć środek ciężkości. — Nie możemy stać oboje w tym samym miejscu — dodała, przechodząc na drzwi, które osiadły głębiej. — Ja jestem lżejsza. Ja powinnam to zrobić.

Ray stanął wyżej. Stopniowo deski przestały się chybotać. Amanda obróciła się w stronę zanurzonego w mule obiektu. Miał rozmiary trzy na cztery stopy.

— Nadal nie mam pojęcia, co to takiego. — Zajrzała do środka, by sprawdzić, czy nie ma tam węża. — I co mam teraz robić? Wygarnąć błoto, żeby zobaczyć, czy czegoś tam nie schowano?

Ray nie odpowiedział.

Amanda wyciągnęła z kieszeni gumową rękawicę, którą zabrała Viv, włożyła ją na prawą rękę i po krótkim wahaniu zanurzyła w brei. Nie wyczuwając niczego, macała głębiej.

— Znalazłaś coś? — zapytał Ray.

— Nic. — Amanda zaczęła szukać w innym miejscu. — Zaczekaj. — Jej palce dotknęły czegoś twardego. Zaokrąglonego. O szorstkich krawędziach. Zacisnęła na tym dłoń.

— Ostrożnie — ostrzegł ją Ray. — Nie zdziwiłbym się, gdyby były tam sidła na niedźwiedzie.

Amanda skrzywiła się, choć wiedziała, że gęste błoto uniemożliwiłoby zatrzaśnięcie się pułapki.

— To chyba kamień — stwierdziła, a próbując wyciągnąć niezidentyfikowany przedmiot, o mało nie zostawiła w błocie rękawicy. — Zwykły kamień — dodała i uważnie mu się

przyjrzała. Pamiętając, że nawet najbardziej niepozorne przedmioty mogą się okazać ważne w grze, cisnęła kamień na brzeg. — Tu jest dużo więcej kamieni....

— Może coś jest pod spodem — zasugerował Ray.

— Nie wiem, jak mogłabym to sprawdzić.

Ray rzucił okiem na zegarek.

— Dwadzieścia po drugiej. Zostało nam niecałe dziesięć godzin. Znowu straciliśmy czas — stwierdził.

Nagle coś przyciągnęło jego uwagę.

— Co takiego zobaczyłeś? — zapytała Amanda.

— Na brzegu tej skrzyni... Błoto zaczyna wysychać. Nie ma czegoś wrytego w metalu?

Amanda spojrzała tam, gdzie wskazywał, i poczuła, że uginają się pod nią kolana. Starła zaschnięte błoto z metalowej powierzchni.

— To cyfry. — Chciała, żeby w jej głosie zabrzmiał triumf, ale okazało się to zbyt trudne. — Dwa zestawy. Długość i szerokość geograficzna.

— Nowe współrzędne — mruknął Ray.

Amanda wytarła drugi bok skrzyni.

— Tu jest to samo. Założę się, że identyczne cyfry są po przeciwnej stronie... żebyśmy je odcyfrowali, niezależnie od tego, którą tu dotrzemy...

— Przeczytaj mi. — Ray wpisał drżącymi palcami podyktowane przez nią dane i przyjrzał się strzałce na GPS-ie. — Wskazuje na zachód. Ale nie wiem dokładnie gdzie. Widok załania brzeg zbiornika.

Amanda powlokła się z powrotem na górę.

— Musimy to sprawdzić.



## 6

Wcześniejsze przypuszczenia Balengera okazały się słuszne — huk, który słyszał, był spowodowany przerwaniem tamy. Kiedy podszedł do pustego zbiornika, zdumiał się, widząc, że błoto na dnie wydaje się falować. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to węże. Zbulwersowany spojrzał dalej, tam gdzie błoto było głębsze, i nagle zobaczył dwie postaci. Stały aa prowizorycznym pomoście, prowadzącym do zatopionego w błocie obiektu w kształcie skrzyni.

Jedną z osób był chudy zarośnięty mężczyzna w brudnym zielonym kombinezonie. Druga, niższa miała na sobie niebieski kombinezon i zabłoconą czapkę. Chwiejąc się na deskach, stała odwrócona tyłem do Balengera, lecz natychmiast rozpoznał jej sylwetkę.

Poczuł przyspieszone tętno, otworzył usta, żeby krzyknąć „Amanda!”, lecz ze wzruszenia nie mógł wydać głosu. Zakręciło mu się w głowie na jej widok.

Spostrzegłszy Balengera, stojący na przeciwległym stoku mężczyzna wybałuszył oczy i powiedział coś do Amandy, która się odwróciła. Jej twarz była ubłocona podobnie jak kombinezon, lecz nie ulegało kwestii, że to ona. Balenger bał się że zaraz pęknie mu serce.

Amanda zamarła w bezruchu, jakby nie wierzyła we własne

szczęście. A potem wyprostowała się i jej ubrudzona twarz rozjaśniła się w olśniewającym uśmiechu. Ona też nie mogła się odezwać ze wzruszenia. Balenger zdołał w końcu wydobyć z siebie głos.

— Nic ci nie jest? — zawołał, zadając najważniejsze pytanie.

— Dużo małych skaleczeń, ale jakoś się trzymam — odkrzyknęła i wskazała z niepokojem jego nogę. — Jesteś ranny?

— Ugryzł mnie pies!

— Co?

— Zatomowałem krew! Co ci się stało w ręce?

— Otarłam skórę! Złamałam kilka paznokci! Nieważne, nigdy nie miałam ładnych dłoni!

— Masz coś do jedzenia? — zawołał stojący wyżej facet.

— Tak! I wodę!

— Chwała Bogu — odkrzyknął mężczyzna, wdrapując się wyżej.

Balenger patrzył, jak Amanda podąża w ślad za nim. Choć podniecona, ledwie trzymała się na nogach. Wchodząc na górę, co chwila się oglądała, jakby chciała nacieszyć się jego widokiem.

Balenger zachowywał się tak samo. Nie spuszczać z niej wzroku, zsunął karabin z ramienia i ruszył w stronę wąskiego końca zbiornika.

— Myślałam, że nie żyjesz! — zawołała Amanda, idąc równolegle do niego, wzdłuż drugiego brzegu.

— Ja myślałem to samo o tobie — odkrzyknął Balenger.

— Co ci się wydarzyło?

— Szkoda czasu! — zawołał. — Opowiem ci, kiedy będziemy mieli sposobność!

Gdy się do siebie zbliżyli, Balenger zauważył, że Amanda i jej towarzysz mają na głowach słuchawki z mikrofonami. Przy węższym końcu zbiornika brzegi strumienia spinał stary

drewniany mostek. Amanda zmobilizowała siły i przyspieszyła kroku.

— Stój! — zawołał tknięty nagle złym przeczuciem Balenger. — Nie wchodź na ten mostek.

Amanda i jej towarzysz zatrzymali się w pół kroku.

— Jedzenie! — zawołał mężczyzna. — Umieramy z głodu! Balenger zdjął plecak, wyjął z niego dwa batoniki i cisnął w ich stronę. Zszokowany patrzył, jak Amanda i jej towarzysz klękają, żeby je podnieść, zrywają opakowania i zaczynają się nimi opychać. Przypomniał sobie psy, które zaatakowały go, a potem o mało się nie zagryzły, walcząc o batoniki. Wyciągnął dwie butelki wody i rzucił je na trawę na drugim brzegu, mając nadzieję, że nie pękną przy lądowaniu.

Amanda i mężczyzna skoczyli ku nim, odkręcili nakrętki i zaczęli łąpczywie pić.

— Powoli! — ostrzegł ich.

— Wiem — odskrzyknął mężczyzna, jakby nie znosił, kiedy ktoś zwraca mu uwagę.

— Ostatnim razem jedliśmy wczoraj po południu — powiedziała Amanda. — Owoce z puszek. A wcześniej... wcześniej były kanapki z tuńczykiem przed wykładem w sobotę.

Wiedząc, że jest obserwowany przez kamery, Balenger starał się ukryć ogarniającą go furję. Zapłacisz za to, Lucius, pomyślał, używając, co mu się rzadko zdarzało, imienia Mistrza Gry.

Powściągnął gniew, ukląkł i zajrzał pod mostek. Nie zaważył niczego podejrzanego, ale dla pewności wyciągnął latarkę z plecaka i oświetlił deski pod spodem. Przymocowana tam była ciemna prostokątna skrzynka.

— Bomba — powiedział.

Stojący na drugim brzegu strumienia Amanda i jej towarzysz przestali żuć batoniki, spojrzeli na mostek i cofnęli się.

— Sukinsyn. Powinienem to przewidzieć — mruknął mężczyzna, po czym wykrzywił twarz w niemiłym grymasie, jakby żałował, że przyznał się do błędu.

— To dlatego, że jesteście wygłodzeni — powiedział Balenger, — Batoniki powinny pomóc.

Zabrał plecak i podszedł do strumienia, który nie mógł być pod napięciem, skoro w zbiorniku przetrwały węże. Przeszedł go w płytkim miejscu i wdrapał się na drugi brzeg.

Amanda podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami. Balenger nie mógł się doczekać, żeby ją uściskać, lecz ona zaskoczyła go, zatrzymując się nagle i dając znak, żeby się cofnął.

— Co się stało? — zapytał.

— Mamy na sobie materiały wybuchowe.

— Co takiego?

— Nie wiemy, czy umieścił je w naszych butach, słuchawkach, czy w tych GPS-ach — powiedziała i wyjęła z kieszeni odbiornik.

Balenger zrozumiał teraz, jak zginęła kobieta, której zdjęcie zobaczył na ekranie palmofonu.

— W mikrofonie przy słuchawkach jest zainstalowana kamera — wyjaśnił mężczyzna.

— No tak, Mistrz Gry uwielbia kamery — stwierdził z przekąsem Balenger.

Mężczyzna opuścił butelkę z wodą.

— Wiesz o nim?

Balenger kiwnął głową.

— Mam wrażenie, że teraz, kiedy się w końcu spotkaliśmy, nie wysadzi nas w powietrze — oznajmił, po czym podszedł do Amandy, dotknął jej ubłoconej twarzy i uśmiechnął się. — Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo się za tobą stęskniłem.

— Nie wiedziałam, czy będę mogła dalej żyć, jeżeli zginiesz — wyznała.

Ich pocałunek nie miał końca. Choć zostało im mało czasu, Balenger nie chciał wypuścić jej z ramion. Nagle poczuł, jakby poruszyła się ziemia. To Amanda usiłowała wyzwolić się z jego objęć.

Odsunął się od niej, ale nie wytarł z policzków błota, którym go ubrudziła.

— Uda się nam. Zdołamy się stąd wydostać — powiedział.

Wyraz twarzy Amandy się zmienił, jakby słuchała dobiegającego z oddali głosu.

— Mistrz Gry kazał mi powiedzieć, żebyś założył słuchawki Derricka. Chce z tobą mówić.

— Derricka? — zdziwił się Balenger. — Ilu was tu jeszcze jest?

— Zaczęliśmy w piątkę. — Amanda przez chwilę nie mogła wydobyć głosu. — Troje nie żyje.

Balenger zadrżał.

— Gdzie te słuchawki? — zapytał.

— Nie wiem — odparła. — Muszą być tam gdzie... — zaczęła i spojrzała na swojego towarzysza, który uciekł spojrzaniem w bok. — Muszą być tam — powtórzyła, wskazując za siebie, w stronę ruin miasta.

— Pokaż mi — powiedział Balenger i ruszyli razem w tamtą stronę.

— Jestem Ray Morgan — przedstawił się mężczyzna. Widać było, że nadal wprawia go w zakłopotanie coś, o czym nie powiedziała Amanda.

— Frank Balenger.

Podali sobie dłonie.

— Mistrz Gry mówił o tobie — mruknął Ray.

— Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

— Pewnie nie masz przy sobie papierosów?

— Niestety nie.

— Mogłem się tego domyślić. — W głosie Raya ponownie zabrzmiało zniecierpliwienie. — Zjadłem batonik powoli, tak jak mówiłeś. Masz więcej?

Balenger ściągnął plecak z ramion i wyciągnął z niego dwa kolejne batoniki i dwie butelki wody.

Tym razem Amanda i Ray nie rozdierali tak gorączkowo opakowań.

— Obawiałem się, że z powodu głodu i pragnienia nie będziemy mieli dość sił, żeby wygrać — powiedział Ray.

— Wygrać „Łowcę” — mruknął Balenger, ruszając dalej.

— To też wiesz? — zdziwiła się Amanda.

— Odbyliśmy z Mistrzem Gry kilka serdecznych pogawędek — odparł z przekąsem.

— Kiedy cię zobaczyłem, myślałem, że mam halucynacje — oświadczył Ray, wskazując jego strój. — Wyglądasz, jakbyś właśnie przyleciał z Iraku.

— Też tam byłeś? — zapytał Balenger.

— Jako pilot w korpusie marines.

— Ja służyłem w rangersach podczas pierwszej wojny w Iraku. Miło cię poznać, żołnierzu, chociaż wolałbym, żebyśmy nie spotykali się w takich okolicznościach.

— Zgadzam się z tobą.

Amanda przycisnęła dłoń do słuchawek i skonsternowana odwróciła się do Balengera.

— On chce wiedzieć, czy słyszałeś o Skarbcu Sądnego Dnia.

— Nie, ale na pewno mi o nim opowie.

Kiedy weszli między ruiny miasta, zrobiło się cieplej. Balenger zobaczył przed sobą szczątki ogniska, z którego dym dostrzegł wcześniej z punktu obserwacyjnego na wzgórzach. Pośrodku zarośniętej chwastami ulicy leżała wielka sterta desek. Po dobiegającym spod nich zapachu poznał, że przykrywają zwłoki. Oczekiwał jakichś wyjaśnień, lecz Amanda rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie. Ray był wyraźnie skrepowany. Balenger postanowił więc nie poruszać tego tematu.

— Gdzie są słuchawki? — zapytał.

— Mistrz Gry mówi... — odpowiedziała Amanda i rozejrzała się dookoła. — Tam.

Balenger podszedł do skraju zawałonego budynku i znalazł słuchawki między deskami. Na pałąku zobaczył plamki zaschniętej krwi. Pamiętając ostrzegawcze spojrzenie Amandy, nie zapytał o nie. Słuchawki i mikrofon były nieduże, łączący je pałąk solidny, lecz cienki. Balenger otworzył mały pojemnik na baterie z lewej strony zestawu.

— Nie widzę tu żadnego miejsca na detonator — stwierdził. — I żadnego miejsca na materiał wybuchowy w słuchawkach i pałąku. Być może jest w mikrofonie połączonym z kamerą. Ale moim zdaniem plastik jest raczej w waszych butach albo GPS-ie. — Balenger spojrzał na zabłocone buty Amandy. — Nie przemokły ci?

— Są wilgotne.

— Detonator musiałby być superwodoszczelny, żeby nie doszło do zwarcia. Mogę się mylić, ale bomby są chyba w GPS-ach.

Amanda słuchała przez chwilę tego, co mówił do niej Mistrz Gry.

— Każę ci założyć słuchawki — powiedziała.

Balenger zdjął z głowy kapelusz, zamocował słuchawki i włożył go z powrotem.

— Co to za Skarbiec Sądnego Dnia? — zapytał Mistrza Gry.

Czekając na odpowiedź, omiół wzrokiem ruiny, zwracając baczną uwagę na wszystko, co leżało w pobliżu desek, przy których znalazł słuchawki.

— Podobno cierpisz na nerwicę pourazową — stwierdził głos.

— Cierpię. Mam cały fanklub psychiatrów, którzy mogą to potwierdzić.

— Ale nie okazujesz słabości.

— Wewnątrz cały się trzęsę — odparł Balenger. — Rzecz w tym, że orientuję się na cel. Kiedy ktoś wyznaczy mi zadanie, koncentruję się na nim tak intensywnie, że zapominam, iż jestem psychicznym wrakiem — wyjaśnił, nadal przyglądając

się ruinom. — I możesz mi wierzyć, jestem wrakiem. Nie mogę spać przy zgaszonym świetle. Nie znoszę zamkniętych drzwi. Śni mi się facet, który chce uciąć mi głowę. Trzęsę się bez powodu. Budzę się z krzykiem. Pościel jest cała mokra od potu. Kiedy to się skończy, zaręczam ci, że się kompletnie załamie.

— Jesteś pewien, że wygrasz?

— Ten, kto uczestnicząc w jakiejś grze, nie ma zamiaru jej wygrać, już przegrał. I zaręczam ci, że chociaż jestem wrakiem, nigdy nie byłem nieudacznikiem. — Mówiąc, Balenger przez cały czas przeszukiwał wzrokiem ruiny. — Mam do ciebie pytanie. Skąd wiedziałeś, gdzie są słuchawki?

Dostrzegłszy to, czego szukał, zdjął słuchawki, wsadził do uszu chusteczki i podniósł do ramienia karabin.

— Co ty robisz? — zapytał stłumionym głosem Ray i razem z Amandą odsunęli się na bok.

Kamera była schowana w dziurze między deskami. Balenger ustawił czerwoną kropkę celownika na jej obiektywie i nacisnął spust. Bang. Przyjmując na ramię siłę odrzutu, zauważył kątem oka wyskakującą z komory łuskę. W powietrzu rozszedł się zapach spalonego prochu. Balenger opuścił mini-14 i przyjrzał się z satysfakcją swojemu dziełu.

— To kolejny podglądacz, którym nie musimy się już przejmować — oświadczył, wyjmując chusteczki z uszu.

— A teraz posłuchaj mnie uważnie — powiedział Mistrz Gry. — Po raz ostatni zniszczyłeś kluczowy element gry.

— Naprawdę?

— Jeżeli zrobisz to ponownie, zdetonuję ładunek wybuchowy w GPS-ie pani Evert.

A więc miałem rację, pomyślał Balenger. Bomby są w odbiornikach GPS.

— Nawet wiedząc, że w ten sposób kończysz grę?

— Bez kamer nie będzie żadnej gry. Wierzysz, że to zrobię?



Balenger odwrócił się do Amandy. Robiła wrażenie przerażonej. Miał ochotę dotknąć jej ubrudzonego błotem policzka.

— Tak — odparł.

— Więc zostaw w spokoju kamery i graj w tę cholerną grę.

— Dobrze — odparł Balenger. — Będziemy grali w tę cholerną grę.

Napięcie, które widać było na twarzy Amandy, powoli ustąpiło.

— Czy istnieją jakieś inne ograniczenia? — zapytał Balenger. — Najpierw twierdzisz, że powinniśmy wykazać się sprytem, ale kiedy to robimy, narzekasz. Jeśli nie mamy żadnej szansy, oszczędź nam fatygi i powiedz od razu.

— „Łowcę” można wygrać. Nie tworzę nieuczciwych gier.

— No dobrze — mruknął Balenger. — Dopiero wszedłem na ten poziom. Ktoś musi mnie wprowadzić w szczegóły.

— Znaleźliśmy współrzędne geograficzne wyryte na tej zatopionej w zbiorniku skrzyni. Kiedy wprowadziliśmy je do GPS-u, strzałka pokazała tam, na zachód — powiedział Ray, podnosząc odbiornik, z którym obchodził się z wyraźną ostrożnością.

— Pokazuje tamte góry — powiedział Balenger.

— Albo coś, co jest między nami i górami — uściśliła Amanda. — W zatopionej skrzyni znalazłam poza tym kamienie.

— Kamienie?

— Rzuciłam jeden z nich na brzeg.

Amandzie zaschło w ustach. Balenger wyjął dwie kolejne butelki i dał jej oraz Rayowi. Plecak robił się coraz lżejszy.

— Ile ich jeszcze masz? — zapytał Ray.

— Starczy nam do północy — odparł Balenger i dotknął ramienia Amandy, pragnąc jej dodać otuchy. — Pokaż mi ten kamień.

# 7

Mijając wielką stertę desek, spod których unosił się zapach śmierci, Amanda spojrzała na Raya. Ten starał się za wszelką cenę nie patrzeć w tamtą stronę. Balenger zauważył to, lecz ponownie wstrzymał się od komentarza.

— Skarbiec Sądnego Dnia — powiedział do mikrofonu. — Nadal nic mi o nim nie powiedziałaś.

— To optymalna kapsuła czasu — odparł Mistrz Gry. Minęli rosnące pośrodku ulicy krzaki bylicy.

— Znajduje się w górskiej pieczarze na pewnej wyspie za kołem podbiegunowym. Wyspa nazywa się Spitsbergen i na leży do Norwegii — kontynuował Mistrz.

Dotarli do granicy miasta Avalon. Król Artur nigdy już stąd nie wyruszy, pomyślał Balenger, przypominając sobie stary mit.

— Co czyni tę kapsułę optymalną? — zapytał. Przed sobą widział brzeg opróżnionego zbiornika.

— Ponieważ stanowi w dosłownym znaczeniu formę czasu. Pieczara jest ogromna, wielkości połowy boiska do piłki nożnej.

— Stanowi formę czasu? Co w niej się znajduje? Zegar atomowy? Cokolwiek to jest, musi mieć gigantyczne rozmiary.

— Wprost przeciwnie. Większość przedmiotów jest bardzo mała.

Balenger zatrzymał się na brzegu zbiornika. Bolało go kolano.

— Co to za przedmioty?

— Są ich miliony.

Balenger zerknął na wystającą z błota skrzynię o rozmiarach trzy na cztery stopy.

— Dlaczego stanowią formę czasu?

— To nasiona.

Balengera ogarnął niepokój.

— Nasiona wszystkich jadalnych roślin na Ziemi—wyjaśnij Mistrz Gry. — Są efektem dziesięciu tysięcy lat eksperymentalnej hodowli. Kiedy ludzie zaczęli uprawiać ziemię, robili to metodą prób i błędów. Brali dzikie rośliny i próbowali je udomowić. Zboża i warzywa były małe, a ich wartość odżywcza o wiele niższa od tej, którą mają dzisiaj i którą traktujemy jako coś oczywistego. Weźmy na przykład kukurydzę. Kiedyś była to dzika trawa z kolbami długości zaledwie kilku cali i paroma rzędami ziaren. Kilka tysięcy lat starannej hodowli dało w efekcie wielkie rośliny, które dzisiaj uprawiamy.

— Po co schowano te wszystkie nasiona w górskiej pieczarze za kołem podbiegunowym?

— Ponieważ wielu naukowców i państw boi się o to, czy człowiek zdoła przetrwać — odpowiedział Mistrz Gry. — Nie chodzi tylko o globalne ocieplenie. Ze względu na eskalację ataków terrorystycznych i rosnącą nienawiść między narodami zwiększa się ryzyko nuklearnego holokaustu. W Ziemię może także trafić asteroida. Kilka razy o mało do tego nie doszło, choć nigdy się o tym nie dowiedzieliśmy. Ostatnio zresztą powinniśmy znacznie bardziej obawiać się nas samych niż natury. Jeżeli grupkom ludzi uda się przetrwać globalną katastrofę, Skarbiec Sądnego Dnia zapewni im nasiona niezbędne do produkcji żywności.

— Ludzie powinni przede wszystkim wiedzieć, gdzie się on znajduje — zauważył Balenger. — Wiedza o skarbcu raczej nie jest rozpowszechniona.

— Lokalizację utrzymuje się w sekrecie, żeby go chronić. Zapory i próżniowe drzwi zabezpieczają jego zawartość przed kradzieżą.

— W takim razie nawet jeśli będę wiedział, gdzie szukać tego skarbcza, i tak nie dostanę się do środka.

— Władze będą wiedziały, gdzie jest i jak otworzyć drzwi.

— Chyba że zginą w katastrofie, której tak się obawiają.

— Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie. Bez Skarbcza Sądneho Dnia globalna katastrofa spowoduje cofnięcie się ludzkości o dziesięć tysięcy lat, do początków rolnictwa. Cały proces selektywnej hodowli będzie trzeba zacząć od początku. Dlatego skarbiec jest kapsułą czasu. Chroniony przez arktyczne lody, ofiarowuje przyszłym pokoleniom dziesięć tysięcy lat.

— Arktyczne lody? — zdziwił się Balenger. — Jeżeli globalne ocieplenie jest faktem, arktyczne lody stopnieją, temperatura w skarbcu się podniesie i nasiona nie przetrwają.

— Globalne ocieplenie jest faktem? Nic nie jest faktem.

— Ta gra jest faktem. — Balenger spojrzał na Amandę. — Gdzie jest ten kamień, który wyjął z zatopionej w zbiorniku skrzyni? Gdzie go rzucił?

— Tam. — Amanda przeszła kilka kroków wzdłuż brzegu i podniosła kamień.

Był wielkości pięści, pokryty zaschniętym błotem. Balenger poczuł, że jest bardzo ciężki i kanciasty. Obmył go w strumieniu, który wpływał do zbiornika, i kiedy zniknęło błoto, zobaczył, że szarą powierzchnię przecinają jasne żyłki.

— Ziemskie namietności, ziemska próżność — mruknął.

— Mój Boże, czy to... — Ray wziął od niego kamień i obrócił go w rękach. — Złoto. Niech mnie kule... Przechodzi przez niego żyła złota.

Złoto nie miało połysku polerowanych gotowych wyrobów, a żółty kolor był blady i brudny. Mimo to czuło się jego pierwotny urok. Balenger nie mógł oderwać od niego wzroku. Myślał o tym, co symbolizuje. Po chwili spojrział tam, gdzie wskazywała strzałka GPS-u, w stronę gór na północy. Wy-czuwał, że Amanda i Ray zrobili to samo.

— Kopalnia — powiedział Ray.

— Teraz wiem, co to jest — stwierdziła Amanda, wskazując wystającą z błota skrzynię. — To wózek kopalniany.

— Z rudą — dodał Balenger.

— Izba Pamięci — mruknął Ray.

— Co takiego? — zdziwił się Balenger, nie rozumiejąc tej nagłej zmiany tematu.

— Mistrz Gry dał nam klucz, ale my się nie połąpaliśmy. Mount Rushmore. Izba Pamięci.

— Nadal nie bardzo rozumiem.

— Mistrz Gry powiedział nam, że kiedy w Mount Rushmore zaczęto rzeźbić twarze prezydentów, w Stanach pogłębiał się Wielki Kryzys — wyjaśniła Amanda. — Obawiając się, że zamieszki zniszczą kraj, projektanci pomnika wykuli pod górą pieczarę, w której miały być chronione najważniejsze państwowe dokumenty, takie jak Deklaracja Niepodległości. Ale potem kryzys się skończył, ryzyko społecznego chaosu zmalało i w pieczarze złożono wyłącznie dokumenty opisujące historię pomnika.

— Pod górą—powtórzył podniesionym tonem Ray. — Do diabła, on dał nam odpowiedź, ale my się nie zorientowaliśmy. Sarkofag jest pod jedną z tych gór! W kopalni! — Spojrział nerwowo na zegarek, a potem na strzałkę na GPS-ie. — Prawie Wpół do czwartej — zawołał i rozchlapując wodę, przebiegł przez strumień.

Balenger i Amanda ruszyli za nim wolnym krokiem. Kiedy Ray znalazł się poza zasięgiem głosu, Balenger zdjął kape-lusz i słuchawki, po czym otarł pot z czoła. Zdejmując

słuchawki z głowy Amandy, słyszał niewyraźne protesty Mistrza Gry.

— Czego nie chciałaś mi powiedzieć? — zapytał, postukując mikrofonami o spodnie, żeby nie usłyszał ich Ray.

— Ta sterta desek... — mruknęła Amanda.

— Tak?

— Leży pod nią ciało.

— Domyśliłem się po zapachu.

— To mężczyzna o imieniu Derrick. Ray pobił go na śmierć.

Balenger poczuł przyspieszone bicie serca.

W jego kieszeni zawibrowała komórka. Odebrał telefon.

— Włóż z powrotem słuchawki albo włączę detonator.

— Podobała ci się ta część gry, Lucius? — zapytał Balenger, wpatrując się w niebo.

— Nie mów do mnie „Lucius”. Jestem Mistrzem Gry. Amandę najwyraźniej zdziwiło, że Balenger zna imię Mistrza Gry.

— Podobało ci się, że ktoś został zatłuczony na śmierć? — zapytał Balenger.

— Nic w tej grze nie jest zaplanowane. Nikt nie mógł przewidzieć, że dojdzie do bójki.

— Ale podobało ci się, kiedy na to patrzyłeś?

— Tak — odparł po krótkim milczeniu Mistrz Gry. — Podobało mi się. A teraz włóż słuchawki.

— Stoję tak blisko Amandy, że detonując materiały wybuchowe zabijesz nas oboje. Pamiętaj, że mi kibicujesz. Jestem twoim awatarem. To tak, jakbyś zabił samego siebie.

— Jakbym zabił samego siebie? Myślisz, że ponieważ chodziłeś do tych wszystkich psychoanalityków, stałeś się jednym z nich?

— Masz interesujące poglądy na temat ludzkiego charakteru. Ciekawe, czy ty też chodziłeś do psychoanalityka.

— Mówię po raz ostatni. Nałóż słuchawki.

Balenger przestał postukiwać mikrofonami o spodnie, oddał Amandzie jej słuchawki i nałożył swoje.

— O czym mówiliście, czego miałem nie wiedzieć? — usłyszeli natychmiast głos Raya, który wpatrywał się w nich, stojąc sto jardów dalej.

— Omawialiśmy szczegółowo pewne fragmenty gry — odparł Balenger do mikrofonu.

— Jakie fragmenty?

— Właściwie była to prywatna rozmowa między dziewczyną i jej chłopakiem. Na pewno by cię nie zainteresowała.

— Gówno prawda. Powiedziała ci o zwłokach pod deskami — powiedział Ray.

— To ja ją o to poprosiłem.

Ray nadal się w nich wpatrywał.

— Tkwimy w tym wszyscy razem. Nie ma sensu trzymać niczego w tajemnicy — stwierdził Balenger.

Ray nie odpowiedział. Nawet z daleka widać było, że stężyła mu rysi. A potem odwrócił się i ruszył dalej na zachód, tam gdzie wskazywała strzałka na GPS-ie.

## 8

Kiedy podążali za Rayem, Amanda zjadła kolejny batonik. Opowiedziała Balengerowi, co wydarzyło się od chwili, gdy obudziła się w sypialni. A potem z uwagą wysłuchiwała jego opowieści o tym, jak ocknął się w ruinach hotelu Paragon i co się później stało. Balenger przez cały czas spoglądał w prawo, na psy, które pojawiły się z powrotem i szły równolegle do nich w odległości pięćdziesięciu jardów. Kiedy podniósł karabin do ramienia, uciekły.

Idący przed nimi Ray przyglądał się czemuś w trawie. Cokolwiek to było, zmobilizowało go do jeszcze szybszego marszu w kierunku gór. Gdy Balenger dotarł w to miejsce, zobaczył koleiny starej drogi.

— Prowadzi do kopalni — powiedziała Amanda.

Balenger niemal słyszał stukot kopyt i kół niezliczonych wozów, które dowoziły zaopatrzenie i wywoziły rudę. Droga wiodła w stronę środkowej góry. Po godzinnym marszu zamajaczył przed nimi szczyt. Psy wróciły, ale trzymały się w bezpiecznej odległości.

Ray zatrzymał się i czekał na nich, ocierając pot z zaróżnionych policzków i bawiąc się wieczkiem zapalniczki, którą wyciągnął z kieszeni kombinezonu.



— Dlaczego zostajecie z tyłu? Boli cię kolano? — zapytał, wskazując krew na prawej nogawce spodni Balengera.

— Nie musisz się o mnie martwić.

— Jeśli masz jakieś problemy, powinienem o tym wiedzieć. Nie mogę tracić czasu, czekając, aż mnie dogonicie.

— Dam sobie radę.

— Jeżeli nie możesz dotrzymać mi kroku, wezmę od ciebie karabin. Nie będziesz musiał go dźwigać.

— Nie jest taki ciężki.

— Napiłbym się jeszcze wody — oświadczył nagle Ray.

— Zostało tylko pięć butelek — zauważył Balenger, dając mu jedną.

— Powiedziałeś, że starczy nam do północy.

— Jeżeli ich wcześniej nie wypijemy.

— Okłamałeś mnie.

— Chciałem, żebyś myślał pozytywnie.

— Nasłuchałem się dość o pozytywnym myśleniu w piechocie morskiej. — Ray otworzył i zamknął wieczko zapalniczki. — Niewłaściwie ci to naświetliła — oświadczył, zmieniawszy nagle temat.

— Niewłaściwie?

— To, co się tam wydarzyło, to była samoobrona.

— Nie wiem. Nie widziałem tego.

— Rzucił się na mnie z kamieniem.

Balenger zauważył, że Ray nie wymienił imienia zabitego.

— Mężczyzna musi się bronić — mruknął.

— Święta racja — potwierdził Ray i schował zapalniczkę.

Kiedy ruszyli dalej starym traktem, góra wydawała się coraz wyższa. Balenger zastanawiał się, dlaczego miasta nie zbudowano bliżej kopalni.

— Chyba widzę kopalnię — powiedziała nagle Amanda i wskazała coś przed sobą.

Zbocze po obu stronach porastała trawa, ale na wprost przed nimi było kamieniste. Podchodząc bliżej, Balenger

zauważył, że spomiędzy skał wylaniają się szyny biegnące równoległe do drogi.

Trawa była coraz rzadsza. Wkrótce otaczała ich goła ziemia. Zobaczyli stertę desek w miejscu, gdzie zawaliło się kilka dużych budynków. Wiatr sypał w oczy kurzem.

— Nie ma trawy. Nawet chwastów — zauważył Balenger.

— Złoto zmieniło ziemię w ugó — odezwał się po dłuższej przerwie głos. Balenger starał się nie okazywać zaskoczenia. — Rudę wydobywano za pomocą młotów, świdrów i materiałów wybuchowych — kontynuował Mistrz Gry. — Wyczerpani ludzie ładowali ją na wagoniki i pchali je po torach. Po wyjściu na zewnątrz zaciągali hamulce, żeby wagoniki nie stoczyły się po zboczu. W budynku po lewej stronie parowe młyny rozdrabniały rudę na mniejsze kawałki. Uzyskany w ten sposób materiał był mieszany z płynną trucizną, roztworem cyjanku sodu, który oddzielał złoto od sproszkowanej skały. Ale nie tylko z powodu cyjanku ziemia wokół was jest zupełnie jałowa. Inną substancją pomagającą oddzielić złoto od skały był kwas siarkowy.

— Dlatego miasto wzniesiono w znacznej odległości od kopalni? — zapytał Balenger.

— Opary kwasu siarkowego czuć było w odległości paru mil — odparł Mistrz Gry. — Wielu górników umierało na choroby płuc.

— Gdzie jest wejście? — zastanawiała się Amanda. Zachodzące słońce schowało się za górą i znaleźli się nagle w chłodnym cieniu. — Musi być tam, dokąd prowadzą tory — stwierdziła.

Podeszli do miejsca, w którym tory biegnęły pod górę. Skalna lawina zasypała ich górną część.

Balenger, któremu towarzyszyli po obu stronach Amanda i Ray, wdrapał się po zboczu, odgarniając butami kamienie. Zatrzymał się tam, gdzie teren był równy, i rozejrzał dookoła. Stok przed nimi był stabilny.

— Wejście znajdowało się prawdopodobnie tutaj — powiedział Ray. — Tu, gdzie stoimy.

— Tunel musiał się zawalić — dodał Balenger. — Albo ktoś go wysadził na potrzeby gry.

Amanda zerknęła na swoje podrapane, poobcierane dłonie.

— Nie damy rady uprzętnąć ręcznie tego rumowiska — mruknęła.

Wschodnią część doliny nadal oświetlało słońce, lecz cień, w którym stali, się wydłużał.

— Mistrz Gry nie postawiłby przed nami przeszkody, której nie da się pokonać — powiedział Balenger.

— Można by wysadzić wejście materiałami wybuchowymi — stwierdziła Amanda.

— Ale gdzie je mamy, do diabła, znaleźć? — żołądkował się Ray. — Gdyby Pan Pozytywnie Myślący miał trochę oleju w głowie, zabrałby ładunek spod mostu. Teraz już za późno, by wrócić po niego.

— A zgodziłbyś się go nieść? — zapytał Balenger. Ray uciekł w bok wzrokiem.

— Tak czy owak nie mamy radia i nie znamy częstotliwości, na której można uruchomić detonator — dodał Balenger.

Amanda uważnie mu się przyjrzała.

— Nie można odpalić materiałów wybuchowych bez detonatora? — zapytała.

— Nitrogliceryna jest tak niestabilna, że można spowodować wybuch, po prostu ją upuszczając. Ale bezpieczne materiały wybuchowe potrzebują zapalnika.

— I tylko sygnał radiowy może uruchomić detonator?

— Względnie czujnik dotykowy lub lont podłączony do ładunku. Jest kilka sposobów, lecz Mistrz Gry preferuje chyba sygnał radiowy. Do czego zmierzasz?

— A strzał?

— Strzał?

— Kula z karabinu. Czy pocisk odpaliłby detonator?

— Tak — odparł Ray takim tonem, jakby mówił do dziecka. — Pocisk odpaliłby detonator. Niewypały, które odkrywa się w Europie od zakończenia drugiej wojny światowej, wybuchają czasami, gdy coś na nie spadnie w trakcie wydobywania z ziemi. Nie zmienia to jednak faktu, że materiały wybuchowe i detonator leżą kilka mil od nas, w ruinach miasta.

— Nie myślałam o nich.

— Więc o czym, na litość boską, mówisz?

Amanda pokazała im swój GPS.

W dolinie zapadła cisza.

— On nigdy nie pozwoli nam go użyć — mruknął Ray.

— Jeżeli tego nie spróbujemy, o północy nadal będziemy tu stali i Mistrz Gry posłuży się tym samym GPS-em, żeby nas zabić — odparła Amanda.

Nikt się nie poruszył. Na chwilę wstrzymali oddech.

— Widzisz jakąś inną możliwość? — zapytał Balenger, zwracając się do Raya.

— Nie.

Balenger spojrzał w niebo.

— Chcesz, żebyśmy byli pomysłowi? — zapytał.

Mistrz Gry nie odpowiedział.

Balenger odłożył karabin i zaczął odgarniać kamienie.

— Nie mamy czasu, żeby się tam przekopać — zauważył Ray.

— Mam zamiar zrobić otwór i umieścić tam GPS — odparł Balenger. — Im głębszy otwór, tym większa siła eksplozji.

Amanda i Ray zabrali się natychmiast do pracy.

— Postarajcie się, żeby otwór biegł pod tym samym kątem co nachylenie zbocza — powiedział Balenger. — Muszę widzieć GPS z dołu.

Mimo pokaleczonych palców Amanda i Ray wydfubali otwór, który miał kilka stóp głębokości. Przypominał skierowany w górę miniaturowy tunel. Balenger spostrzegł, że dłonie Amandy znowu zaczęły krwawić. Starła się nie krzywić z

bólu. Gdy umieszczał jej odbiornik GPS w otworze, zauważył, że drży ze zdenerwowania.

— Powiedz, jeżeli coś ci nie pasuje — rzekł, ponownie spoglądając w niebo.

Mistrz Gry milczał.

— To może być ostatni moment naszego życia — mruknął Ray.

— Wolę moje pozytywne nastawienie — odparł Balenger. — Bóg musi czuć się strasznie samotny, jeżeli nie ma z kim pogadać — dodał, patrząc w niebo. — Lubisz z nami rozmawiać. Dlaczego rezygnować z rozrywki, skoro gra toczy się dalej?

Mistrz Gry nie odpowiedział.

— W takim razie zabieramy się do dzieła — oświadczył Balenger, starając się, by w jego głosie zabrzmiała pewność siebie.

Kiedy schodzili w trójkę na dół, spod ich butów osypywały się kamienie. Jako odpowiednią osłonę przed eksplozją wybrali największą stertę gruzów.

— Nie widzę celu — stwierdził Balenger, po czym sapiąc z wysiłku i nie zważając na ból w kolanie, wdrapał się z powrotem na górę i poszerzył otwór tak, że obniżył się jego wylot.

Upewniwszy się, że GPS stoi pionowo, odwrócił się, żeby zejść na dół. Amanda i Ray obserwowali go zza sterty gruzów. Balenger poślizgnął się na kamieniu i nie chcąc runąć na twarz, odchylił się i wylądował z jękiem na siedzeniu. Przez kilka sekund zbierał siły, a potem wstał i stawiając ostrożnie stopy, zszedł na dół.

Schował się za stertą gruzów i zaczekał, aż Amanda i Ray Położą się płasko na ziemi.

— Zakryj rękoma uszy — powiedział do Amandy — i otwórz usta, żeby zmniejszyć ciśnienie w przewodach słuchowych.

Wsadził chusteczki do uszu, po czym ukląkł na zdrowym kolanie i wycelował z karabinu, przyciskając mocno kolbę do ramienia. Trudno było dojrzeć na górze mały aparat. Zadanie utrudniał cień góry.

— Jakież problemy? — usłyszał stłumiony przez chusteczki głos Raya.

— Po prostu chcę mieć pewność — odparł, ustawiając czerwoną kropkę na małym celu w otworze. Szary zarys urządzenia był trochę ciemniejszy od otaczających skał. Balenger wstrzymał oddech i nacisnął spust.

Bang! Czując na ramieniu siłę odrzutu, przygotował się na falę uderzeniową po wybuchu, ale nic takiego nie nastąpiło.

— Chybiłeś? — zapytał Ray, unosząc głowę i spoglądając w stronę zbocza.

— Niewykluczone.

— Wspaniale!

— Może trafiłem w materiał wybuchowy, nie detonator.

— A jaka to różnica? Jeśli rozwaliłeś GPS, bomba jest zniszczona. Możemy zapomnieć o wysadzeniu rumowiska.

Balenger ponownie ustawił czerwoną kropkę na celu.

— Nie, GPS jest cały — stwierdził. — Chybiłem.

— Daj mi spróbować — nalegał Ray.

Balenger nacisnął spust.

Huk wybuchu wstrząsnął nim, fala uderzeniowa pchnęła do tyłu. Wylądował na prawym boku z uniesionym karabinem. Wszędzie dookoła sypały się kamyki. Tuż obok jego głowy upadł większy kawałek skały. Mimo chusteczek dzwoniło mu w uszach. W powietrzu unosił się gryzący odór materiałów wybuchowych.

Kiedy przebrzmiało echo wybuchu, spojrzął na Amandę i stwierdził z ulgą, że nic jej się nie stało. Przykucnięta, przyglądała się zboczu. Ray się podniósł. Balenger zrobił to samo i zobaczył z satysfakcją, że w miejscu, gdzie były skały, powstał szeroki otwór. Wyjął z uszu chusteczki i wyszedł zza gruzowiska.

— Tam są chyba drzwi! — zawołała Amanda, biegnąc na górę.

Po chwili wszyscy troje dotarli do otworu. W głębi widać było barierę z popękanych szarych desek. Balenger zobaczył przy nich zawiasy i klamkę.

— Tak, to drzwi — powiedział.

Siła wybuchu przekrzywiła je na bok. Podeszli bliżej i pchnęli je. Runęły z trzaskiem do środka. Do gardeł wpadł im pył i nie mogli powstrzymać kaszlu.

Amanda i Ray zajrzeli do środka.

— Niewiele widzę. Trzeba poszerzyć wejście — stwierdził Ray, po czym pchnął do wewnątrz deski po obu stronach wyważonych drzwi.

Światło dnia sięgało może dwadzieścia stóp w głąb tunelu. Środkiem biegły tory. Drewniane stemple podtrzymywały strop.

— Wygląda to solidnie — powiedziała Amanda.

Balenger wyciągnął z plecaka latarkę i oświetlił nią tunel, ale udało mu się tylko w znikomym stopniu rozproszyć ciemności. Przeszedł go dreszcz na myśl o zamkniętych pomieszczeniach.

— Myślicie, że bezpiecznie jest tam wchodzić? — zapytał z wahaniem Ray.

— A jakie mamy inne wyjście? — odparła Amanda.

Balenger przyjrzał się ścianom i zobaczył małą kamerę przymocowaną do belki pod stropem.

— Jesteśmy we właściwym miejscu. Tunel jest monitorowany — stwierdził.

— Nie widzę żadnego pojemnika, niczego, co by mogło zawierać kapsułę czasu — mruknął Ray.

Balenger dał Amandzie latarkę.

— Idź tuż za mną i oświetlaj drogę. Ja pójdę pierwszy. Wyciągnął z plecaka pudełko z amunicją, po czym wyjął magazynek z karabinu i załadował go.

**POZIOM DZIEWIĄTY**  
**SARKOFAG**  
**ZIEMSKICH**  
**NAMIĘTNOŚCI**



# 1

Temperatura spadała. Powietrze w tunelu pachniało stęchłą. Buty idącego w ciemności Balengera szurały po skalnej posadzce.

— Kiedy byłem mały — odezwał się Ray, najwyraźniej starając się przenieść myślami gdzie indziej — razem z kilkoma kolegami wybraliśmy się do jaskini.

— Znalazłeś tam coś ciekawego? — zapytała Amanda.

— Utknąłem w przejściu.

— Jak to?

— Moi koledzy popedałowali po pomoc. Siedziałem tam dziesięć godzin, zanim wyciągnęli mnie ratownicy.

— Nie wiem, czy to mi pomoże w pozytywnym myśleniu — mruknął Balenger.

— Przecież w końcu wyszedłem, nie? To chyba coś pozytywnego? Przestań zrzędzić. Zaczekaj. Stój. Zaświeć latarką na lewo. Tam. Na podłogę.

Amanda skierowała latarkę w tamtą stronę. Ich oczom ukazały się dwa zakurzone przedmioty. Ray podniósł jeden z nich.

— Lampy naftowe!

Zdmuchnął pył z zaokrąglonego klosza i przetarł go rękawem. Kiedy potrząsnął lampą, coś zachlupotało.

— Mój Boże, wciąż jest tam nafta.

Balenger zmarszczył brwi.  
— Nafta nie wyparowała przez ponad sto lat?  
— Jak mogła wyparować? Przykrywka zbiornika jest szczelna — odparł Ray.  
— Przez knot.  
Ray zdjął szklany klosz i zbadał knot.  
— Może knot zatkał zbiornik i powietrze nie mogło się dostać do środka. A zresztą, jaka to różnica? Najważniejsze, że możemy sobie poświęcić — powiedział, wyciągając z kieszeni zapalniczkę.  
— Nie — powiedział Balenger.  
Ray oparł kciuk na kółku zapalniczki.  
— Nie rób tego! — Balenger złapał go za rękę i ścisnął, nie pozwalając obrócić kółka.  
Rayowi pociemniały oczy.  
— Puszczaj!  
— Odłóż zapalniczkę.  
— Ostrzegam cię — powiedział chrapliwym głosem Ray.  
— Puszczaj!  
Balenger cofnął dłoń.  
— Po prostu słuchaj tego, co mówię.  
Ray schował zapalniczkę do kieszeni.  
— Mistrz Gry nie protestował, kiedy użyliśmy materiału wybuchowego w GPS-ie, żeby się tu dostać — powiedział Balenger. — To do niego niepodobne.  
Ray odstawił lampę na ziemię.  
— Myślisz, że zadziwiła go nasza pomysłowość? Nie wydaje mi się — kontynuował Balenger.  
Ray z wściekłym okrzykiem złapał karabin za kolbę i lufę i pchnął Balengera na ścianę. Ten zachwiał się, zaczepił nogą o szynę i upadł. Ray skoczył na niego i przycisnął do ziemi karabinem. Balenger, z rękoma przygwożdżonymi własną bronią, próbował odepchnąć napastnika, ale nacisk na pierś tamował mu oddech i pozbawiał sił.

— Trzymaj ode mnie z daleka swoje pieprzone łapska! — wrzeszczał Ray.

Balenger znowu próbował się podnieść.

— Nie mów mi, co mam robić! — Twarz Raya była wykrzywiona z wściekłości. Był zaskakująco silny, furia dodawała mu sił.

— Przestań! — krzyknęła Amanda.

Wijąc się na zimnej podłodze, Balenger nie mógł wysunąć rąk spod karabinu. Próbował kopnąć Raya w krocze, ale ten przycisnął nogami jego kolana. Nagle rąbnął go czołem w nos.

Balenger poczuł przeszywający ból i pociemniało mu przed oczyma. Z nosa trysnęła krew.

— Przestań, do cholery! — wrzasnęła Amanda.

Balenger, któremu dwoiło się w oczach, zobaczył, że Amanda próbuje ściągnąć z niego Raya.

— Zejdź z niego! Nie rozumiesz, co ci chciał dać do zrozumienia?

Ray ponownie uderzył go głową w nos. Balenger jęknął. Coraz mocniej przyciskany do podłogi, próbował desperacko złapać oddech.

— Lampy to pułapka! — krzyczała Amanda. — Dlaczego Mistrz Gry nie protestował, kiedy odpaliliśmy ładunek w GPS-ie?

Ray opierał się całym ciężarem ciała na karabinie. W jego wąskich jak szparki oczach płonęła nienawiść. Amanda szarpała go za ramiona.

— Chciał, żebyśmy weszli do tunelu! — wołała. — Chciał, żebyśmy poczuli się pewniej i przestali mieć się na baczności!

Amanda złapała Raya za szyję, ale on uderzył ją w twarz tyłem głowy.

— Lampy mogły eksplodować! — krzyknęła, zataczając się do tyłu. — Od ich płomienia mógł zapalić się gaz w tunelu!

Balenger powoli tracił świadomość. Krew wypełniała mu

nozdrza, w miażdżonych z coraz większą siłą płucach brakowało powietrza.

Za Rayem pojawił się nagle jakiś cień. Balenger był przekonany, że ma halucynacje. Cień trzymał w rękach głaz. Nagle podniósł go i opuścił tak mocno, że leżący pod spodem Balenger zadrżał od siły uderzenia. Z głowy Raya trysnęła krew. Cień uderzył ponownie i popłynęło więcej krwi. Chrupnięciu kości towarzyszył odgłos miażdżenia.

Balenger zobaczył, że ciemne oczy Raya otwierają się szerzej, a potem nieruchomieją. Cień uderzył po raz trzeci i tym razem dźwięk był głuchy.

Ray zadygotał i zacharczał. Wyglądało to, jakby zerwały się poruszające nim sznurki. Bezwładne ciało zważyło się na Balengera, przygważdżając go jeszcze mocniej do podłogi.

Balenger tracił przytomność. Krew zatykała jego spuchnięte nozdrza; miał wrażenie, że coś ciężkiego wciąga go pod powierzchnię wody. Ciężar nagle zsunął się z jego piersi. Czyjeś ręce zepchnęły z niego zwłoki i przewróciły go na brzuch. Krew wypłynęła z nosa.

— Oddychaj! — krzyczała Amanda.

Balenger zakaszłał. Jego płuca zaczęły ponownie pracować. Oddychając głębiej, czuł, jak powietrze chłodzi obolałe gardło.

Tuż obok usłyszał chrapliwy oddech Amandy. Powoli usiadł i w padającym od wejścia przyćmionym świetle zobaczył, że stoi nad nim, oparta o ścianę tunelu. Po chwili osunęła się na ziemię. W blasku leżącej obok latarki jej rysy miały w sobie coś surowego.

— Czy on... — wyjąkała, nie kończąc zdania.

— Tak.

Balenger odetchnął głęboko i rozjaśniło mu się trochę w głowie.

— Sukinsyn.

— Tak.

— Niedobrze mi.

— To normalne po użyciu przemocy.

Przez chwilę słychać było wyłącznie ich urywane oddechy.

— Nie dał mi żadnego wyboru — powiedziała Amanda.

— Żadnego — zgodził się Balenger, ale wiedział, że to nie ma większego znaczenia. Odtąd będzie ją prześladował kolejny koszmar. — Mocno cię poturbował?

— Mam spuchnięty policzek tam, gdzie rąbnął mnie głową. A ty?

— Złamał mi nos.

Balenger zdjął z ramion plecak. Bolały go plecy, w które wbiły się, gdy padał, pudełka z amunicją. Wylał na dłoń trochę wody z manierki i spróbował zmyć krew z twarzy. Następnie wyjął apteczkę i rozdarł opakowanie z antyseptyczną maścią.

— Pozwól, że ja to zrobię—powiedziała Amanda i delikatnie wytarła mu twarz.

Balenger starał się nie reagować na ból.

— Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać moja pokancerowana fizjonomia — mruknął.

— Zawsze chciałam żyć z facetem, który wygląda jak bokser.

W świetle latarki Balenger przyjrzał się jej spuchniętemu policzkowi. Objęli się mocno.

— Dziękuję — szepnął.

Nadal trzymając ją w objęciach, Balenger spojrzał na zwłoki Raya.

— Tunel. Sarkofag. Godzina dwunasta — powiedział. Amanda pokiwała głową.

— Jeżeli przegramy, Mistrz Gry może po prostu wysadzić tunel i nas w nim pogrzebać — powiedziała. — Nigdy stąd nie wyjdziemy.

— Spodobała ci się śmierć Raya, Mistrzu Gry? — zapytał Balenger, odwracając się do zamontowanej na słupku kamery.

Czekając na odpowiedź, dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że podczas bójki spadły mu z głowy słuchawki. Założył je, ale Mistrz Gry nie odpowiedział na jego pytanie.

— Może sygnał radiowy nie przenika ścian tunelu — zastanawiała się Amanda.

— Och, przenika — odezwał się nagle głos. — Nie musicie się o to obawiać.

Balenger dał trzy aspiryny Amandzie i sam łyknął trzy tabletki, po czym popił je wodą. Mimo bólu wcisnął do nosa waciki, mając nadzieję, że zatamują krwawienie. Zarzucił plecak na ramiona i wziął do ręki karabin.

— Gotowa? — zapytał Amandę.

— Gotowa — odparła i podniosła latarkę.

Ruszyli dalej tunelem. Nagle Balenger zatrzymał się i cofnął w stronę wyjścia. Sięgnął po jedną z lamp i podał ją Amandzie.

— Po co nam to? — zapytała, przyglądając się jej podejrzliwie.

— Nie wiem — odparł i powściągając odrzę, wyciągnął z kieszeni kombinezonu Raya zapalniczkę. — Nigdy nie wiadomo, co nam będzie potrzebne.

Ponownie ruszyli w głąb tunelu. Balenger trzymał karabin gotów do strzału. Światło latarki w znikomym stopniu rozpraszało ciemności.

— Robi się coraz zimniej — zauważyła Amanda.

Tunel skręcił. Po kilku krokach zatrzymali się w progu małej pieczary.

— Moim ulubionym cytatem są słowa Kierkegaarda, bardzo pasujące do kapsuły czasu — oznajmił Mistrz Gry.

— Jakie słowa? — zapytał Balenger. Niech z nami rozmawia, pomyślał. Niech czuje się z nami związany.

— Najboleśniejszym doświadczeniem jest wyobrażenie sobie przyszłości, zwłaszcza tej, której nigdy nie będziemy mieli.

— Nie rozumiem.

— Odnosi się to do umierającej osoby, wyobrażającej sobie wydarzenia, w których już nigdy nie weźmie udziału.

Zrobiło się jeszcze zimniej. Trzymana w drżącej dłoni  
Amandy latarka omiatała wnętrze pieczary.

— Jesteśmy chyba na miejscu — szepnęła słabym głosem.

## 2

W ciemności zobaczyli przed sobą mężczyznę. Wysoki i tyczkowaty, z brodą, która upodabniała go do Abrahama Lincolna. Ciemne włosy spadały mu na ramiona. Ubrany był w staroświecki surdut z połami sięgającymi do kolan.

Balenger o mało nie strzelił. Postawa mężczyzny nie wskazywała jednak, by mógł stanowić jakieś zagrożenie, i górę wzięły nawyki wyniesione z wojskowego i policyjnego szkolenia. Musisz mieć cholernie ważny powód, żeby pociągnąć za cyngiel, powtarzał instruktor w akademii policyjnej.

Mężczyzna stał wyprostowany jak struna i przyciskał coś do piersi.

— Halo? — Złamany nos sprawił, że głos Balengera za brzmiał grubiej niż zwykle.

Mężczyzna nie odpowiedział.

— Jesteś Mistrzem Gry? — zapytał Balenger, gotów strzelić, gdyby pojawił się cień zagrożenia.

— On się chyba nie rusza — powiedziała Amanda. Podeszli bliżej z latarką.

Mężczyzna był pokryty kurzem. Nie miał oczu. Zapadnięte policzki oraz sterczący podbródek i kości policzkowe nadały mu niesamowity wygląd. Palce, którymi przyciskał coś do piersi, okrywała podobna do pergaminu skóra.



- Nie żyje — mruknęła Amanda.
- I to od dawna — potwierdził Balenger. — Ale dlaczego nie zgnił?
- Czytałam gdzieś, że w pieczarach nie ma prawie owadów ani mikrobow — powiedziała ściszym głosem Amanda. — A ten tunel znajduje się głęboko we wnętrzu góry. Łód.
- O co ci chodzi?
- To kolejna wskazówka, którą dostaliśmy od Mistrza Gry, lecz nie potrafiliśmy jej zrozumieć. Powiedział, że w ziemie mieszkańcy wycinali lód z jeziora i składowali go w kopalni. W tunelu było tak zimno, że latem się nie topił.
- Niska temperatura — zgodził się Balenger. — To go z mumifikowało.
- Przedmiot, który przyciska do piersi, wygląda jak książka. Ale co go podtrzymuje?
- Amanda podeszła bliżej z latarką.
- Przekonali się teraz, że ciało nie stoi pionowo, lecz przechyla się lekko do tyłu, oparte o deskę unieruchomioną u podstawy kamieniami. Mumia była przywiązana do niej sznurami na wysokości kolan, brzucha, piersi i szyi.
- Kto go przywiązał? — zapytał Balenger, drżąc nie tylko z zimna.
- Węzły są z przodu. Może sam to zrobił — odparła Amanda, przesuwając latarkę w górę i w dół. — Dopóki nie zawiązał pętli na piersi, miał wolne ręce. Potem mógł wsunąć prawą pod sznur i przycisnąć książkę. Stojąc tuż przy nim, widzimy, na czym polega sztuczka, ale z daleka facet wygląda, jakby nas witał.
- Poznajcie wielbnego Owena Pentecosta — odezwał się Mistrz Gry. Tym razem jego głos nie popłynął ze słuchawek, lecz z głośników wiszących na ścianach. Rozbrzmiewające w pieczarze echo było irytujące.
- Sukinsyn miał wycucie dramatu.
- Niewątpliwie — potwierdził Mistrz Gry.

— Przypuszczam, że książka, którą trzyma w ręku, to Biblia. — Amanda przekrzywiła głowę, żeby przeczytać tytuł na grzbiecie tomu. Kiedy jej się nie udało, postawiła lampę na podłodze i dotknęła palcem okładki, chcąc odślonić tytuł.

Balenger złapał ją za rękę.

— To może być pułapka.

Nagła bladość, którą powlekła się jej twarz, kontrastowała ostro z zaczerwienieniem na policzku.

— Iraccy rebelianci uwielbiają podkładać bomby pod ciała amerykańskich żołnierzy — wyjaśnił Balenger. — Kiedy ktoś podnosi albo odwraca ciało, bomba wybucha.

Amanda cofnęła rękę.

— To nie Biblia — powiedział Mistrz Gry. — To „Ewangelia Sarkofagu Ziemijskich Namiętności”.

— Niezbyt chwytny tytuł — zauważył Balenger.

— Pentecost napisał ją odręcznie. Przedstawia w niej plagi nadchodzącego stulecia i twierdzi, że ludzie muszą zrozumieć prawdę.

— Cóż to za prawda?

— Zobaczcie sami.

Amanda oświetliła latarką otwór w ścianie za Pentecostem. Balenger ruszył do przodu z gotowym do strzału karabinem, ona oświetlała przed nim drogę. Przeszli przez otwór i znaleźli się oboje w znacznie większej pieczarze.

Amanda otworzyła usta z wrażenia.

Balenger poczuł na języku gorzki smak.

— Rzeczywiście to sarkofag. Ziemijskich namiętności.

### 3

Stalaktyty i stalagmity zasłaniały częściowo widok. Ponieważ latarka nie dawała zbyt wiele światła, nie sposób było zobaczyć od razu wszystkiego. Amanda musiała przesuwać snop światła latarki od obiektu do obiektu, od jednego do drugiego „żywego” obrazu.

Od trupa do trupa.

Czekali tu na nich mieszkańcy Avalonu. Ubrani w swoje najlepsze niedzielne stroje, po przeszło stu latach zakurzone i spłowiałe. Ich twarze podobnie jak Pentecosta były zapadnięte, ze sterczącymi podbródkami i kośćmi policzkowymi. Zmumifikowani przez panujący w pieczarze chłód, wydawali się mniejsi niż w rzeczywistości; ubrania wisały na nich.

Najbliższa grupa składała się z czterech mężczyzn, którzy siedzieli przy stoliku i grali w pokera.

— Pamiętaj, żeby niczego nie ruszać — ostrzegł Balenger.

Po dokładnym sprawdzeniu okazało się, że mężczyźni są przywiązani do krzesel, jednak w przeciwieństwie do więźów Pentecosta ich sznury były ukryte. Karty przyklejono im do dłoni. Zgięte przedramiona przybito do stołu gwoździami. Leżała przed nimi sterta pieniędzy.

Inni mężczyźni siedzieli przy stole, na którym stała butelka

whiskey i szklanki. Zwłoki były przymocowane sznurami i gwoździami.

— Grzechy — mruknął Balenger.

Przy kolejnym stole, tym razem dłuższym, zobaczył mężczyzn, kobiety i dzieci nad talerzami, na których musiały leżeć kiedyś góry jedzenia. Teraz została tylko wysuszona, nierozpoznawalna masa. Z ust wystawało im coś, co wyglądało jak żeberka wieprzowe i kości kurczaka.

Na łóżku dwie nagie kobiety leżały pod martwym mężczyzną. W innym łóżku mężczyzna dobierał się do dwójki nagich dzieci płci męskiej i żeńskiej. Gdzie indziej nagi mężczyzna leżał na brzuchu na stole, a inny mężczyzna kopulował z nim od tyłu. Inny mężczyzna odbywał stosunek z psem.

— Wygląda na to, że wielbny Pentecost miał sporo obsesji seksualnych — powiedziała Amanda.

Kobieta siedząca przed zakurczonym lustrem ze szczotką do włosów i pudełkiem wyschniętych kosmetyków wpatrywała się w swoje pomarszczone oblicze. Mężczyzna z dziurą w skroni i rewolwerem w ręku opierał się twarzą o stół. Mumia przygrywała na skrzypcach parze przytulonej do siebie w pozycji, która wydawała się niemożliwa, dopóki Balenger nie zobaczył, że tancerze zostali przybici gwoździami do deski ustawionej między nimi i podtrzymywanej przez kamienie.

Kolejne sceny wyłaniały się z mroku wszędzie tam, gdzie Amanda zwróciła światło latarki.

— Muzyka i taniec? Dla Pentecosta prawie wszystko było grzechem — powiedział Balenger. — Jak zginęli wszyscy ci ludzie poza facetem z dziurą w głowie? — zapytał, podchodząc do zamontowanej na ścianie kamery. — Co to było? Zbiorowe samobójstwo podobne do tego, które po pełnili wyznawcy Jima Jonesa, kiedy kazał im wypić zatruty kool-aid?

— Flavor-aid — poprawił go Mistrz Gry. — Trucizną, której użył Jones, był cyjanek. Jego kościół nazywał się Świątynią Ludu. Samobójstwo popełniło ponad dziewięćset wyznawców. Nakłonieni przez Jonesa twierdzili, że protestują w ten sposób przeciwko „panującym na świecie nieludzkim warunkom”. To jedno z wielu popełnionych ostatnio zbiorowych samobójstw o podłożu religijnym. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych członkowie Zakonu Świątyni Słońca zabili się, by uniknąć plag tego świata i schronić się w niebiańskim miejscu, któremu nadali nazwę Syriusz. Wyznawcy kultu Bramy Niebios wypili zatrutą wódkę, żeby wstąpić do raju na pokładzie statku kosmicznego, ukrytego za zbliżającą się kometą Hale'a-Boppa. Jednak mnie osobiście najbardziej podoba się Ruch na rzecz Przywrócenia Dziesięciu Przykazań Bożych. Jego członkom ukazywała się Najświętsza Panienka. Wierzyli, że świat skończy się trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, w przeddzień trzeciego tysiąclecia. Kiedy apokalipsa nie nastąpiła, policzyli wszystko od nowa i wyszło im, że prawdziwą datą końca świata jest siedemnasty marca. Ponad osiemset osób zmarło w oczekiwaniu na to, co miało być według nich kresem ziemskiego czasu.

— A zatem mam rację — powiedział Balenger. — To było zbiorowe samobójstwo.

— Nie. Nawet człowiek z dziurą w głowie nie popełnił samobójstwa. Strzał został oddany po jego śmierci.

— Więc...?

— To było zbiorowe morderstwo — odparł Mistrz Gry. — Pentecost zabił wszystkich dwustu siedemnastu mieszkańców miasta, w tym osiemdziesięcioro pięcioro dzieci. Na dokładkę uśmiercił wszystkie domowe zwierzęta.

Balenger poczuł, że cały drętwieje.

— Tyle osób przeciwko jednemu mężczyźnie — wyjął. — Mogli mu się chyba przeciwstawić.

— Nie wiedzieli, co się dzieje. Pentecost nakłonił ich, żeby przyszedli tutaj trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Wierzyli, że wstąpią do nieba. Wierzyli w to tak mocno, że dotarli tu mimo śnieżycy. Pentecost zapewnił ich, że kopalnia jest wyznaczonym miejscem. Musiał ich zgromadzić w tej pieczarze. Tylko w ten sposób mógł wszystkich zgładzić.

— Jak? — zapytała Amanda. — Trucizną? Czy miał dość jedzenia i wody, żeby je zatruc i uśmiercić wszystkich dwustu siedemnastu mieszkańców Avalonu? Jak zdołał to zrobić, że się nie zorientowali?

— Nie dodał trucizny do jedzenia ani do wody.

— Skoro ich nie zastrzelił, nie mam pojęcia, jak mógł zabić jednocześnie tyle osób.

— Arsenik to interesująca substancja. Podgrzana, nie zmienia się w ciecz, lecz od razu w gaz.

— Pentecost ich zagazował?

— Arsenik ma zapach czosnku. Wydobywał się z zamkniętego pomieszczenia, więc nie mogli zapobiec jego rozprzestrzenianiu się. Po zapaleniu ognia, który podgrzał arsenik i spowodował wydzielanie się gazu, Pentecost wyślizgnął się na zewnątrz i zamknął wejście do kopalni. W tamtych czasach budynki u stóp zbocza były całe. Schronił się przed śnieżycą w jednym z nich. Potem otworzył drzwi i poczekał, aż gaz się ulotni przez szyb wentylacyjny. Następnie zaaranżował „żywe” obrazy. Chciał, żeby Sarkofag Ziemijskich Namietności stał się lekcją na przyszłość. Wypełniwszy „misję”, zaaranżował własny „żywy” obraz, otruł się i odszedł, by odebrać należną mu, jak sądził, nagrodę. Zauważyliście już wcześniej, że w kopalniach i jaskiniach jest niewiele owadów i mikrobów. Poza niską temperaturą to właśnie sprawiło, że zwłoki zmumifikowały się i nie uległy rozkładowi. Ale w tej kopalni było trochę owadów. Nie mogły się dostać do zwłok, ponieważ zabił je arsenik.

Balenger spojrział z odrazą na „żywe” obrazy.

— Powiedziałeś wcześniej, że sarkofag pokaże mi sens życia. Nie widzę, jaka z tego wszystkiego płynie nauka, oprócz tego, że wszyscy umrzemy.

— Ale nie my — podkreśliła Amanda. — Przynajmniej nie dziś wieczorem. Odnaleźliśmy sarkofag przed północą. Wygraliśmy. Możemy stąd wyjść.

— Sensem życia i jego przekleństwem jest to, że ludzie wierzą w idee, które rodzą się w ich umysłach — oznajmił Mistrz Gry, nie odpowiadając na jej słowa, lecz zwracając się do Balengera. — Co gorsza, działają zgodnie z tymi ideami. Weźcie pod uwagę wielkich masowych morderców z ubiegłego stulecia. Hitlera. Stalina. Pol Pota. Zginęły przez nich miliony ludzi. Czy ci despoci uważali się za szaleńców? Raczej nie. Sądziли, że rezultaty ich działań warte są cierpień, których przysporzyli. Starożytni wierzyli, że niebo jest kopułą z dziurami, przez które prześwieca niebiańskie światło. To była ich rzeczywistość. Później ludzie wierzyli, że Słońce obraca się wokół Ziemi, która, jak sądzili, jest środkiem wszechświata. To uważano za rzeczywistość. Jeszcze później Kopernik ogłosił, że Ziemia obraca się wokół Słońca i ono jest środkiem wszechświata. To stało się rzeczywistością. Rzeczywistość tkwi w naszych umysłach. Jak inaczej wytłumaczyć to, co stało się w tej pieczarze? Wielebny Pentecost, Jim Jones, Zakon Świątyni Słońca, wyznawcy kultu Bramy Niebios i Ruchu na rzecz Przywrócenia Dziesięciu Przykazań Bożych. Wyznawane przez nich idee określały ich percepcję. Statek kosmiczny kryjący się za kometą Hale'a-Boppa? Proszę bardzo, skoro potrafisz go wymyślić, jest realny. Otrucie dwustu siedemnastu osób, żeby mogło to stanowić lekcję na przyszłość? Dla Pentecosta było to najoczywistszą rzeczą, jaką można sobie wyobrazić. „Tworzymy naszą własną rzeczywistość”, powiedział kiedyś doradca Białego Domu. Prawda Sarkofagu Ziemijskich Namiętności jest taka, że idee określają byt i wszystko jest wirtualne.

— A to oznacza, że twoje idee nie są lepsze od innych! — stwierdził gniewnym głosem Balenger. — Twoje rozumowanie jest tak samo błędne jak Pentecosta! Podobnie jak twoja gra. Ale teraz jest już po wszystkim! Wygraliśmy! Wychodzimy!

Mistrz Gry nie odpowiedział.

Balenger dał Amandzie znak, żeby ruszyła w stronę wyjścia. Weszli do mniejszej pieczary, w której wielebny Pentecost czekał sto lat, żeby pozdrowić przyszłe pokolenia.

Balenger poczuł nagle falę uderzeniową. Odruchowo skulił się, gdy rozległ się głośny wybuch. Ściany się zatrzęsły i posypały się z nich kamienie. O mało nie stracił równowagi.

— Nie! — krzyknął, kiedy ucichł huk.

Razem z Amandą minęli biegiem Pentecosta i dotarli do tunelu, lecz jeszcze przed rogiem zatarasował im drogę gęsty pył. Kaszłąc, cofnęli się.

Amanda odwróciła się do kamery.

— Ty sukinsynu, mówisz, że nie kłamiesz! — krzyknęła. — Przysięgałeś, że nie tworzysz nieuczciwych gier. Obiecałeś, że będziemy mogli wyjść, jeśli wygramy!

Mistrz Gry zachował milczenie.

Kurz stopniowo opadał. Balenger i Amanda ruszyli ostrożnie do przodu. Amanda oświetliła latarką dalszy odcinek tunelu. Snop światła docierał do miejsca, gdzie zostawili ciało Raya. Pokrywała go sterta kamieni.

— Lucius musiał wysadzić GPS Raya — powiedział Balenger.

— Nie nazywaj mnie Lucius — zaprotestował głos.

— Czemu nie? Nie przestrzegasz już reguł. Dlaczego, do diabła, mielibyśmy nazywać cię Mistrzem Gry?

— Kto powiedział, że gra jest skończona?

Balenger i Amanda spojrzeli na siebie w świetle latarki.

— Nie wiem, na jak długo starczy baterii. Zabrałeś zapasowe? — zapytała.

— Nie.



— Nie można pamiętać o wszystkim — stwierdziła po chwili. — Pomyślałeś przynajmniej, żeby zabrać latarkę.

— Jasne — odparł, przeklinając się w duchu.

— Może zrobimy pochodnie z ubrań w sarkofagu... — Amanda usiłowała wykrzesać z siebie odrobinę optymizmu, lecz nagle załamał jej się głos. — To zły pomysł. Płomienie mogą spowodować wybuch gazu.

— Jeżeli jest tu gaz, wybuchłby już wcześniej, kiedy Mistrz Gry zdetonował bombę — powiedział Balenger.

— Może. — W jej głosie zabrzmiało powątpiewanie. — Ale poza tym uświadomiłam sobie, że płomienie zużyją tlen. Nie udusimy się tak szybko, siedząc po ciemku.

Kiedy umilkło echo jej głosu, usłyszeli jakiś inny hałas. Warczenie. Balenger i Amanda odwrócili się i zobaczyli dwa psy, które szły za nim od strumienia. W mroku wydawały się większe, zwłaszcza ten podobny do wilka. W świetle latarki ich oczy były czerwone. Ślina kapłała im z pysków.

— Weszły za nami do środka! — zawołał załamany.

Psy zawarczały i podeszły bliżej. Balenger podniósł karabin, ale zanim zdążył strzelić, odwróciły się i zniknęły w ciemności.

— Są tu uwięzione razem z nami. Nie mają nic innego do jedzenia. Kiedy wyczerpią się baterie w latarce... — Amanda nie dokończyła zdania.

— No tak, coraz trudniej zachować pozytywne nastawienie. — Balenger nadal celował w mrok. — Opowiedzieć ci dowcip?

— Nie.

— Podniesie cię na duchu.

— Wątpię.

— Pewien facet był samotny i w depresji.

— Nie chcę tego słyszeć.

— Żona zabrała dzieci i zostawiła go. Stracił pracę. Bał się, że ma raka.

— To ma być dowcip?

— Usłyszał głos, który do niego mówił.  
— To mi coś przypomina.  
— Rozchmurz się, powiedział głos. Zawsze może być gorzej. Więc facet się rozchmurzył i okazało się, że głos miał rację. Nazajutrz było jeszcze gorzej.

— Ha ha.  
— Nie podniosło cię to na duchu? Może źle opowiedziałem. Masz jakiś pomysł, co robić?

Amanda się zawahała.

— Lampa naftowa — powiedziała.

— Tak?

Latarka drżała w ręku Amandy.

— Jeżeli to bomba, moglibyśmy jej użyć do usunięcia skał z tunelu — oświadczyła.

— Może. Ale eksplozja może również sprawić, że zawali się dłuższy odcinek — odparł.

— A ten szyb wentylacyjny, o którym wspomniał Mistrz Gry?

Balenger poczuł, że budzi się w nim nadzieja. W świetle latarki pył płynął w powietrzu, jakby niesiony przeciągiem.

Ruszyli powoli do przodu. Amanda oświetlała to prawą, to lewą stronę tunelu. Podeszwy ich butów szurały po skale. Balenger nasłuchiwał warczenia psów. Z przejścia zaszczoło mu w ustach. Razem z Amandą minęli zakręt i spojrzeli w głąb tunelu. Był pusty.

— Musiały pobiec do sarkofagu — powiedziała. Trzymając gotowy do strzału karabin, Balenger podszedł do pierwszej pieczary. Amanda oświetliła ją latarką. Wielbny Pentecost witał ich, przyciskając książkę do piersi.

Balenger wszedł do środka, celując w wejście do sarkofagu. Amanda wsunęła się za nim z latarką. Posuwając się ostrożnie do przodu, zostawili Pentecosta w ciemności.

Z sarkofagu wyłonił się jakiś cień. Przebiegając pod lufą karabinu, pies skoczył na Balengera, który zatoczył się do

tyłu i odruchowo pociągnął za spust. W zamkniętym pomieszczeniu strzał i rykoszet odbiły się ogłuszającym echem, rażąc boleśnie uszy. W powietrzu latały odłupane pociskiem kawałki skały. Balenger czuł napierające na niego cielsko psa. Wpadli na Pentecosta i przewrócili podtrzymującą go deskę. Łądując na mumii, Balenger poczuł, że pękają jej kruche kości.

Pies wbijał pazury w kombinezon i sięgał zębami do jego gardła. Balenger starał się odepchnąć zwierzę i złapać za szyję, ale o mało nie odgryzło mu palców. Zdesperowany, wyciągnął nóż z kieszeni i wcisnął kciukiem przycisk zwalnający ostrze. Dźgnął bestię w bok, lecz trafił w żebro. Pies nadal wbijał mu pazury w pierś i próbował chwycić zębami za gardło. Za drugim razem Balenger zadał cios pod żebra i pociągnął. Trysnęła krew. Ostrze musiało trafić w jakiś ważny organ. Pies zadygotał i skonał.

Balenger zrzucił go z siebie i zerwał się na nogi, celując w wejście do sarkofagu. Serce biło mu tak szybko, że zrobiło mu się niedobrze. W trakcie walki z psem Amanda przez cały czas kierowała na nich snop światła.

— Uważaj na drugiego psa! — zawołała i zwróciła latarkę w stronę sarkofagu.

Balenger słyszał wyłącznie swój chrapliwy oddech. Zerknął na mumię Pentecosta, która rozsypała się na kawałki. W powietrzu unosił się przykry odór.

— Ugryzł cię? — zapytała Amanda.

— Zdziwiłbym się, gdyby tego nie zrobił — odparł.

Miał rozdarty z przodu kombinezon i piekła go podrapana pazurami skóra. Skaleczenia pokryte były krwią jego i psa.

— Nawet jeżeli cię nie ugryzł, opryskał cię śliną. Będziesz musiał się zaszczepić przeciwko wściekliznie.

— Zakładając, że stąd wyjdziemy. Podoba mi się twój optymizm.

Balenger zauważył, że tuman kurzu, który wzbił się podczas walki, dryfuje w bok.

— Nie wydaje ci się, że z sarkofagu płynie powietrze? — zapytał.

— Chyba masz rację — odparła po chwili.

— To ten szyb wentylacyjny.

Weszli do sarkofagu.

Pies, który się tu schronił, jest większy, pomyślał Balenger. Musiał to chyba powiedzieć na głos, ponieważ Amanda postanowiła dodać mu otuchy.

— Jeżeli jest większy, łatwiej go zobaczymy. To daje nam przewagę.

— Niesamowitą przewagę. Los nam wyraźnie sprzyja. Nie wiem, dlaczego nie zdawałem sobie z tego sprawy. — Balenger podziwiał jej determinację. — Wiesz, to chyba idealny czas i miejsce — dodał.

— Na co?

— Żeby ci się oświadczyć.

Amanda nie namyślała się długo.

— Zgadzam się. Nic nie może mnie bardziej podnieść na duchu.

Wymachując na wszystkie strony latarką, która wyłuskiwała z mroku groteskowe „żywe” obrazy, starała się zlokalizować psa. Kiedy Balenger podniósł z ziemi garść kurzu i sypnął nim w górę, w snopie światła było widać, że prąd powietrza niesie jego drobiny. Ruszyli przed siebie w poszukiwaniu źródła przeciągu. Balenger przez cały czas nasłuchiwał, czy nie rozlegnie się chrobot pazurów albo warczenie. Kiedy ponownie sypnął kurzem, okazało się, że wieje z lewej strony. Razem z Amandą minął mumię mężczyzny, który siedział odchylony na krześle, trzymając się ręką za krocze.

Idąc wzdłuż ściany pieczary, trafili na rumowisko.

— Wygląda mi to na zawał — powiedział Balenger.

Amanda podniosła latarkę i oświetliła otwór nad stertą kamieni.

— To stamtąd płynie powietrze.

Balenger z obawą odwrócił się plecami do wnętrza pieczary, odłożył karabin i zaczął się wspinać po rumowisku, żeby zobaczyć, dokąd prowadzi otwór. Podejście było jednak zbyt strome i po chwili zsunął się na dół. Nagły wysiłek sprawił, że zaboląły go mocniej zadrapania na piersi.

— Myślisz, że uda nam się uprzątnąć te kamienie? — zapytał.

— Zanim się wyczerpią baterie w latarce? — Amanda kiwnęła głową. — Mam strasznie pokaleczone ręce. Będę się starała, ale to musi trochę potrwać.

— Gdybyśmy zbudowali platformę z kamieni, moglibyśmy na niej stanąć i poszerzyć otwór na górze. — Pamiętając przez cały czas o psie, Balenger zaczął usypywać platformę. Nagle przerwał. — Czujesz ten zapach?

— Jaki? — Amanda wbiła wzrok w otwór nad rumowiskiem. — Teraz czuję. Pachnie jak...

— Czosnek. — Balenger cofnął się.

— Arsenik — stwierdziła drżącym głosem Amanda.

Zapach gazu stawał się coraz mocniejszy. Balenger zakaszłał. Czuł, że zbiera mu się na wymioty. Wypatrując psa, przebiegli przez pieczarę i wpadli do pomieszczenia, gdzie walebnny Pentecost nie witał już swoich gości.

Amanda zatrzymała się, nie mogąc dłużej wstrzymać oddechu. Balenger wciągnął powietrze w płuca.

— Nie czuję tutaj czosnku.

— To się wkrótce zmieni. — Amanda oświetliła mumię Pentecosta, obok której postawiła wcześniej lampę naftową. — Jeżeli to bomba, możemy jej użyć, żeby wysadzić rumowisko i przebić się do tamtego pomieszczenia. Moglibyśmy wtedy zgasić ogień, który podgrzewa arsenik.

— Grozi nam to samo co wcześniej. Od wybuchu może się zawalić sklepienie — zauważył Balenger.

— Wolę zginać w ten sposób: próbując coś zrobić.  
Balenger popatrzył na nią z podziwem. Czując, jak wracają mu siły, pochylił się i odciął nożem kawałek surduta Pentecosta.

— To będzie lont? — zapytała.

Balenger kiwnął głową. Otworzył zbiornik lampy naftowej i wsunął w otwór pasek materiału.

— Musimy przykryć lampę kamieniami — oznajmił. — Jak długo możesz wstrzymywać oddech?

— Tak długo, jak będzie trzeba — odparła.

Balenger dał jej lampę. Zaczerpnął powietrza, wypuścił i znowu wciągnął je głęboko w płuca. A potem wstrzymał oddech i wbiegł do pieczary gotów strzelić, gdyby zaatakował go pies. Przed sobą widział podrygujący krąg światła latarki, którą trzymała podążająca za nim Amanda. Minęli zmumifikowane postaci i dotarli do rumowiska. Balenger odłożył karabin i zaczął robić otwór. Próbując opanować coraz silniejszą potrzebę zaczerpnięcia oddechu, myślał o morderczym zapachu czosnku, który go zabije. Amanda przyświecała mu latarką, a on odrzucał kolejne kamienie. Jego płuca domagały się tlenu, lecz nie przerywał pracy. Kiedy otwór był dość duży, by zmieścić się w nim lampa, wsadził ją do środka i przysypał kamieniami, zostawiając miejsce na lont. Na koniec wyciągnął z kieszeni zapalniczkę Raya i przekreślił kółko.

Nic się nie wydarzyło. Rozgorączkowany spróbował ponownie. Wcześniej martwili się z Amandą, że od płomyka zapali się łatwo palny gaz, lecz chyba powinno do tego dojść, kiedy Mistrz Gry zdetonował GPS Raya. „Chyba” nie dawało zbyt wielkich gwarancji, nie miał jednak wyboru. Musiał zaryzykować. Na widok płomyka zamarł w oczekiwaniu eksplozji. Kiedy do niej nie doszło, zapalił pasek materiału, złapał karabin i przebiegł z Amandą do sąsiedniej pieczary.

Ból w płucach zmusił go do zaczerpnięcia oddechu, jeszcze zanim tam dotarli. Od zapachu czosnku zrobiło mu się niedo-

brze. Kiedy usłyszał rżenie Amandy, przyciągnął ją do siebie i ukryli się za rogiem.

— Zakryj rękoma uszy i otwórz usta — przypomniał jej.

Ponownie wstrzymał oddech, by nie czuć w nozdrzach morderczej woni czosnku. Raz, dwa, trzy. Serce biło mu jak młotem, lecz czas płynął powoli niczym w grze wideo, w której jedna minuta trwa w rzeczywistości dwie. Cztery, pięć, sześć.

Może lont zgasł? Albo płomyk zdusiły kamienie? Nie wiedział, czy zdoła wstrzymać oddech dość długo, by ponownie zapalić lont.

A może lampa wcale nie była bombą?

Miał już zamiar zająrzeć do sarkofagu, kiedy górą wstrząsnął potężny wybuch. Ze sklepienia posypały się kawałki skał i gęsty pył. Mimo przedsięwziętych środków ostrożności huk poraził jego uszy. Przez chwilę miał wrażenie, że pieczara się zawała, przyciągnął bliżej Amandę. Wstrząsy nie ustawały. O mało nie zbiły go z nóg. Obejmował mocno Amandę, pragnąc ją za wszelką cenę osłonić. Wibracje powoli dobiegły końca. Ze sklepienia przestały się sypać kamienie. Dłużej nie mógł wstrzymać oddechu i znów poczuł zapach czosnku. Kiedy Amanda odwróciła się i oświetliła sarkofag latarką, zakręciło mu się w głowie.

Pieczarę wypełniał tuman kurzu. „Żywe” obrazy rozsypały się w pył. Na ziemi leżały szmaty i kawałki drewna. Z mumii zostały same kości. Ponownie wstrzymując oddech, minęli je i zobaczyli otwór w ścianie za rumowiskiem. Balenger spodziewał się, że arszenik jest podgrzewany przez jakieś skomplikowane urządzenie, lecz był to zwyczajny grill na węgiel drzewny, który przewrócił się na ziemię. Obok porozrzucanych węgli leżała kostka żółtej substancji — jak przypuszczał, arszeniku. Kopnął ją na bok.

Zataczając się, znalazł drzwi skryte wcześniej za rumowiskiem. Eksplozja wyłamała je i otworzyła tunel. W głębi było

widać światło. Balenger złapał Amandę za rękę i pobiegli tam, pragnąc uciec przed przyprawiającym o mdłości, morderczym odorem.

Po chwili dotarli do drzwi, nad którymi paliła się żarówka. Nie były jednak drewniane i poszarzałe ze starości. Zrobiono je ze lśniącego metalu.

Balenger chciał nacisnąć klamkę, lecz tym razem to Amanda złapała go za rękę.

— Zaczekaj — powiedziała, wyciągając z kieszeni gumową rękawicę. — Kiedy się wczoraj obudziłam, drzwi były pod napięciem.

Włożyła rękawicę i nacisnęła klamkę, która nie stawiała oporu. Pchnąwszy drzwi, odsunęła się na bok, żeby mógł wycelować do środka z karabinu.

To, co tam zobaczyli, przyprawiło ich o dreszcze.



## 4

Stali w progu wielkiej rozświetlonej hali, w której rozbrzmiewało elektryczne buczenie. Na metalowych regałach z lewej strony stały w rzędach komputerowe monitory. Wszystkie były włączone i pokazywały dolinę, opróżniony zbiornik, wejście do kopalni, tunel, zniszczony sarkofag i rozświetloną halę, w której stali Balenger i Amanda. Idąc wzdłuż monitorów, Balenger dostrzegł, że na jednym z nich widać obraz przekazywany z kamery na jego słuchawkach. Choć ekran pokazywał to, co widział, on sam nie był na nim widoczny; patrząc nań, miał poczucie własnej bezcielesności. Na kolejnym monitorze widać było obraz przekazywany z kamery Amandy. Balenger zobaczył na nim siebie, stojącego o dwadzieścia stóp od niej i wpatrującego się w monitor, na którym było ich widać. Zapętłające się poziomy percepcji przyprawiły go o zawrót głowy.

Jednak znacznie większe wrażenie niż liczba monitorów i zakres inwigilacji zrobiło na nim to, że żaden z obrazów na niezliczonych ekranach nie wyglądał normalnie. Dolina, zbiornik, wejście do kopalni, sarkofag, rozświetlona hala, on sam i Amanda — nic z tego nie było przedstawione w tak zwany realistyczny sposób. Wszystko przypominało jaskrawy, kolorowy komiks.

— Mój Boże, wyglądamy niczym w grze wideo — powiedziała Amanda.

— Witajcie w „Łowcy” — oznajmił dźwięczny głos, jeszcze bardziej niż poprzednio przypominający prezentera wieczornych wiadomości.

Balenger odwrócił się w prawo. Na długości około pięćdziesięciu jardów stały tam regały ze sprzętem komputerowym. Wyżej znajdowała się szklana ściana, przez którą można było obserwować monitory.

— Przeszedłeś pozytywnie ostatni test — oświadczył Mistrz Gry. — Okazałeś się godny.

— Godny czego, ty gnoju? — wrzasnął Balenger.

Oślepiony bijącym od ekranów kolorowym blaskiem z trudem rozpoznawał to, co znajdowało się za szklaną ścianą. Blisko szyby stał wysoki fotel. Jego poręcze zaopatrzone były w liczne dźwignie i przyciski. Siedząca na nim niska, drobna osoba miała rzadkie, żółte włosy i małą, pomarszczoną twarzyczkę, przypominającą Balengerowi chłopca, który nagle się zestarzał. Gogle na oczach potęgowały wrażenie, że mają do czynienia z dzieckiem.

— Frank! — zawołała Amanda. — Ten monitor! Zobacz, jak on nas widzi!

Balenger popatrzył tam, gdzie wskazywała. Na ekranie zobaczył obraz, który Mistrz Gry widział przez swoje gogle. Oglądani z wysoka, z przeszkłonego stanowiska obserwacyjnego, Balenger i Amanda wpatrywali się w monitor, na którym było widać, jak wpatrują się w monitor. Balengerowi ponownie zakręciło się w głowie. Jego dezorientację pogłębiało to, że na tym ekranie on i Amanda również wyglądali jak postaci z komiksów. Nie tylko kamery przetwarzały rzeczywistość tak, by przypominała komputerową grafikę. Gogle, które miał na oczach Mistrz Gry, zmieniały wszystko, co widział, w sceny z gry wideo. Co więcej, spuchnięty, siny policzek Amandy i złamany nos Balengera wydawały się nieprzysparzającymi

bólu niewielkimi obrażeniami. Krew na piersi podrapanej przez psa i obwiązane taśmą kolano stanowiły tylko kolorowe urozmaicenie.

— Nie jesteście postaciami z komiksu! — wrzasnął Balenger do siedzącego w fotelu za szklaną ścianą pół mężczyzny, pół chłopca.

Podniósł karabin i ustawił czerwoną kropkę na pomarszczonej twarzyczce w goglach. Przez krótką chwilę uświadamiał sobie ironię tej sceny: holograficzna kropka również tworzyła komiksową iluzję, bo mimo że było ją widać na prawym szkłe gogli Mistrza Gry, tak naprawdę istniała tylko w celowniku, była wirtualna. Kiedy strzelił, huk wystrzału przetoczył się przez pieczarę. Pocisk uderzył w szklaną ścianę, ale skrzesał tylko kilka iskier. Balenger wiedział, że większość kuloodpornych szyb można rozbić, lokując pięć pocisków w okręgu o promieniu pięciu cali. Pociągnął cztery razy za spust. Wokół niego sypały się łuski, pociski trafiały w szybę, lecz nie odniosło to większego skutku.

Rozwścieczony obrócił broń ku ekranom, na których było widać komiksowe sylwetki jego i Amandy, i zaczął do nich strzelać. Niszczył monitory pokazujące, jak strzela do monitorów. W powietrzu fruwały kawałki plastiku i sypały się iskry.

Karabin nagle ucichł.

— Amando, w zewnętrznej kieszeni plecaka jest zapasowy magazynek!

Kiedy wyjął pusty magazynek, podała mu załadowany. Balenger wsunął go na miejsce, przesunął rygiel wprowadzający nabój do komory i rozbił w drobny mak pięć kolejnych monitorów.

W pewnym momencie uświadomił sobie, że monitory łatwo będzie zastąpić. Pragnąc powodować większe szkody, odwrócił się w stronę regałów ze sprzętem komputerowym. Kiedy posłał w nie pociski, pojawił się dym i płomienie. Jeden za drugim gasły kolejne ekrany.

Balenger podszedł do metalowych schodów, które prowadziły do stanowiska obserwacyjnego.

— Przestań! — odezwał się nagle błagalny głos.

Nie należał do Mistrza Gry, lecz do kobiety. Balenger nie mógł go nie rozpoznać. Zatrzymał się zaskoczony. To była Karen Bailey.

Zobaczył, że schodzi po schodach. Wyświetlane na kilku ocalałych monitorach kolorowe obrazy kontrastowały z jej szarym kostiumem, nieróżniącym się od tego, który zapamiętał z wykładu. Rysy twarzy były jeszcze bardziej surowe, kok ściągnięty mocniej do tyłu.

— Wygraliście! A teraz wynoście się stąd! Odejdźcie! — zawołała.

— Po tym wszystkim, co nam zrobiliście? — odskrzyknęła Amanda. — Spodziewasz się, że tak po prostu odejdziemy?

— Błagam was, skorzystajcie z szansy! Odejdźcie! Tędy! — dodała, pokazując metalowe drzwi za sobą. — Wyprawdzą was!

— To kolejna pułapka!

— Nie! Będzie na was czekała terenówka! — Karen rzucała im kluczyki, które potoczyły się z brzękiem po kamiennej podłodze.

— W samochodzie jest pewnie bomba? — zapytał Balenger.

— Udowodnię wam, że nie. Wsiądę pierwsza! Zapalę silnik!

— Kiedy skończymy, może ci na to pozwolimy — zawołała Amanda. — Na razie mamy tutaj kilka spraw do załatwienia!

— Wyjdźcie natychmiast! Zostawcie go!

— Mam go zostawić? Do diabła, mam zamiar go zabić! Balenger dał krok do przodu, lecz Karen zablokowała schody.

- Nie! To jakaś pomyłka! Nie mieliście wcale wygrać!
- My też odnieśliśmy takie wrażenie. Przykro mi, że zesuliśmy wam zabawę.
- Nigdy nie sądziłam, że pozwoli tu komuś wejść.
- Na nic nam nie pozwolił! — krzyknęła Amanda. — Sami utorowaliśmy sobie drogę.
- To prawda — odezwał się, wypełniając całą halę, dźwięczny głos Mistrza Gry. — Wykazali się większą zdolnością przetrwania, niż się spodziewałem. Szczerze mnie zaskoczyli. Na samym początku powiedziałem Amandzie, że ocalenie zależy tylko od jednego: wystarczy mnie zaskoczyć.
- Chcesz, żeby cię zaskoczył? — zapytał Balenger. — Zaczekaj, aż tam wejdę.
- Jeżeli go zabijesz, on wygra! — zawołała Karen. W jej głosie brzmiała desperacja.
- Co to znaczy?
- On wygra. Czy postępując zgodnie z jego życzeniem, będziecie się czuli usatysfakcjonowani? Oszukał was tak samo jak mnie!
- Oszukał cię?
- Gdybym znała prawdę o tej grze, nigdy bym mu nie pomogła. Dopiero przed chwilą odkryłam, jaki jest jej prawdziwy cel.
- Prawda o grze? Że jest Bogiem i istniejemy tylko w jego umyśle? To nie jest prawda! Prawdą jest to, co widzisz!
- Balenger posłał kolejne trzy pociski w sprzęt komputerowy i ruszył energicznym krokiem w jej stronę.
- Stój! — zawołała, blokując schody.
- W porządku jest zabijać ludzi, ale nie w porządku, kiedy zostanie za to ukarany? — zapytał.
- Nie w ten sposób! On jest psychicznie chory! Jego miejsce jest w szpitalu!
- Więc dlaczego go tam wcześniej nie posłałaś? Mogłaś go powstrzymać, ale zamiast tego mu pomagałaś. Zginęli

ludzie. Nie obchodzi mnie, co zrobił wam obojgu ojczym!  
Nie obchodzi mnie, w jakiej klitce trzymał was przez trzy dni!

— Wiesz o tym? — zapytała zszokowana.

— I o tym, że porzuciła was matka, zostawiając na łasce  
zoboczonego pijaka. To nie daje wam prawa...

— Jego matka wcale go nie porzuciła.

— Jak to?

— To ja jestem jego matką. Nigdy go nie porzuciłam. I nie  
zrobię tego teraz.

Balenger poczuł, że robi mu się niedobrze.

— Klitka była tak mała, że nie mogliśmy się położyć —  
powiedziała Karen, wpatrując się w niego. Balenger nigdy  
w życiu nie widział tak intensywnego spojrzenia. — W ciem-  
ności słyszeliśmy, jak zabijał drzwi gwoździami. Pchaliśmy je,  
ale nie chciały się poruszyć. Waliliśmy w nie pięściami, lecz to  
też nic nie dało. Brakowało miejsca, żeby je kopnąć. Powietrze  
docierało do nas przez szpary wokół drzwi. Błagaliśmy, żeby  
nas wypuścić, ale nie zrobił tego. Trzy dni bez jedzenia i picia.  
Siedzieliśmy we własnym kale i moczu. Od smrodu zbierało  
mi się na mdłości. Byłam pewna, że umrzemy, ale nie chciałam  
pokazać Luciusowi, jak bardzo się boję. Kiedy zaczął gwał-  
townie oddychać, ostrzegłam, że zabraknie nam powietrza,  
jeżeli nie będzie tego robił powoli i spokojnie. Gładziłam go po  
głowie. Mówiłam, jak bardzo go kocham. Kładłam jego rękę  
na swoich piersiach, żeby czuł mój spokojny oddech. Opowia-  
dałam mu po ciemku historie o wymyślanym świecie  
o nazwie Peregrine, gdzie ptaki potrafią myśleć, mówić i upra-  
wiać czary. Wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy sokołami i fru-  
niemy ku chmurom. Zataczaliśmy kręgi i szybowali nad  
wodospadami. Klitka znikła. Później zdałam sobie sprawę, że  
musałam tracić zmysły. Pierwsza gra, którą stworzył Lucius,  
rozgrywała się właśnie w tym świecie.

Karen spojrzała na niego, jakby wróciła z jakiegoś odległego  
miejsca.

— Opiekowałam się nim, odkąd się urodził. Kobieta, która go porzuciła, nie była jego matką. Ja jestem jedyną matką, którą zna, jedyną osobą, którą kiedykolwiek kochał. On jest jedyną osobą, którą kiedykolwiek kochałam.

— Zejdź mi z drogi.

Karen sięgnęła po coś za swoimi plecami.

— Nie pozwolę ci go skrzywdzić. Nie pozwolę ci skrzywdzić mojego syna.

— On jest twoim bratem.

— Nie! — krzyknęła Karen.

— Uważaj, Frank — zawołała Amanda.

Zdesperowana Karen podniosła broń. Mimo przyćmionego światła Balenger rozpoznał kształt karabinu. Razem z Amandą rzucili się w lewo i w tej samej chwili grad pocisków odłupał kamienie od ściany. Seria poszła wyżej, bo Karen nie opanowała siły odrzutu. Balenger wstał, ustawił czerwoną kropkę celownika i strzelił jej dwa razy w głowę. Kiedy upadła, karabin potoczył się z łoskotem po metalowych stopniach.

Balenger minął dymiące konsole i wbiegł na górę. Metalowe drzwi były uchylone, zza nich padało światło. Otworzył je kopniakiem na oścież i zajrzał do pomieszczenia, w którym otoczony kontrolkami Mistrz Gry siedział na swoim kosmicznym fotelu. Jego oczy były skryte za goglami, ale pomarszczona dziecinna twarz robiła żalosne wrażenie.

— Cholerny Czarnoksiężnik z Oz — mruknął Balenger.

— Czyżbyś utożsamiał się z Dorotką? — Po zniszczeniu przez Balengera sprzętu na dole nie działały urządzenia wzmacniające. Piskliwy głosik Mistrza Gry nie przypominał już głosu telewizyjnego prezentera. — Być może wskazuje to na seksualną dezorientację. W grach osadzonych w wirtualnym świecie połowa mężczyzn wybiera żeńskie role.

Balenger podniósł karabin.

— Dorotka kompletnie mnie rozczarowała — oświadczyła krucha postać. — Po obejrzeniu niezliczonych barwnych

cudów krainy Oz nie mogła się doczekać, żeby wrócić do swojego obskurnego domku w Kansas. Odrzuciła splendory alternatywnej rzeczywistości. Idiotka.

Balenger wziął na cel Mistrza Gry, myśląc o krwi, która trysnęła z ust Ortegi, kiedy spadła na niego taczka.

— Tam właśnie mam cię posłać? — zapytał. — Do Oz? A co powiesz na Syriusza, gdzie sądzili, że lecą, ludzie ze Świątyni Słońca? Może chcesz wsiąść na latający spodek po drugiej stronie komety?

— Każde miejsce jest lepsze od tego. „Najboleśniejszym doświadczeniem jest wyobrażanie sobie przyszłości” — oznajmił piskliwy głos.

— Zwłaszcza twojej przyszłości, tej, której nigdy nie będziesz miał — dodał Balenger, parafrazując dalszą część cytatu. — Jak się nazywał facet, który stwierdził, że Platon nie miał racji, mówiąc, że wszystko jest złudzeniem?

— Arystoteles.

— Więc pozdrów ode mnie Arystotelesa — powiedział Balenger i dotknął palcem spustu.

— To nie będzie miało znaczenia, dopóki nie dowiesz się, co wygrałeś.

— Wygraliśmy życie — odparł Balenger. Pamiętał, ile wycierpiała Amanda i jak mało brakowało, żeby ją stracił.

— Nie tylko to — odparł cienkim głosikiem Mistrz Gry. — Po pokonaniu tych wszystkich przeszkód okazaliście się godni.

— Czego?

— Żeby zabić Boga.

Balenger poczuł w ustach gorzki smak.

— Tylko tak może się to odbyć — wyjaśnił Mistrz Gry. — Dokonując nadludzkich wysiłków, postać przejmuje kontrolę nad grą, choć zgodnie z teorią kontrolować ją może tylko jej twórca. Postać staje się herosem, który pokonuje Boga.



— Chcesz, żebym cię zabił? — zapytał z odrazą Balenger. — To miała na myśli twoja siostra, mówiąc, że dopiero teraz zrozumiała cel gry?

— Potrzebuję kogoś godnego — stwierdził Mistrz Gry. — Skarbiec Sądnego Dnia.

— Nie rozumiem.

— Zagrożenia, które sprawiły, że skarbiec okazał się niezbędny, pokazują, jak źle został urządzony wszechświat. Zagłada nuklearna. Globalne ocieplenie. Wszystkie inne możliwe koszmary. Lepiej byłoby, gdyby stwórca niczego nie stworzył. Nawet Bóg czasem wpada w rozpacz.

— To gra samobójcza — powiedział zbulwersowany Balenger.

— Teraz będę szybował i zataczał kręgi w nieskończoności. Balenger uświadomił sobie, że Karen Bailey użyła tych samych słów.

— Jak sokół?

Pół mężczyzna, pół chłopiec pokiwał głową.

— Słyszałem, że Karen opowiedziała ci o klitce. Zabiłeś ją? — zapytał.

— Tak.

Mistrz Gry przez chwilę milczał. Gdy się ponownie odezwał, jego piskliwy głos drżał lekko.

— Nie sposób było tego uniknąć. Kiedy odkryła, jak zakończy się ta gra, nie chciała na to pozwolić. Musiałeś ją powstrzymać. Ale nadal istnieje w moim umyśle. Teraz może szybować i zataczać kręgi w nieskończoności. — Spod gogli Mistrza Gry pociekły łzy. — Była ze mną przez całe sześć miesięcy, które spędziłem w szpitalu.

Balenger przypomniał sobie, co powiedziała profesor Graham o załamaniu nerwowym Luciusa.

— Tak bardzo chciałem doprowadzić gry do perfekcji i tak bardzo koncentrowałem się na swojej pracy, że coraz dłużej obywałem się bez snu. Przez cztery, pięć i sześć dni. W końcu,

siódmego dnia mój umysł przeniósł się gdzie indziej. Przez pół roku pozostawałem w stanie katatonii. Nie wiedziałem o tym, ale Karen siedziała przy mnie cały czas, powtarzała szeptem moje imię, próbowała ściągnąć mnie z powrotem. Nigdy nie powiedziałem jej, gdzie byłem.

— Profesor Graham stwierdziła, że nazwałeś to Złym Miejscem.

Drobna postać pokiwała głową.

— To było nie do wystowienia. Przez sześć miesięcy mój umysł był uwięziony w klitce.

Balenger wstrzymał oddech. Koszmar zawarty w tych słowach wprowadził go w odrętwienie.

— Siedziałem skulony w ciemności, przerażony, bez jedzenia i picia, dławiąc się odorem własnego kału. Lecz tym razem byłem sam. Nie miałem Karen, która pogładziłaby mnie po głowie i powiedziała, że mnie kocha. Powtarzałem sobie, że klitka nie jest prawdziwa. Ale po czym miałem poznać różnicę? Moje skulone ciało, ciemność, głód i pragnienie wydawały się jak najbardziej prawdziwe. Mój strach był prawdziwy. Smród gówna był prawdziwy. Mogłem jednak wyobrazić sobie jakiegokolwiek inne miejsce. Wiedziałem, że jeżeli się na tym mocno skoncentruję, ono też stanie się realne.

I wtedy właśnie daleko w ciemności usłyszałem głos Karen, która szeptała moje imię. Zawołałem do niej, lecz ona mnie nie usłyszała. Zawołałem głośniejsze. Jej szept był coraz wyraźniejszy i mój umysł podążył ku niej. Gdy obudziłem się w szpitalu, zobaczyłem, że trzyma mnie za rękę. — Kolejne łzy wyciekły spod gogli Mistrza Gry. — Ale to też nie było prawdą. W rzeczywistości nigdy nie wydobyłem się z tej klitki. Wszystko było kolejną grą w moim umyśle. Tkwiałem w tej klitce od samego początku. Nadal jestem zamkniętym w niej chłopcem, mój umysł jest zamknięty w klitce. Pociągnij za spust.

Balengera kompletnie sparaliżowało to, co usłyszał.

— Pomyśl, ile wycierpiała przeze mnie Amanda — dodał Mistrz Gry. — Ukarz mnie. Ukarz Boga. „Uderzyłbym słońce, gdyby mnie znieważyło”\*. Skąd jest ten cytat, Amando?

Balenger ze zdziwieniem spostrzegł, że Amanda stoi za nim.

— Z „Moby Dicka” — odparła. — Ahab ściga po całym świecie białego wieloryba. To nie przeszkadza mu uważać, że wszystko jest złudzeniem stworzonym przez Boga. Zatem w gruncie rzeczy ściga Boga.

— Nie rozczarowałam mnie. No dalej — powiedział Mistrz Gry do Balengera. — Masz moją zgodę. Zniszcz swojego twórcę. Uderz słońce.

Balenger nie był w stanie się poruszyć.

— Na co czekasz?

Balenger uświadomił sobie, że trzyma palec na spuście.

— „Sam jestem piekłem”\*\*. Skąd to jest, Amando? — zapytał Mistrz Gry. Jego twarz była nieprzenikniona pod gojami.

— Z „Raju utraconego”. Lucyfer opisuje, co czuje, będąc wygnany przez Boga.

— Powiedzmy, że Bóg tkwi w swoim własnym piekle. Zrób to! — rozkazał Mistrz Gry.

— Żeby cię nagrodzić? — odparł Balenger, opuszczając broń.

— Zabij mnie.

— Utożsamieś się ze mną w grze. Powiedziałeś, że jestem twoim substytutem. Twoim awatarem. Jestem tobą.

— Wysokim i silnym. Bogiem w cielesnej formie.

— Zabijając cię, zabiłbym sam siebie. Nie zrobię tego.

Mistrz Gry zmarszczył brwi.

— Odmawiasz mi?

— Jeżeli chcesz popełnić samobójstwo, miej odwagę zrobić

\* tłum. Bronisław Zieliński

\* tłum. Maciej Słomczyński

to sam. W przeciwnym razie wezwę ambulans i zabiorą cię do domu wariatów.

— Zdradzasz mnie?

— Umieszczą cię w pokoju bez klamek i wtedy zakosztujesz prawdziwego piekła.

Mistrz Gry przyjrzał się mu. Chociaż jego oczy były skryte za goglami, Balenger wyczuwał w nich cierpienie.

— W takim razie... — powiedział w końcu mały człowieczek, sięgając do przycisku w poręczy fotela.

— Hej! — Tknięty złymi przecuciami Balenger próbował go powstrzymać. — Co robisz?

— ...wszyscy pójdziemy do piekła — dokończył Mistrz Gry, wciskając przycisk.

Balenger domyślił się nagle, co ich czeka.

— Co to za przycisk?

— Okazałeś się niegodny.

— Co to znaczy „wszyscy pójdziemy do piekła”? Co zrobisz?

— Czy mam odwagę skończyć to sam? Oczywiście. Skoro nie zaakceptowaliście tego, co zgotował wam los, zakończę grę za was.

Balenger z coraz większym przerażeniem wpatrywał się w przycisk.

— Za minutę świat zakończy się tak samo, jak się rozpoczął — oświadczył Mistrz Gry.

Zgasły prawie wszystkie palące się jeszcze światła. Oświetlona była tylko konsola przed fotelem Mistrza Gry i zegar, którego czerwone cyfry odliczały mijające sekundy.

— Wielkim wybuchem — dodał Mistrz Gry.

— Ty sukinsynu! Chcesz nas tutaj pogrzebać?

— Gra okazała się wadliwa. Podobnie jak wszechświat — oznajmił w ciemności słaby głos.

Amanda zapaliła latarkę, ale jej światło było nikłe, baterie wyczerpane. Balenger wyjął z plecaka lornetkę z noktowizo-

rem. Gdy podniósł ją do oczu, zobaczył zieloną wersję pół mężczyzny, pół chłopca, który siedział na fotelu i spoglądał przez gogle na zegar. Ku nieskończoności. Zielona poświata sprawiała, że wyglądał jak element gry wideo.

— Pięćdziesiąt sekund.

Wydawało się nieprawdopodobne, że minęło tylko dziesięć sekund, lecz Balenger nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

— Złap mnie za rękę! — zawołał do Amandy.

Kiedy prowadził ją po schodach, bolały go kolano, pierś i nos. Na dole przestąpili przez nierzeczywiste w zielonej poświacie zwłoki Karen Bailey i pobiegli w stronę metalowych drzwi.

— Czterdzieści sekund! — zawołał piskliwy głos z po mieszczenia obserwacyjnego.

Balenger miał wrażenie, że zejście po schodach i dobiegnięcie do drzwi musiało im zająć więcej czasu.

Amanda włożyła gumową rękawicę, żeby przekręcić klamkę.

Drzwi się nie otworzyły.

Coś zawarczało za Balengerem. Zaskoczony odwrócił się i zobaczył, że pies wszedł do hali przez otwarte drzwi po drugiej stronie. Stał w odległości dziesięciu stóp i wlepił w niego zielone ślepią. Jeszcze bardziej przypominał wilka.

— Trzydzieści pięć sekund!

To niemożliwe, pomyślał. Tyle rzeczy nie mogło się zdarzyć w tak krótkim czasie.

— Mistrzu Gry! — zawołała Amanda. — Bóg dotrzymuje słowa.

Balenger zrozumiał jej intencje.

— Pokaż, że twoja gra była uczciwa! — zawołał, pocąc się mimo chłodu.

— Trzydzieści cztery sekundy!

— Otwórz drzwi! — nalegała Amanda. — Znaleźliśmy

sarkofag. Przysięgłeś, że to wszystko, co musimy zrobić, żeby wygrać. A teraz zmienileś reguły!

Milczenie przedłużało się, mijały kolejne sekundy.

— Udowodnij, że Bóg nie jest kłamcą!

Pies zawarczał.

Elektroniczny zamek nagle zabrzączał. Mistrz Gry otworzył drzwi.

Amanda pospiesznie złapała za klamkę. Kiedy otwierała drzwi, pies zaatakował. Albo tak im się tylko zdawało. Balenger pchnął Amandę na ziemię, lecz przerażone zwierzę, które jedynie chciało uciec, przeskoczyło przez nich i zniknęło w mroku.

Zatrzasnęli za sobą drzwi i znaleźli się w kolejnym tunelu. Biegając nim, Balenger czuł, że czas, który mieli do dyspozycji, już minął. Wydawało się, że tunel nie ma końca. Licząc po cichu „siedem, sześć, pięć”, czekał na huk eksplozji. Trzy, dwa, jeden. Ale nic się nie działo. Przez noktowizor widział jaśniejszy odcień zieleni w miejscu, gdzie mrok tunelu przechodził w mrok doliny. Mimo bólu w kolanie pobiegł jeszcze szybciej.

W pewnym momencie ich szybkie kroki przestały się odbijać echem. Wybiegając z tunelu na świeże powietrze, usłyszał obok siebie Amandę i nagle poczuł, że unosi się w powietrze. Fala uderzeniowa cisnęła go kilkanaście kroków dalej. Wylądował z głuchym łupnięciem i sturlał się po stoku. W przeciwieństwie do jałowej ziemi przed wejściem do kopalni, to zbocze było porośnięte trawą. Balengerowi zabrakło tchu. Przetoczył się jeszcze kilka jardów i nagle się zatrzymał. Amanda wylądowała z jękiem tuż obok. Na trawę spadały kamienie. Jeden z nich uderzył go w ramię. Obolały, podczołgał się do Amandy.

— Jesteś ranna?

— Wszędzie — odparła. — Ale chyba przeżyję. Podczas wybuchu lornetka i karabin wypadły Balengerowi z rąk.

W blasku Księżycy w trzeciej kwadrze zobaczył nad sobą wydobywające się z tunelu tumany dymu i kurzu.

— Serwer wysiadł. Gra skończona — mruknął.

— Jesteś tego pewien? — zapytała Amanda. — Skąd będziemy wiedzieli, czy gra rzeczywiście dobiegła końca?

Balenger nie znał odpowiedzi na to pytanie. Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Zobaczył oddalającego się psa i z powrotem osunął się na ziemię.

Amanda padła koło niego.

— Mistrz Gry dotrzymał słowa — powiedziała. — Wypuścił nas. Udowodnił, że nie jest kłamcą.

— Bóg próbował odkupić swoje grzechy — zgodził się z nią Balenger.

Czuł, jak wstrząsa nim wewnętrzny dreszcz. Teraz, kiedy kryzys dobiegł końca i miał przy sobie Amandę, wiedział, że za parę minut da o sobie znać jego stary znajomy, stres pourazowy. To była jedyna prawdziwa rzeczywistość. Nie, nieprawda, pomyślał. Jedyną prawdziwą rzeczywistością jest Amanda.

— Co twoim zdaniem zaplanował jeszcze Mistrz Gry? — zapytała, drżąc ze zdenerwowania. — Co się wydarzy? Myślisz, że Karen Bailey mówiła prawdę o samochodzie?

— Zaufałabyś jej? — zapytał.

— Nie. Eksplodujący samochód to świetny sposób na zakończenie gry.

— Można też rozsypać się w pył jak Pac-Man. — Balengerowi przyszło coś na myśl. — Albo jak mieszkańcy Avalonu w pieczarze. Mistrz nauczył mnie, że są gry, których nigdy się nie wygra. Gracz zawsze ginie.

— Tak, wszyscy umierają. Ale nie dzisiaj — odparła Amanda. — Dzisiaj wygraliśmy. W jaskini, kiedy on odliczał czas, sekundy wydawały mi się dłuższe niż zwykle.

Balenger uświadomił sobie, skąd się wzięło to wrażenie.

— Odliczanie odbywało się zgodnie z czasem gry. Jedna minuta w jego rzeczywistości trwała dwie minuty w naszej.

Oboje na chwilę zamilkli. W oddali zawył pies.

— Dlaczego dał nam tę szansę? — zastanawiała się Amanda.

— Może wcale nie miał zamiaru jej dawać — odparł Balenger. — Może znał tylko czas wirtualny.

— A może rozróżniał je i odliczanie było finałowym poziomem gry. „Czas jest prawdziwym łowcą”, powiedział. I na samym końcu biegu z przeszkodami oraz gry w szukanego dał nam coś drogiego: dodatkową minutę.

— Naszą bonusową rundę.

Balenger miał wrażenie, że nigdy nie pozbedzie się tego wrażenia. Zawsze będzie mu się wydawało, że nie zdołał uciec i nadal bierze udział w grze.

Amanda spróbowała usiąść.

— Czeka nas długi marsz.

— Może jeszcze chwilę odpocznijmy.

Dreszcze, które nim wstrząsały, były coraz silniejsze. Objął rękoma pierś, próbując je stłumić.

Amanda położyła się z powrotem. Czowała, że siły ją opuszczają.

— Tak, chwila odpoczynku chyba nam się przyda — stwierdziła.

— Będziemy mieli sposobność zaplanować naszą przyszłość.

— Nie — zaprotestowała. — Kapsuła czasu to wiadomość dla przyszłości, którą otwieramy w dniu dzisiejszym, aby zrozumieć przeszłość, tak?

— Tak powiedział.

— Ta gra uświadomiła mi, że przyszłość i przeszłość nie są ważne. Liczy się tylko teraźniejszość.

Balenger przypomniał sobie profesor Graham.

— Poznałem pewną starszą panią, którą tego samego nauczyły gry wideo. Zabiorę cię do niej. Na pewno ją polubisz. Umiera na raka, ale twierdzi, że niezliczone decyzje i działa-



nia, które podejmuje w grze, wypełniają jej każdą sekundę i wydłużają czas.

— Chętnie ją poznam — powiedziała Amanda.

Napięcie powoli opadało i Balenger z trudem zdołał się uśmiechnąć. A potem spojrział na rozgwieżdżone niebo i Księżyc w trzeciej kwadrze.

— Mieli rację — mruknął.

— Kto?

— Starożytni. Niebo wygląda jak kopuła z wywierconymi dziurami, przez które prześwieca niebiańskie światło.

— Wszystko istnieje tylko w boskiej wyobraźni — stwierdziła Amanda.

Balenger dotknął jej ramienia.

— Ty nie jesteś wymaginowana — powiedział.

— Ty też nie — odparła, biorąc go za rękę. — Dzięki Bogu.

## POSŁOWIE

# DOŚĆ CZASU I ŚWIATA

Jeśli chodzi o pomysły na powieść, jestem prawdziwym chomikiem. Na półkach w moim gabinecie stoją segregatory z wielu dziesięcioleci. Nagryzmolone streszczenia wiadomości radiowych i telewizyjnych wywiadów sąsiadują z pożółkłymi kartkami wydartymi z gazet i czasopism. Są ich całe sterty. Za każdym razem, gdy coś zwraca moją uwagę, zastanawiam się, dlaczego tak się dzieje. Teoretycznie temat, który mnie zainteresował, powinien również zainteresować moich czytelników. Z biegiem lat zgromadziłem tyle teczek, że nie mam czasu podzielić je na kategorie, nie mówiąc już o rozwinięciu w fabułę.

Czasami ciekawość każe mi je przejrzeć. Z wielkimi nadziejami kładę jakąś część na podłodze, odkurzam i czytam. Prawie zawsze te kruche kartki odnoszą się do spraw i wydarzeń, które w swoim czasie wydawały się ważne, lecz teraz są już martwe. Sugerowane przez nie tematy i sytuacje nie przemawiają do mojej wyobraźni. Zatęchłe wytwory umysłu pokazują mi przepaść między osobą, która umieściła je w segregatorze, i tą, która je po latach czyta.

Zdarza się jednak, że jakiś temat zagrzeżdza się w mojej wyobraźni i wciąż do niego wracam, próbując udramatyzować

emocje, które we mnie budzi. Moją poprzednią powieść, „Infiltratorzy”, zainspirował zamieszczony w „Los Angeles Times” artykuł o miejskich odkrywcach: entuzjastach historii i architektury penetrujących stare budynki, które od lat stały zamknięte i opuszczone. Wycinek tkwił pod rosnącym stosem segregatorów, ale ja nie przestawałem o nim myśleć i intrygowało mnie, dlaczego tak się dzieje. Przełom nastąpił, kiedy przypomniałem sobie opuszczony budynek, do którego wchodziłem jako dziecko. Robiłem to, by uciec przed niekończącymi się sprzeczkami między moją matką i ojczymem, budzącymi we mnie lęk i zniechęcającymi do powrotu do domu. Wspomnienie tego lęku i potrzeby, by uciec w przeszłość, skłoniło mnie do napisania powieści, w której dzieje się coś odwrotnego: zafascynowani przeszłością miejscy odkrywcy przekonują się, że nie przynosi im ona ukojenia, lecz przeraża.

Podobny, oddziałujący długo na moją podświadomość artykuł skłonił mnie do napisania „Łowcy”. Przez osiem lat tkwił pod innymi segregatorami i nie dawał mi spokoju, aż w końcu ustąpiłem. Tym razem był to „New York Times” z ósmego kwietnia 1998 roku, a miejscem akcji West New York w New Jersey. Zaskoczył mnie i rozbawił fakt, że miasto o nazwie West New York leży tak daleko na zachodzie, że znalazło się w granicach sąsiedniego stanu New Jersey. O wiele bardziej intrygująca była jednak treść artykułu. „Od kapsuły czasu do zakopanego skarbu” brzmiał tytuł. „Gdzieś w West New York zachowany jest być może skrawek miejskiego życia z 1948 roku”.

Dowiedziałem się, że kiedy West New York przygotowywał się do obchodów swojej setnej rocznicy, ktoś zaproponował, by zakopać z tej okazji kapsułę czasu. Wszyscy uznali, że to świetny pomysł. A potem jakiś emeryt przypomniał sobie, że to samo zrobiono z okazji pięćdziesiątej rocznicy miasta. Co się z nią stało? Gdzie, u licha, została zakopana? Organizatorzy

rozbiegli się po całym mieście. Przerzucali pokryte pajęczyną miejskie księgi i przepytывali ludzi dość starych, by pamiętali obchody z 1948 roku. W końcu znaleźli odpowiedź w miejskiej bibliotece, gdzie w niewznawianym od dawna tomie miejscowy historyk wspominał o „miedzianej skrzyni zawierającej dokumenty i pamiętki”.

Ową skrzynię złożono podobno przed budynkiem ratusza, pod odlanym z brązu strażackim dzwonem. W tym momencie organizatorów czekało rozczarowanie, ponieważ dzwon postawiono, aby oddać hołd strażakom, którzy zginęli w akcji, i nikt nie chciał, by go ruszono. Co więcej, dzwon był przymocowany do ważącego kilka ton bloku granitu. Przesunięcie go z pewnością dużo by kosztowało, a poza tym co by było, gdyby po zbeczeszczeniu pomnika okazało się, że kapsuły wcale pod nim nie ma? Ostatecznie skończyło się na niczym.

Jednak zdaniem reportera „New York Timesa”, miastu bardzo zależało na tym, żeby nawiązać do czasów swej świetności. Pół wieku wcześniej, w roku 1948, tereny te przeżywały okres prosperity, głównie w związku z przebiegającą obok linią kolejową New York Central, którą przewożono produkty z miejscowych fabryk koronek. W roku 1998 nie istniała już linia kolejowa ani fabryka, a ulice były zaniedbane. W kontekście zapomnianej przeszłości nie mogłem nie spostrzec, że tekst nie jest opatrzony nazwiskiem reportera.

Poruszony artykułem (choć sam nie wiedziałem dlaczego), dołączyłem go do mojej chaotycznej kolekcji. Zapominałem o nim, przypominałem sobie i ponownie zapominałem — choć nigdy na długo. Ostatecznie po ośmiu latach przekopałem się przez stertę papierów, jeszcze raz go przeczytałem i postanowiłem odkryć, dlaczego mnie fascynuje, pisząc powieść, w której będzie mowa o kapsule czasu. Nie przyszło mi jeszcze wówczas do głowy, że kapsuła czasu będzie miała sto lat i że do eksploracji przeszłości zostaną zastosowane nowoczesne

technologie w rodzaju GPS-ów, palmofonów BlackBerry oraz holograficznego celownika do karabinu. Musiałem jak zwykle zacząć zbierać materiały i dowiedzieć się jak najwięcej na ten temat.

Przed wszystkim zajrzałem do Internetu. Zbierając materiały do mojej poprzedniej powieści, „Infiltratorów”, po wpisaniu do Google’a hasła „urban explorers”, uzyskałem zaskakującą liczbę 300 tysięcy wyników. Teraz zrobiłem to samo z kapsułami czasu. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy uzyskałem 18 milionów wyników. Najwyraźniej ten temat intrygował wiele innych osób i z każdym kolejnym odkryciem rosła moja fascynacja. Dowiedziałem się (opowiada o tym w „Łowcy” profesor Murdock), że chociaż obiekty nazywane kapsułami czasu towarzyszyły nam od zarania dziejów, jednak konkretne określenie pojawiło się dopiero w roku 1939, kiedy firma Westinghouse zleciła wykonanie pojemnika podobnego do torpedy i umieściła w nim współczesne przedmioty, które zdaniem jej projektantów powinny zafascynować przyszłe pokolenia. Przy dźwięku gongów pojemnik zakopano na Flushing Meadows w Nowym Jorku, gdzie odbywały się Targi Światowe. Kapsuła, która ma zostać otwarta za pięć tysięcy lat, nadal spoczywa pięćdziesiąt stóp pod ziemią, lecz w zasadzie o niej zapomniano. Jeżeli macie odbiornik GPS podobny do tych, którymi posługiwano się w „Łowcy”, możecie wpisać jej współrzędne i kierując się czerwoną strzałką, dotrzeć do miejsca, w którym została zakopana. Aby poznać te współrzędne, musicie jednak najpierw odnaleźć egzemplarz „Księgi Rekordów Kapsuły Czasu”. W roku 1939 rozesłano ją do wszystkich większych bibliotek na świecie, wliczając w to bibliotekę Dalajlamy, lecz zlokalizowanie jej dzisiaj wymaga nader żmudnych starań.

Dowiedziałem się, że kapsuła czasu Westinghouse'a jest wzorowana na kapsule noszącej dziwaczną nazwę Kapsuła Cywilizacji, której pomysł zrodził się w roku 1936 na Uniwer-

sytecie Oglethorpe'a w Atlancie. Zaniepokojony triumfami nazistów w Europie rektor Oglethorpe'a uważał, że cywilizacja znajduje się na skraju upadku. Aby ocalić to, co można, opróżnił kryty basen i umieścił w nim przedmioty, które były jego zdaniem kluczowe dla zrozumienia kultury lat trzydziestych. Znalazł się wśród nich egzemplarz powieści „Przeminęło z wiatrem”; tytuł okazał się w tym wypadku nader trafny, ponieważ o krypcie, która ma być otwarta za siedem tysięcy lat, zapomniano prawie tak samo szybko jak o kapsule Westinghouse'a. I nikt by sobie o niej nie przypomniał, gdyby nie pewien student, który przeszukiwał w roku 1970 piwnice jednego z budynków uniwersyteckich. Gdy natrafił tam na drzwi z nierdzewnej stali, zaczął zadawać pytania, których efektem było to, że podziemia zostały udostępnione publiczności, otwarto w nich księgarnię i ludzie mogą dzisiaj codziennie oglądać kryptę. Student ów został później dyrektorem administracyjnym uniwersytetu i prezesem Międzynarodowego Towarzystwa Kapsuł Czasu.

Cała ta tradycja do tego stopnia mnie zaintrygowała, że nie mogłem przestać opowiadać o niej znajomym. „Krypta Cywilizacji?”, dziwili się. „Międzynarodowe Towarzystwo Kapsuł Czasu? Przyznaj się, że wszystko zmyśliłeś!”. Ja jednak wcale tego nie zmyśliłem. Autentyczny jest również Skarbiec Sądowego Dnia za kołem podbiegunowym, Izba Pamięci pod Mount Rushmore i zalane betonem na pustyni w Nowym Meksyku miliony egzemplarzy feralnej gry „E.T.”. Nie koniec na tym. Dowiedziałem się o mieście, w którym zakopano siedemnaście kapsuł czasu i o wszystkich zapomniano; o studentach, którzy zakopali kapsułę, a później doznali czegoś w rodzaju grupowej amnezji i nigdy nie przypomnieli sobie, gdzie się znajduje; a także o miejskim komitecie, którego członkowie zakopali kapsułę z okazji setnej rocznicy powstania miasta i zanim któremukolwiek przyszło do głowy zapisać, gdzie ją umieścili, jeden po drugim przenieśli się na tamten świat.

Kto by pomyślał, że istnieje lista najsłynniejszych zagubionych kapsułek czasu i że zginęło ich kilka tysięcy o wiele więcej niż kiedykolwiek z powrotem wydobyto? Nawet odnalezione, stanowią kolejną zagadkę, ponieważ pojemniki są często nieszczelne i w rezultacie wiadomości dla przyszłości, które otwieramy w dniu dzisiejszym, aby zrozumieć przeszłość, okazują się nieczytelnymi szczątkami.

Próbując zrozumieć fascynację, którą budzą we mnie kapsułki czasu, nie mogłem nie pomyśleć o dumie skłaniającej ludzi do ich budowy, o przekonaniu, iż ten konkretny moment jest dość ważny, by pokazać jego obraz przyszłym pokoleniom. Na tle Skarbca Sądneho Dnia, w którym miliony nasion mają przetrwać globalną katastrofę, zadziwia mnie optymizm twórców kapsułek czasu. Jednak nie chodzi tylko o dumę i optymizm. Jak ujmuje to jeden z bohaterów „Łowcy”, obsesyjna staranność, z jaką konstruujemy kapsułki, świadczy o stałej obawie, że o nich zapomnimy.

„Dość czasu i świata”. Tak zatytułowany jest wykład o kapsułkach, który profesor Murdock wygłosił w „Łowcy”. To cytat z wiersza siedemnastowiecznego poety Andrew Marvella, „Do nieskorej bogdanki”. Wiersz opisuje emocje młodzieńca, który uświadamia sobie, że czas ucieka, i chce przekonać swoją przyjaciółkę, aby cieszyła się z nim życiem, póki jeszcze mogą. Kiedy usuniemy pewne linijki i przedstawimy inne, wiersz opisuje jeden z motywów, które przyświecają twórcom kapsułek czasu.

Gdybym dość czasu i świata miał, miła...  
Cóż, kiedy za mną pędzi pogoń chyża —  
Skrzydlaty rydwan czasu wciąż się zbliża;  
A tam, przed nami, czekają jedynie  
Nieogarnionej wieczności pustynie\*.

\* tłum. Stanisław Barańczak

Może to nie myśl o przyszłości skłania nas do konstruowania kapsuł. Może to presja samego czasu, prędkość, z jaką upływa, uświadomienie sobie naszej śmiertelności. Przed 1939 rokiem kapsuły nazywano skrzyniami i trumnami — pogrzebowe metafory. Ta sama metafora zawarta jest w nazwie „Krypta Cywilizacji”. Czy to możliwe, że emocją, z której zrodziły się kapsuły czasu, nie jest nadzieja, optymizm i nawet lęk, lecz smutek?

Chociaż przytulnym miejscem jest mogiła,  
Wątpię, czy ktoś cię tam przytuli, miła\*.

Ludzie zakopują to, co uważają za kwintesencję złotych czasów, istotę swego świata. Po wielu latach inni ludzie odkopują kapsułę, jeśli uda się ją zlokalizować. Gromadzą się zaciekawieni dookoła. Co to za tajemnica, pytają, jaką ważną wiadomość chce nam przekazać przeszłość? Otwierają trumnę, kryptę albo jeśli wolicie, kapsułę i przekonują się, że jej zawartość uległa rozkładowi lub jest do tego stopnia dziwaczna, że pozbawiona znaczenia. Trudno uwierzyć, że te rzeczy były dla nich ważne, mruknie ktoś. I ostatecznie takie może być przesłanie każdej kapsuły czasu. W imieniu dawno umarłej przeszłości ostrzegają nas, że „tu i teraz” nie przetrwa, że otaczające nas przedmioty nie są tak ważne, jak się nam wydaje, że tak naprawdę liczy się nie obietnica przyszłości, lecz wartość każdej mijającej chwili. Jak zauważa jedna z postaci powieści, „Czas jest prawdziwym łowcą”.

Sądzę, że moje segregatory są kapsułami czasu, prezentującymi zainteresowania osoby, którą już nie jestem. Podobnie jak moje powieści, które przekazują to, co czułem i myślałem w przeszłości. Kapsułami czasu są również powieści moich ulubionych autorów, przenoszące mnie do dickensow-

\* tłum. Stanisław Barańczak



skiego, pogrążonego we mgle Londynu, do Nowego Jorku Edith Warton i do hemingwayowskiego Paryża lat dwudziestych minionego wieku. Te książki przypominają mi nie tylko przeszłość, której doświadczyli ich autorzy, lecz także moją przeszłość, to, co czułem, czytając je po raz pierwszy.

Gdy zbierałem materiały do „Łowcy”, przeszedłem się po Manhattanie, żeby sprawdzić, jak wyglądają miejsca, w których toczy się akcja. Dotarwszy do Washington Square niedaleko Uniwersytetu Nowojorskiego, byłem przekonany, że trafiłem w złe miejsce. Ostatnim razem byłem tam w połowie lat osiemdziesiątych. Łuk na Washington Square był wówczas pokryty graffiti, a narkomani kupowali prochy w parku do tego stopnia pozbawionym drzew, że widać było wyraźnie budynki po jego drugiej stronie. Teraz jednak te domy zasłaniały potężne drzewa, pod którymi rodzice śmiali się i bawili z dziećmi, a psy biegały ze swoimi właścicielami w przeznaczonym dla nich osobnym parku. Podziwiając nieskazitelną biel łuku, uświadomiłem sobie nagle, że minęło całe dwadzieścia lat i jestem o wiele starszy, lecz zamiast nad tym boleć, wspominałem z radością dawne czasy. Żadna rzecz nie przemija, dopóki o niej pamiętamy. Każdy z nas jest kapsułą czasu.

# ŹRÓDŁA

Z wyjątkiem Sarkofagu Ziemskich Namiętności wszystkie wymienione w „Łowcy” kapsuły czasu są autentyczne. Najlepszą pracą na ich temat jest „Capsule History” Lestera A. Reingolda (listopad 1999). Zawarte tam przykłady są tak frapujące, że wykorzystałem kilka z nich w wykładzie profesora Murdocka i w części epigraficznej „Łowcy”. Wnikliwy i fascynujący esej można znaleźć na stronie [www.americanheritage.com](http://www.americanheritage.com). Trzeba tylko wpisać jego tytuł w okienku przeglądarki i wejść na link.

Kolejnym ważnym źródłem informacji o kapsułach czasu jest praca „Tales of Future Past” Davida S. Zondy'ego. Wchodząc na odpowiedni link na stronie [www.davidszondy.com](http://www.davidszondy.com), można obejrzeć fotografie kapsuły Westinghouse'a, a także spis jej zawartości. Na stronie tej znajduje się poza tym tyle innych informacji, że z pewnością olśni was ta podróż do przyszłej przeszłości.

Jak już zazaczyłem w posłowie, Krypta Cywilizacji istnieje w rzeczywistości. Na stronie [www.oglethorpe.edu/about-us/crypt-of-civilization](http://www.oglethorpe.edu/about-us/crypt-of-civilization) znajdziecie ilustracje krypty i jej zawartości, a także informacje na temat Międzynarodowego Towarzystwa Kapsuł Czasu, Dziewięciu Najbardziej Poszukiwanych Kapsuł Czasu, Tajemnic Kapsuł Czasu oraz inne rewelacje.

Prawdziwa jest również pieczara ukryta pod Mount Rushmore. Po wejściu na stronę [w-ww.rosyinn.com/5100b19.htm](http://w-ww.rosyinn.com/5100b19.htm) należy kliknąć „Black Hills Secrets” oraz MORE, aby obejrzyć fotografie.

Więcej informacji na temat geocachingu i letterboxingu znajduje się na stronach [www.geocaching.org](http://www.geocaching.org) i [www.letterboxing.org](http://www.letterboxing.org). Zająćia te cieszą się obecnie taką popularnością, że w wielu uzdrowiskach specjalizujących się w rekreacji na świeżym powietrzu geocaching i letterboxing są reklamowane równie często jak jazda konna i pływanie. Na poświęconych im stronach można uzyskać informacje o skrytkach w waszej okolicy. Ubawiło mnie, że jedna z nich znajduje się w odległości mili od mojego domu w Santa Fe w Nowym Meksyku.

„Łowca” zajmuje się również wirtualną rzeczywistością i metafizyką gier wideo. W tej dziedzinie szczególnie cenne okazały się dla mnie eseje Marka J. P. Wolfa o przestrzeni, czasie i narracji w grach wideo, znajdujące się w zbiorze pod jego redakcją zatytułowanym „The Medium of the Video Game”. Fascynujące eseje zamieścili tam również Steven L. Kent, Rochelle Slovin, Charles Bernstein, Rebecca R. Tews i Ralph H. Baer (który w 1972 roku zaprojektował system domowych gier wideo Magnavox Odyssey). Steven L. Kent napisał również „The Ultimate History of Video Games”, której tytuł mówi wszystko.

„Smartbomb” Heather Chaplin i Aarona Ruby'ego prezentuje frapujące zakulisowe spojrzenie na świat gier wideo. Zawarte tam są między innymi fascynujące analizy gier w Boga i strzelanek w pierwszej osobie. Dziękuję mojemu wydawcy Janet Elder, że poinformowała mnie o tej publikacji, a także o książce Stevena Johnsona „Everything Bad Is Good For You”. Przedstawiona przez Johnsona analiza gier wideo sprawiła, że uwierzyłem w podtytuł książki: „How Today's Popular Culture Is Actually Making Us Smarter”.

Chociaż liczne gry wideo mają bezsensowną i brutalną treść, być może znieczulającą graczy na występującą w ich życiu przemoc, rzadko można w niepodważalny sposób udowodnić związek tych gier z wydarzeniami, w których dochodzi do jej użycia. Najbardziej znanym przykładem jest zapewne to, co zdarzyło się w roku 1999 w szkole średniej Columbine w Colorado, gdzie dwaj uczniowie zastrzelili nauczyciela i dwunastu swoich kolegów, ranili dwudziestu czterech innych, po czym popełnili samobójstwo. Zabójcy obsesyjnie grali w brutalną grę „Doom”. Poza tym okazało się jednak, że byli ofiarami nieustannych prześladowań, których rezultatem był atak niekontrolowanej furii. Czy gra podsycała ich gniew, czy też była rodzajem wentyla, który opóźnił wybuch? Ponieważ chłopcy się zabili, nie znamy odpowiedzi na te pytania, lecz sprawa nie jest taka prosta, jak chcieliby ją widzieć pewni społeczni komentatorzy.

W „Łowcy” profesor Graham zauważa, że w gry wideo gra połowa ludności Stanów Zjednoczonych. Chociaż nie wszystkie są brutalne, można tak określić ich znaczną część, a przecież nie mieliśmy dotąd do czynienia ze spowodowanymi przez nie masowymi aktami przemocy. Uważam, że zamiast koncentrować się na tym temacie, warto spojrzeć na gry z innej perspektywy — zwrócić większą uwagę nie na ich treść, lecz formę. Niewykluczone, że wysoki poziom trudności, a także konieczność podejmowania wielu decyzji i działań, które wypełniają każdą sekundę gry, sprawiają, że umysł gracza staje się bardziej giętki, a refleks szybszy. Skupienie, którego wymaga gra, jest umiejętnością zapewniającą przetrwanie w skomplikowanym układzie społecznym. Jest to jednak specyficzny rodzaj skupienia, ponieważ polega na koncentrowaniu się na wielu rzeczach tak szybko, iż dzieje się to prawie jednocześnie. Przychodzi tu na myśl paralela z wielozadaniowością. Niektórzy krytycy społeczni widzą w tym inną formę surfowania po kanałach, które prowadzi do płytkiego rozumienia i ograniczonego zakresu uwagi. Ja jednak zgadzam się z przywołanym wyżej Stevenem Johnsonem, który twierdzi, że gry mogą nauczyć nas

koncentrowania się na wielu rzeczach jednocześnie. Mówiąc w skrócie, gry wideo mogą nam pomóc poznać nowe sposoby funkcjonowania umysłu. Jeżeli kapsuły czasu świadczą o tym, że rzeczy nigdy nie są takie, jakie kiedyś były, gry wideo pokazują, że stale się zmieniamy, często w sposób, z którego w ogóle nie zdajemy sobie sprawy.

# Spis treści

PODZIĘKOWANIA 5

POZIOM PIERWSZY **KRYPTA CYWILIZACJI** 9

POZIOM DRUGI **WITAJCIE W „ŁOWCY”** 49

POZIOM TRZECI **ZABAWA W SZUKANEGO** 101

POZIOM CZWARTY **AVALON** 135

POZIOM PIĄTY **UMYŚŁ STWÓRCY** 179

POZIOM SZÓSTY **AWATAR** 213

POZIOM SIÓDMY **STRZELANKA W PIERWSZEJ OSOBIE** 249

POZIOM ÓSMY **SKARBIEC SĄDNEGO DNIA** 297

POZIOM DZIEWIĄTY **SARKOFAG ZIEMSKICH NAMIĘTNOŚCI** 343

POSŁOWIE **DOŚĆ CZASU I ŚWIATA** 387

ŹRÓDŁA 395